

W ludzkiej i leśnej kniei



FERDYNAND OSSENDOWSKI

W ludzkiej i leśnej kniei

*Opowieść tę poświęcam pamięci
mojej Matki
AUTOR*

PRZEDMOWA

My, Polacy, jesteśmy historycznie związani z Azją, z Syberią. Dawniej broniliśmy cywilizacji Zachodu od najazdów koczowniców azjatyckich, a nasi rodacy, wzięci w jasyr, dochodzili aż do brzegu Oceanu Spokojnego, aż do szczytów Kwen-Łunia.

Później, po rozbiórce Polski, carowie rosyjscy rzucili zastępy Polaków na wygnanie do zimnego Sybiru na mękę i śmierć. Połowa Azji widziała naszych męczenników, którzy, bręcząc kajdanami, szli nieskończonym traktem Syberyjskim od Uralu do rzeki Leny na pewną śmierć za to, że wiernie i odważnie bronili ojczyzny.

W ostatnich 50 latach caratu Polaków—urzędników, lekarzy, uczonych i żołnierzy najchętniej posyłano na posady na Syberię.

Pamiętam otwarcie klubu Syberyjskiego w Piotrogradzie, gdzie jeden z obecnych gości, Polak, w swojej mowie bardzo dowcipnie zauważył:

„My, Polacy, posiadamy dwie ojczyzny: jedną — Polskę, drugą — Syberię!”

Moje losy osobiste też były w znacznym stopniu związane z Syberią. W ciągu prawie 10 lat stale spędzałem długi czas na Syberii, studiując pokłady węgla, soli, złota, ropy lub też odbywając wycieczki naukowe dla badań nad licznymi źródłami leczniczymi, częstokroć wyjątkowo silnymi i zdrowotnymi.

Muszę wspomnieć jako o fakcie charakterystycznym, że, wędrując po całej Syberii od Uralu do granicy indyjskiej i od Oceanu Lodowatego do Spokojnego, prawie zawsze spotykałem innych badaczy, jak prof. Leonarda Jaczewskiego, prof. Karola Bohdanowicza, prof. Stanisława Zaleskiego, prof. I. Raczkowskiego, inż. Eug. Różyckiego, inż. L. Bacewicza i innych. Dziwne się wydawały te spotkania niespodziewane, gdzieś na bezludnym brzegu jeziora Kułunda w stepach altajskich, lub pośród skał wybrzeża morza Ochockiego. Lecz tak już zrzucił los, że drogi Polaków krzyżują się we wszystkich krajach całej kuli ziemskiej... Dopiero teraz mamy znowu wolną naszą ziemię ojczystą, do której dążymy wszyscy, wioząc tu nasz dobytek umysłowy, moralny i materialny.

W tej opowieści o przygodach, przeważnie na Dalekim Wschodzie, zebrałem najsilniejsze wrażenia i wspomnienia ze swych podróży po rosyjskiej Azji w okresie lat dzieiesięciu.

Ścisłe naukowe opisy tych podróży były zamieszczane w swoim czasie w różnych specjalnych czasopismach lub wydawane w oddzielnych książkach — niestety, w języku rosyjskim, gdyż podróże swoje odbywałem bądź to z poleceniu rządu rosyjskiego, bądź to instytucji naukowych lub przemysłowych, również rosyjskich.

Prof. dr. ANTONI F. OSSENDOWSKI

Warszawa, 1923 r.

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ I. KRAINA NIEZNANYCH MOGIŁ

Gdzie człowiek, tam i męka jego.

W mojej książce pt. *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*¹ mówiłem dużo o rzece Jeniseju, która ma swe źródła w kraju Urjanchajskim, wpada zaś do Oceanu Lodowatego. Opisywałem Jenisej jako rzekę groźnie piękną, ale i straszliwą, gdyż widziałem ją, gdy niosła setki i tysiące zmiądzonych ciał więźniów politycznych, zamordowanych przez władze sowieckie. Tę najpiękniejszą z rzek, jakie kiedykolwiek widziałem, zbezczeszili i splamili krwawym, ohydny morderem ludzkie XX wieku.

Gdym widział wtedy ten szafirowo-zielony, olbrzymi potok zimnej, czystej wody, która spływała spod śniegu, pokrywającego szczyty Sajanów, Aradanu, Ulan-Tajgi i Tannu-Ołu; gdy potok ten w potwornie szybkim i potężnym biegu na północ, krusząc więzy lodowe, niósł ze sobą w swoich wirach tysiące zniekształconych ciał ludzkich — podziwiałem piękne czerwone skały, pokryte malowniczymi lasami. Ale gdym spostrzegł u stóp tych skał wyrzucone przez Jenisej trupy, odwracałem od nich oczy i szukałem zapomnienia na wyspach, które tamują prąd rzeki; wzdrygałem się ze zgrozy i ohydy, gdyż wśród zarośli fale Jeniseju nagromadzały całe stosy trupów, nad którymi z klekotem i tęsknym przeciągłym krzykiem unosiło się ptactwo drapieżne. Gdym wszystko to widział w r. 1920, rozpoczynając swoją ucieczkę z Syberii Sowieckiej do Polski przez Urjanchaj, Mongolię, Tybet, Chiny, Japonię i Stany Zjednoczone, nienawiścią zaczynało pałać moje serce, a słowa przekleństwa zawisały na ustach.

Kultura, cywilizacja, chrześcijaństwo... XX wiek, a tu, na Jeniseju, te tysiące niewinnych ofiar, zamordowanych w ponurych, krwawych lochach sądów rosyjskich.

Lecz poznałem Jenisej nie takim. A było to wtedy, gdy życie moje, pełne wrażeń, przeżyć i burz politycznych, jeszcze nie przyprószyło siwizną mej głowy, gdy byłem młody i wierzyłem w postęp ludzkości, w postęp nie tylko techniki, lecz i ducha i moralności.

Było to w 1899 r.

W tym roku miałem otrzymać doktorat na uniwersytecie w Petersburgu. Lecz rząd rosyjski spowodował w lutym tego roku zaburzenia studenckie, a policja szablami i nahałami porozbijając głowy młodzieży. Studenci zaniechali egzaminów, i nikt się nie zjawił w uniwersytecie; w ten sposób wyrażono swój bierny protest.

Znany uczyony, chemik i geolog, prof. Stanisław Zaleski, był wysłany w tym czasie przez rząd dla badań jezior mineralnych w stepach Czuluymo-Minusieńskich. Zaprosił mnie jako pomocnika. Propozycję przyjąłem i pojechałem z Petersburga na Syberię.

Dojechalismy koleją do Krasnojarska, a stamtąd małym parowcem odbyliśmy podróż na południe do przylądka Bateni, gdzie wysiedliśmy i dalej podróżowaliśmy już w małych wózkach, tzw. „piestierkach”, zaprzężonych w trójkę dobrych koni stepowych.

Brzegi Jeniseju w tym miejscu są niskie, stepowe; stopniowo wznosząc się na zachodzie, przechodzą w grzbiet Kizyl-Kaja, złożony z warstw piaskowców dewońskich, a stanowiący odnogę Wielkiego Ałtaju.

Tylko w jednym miejscu, nad brzegiem Jeniseju, wznosi się olbrzymia skała Bateni, daleko wrzynająca się w łożysko rzeki. Jest to skała z czerwonego piaskowca, wysokości 15–20 metrów, a porośła gęstymi krzakami i brzożami. Wąska ścieżka prowadzi od przystani na jej szczyt, skąd roztacza się przepiękny widok. Na Zachodzie ciągną się stepy, pokryte wysoką, żyzną trawą, wśród której pasą się tabuny koni i stada owiec i baranów; dalej na horyzoncie czerni się niewysoki, o ostrych konturach grzbiet Kizyl-Kaja (Czerwony Kamień); na stepach tu i owdzie dojrzyć można ciemne jurty koczowisk abakańskich, czyli „czarnych” Tatarów, i ogniska pastuchów. Na wschodzie rozciąga się szeroka wstęga Jeniseju z porozrzucanymi w nieładzie wyspami, a dalej prawy brzeg rzeki, z uprawnymi polami i wsiami kolonistów rosyjskich, którzy z pomocą rządu odebrali te wspaniałe obszary od dawnych ich posiadaczy, Tatarów, ci zaś zmuszeni byli przejść na brzeg lewy, gdzie obecnie dalej prowadzą życie koczownicze.

¹*Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów* — książka Ferdynanda Ossendowskiego, wydana nakładem Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1923 r. [przypis autorski]

Na szczycie skały Bateni, która, jak słup olbrzymi, wznosi się nad rzeką, zawsze można spotkać pielgrzymów-Tatarów. Przybywają tu oni z daleka. Nieraz zdarzało się widzieć tu Tatarów altajskich, lub z Siedmiorzeczca, a nawet tubylców tiurkskich ze spadków Pamiru, ponieważ ta samotna skała ma swoją historię. Gdy Batyj-Chan² ciągnął przez stepy Czuluyskie, zagarniając do swojej armii nie tylko tubylców, lecz i stada bydła i koni, jeden z książąt tatarskich, Aziuk, postanowił położyć temu kres. Zebrawszy duży oddział z Tatarów różnych szczepów, napadł na ariergardy Batyja i odebrał zrabowane konie i bydło. Rozgniewany Chan wysłał przeciwko buntownikowi swego wojewodę, Chubilaja³, który rozbił oddział Aziuka i po kilku potyczkach zapędził go na skały Bateni. Aziuk długo się bronił, ale, z powodu głodu zmuszony do kapitulacji, rzucił się wraz ze swymi towarzyszami do wartkiego Jeniseju, gdzie zginął śmiercią męczeńską, walcząc z prądem tej szalonej rzeki. Po śmierci Aziuka bezprawnie, czynionemu przez zwycięskich Mongołów, nikt już oprzeć się nie odważył. Tatarzy z wdzięcznością przechowali w pamięci imię Aziuka i uważają go za „muelina”, czyli świętego. W lipcu napływ pielgrzymów bywa największy i Tatarzy ze skały Bateni rzucają do rzeki pokarm, noże i nawet strzelby w darze odważnemu, lecz nieszczęśliwemu księciu.

Od Bateni zaczyna się od razu dzika miejscowość stepowa, gdyż Tatarzy unikają tu koczowania, obawiając się częstych spotkań z urzędnikami rosyjskimi, żądającymi zwykle łapówek, oraz z kolonistami z przeciwległego brzegu, których nienawidzą.

Przez tę część stepów czuluyskich, noszącą nazwę Szira-Bułyk, biegnie dość szeroka i dobrze ubita droga, ciągnąca się od stacji kolejowej Aczinsk aż do Minusinska, miasta odległego od kolei o 620 kilometrów, a położonego przy samym prawie ujściu rzeki Abakan do Jeniseju.

Stepy są pokryte bujną i wysoką trawą, która stanowi doskonałą paszę dla bydła. Gdziekolwiek lśnią w słońcu, jak olbrzymie odłamki zwierciadła, jeziora o słonej lub słodkiej wodzie. Jeziora te, o ile zawierają słoną wodę, są otoczone ramą z czarnego szlamu, czyli błota, wydzielającego przykre wyziewy siarkowodoru lub gnijących drobnych wodorostów, bakterii i większych żyjątek. Jeżeli zaś są to jeziora o zwykłej wodzie, słodkiej — okalają je trzciny i sitowie.

Gdy się zdarzyło zbliżyć do takich jezior, w podziw wprawiała ilość ptactwa wodnego. Przeróżnych gatunków dzikie kaczki i gęsi, kuliki, żurawie, a nawet łabędzie, czasem flamingi i pelikany, zrywały się całymi stadami i długo unosiły się w powietrzu, przeraźliwie krzycząc, potem znów spadały na powierzchnię jeziora lub kryły się w gęstych kępach trzciny.

Miałem wtedy ze sobą dubeltówkę Lepage'a, 16-go kalibru. Była to stara i słaba strzelba, lecz nawet z jej pomocą udało mi się kilkakrotnie siać istotne zniszczenie wśród tego wodnego ptactwa i kolekcje nasze wzbogacić takimi okazami, jak żóraw chiński, lub indyjskie flamingi.

Lecz nie tylko na jeziorach spotykałem ptactwo: w gęstej trawie stepowej gnieździły się cietrzewie polne, tak zwane *Tetrao campestris Amman*, czyli po tatarsku *strepet*. Nazwa tu przeszła i do języka rosyjskiego. Jadąc przez step, bardzo często widziałem zrywające się te popielato-szare duże ptaki, które, odleciawszy o jakie paręset kroków, znowu zapadały w trawę i w rzadkie krzaki rododendronów alpejskich (*Rhododendron flav.*), bardzo często tu spotykanych.

Polowanie na nie było dość łatwe, gdyż ptaki dopuszczały strzelca blisko, zrywały się dość powolnie⁴, a przy tym lot „strepetów” był równy i w prostej linii, co ułatwiało strzał.

Pomiędzy Bateni a grzbietem Kizyl-Kaja, tuż przy wschodnich jego spadkach, leży duże jezioro Szira-Kul, co znaczy „gorzkie jezioro”. Ma ono formę jajka, długości 11 kilometrów, a szerokości 3 kilometrów. Leży w kotlinie zupełnie bezleśnej, a w północnym jego kącie spostrzec się dają niewielkie zarośla trzciny. Wpada tu do jeziora mały strumyk słodkiej wody, samo zaś jezioro jest basenem gorzko-słonej wody leczniczej, doskonalej

²Batyj-Chan, właśc. Batu-Chan (1205–1255) — wnuk Czyngis-Chana, władca mongolski, założyciel Złotej Ordy. [przypis edytorski]

³Chubilaj, właśc. Kubilaj (1215–1294) — wnuk Czyngis-Chana, pierwszy cesarz Chin z dynastii Yuan. [przypis edytorski]

⁴powolnie — dziś popr.: powoli. [przypis edytorski]

przy chorobach żołądkowych i do kąpeli. Na wschodnim brzegu leży niewielka osada, gdzie jest mały zakład leczniczy i kąpielowy.

Nazajutrz po przyjeździe zabrałem się ze swoim pomocnikiem do roboty. Znaleźliśmy nieduże, a bardzo lekkie czółno, do którego złożyliśmy kilka przyrządów: przyrząd do mierzenia głębokości i wyjmowania próbek z dna, aparat do mierzenia temperatury na różnych głębokościach i przyrządy do niektórych badań chemicznych.

Gdy mieliśmy już wypłynąć na jezioro, całe tłumy Tatarów, znajdujących się w osadzie i koczujących w pobliżu brzegów jeziora, bacznie i trwożnie przyglądały się naszym czynnościom i powątpiewająco kiwały głowami.

„To niedobrze!” — mówili ponurymi głosami — „Jezioro jest święte i zemści się nad śmiałkami”.

Ponieważ Tatarzy wyznają muzułmanizm, zadziwiło nas twierdzenie, że jezioro jest święte, gdyż u wyznawców Islamu takich tradycji się nie spotyka. Opowiedzieli nam tedy, że Szira-Kul od wieków jest uznane jako jezioro święte, a wiara taka pozostała z dawnych czasów po szczepach, które tu niegdyś koczowały, obecnie zaś znikły bez śladu.

Zdawało się jednak, że groźna przepowiednia o zemście jeziora nie spełni się, gdyż praca nasza na Sziro odbywała się w zupełnym spokoju.

Ciekawa to był praca!

Nasze pomiary głębokości dowiodły, że jezioro ma formę lejka, którego najgłębsza część leży przy brzegu południowym; od brzegu tego miejsca dno gwałtownie wznosiło się w górę.

Przy brzegu południowym znaleźliśmy głębokość 920 metrów. Ale to miejsce głębokie miało w promieniu nie więcej niż 50 metrów i poza jego granicą głębokość nie przekraczała 30–35 metrów. Jakież jednak było nasze zdziwienie, gdy po paru tygodniach, robiąc ponowne pomiary, nie znaleźliśmy tego miejsca, bardzo ściśle przez nas określonego, natomiast o kilometr na północ wykryliśmy otchłań głębokości 968 metrów.

Zrozumieliśmy więc, że dno Sziro jest ruchome, podlega jakimś nagłym i potężnym zmianom. Takimi zmianami były siły tektoniczne, o których świadczyły także liczne szczeliny w skałach.

Wyjmując z dna jeziora próbki szlamu czarnego i zimnego, bo o temperaturze nie wyższej nad 2°C, zawsze cuchnącego siarczanem wodoru, spostrzegliśmy dziwne zjawisko. Oto po pewnym czasie ze szlamu wyrastały długie, ruchome trawki o zabarwieniu bladeżółtym. Trawki te wkrótce znikaly bez śladu. Zdawało się, że to jakieś żyjące w szlamie istoty wysuwają macki i rychło je chowają.

Mieliśmy słuszną przeczucie, gdyż były to kolonie bakterii *Beggiatoa*, tych zwiastunów śmierci mórz i słonych jezior, gdy się w nich rozkładają pewne sole, tworzące siarkowodor, który zabija życie w takich basenach.

Gdyśmy czynili dalsze badania, okazało się, że na pewnej głębokości pod powierzchnią jeziora wisi jakby olbrzymia siatka z ogromnych ilości połączonych ze sobą kolonii *Beggiatoa*, które z dna wznosiły się coraz wyżej i wyżej, zabijając wszelkie przejawy życia. Jezioro Sziro było więc zupełnie martwe; tylko w najwyższych warstwach żyły jeszcze małe raczki, tzw. *hammarus*, bardzo podobne do zwykłych krewet, tylko małe, nie większe nad 1 centymetr, ale tak samo szybkie i śmiałe, jak ich morskie „kuzynki”.

Jednak nastąpić musi czas, gdy ilość siarkowodoru, wytwarzanego przez *Beggiatoa*, zabije i tych przedstawicieli dawnej fauny jeziora, i wtedy zakończy się proces zamierania, gdyż i same bakterie ostatecznie strują się produkowanym przez siebie szkodliwym gazem.

Byłem niegdyś wraz z prof. Werigo na badaniach limanów⁵ pod Odessą i niektórych rejonów morza Czarnego. Tam także odbywał się proces zamierania, grożąc w bliższym lub dalszym terminie zupełnym zanikiem życia w tym morzu. Ponieważ ten proces odczuwają ryby, postrzegamy przeto, że coraz bardziej omijają one morze Czarne, bowiem na znaczniejszych głębokościach spotykają tam już zatrute warstwy wody, coraz bardziej posuwające się do góry, ku powierzchni morza.

Tak się odbywa ponury i smutny okres śmierci dużych basenów wodnych, zamieniających się w martwe zbiorniki słonej wody, przesyconej siarkowodorem. Takim basenem

⁵liman — rodzaj płytkiej zatoki u ujścia rzeki. [przypis edytorski]

od dawna jest morze Martwe w Palestynie, ogromna zaś ich ilość jest rozrzuciona na niezmiernych obszarach Azji.

Bardzo ciekawym zwierzętkiem jest *Hammarus*.

Tysiące tych raczków pływa w wierzchnich warstwach Sziro i bardzo energicznie atakuje kąpiących się, uderzając w ich ciała swoimi ostrymi główkami a potem błyskawicznie uciekając. Kiedy wrzucaliśmy do wody kawałki chleba lub korka, widzieliśmy, że dookoła kotłowało się od tych żyjątek, które obracały rzucony przedmiot na wszystkie strony, zjadając go bardzo szybko.

Podczas naszych wycieczek po jeziorze, nieraz przybijaliśmy do brzegu północnego, gdzie wpadał niewielki strumyk słodkiej wody i gdzie rosły trzciny i sitowia. Pociągały nas tu wielkie kaczki czarne, tak zwane *turpany* (kormorany), czyli „kruki morskie”. Mieszkały, oczywiście, gdzieś na innym jeziorze, lecz przylatywały tu w jakimś celu.

Ponieważ gorzko-słona woda Sziro jest wyborna na choroby żołądkowe, więc turpany przylatywały tu może — dla kuracji?

Zastrzeliliśmy kilka okazów, lecz żalowaliśmy tego później, gdyż mięso miały ohydne, twarde, cuchnące rybami.

Pewnego razu, gdyśmy siedzieli na brzegu strumyka i pili herbatę, usłyszeliśmy za sobą szmer i spostrzegli jakąś głowę, która natychmiast znikła w wysokiej trawie.

Poszliśmy w tę stronę i znaleźliśmy zaczajoną tu malutką, bardzo przystojną Tatarkę. Gdyśmy się do niej zbliżyli, rozplakała się. Długo nie mogliśmy jej uspokoić. Nareszcie dała się namówić i poszła z nami do naszego ogniska. Tu, pijąc herbatę i gryząc cukier, opowiedziała historię smutną, lecz, niestety, zwykłą w Azji, z wyjątkiem Mongolii.

Miała 14 lat, i rodzice już ją wydali za mąż za dość starego, lecz bogatego Tatara, który posiadał, oprócz niej, sześć żon.

Ponieważ pochodziła z ubogiej i niewpływowej rodziny, inne żony obchodziły się z nią nielitościwie i pogardliwie. Często ją biły, wyrzywały jej włosy, szczypały i drapały jej miłą, świeżą twarzyczkę.

Opowiadając o swoim smutnym losie, nieszczęśliwa kobieta głośno łkała.

— Po co tu przyszłaś? — zapytaliśmy.

— Uciekłam z koczowiska męża mego, aby już nigdy do niego nie powrócić — odparła, szlochając.

— Cóż chciałaś dalej czynić?...

— Przyszłam tu, żeby się utopić w Sziro! — zawołała w namiętej rozpacz. — Poniewierana za życia kobieta, gdy się utopi w tym jeziorze, staje się godną łaski Allacha... Na dnie jeziora leżą stopy kości takich męczennic, jak ja...

Byliśmy wtedy młodzi i wrażliwi, a więc innymi już oczyma patrzyliśmy na ciężkie, słone fale Sziro, które w swej prawie kilometrowej otchłani przechowywało kości bezbronnych, uciemienionych kobiet, szukających dla siebie w umierającym jeziorze ukojenia i spokoju wiecznego.

Jednakże niedługo mogliśmy nad tym rozmyślać, gdyż wkrótce przybyło kilku jeźdźców, którzy obejrzeni nas bardzo podejrzliwie, a potem kazali kobiecie wsiąść na konia, gdyż mąż żąda jej powrotu do swego domu.

Zalewając się łzami, Tatarka spełniła rozkaz swego władcy i dosiadła konia. Wtedy jeden z Tatarów ściągnął nahajem jej konia, aż jęknął z bólu, i cała kawalkata pomknęła w szalonym pędzie w stępy i wkrótce zniknęła nam z oczu.

Długo nie mogliśmy opanować wzruszenia i w ciągu następnych kilku miesięcy, płynąc po jeziorze, mimo woli rozglądaliśmy się dookoła, uważnie badając wodę, czy nie wypłynie z niej gdziekolwiek znękanе ciało małej, biednej Tataruki.

Lecz nigdy już jej nie widzieliśmy, i nie wiem, czy był jaśniejszy jej dalszy los, czy pozostał ponurym, pełnym znęcania się, obelg i mąk...

A tymczasem jezioro przygotowywało nam zemstę...

Pewnego razu pracowaliśmy w naszym czólnie o jakie 50 metrów od brzegu południowego, gdy nagle odczuliśmy silne przechylenie się czólna z boku na bok. Obejrzeliliśmy się: od skał nadbrzeżnych biegły na północo-zachód ciężkie, duże fale.

Było to dziwne zjawisko natury. Niebo było jasne, bezchmurne, żadnego powiewu wiatru nie odczuwaliśmy, a jednak jezioro było wzburzone, falowało od brzegu do brzegu. Fale wznosiły się coraz wyżej i wyżej, z szumem uderzając w nasze lekkie czólna, zalewając

je wodą i ciskając w nas słoną pianą. Czólno kilka razy przechyliło się tak silnie, że jednym bokiem zaczęło czerpać wodę.

— Źle! — rzeki mój towarzysz — Na nic teraz nasza praca... Musimy powracać.

Zgodziłem się, ale Sziro chciało inaczej. Chociaż byliśmy silnymi i wprawnymi wiosłarzami, jednak pomimo wszelkich wysiłków nie mogliśmy czólno zbliżyć do brzegu. Fale, jakby z ołowiu ciężkie, gnały nas dalej i dalej na środek jeziora. Całe zastępy fal coraz częściej wpadały na nas i zalewały czólno. Już siedzieliśmy po kolana w wodzie, już ręce nam zaczynały mdleć od znużenia. Wytężaliśmy wszystkie siły, lecz jednocześnie zdawaliśmy sobie sprawę, że była to praca próżna, gdyż fale odnosiły nas dalej i dalej od brzegu.

Wtedy postanowiliśmy oddać się na łaskę i niełaskę Sziro, sądząc, że fale zanoszą nas na brzeg przeciwny. Całą uwagę skupiliśmy na to, aby wylewać wodę z czólno i nie przewrócić się z nim razem. Na wszelki wypadek nałożyliśmy pasy korkowe i na przemian wlewaliśmy wodę dużą blaszanką od nafty.

Kilkakrotnie wielkie fale przelewały się przez nasze czólno i odrywały nas prawie od niego, lecz zdolaliśmy utrzymać równowagę.

Z osady zauważono naszą przygodę. Natychmiast kilku ludzi wskoczyło do wielkiego czólno, które stało tam dla bezpieczeństwa kąpiących się i, mając tylko jedną parę wiosel, zaczęło powoli posuwać się w naszą stronę. Wreszcie niewprawni wiosłarze złamali jedno wiosło i z wielkim trudem zdolali powrócić do osady.

Tymczasem fale niosły nas w stronę przeciwnego brzegu. Czerwone skały Kizyl-Kaja stawały się coraz wyraźniejsze, i wkrótce ponad wodą wyłonił się niski brzeg, porośnięty krzakami rododendronu, wikliny i wysokimi, ostrymi jak klinga pałasza, liśćmi irysów.

Wkrótce fale zaczęły słabnąć. Zabraliśmy się do wiosel i nareszcie dobiliśmy do brzegu.

Nigdy nie byliśmy jeszcze na stokach Kizyl-Kaja. Pociągały nas te góry od dawna swymi jaskrawymi, czerwonymi barwami i gęstymi krzakami w głębokich szczelinach, gdzie spodziewaliśmy się spotkać grubszą zwierzynę, niż w bezbrzeżnych, jednostajnych stepach, otaczających umierające Sziro.

Nie pomyliliśmy się pod tym względem, ale spotkaliśmy tam, jak zobaczymy niebawem, zupełnie nieoczekiwany rodzaj zwierzyny.

ROZDZIAŁ II. ZWIERZYNA NA KIZYL-KAJA

Wciągnąwszy czólno na brzeg i wypocząwszy trochę po uciążliwej walce z falami mściwego Szira, ruszyliśmy w stronę grzbietu Kizyl-Kaja, który, jak zębata ściana czerwona, zaczął się tuż przy brzegu, bardzo powoli wznosząc się wyżej i wyżej. Zaczęliśmy się przedzierać przez niewysokie, lecz gęste zarośla różaneczników (*Rhododendron*), wikliny i irysów. Zaledwie uszliśmy parę kroków, gdy ze wszystkich stron zaczęły zrywać się z hałaśliwym łopotaniem skrzydeł i z przeraźliwymi krzykami kuropatwy. Nie mieliśmy ze sobą strzelb, więc ptactwo to odlatywało bezkarnie, jednak nie obyło się bez ofiar. Jedna z kuropatw poderwała się prawie z pod moich nóg i, odleciawszy trochę, wpadła do krzaków, niespokojnie pokrzykując. Zrozumiałem, że miała gdzieś swe gniazdo. Rozpoczęliśmy poszukiwania. Istotnie, o kilka kroków dalej, wśród twardych liści irysu, spostrzegliśmy gniazdo, wysłane suchą trawą. Dwanaście drobnych, szarych istotek, o plamach koloru rdzy na grzbietach i na bokach, siedziało przytulone do siebie, baczenie nas śledząc czarnymi, połyskującymi oczkami.

Były to pisklęta tak zwanej kuropatwy kamiennej, skalnej, lub czerwonej (*Perdrix rubra*), żyjącej w suchych miejscowościach, położonych na znacznych wyżynach.

Zaledwie zdążyliśmy się pochylić nad odnalezionym gniazdem, gdy cała czereda piskląt rozprysła się w różne strony, jak suche liście, zdmuchnięte powiewem wiatru. Jednak widzieliśmy, jak, dobiegłszy do trawy, przyłgnęły do ziemi i zaczęły się. Urządziliśmy pościg i wkrótce wszystkie dostały się do naszych rąk. Zanieśliśmy je do czólno i umieściliśmy w blaszance od nafty, napelniając ją do połowy trawą. Mieliśmy zamiar puścić pisklęta pomiędzy stadko kurcząt, które chodziło po naszym podwórku w osadzie. Zajmowała nas myśl, czy się oswoją w warunkach domowych i czy się przyzwyczają do kury i do jej potomstwa.

Doświadczenia tego dokonaliśmy, a wyniki były nader pouczające. Kuropatwy od razu poszły za kwoką, posłusznie chowały się wraz z kurczętami pod jej skrzydła i bardzo zawzięcie i zwycięsko walczyły z większymi od siebie kurczętami o pokarm. Były silniejsze, zwinniejsze i odważniejsze od kurcząt, najbardziej zaś zaciekawiła nas ta okoliczność, że, gdy jedna z kuropatw walczyła, inne natychmiast rzucały się jej na pomoc, czego nigdy nie robiły kurczęta.

Przeszło kilka dni, w ciągu których widzieliśmy, jak cała rodzina kwoki chodziła po podwórku, ogrodzonym wysokim płotem z desek, biegała, dokazywała, szukała pożywienia, biła się i hałasowała, jak mogła. Po paru tygodniach znikły bez śladu dwie kuropatwy, nazajutrz jeszcze trzy. Przeszukaliśmy wszystkie kąty, ale nigdzie ich nie znaleźliśmy, ani żywych, ani martwych. Ponieważ żadne z kurcząt nie znikło, więc nie mogliśmy przypuszczać, że porwał je jakiś czworonożny lub skrzydlaty drapieżnik. Wkrótce zginęły bez śladu jeszcze dwie kuropatwy. Była to niedziela, więc zaczęliśmy śledzić. Po pewnym czasie spostrzegliśmy, że dwie kuropatwy podbiegły do płotu i zaczęły z wielką energią kopać dołek w ziemi pomiędzy dwiema deskami ogrodzenia. Jedna po drugiej chyłkiem wślizgnęły się do tego tunelu i znikły.

W ciągu następnych trzech dni w ten sam sposób i ostatnie kuropatwy opuściły swą przybraną matkę i gościnne podwórko, pozostawiając kwokę tylko z jej prawowitym potomstwem.

Jeden ze starych myśliwych syberyjskich, wysłuchawszy opowiadania o moich spostrzeżeniach co do piskląt kuropatwy, zauważył:

— Kuropatwy i cietrzewie nigdy nie dają się oswoić do tego stopnia, aby nie uciekły. Żyją w niewoli, stale myśląc o wolności, i wystarczy powiew wiatru ze stepu lub lasu, wystarczy wołanie wolnych ptaków, a natychmiast wynajdą sposób do ucieczki, chociażby to było nawet z narażeniem życia. Wolność, mój panie, to nie żart, i tego nie rozumie tylko człowiek!

Tymczasem po odniesieniu naszych drobniutkich więźniów do czółna zaczęliśmy wdrapywać się na zbocza Kizyl-Kaja. Masyw tego grzbietu stanowiły twarde, czerwone piaskowce dewońskie, przecięte w niektórych miejscach warstwami stwardniałych glin.

Zaczynając od potowy grzbietu, spotykaliśmy szerokie tarasy, na których były wyraźne ślady fal w formie typowych sfalowań, boki zaś tarasów z głębokimi wyrwami i wklęśnięciami mówiły przekonywająco, że kiedyś szalały tu bałwany jakiegoś wielkiego basenu wodnego. Ponieważ cały obszar Czulymo-Minusińskich stepów stanowił niegdyś, za dawnych epok geologicznych, dno morza środkowo-azjatyckiego, które pozostawiło po sobie liczne mineralne jeziora słone od Uralu aż do Wielkiego Chinganu i Kwen-Łuniu, nie ulegało przeto wątpliwości, że uchodzące ku wschodowi morze miało tu przed wiekami swój brzeg zachodni. Mówiły o tym liczne muszle, a szczególniej belemnity⁶, rozrzucone znacznymi masami.

Słowem, zaczynając od umierającego Szira i kończąc na Kizyl-Kaja, mieliśmy przed sobą wielką mogiłę, w której natura pogrzebała olbrzymie morze.

Spiczaste szczyty grzbietu powstały pod działaniem wiatrów, deszczu i mrozów, które niszczyły twarde piaskowiec, zmieniając go w pył i piasek, i przysypując coraz bardziej ślady morza i dawno już umarłych epok.

Na szczycie grzbietu znaleźliśmy głębokie szczeliny górskie i jaskinie, wyżłobione przez mknący w jesieni wraz z wichrem piasek z pustyni Gobi. Niektóre z nich były dość głębokie.

Zbliżywszy się do jednej z takich jaskiń, spostrzegliśmy nagle wychodzącą z niej cienką smugę dymu. Zaciekawieni poszliśmy w tę stronę, lecz raptem z jaskini wypadło trzech bosych chłopów w zniszczonych ubraniach. Zaczęli oni zmykać ku zachodnim spadkom grzbietu, a, gdy już byli blisko krawędzi gór, jeden z nich zatrzymał się i strzelił. Odległość była zbyt wielka, aby można było trafić, prócz tego strzał był dany z rewolweru i kula prawdopodobnie nie dobiegła nawet do nas.

Byłem na Syberii nieraz, podobne spotkanie miałem już kilkakrotnie i wiedziałem, z kim mam do czynienia. Byli to niezawodnie zbiegowie z więzień kryminalnych, może

⁶belemnity — rząd wymarłych morskich głowonogów, po których zostały charakterystyczne podłużne skamieniałości. [przypis edytorski]

nawet z Sachalinu, z tej wyspy Diabła, dokąd sądy rosyjskie zsyłały najcięższych zbrodniarzy.

Od razu więc im krzyknąłem, że nie jesteśmy ani policją, ani urzędnikami i, że nie nas oni nie obchodzą.

Ociągając się, z wielką ostrożnością i niedowierzaniem powrócili i zbliżyli się do nas. Chociaż zdjęli czapki i wygląd mieli pokorny, oczy ich jednak biegały, oglądając nas na wszystkie strony i szukając broni lub odznak jakiegoś umundurowania.

Wreszcie, gdyśmy im opowiedzieli, że pracujemy na jeziorze, i co nas tam spotkało, uspokoili się znacznie i bardzo gościnnie zaprosili nas do swojej nory.

Weszliśmy. Było to dość obszerne i głębokie wklęsnięcie w skałę, od przodu zakryte odłamami skał, które się stoczyły ze szczytu. Nasi nowi znajomi rozlokowali się tu w śmienicie. W najdalszym kącie urządzili miękkie posłanie z suchej trawy, ułożyli kamienie, gdzie się paliło ognisko, przy którym gotowała się herbata w zasmolonym kociołku. W szczelinach ścian jaskini były ukryte woreczki z sucharami i herbatą, w kącie leżały wory i siekiery, te niezbędne atrybuty włóczęgi syberyjskiego, uchodzącego z więzienia lub z miejsca wygnania przez tundrę północną, przez góry i dziewiczą puszcę-tajgę, a idącego do Europy, za Ural, zimą i latem, w deszcz, w upały i w mrozy najcięższe. W worach włóczęga-zbieg nosi cały swój skromny, a bardzo mądrze obmyślony dobytek; siekiera służy mu do rąbania drzewa, a w razie potrzeby za broń do polowania lub w potyczce z policją i z kozakami posterunkowymi.

Włóczęga syberyjski posiada wielką wprawę w użyciu siekiery. Rzucona przez niego, ze świadem przecina ona powietrze i trafia między oczy niedźwiedzia lub... człowieka, jeżeli ten jest niebezpieczny dla ukrywającego się w lesie zbiega.

Nasi nowi znajomi odbywali swą niebezpieczną i uciążliwą drogę już od dwóch lat. Było to nader zajmujące towarzystwo. Jeden z nich, który się nazywał Hak, w zimie uciekł z Sachalinu, przeszedłszy po lodzie przesmyk Tatarski, oddzielający wyspę od kontynentu Azji. Za zbiegiem, naturalnie, zarządzono pościg, co było do przewidzenia, bo Hak był nie lada jakim zbrodniarzem. Zabił on około piętnastu ludzi, uczyniwszy napad na pocztę. Hak miał w swoich worach specjalne przebranie zimowe, mianowicie szeroki płaszcz z białego perkalu czy też z płótna. Gdy spostrzegł pogoń, natychmiast kładł się na śniegu, zakrywając siebie i swoje pakunki białym płaszczem i zlewając się zupełnie z martwą, białą pustynią, przez którą mknął północny wiatr z morza Ochockiego, niosąc chmury śniegu.

Drugi nazywał się Sieńka; był podpalaczem i uciekł z katongi na Amurze, przedzierając się przez całą Syberię, kędyś aż pod Moskwę, specjalnie dlatego, aby zabić świadków, którzy dowiedli na sądzie jego zbrodni. O ile Hak był grzeczny i towarzyski, wesoło żartował i dowcipkował, starannie jednak unikając spotkania się ze wzrokiem obcego człowieka, o tyle Sieńka był ponury, milczący i swym ciężkim, nienawistnym wzrokiem jak gdyby wżerał się w oczy ludzi.

Najbardziej ciekawym typem był trzeci mieszkaniec nory w jaskini na Kizyl-Kaja, — Trufanow. Mały, chudy, z długimi siwymi włosami, o przenikliwych, czarnych, niespokojnie biegających oczach, był on stale w ruchu. Ciągłe się kręcił, wstawał i natychmiast siadał, mówił zadziwiająco szybko, nie słuchał rozmów towarzyszy, wchodził i wychodził z jaskini, czyniąc wrażenie psa, niespokojnie węszącego.

Nic o sobie nie mówił, a gdyśmy go zapytali, skąd uciekł i za co poszedł do więzienia, od niechcienia rzucił:

— Z więzienia, dokąd wsadzono mnie niesprawiedliwie...

I natychmiast wyszedł z jaskini swym sunącym bez szmeru krokiem.

— Nieszczęśliwy! — mruknęli jego towarzysze.

W kilka dni później dowiedziałem się od Haka, że Trufanow dostał się do więzienia za jakąś drobną kradzież, będąc jeszcze młodym człowiekiem. Ale z więzienia, gdzie straszliwie tęsknił za rodziną, usiłował uciec, za co skazano go na dłuższy termin i już zesłano na Syberię. Stamtąd po paru latach znowu uciekł, a gdy go schwytali dozorczy więzienni, zabił jednego z nich. Obecnie był zbiegiem już po raz dziesiąty.

Zapoznanie się nasze ze zbiegami skończyło się na tym, że poprosili nas, abyśmy ich przyjęli do siebie na roboty i wystarali się dla nich u jedyne go policjanta o pozwolenie na prawo zamieszkania w osadzie. Prosił, naturalnie, abyśmy nie wspominali władzom o ich

przeszłości kryminalnej, lecz żebyśmy powiedzieli, że są oni ludźmi, którzy pogubili swe papiery. Szczerłość zbiegów z osobami prywatnymi jest charakterystycznym zjawiskiem na Syberii. Zbieg zawsze odkrywa swe karty człowiekowi prywatnemu, gdyż na Syberii każdy chłop i mieszczanin pomaga uciekającemu z katorgi, ukrywa go przed pościgiem policji; na noc zaś wystawia przed progiem jedzenie dla włóczęgów, którzy przeciągają w nocy, w dzień bowiem nie lubią zazwyczaj pokazywać się w zaludnionych miejscowościach, gdzie zawsze „kręcą się” przedstawiciele władzy.

Dlaczego Sybiracy uprawiają takie miłosierdzie dla zbiegów? Dwie przyczyny w danym wypadku odgrywają rolę. Jedna praktyczna: chęć pozyskania względów zdziczałego i często okrutnego zbiega, ściganego przez całe życie jak dziki zwierzę; druga — moralna: Sybiracy wiedzieli zawsze, że sądy carskie często posyłały do więzień i na wygnanie syberyjskie ludzi zupełnie niewinnych, na przykład tych, którzy byli skazani za swe przekonaniu polityczne, a którzy też często zmuszeni byli uciekać z Syberii, gdzie, zapomniani przez sąd i władzę, byli skazani na niechybną śmierć lub na utratę zmysłów.

Dzięki tym zwyczajom syberyjskim dowiedzieliśmy się o przeszłości Haka, Sieńki i Trufanowa; ponieważ zaś potrzebowaliśmy robotników, więc obiecaliśmy im spełnić ich prośbę, co się nam udało przez wpływy zasłużonego profesora Zaleskiego.

Pod wieczór fale zupełnie się uspokoiły i powierzchnia jeziora była jak zwierciadło. Pożegnawszy naszych nowych znajomych, powróciliśmy do osady, gdzie nas wyglądano z niepokojem i niecierpliwością.

Profesor zabronił nam wyjeżdżać na jezioro w lekkim czółnie, zastępując je wielką łodzią morską, w której tak niefortunnie chcieli nas ratować niektórzy osadnicy. Łódź ta miała 2 pary wiosł i ster, a więc wymagała trzech robotników.

Skorzystalismy z tej okoliczności, i już nazajutrz w naszej łodzi wiosłowali: Hak, Sieńka i Trufanow, podczas gdy robiliśmy pomiary głębokości, temperatury, czerpalismy próbki wody i szlamu i łapali hammarusy, kładąc je do słoików z formaliną.

Długie i ponure opowieści usłyszeliśmy od naszych robotników o życiu, losach i tragediach męczenników więzień i katorgi syberyjskiej, lecz najstraszliwszą kartę tych dziejów odsłonił nam pewnego wieczoru Trufanow.

— Wszystko to głupstwo! — zawołał, gdy Sieńka skończył jakąś straszna opowieść o przygodach więźniów-zbiegów. — Ja wam opowiem, co mi się raz zdarzyło, po czym się stałem siwy i taki, jakim mnie widzicie... niespełna rozumu... Uplanowalismy ucieczkę w pięciu z Akatju⁷. Porozumieliśmy się ze znajomymi, którzy byli na wolności, i mieli przygotować dla nas wory, siekiery i kociołek. Stało się jednak nieszczęście! Gdy, przepiłowawszy kraty więzienia i przeskoczywszy przez mur, przyszlismy do wsi, gdzie mieszkali nasi znajomi, dowiedzieliśmy się, że ich aresztowano i wtrącono do więzienia. Pozostaliśmy więc bez rzeczy potrzebnych do ucieczki i włóczęgostwa, a zmykać trzeba było, bo we wsi niezawodnie z łatwością mogli nas wykryć policjanci. Chociaż pojmwaliśmy szaleństwo przedsięwzięcia, rozpoczęliśmy jednak włóczęgę.

— Była późna jesień... Już mrozy zaczęły dokuczać, dręczył nas głód i choroby. Narzecie po paru miesiącach tego głodowego męczeństwa osłabiliśmy zupełnie i zrozumieliśmy, że śmierć na nas czyha. Droga nasza ciągnęła przez niezaludnioną puszcza, i pomocy nie mogliśmy nikąd oczekiwać, wiedzieliśmy bowiem, że iść wielką drogą niepodobna, bo tam nas wytropią władze. Więc brnęliśmy lasami o chłodzie i głodzie.

— Wreszcie jeden z naszych towarzyszy przed wieczorem upadł i już więcej nie powstał. Ocknąwszy się rano z półzemdlenia i odrętwienia, zastępującego nam sen, przekonaliśmy się, że już nie żył. Pamiętam ten poranek tak jakby to było wczoraj...

— Pamiętam, że w głowie mojej błysnęła i natychmiast zgasła myśl straszna i wstrętna. Człowiek umarł, nic już nie czuje, nic zrobić nie może i nie chce, a taki sam los oczekuje i nas. Tymczasem umarły może nas wyratować! Wystarczy tylko odważyć się — jeść ludzkie mięso, ciało tego, który wczoraj jeszcze mówił do nas, cierpiał razem z nami, miał jeszcze iskrę nadziei... Wystarczy to postanowienie i odwaga, u wszystko się na pewien czas polepszy. A dalej — co Bóg da! Może się stać coś, co nas uratuje!... Myśl ta wkrótce znowu powróciła i zaczęła powracać coraz częściej, stając się męczącą i uporczy-

Głód

⁷Akatuj — rosyjskie więzienie funkcjonujące w latach 1832–1917, w którym kara połączona była z ciężkimi robotami. [przypis edytorski]

wą, a w oczach swych towarzyszy spostrzegłem ją również... Borykaliśmy się z głodem i z tą straszliwą myślą jeszcze parę dni. Aż pewnego dnia, nic do siebie nie mówiąc, i nie umawiając się bynajmniej, wykopaliśmy ze śniegu ciało naszego towarzysza i rozdzieliliśmy je pomiędzy siebie tak, jak się dzieli mięso wołu albo barana. Od tej chwili byliśmy stale syci, tylko przestaliśmy patrzeć na siebie i staraliśmy się iść samotnie...

— Żadnych wyrzutów sumienia, żadnej zgryzoty, żadnych ciężkich myśli nie odczuwaliśmy, tylko jakieś ponure odrętwienie i niechęć do ludzi i... do samych siebie...

Trufanow przerwał i długo w milczeniu palił papierosa, skręconego z kawałka starego dziennika. Potem wrzucił niedopałek w jezioro i, splunąwszy, ciągnął dalej.

— Długa zima syberyjska, psia krew, długa i nie matka to, ale macocha zła...! Zbrakło nam znowu pożywienia, a iść nie mogliśmy, bo spadł głęboki śnieg. Znowu głód i chłód ścinał krew w żyłach i zapalał zielone i czerwone ogniki w oczach. Serce to biło juk młotem, to znowu zapadało w jakąś otchłań bez dźwięku i ruchu. A myśl, już raz struta, pracowała i podszeptowała każdemu z nas z osobna: „Trzymaj się i czekaj, aż umrze słabszy od ciebie”.

— Ja i stary Tatarzyn, Jusuf, doczekaliśmy się. Jednego dnia umarło dwóch naszych towarzyszy. Załatwiliśmy się z nimi prędko i gładko. Jeden był tłusciejszy i większy, drugi chudy i mały. Urządziliśmy loterię. Ja wygrałem dużego... Znowu ciągnęły się dni w sytości... Wystarczyło nam trupów aż do wiosny, gdy mogliśmy rozpocząć przerwana podróż.

— Miałem jeszcze w zanadru spory kawał zmarzniętego mięsa ludzkiego, gdy odszedł do mnie Jusuf i rzekł:

— „Podziel się ze mną, bom głodny!”

— „Nie podzielę się, bo w takim razie jutro i ja byłbym głodny” — odparłem.

— Odszedł, nic nie powiedziawszy, a ja postanowiłem jeść mięso po trochu, aby nie pozostać całkowicie bez pokarmu do chwili, gdy z głodu zemrze mój ostatni towarzysz, Tatar.

— Jednakże tej nocy przekonałem się, że moje nadzieje mogą pozostać płonne... Obudził mnie przed świtem jakiś szmer, z trudem otworzyłem oczy i skoczyłem na równe nogi. Zobaczyłem, jak Jusuf uwiązał do swego pasa ciężki kamień i, kręcąc nim, zbliżał się do mnie. Od razu zrozumiałem, że chciał mnie śpiącemu zdruzgotać czaszkę tą straszliwą bronią, którą my, włóczęgi, nazywamy w żargonie dawnych zbójów — *kistieniem*. Nie wiedział, że się obudziłem i stałem już przygotowany do obrony, a byłem lepiej uzbrojony, bo miałem nóż. Ryknął z rozpaczą i odszedł.

— Od tej chwili rozpoczęła się męka najstraszniejsza! Jusuf polował na mnie stale, skradając się po nocach, czyhając w krzakach lub za kamieniami, ciskając we mnie duże i ciężkie kamienie lub gdy schodził z góry, staczając na mnie odłamy skał lub leżących drzew.

— Nie miałem chwili spokoju i wytchnienia. Umysł mój się mieszał, krew burzyła, a zęby szczykały... Nareszcie przyszło postanowienie, nieodwołalne, bezwzględne i krwawe. Z rana zjadłem ostatni kawałek mięsa, aby nabrać sił i, trzymając kość w ręce, zacząłem zbliżać się do Tataru, który czał się o kilkanaście kroków ode mnie.

— Spostrzegłszy kość, z rykiem jakiejś szalonej radości, rzucił się ku mnie. Spostrzegłem, że wypuścił z rąk ciężki, sękaty kij, z którym się nie rozstawał, a który przygotował na mnie. Gdy Jusuf podbiegł do mnie, wyciągnąłem nóż z rękawa i pchnąłem to straszliwe widmo, które torturowało mnie przez kilka okropnych dni.

— Uczułem radość, gdy żelazo weszło w coś miękkiego i gdy uczułem gorący strumień krwi na ręce. Uderzyłem trafnie... Ani krzyknął!.. Lekkie drżenie z wolna posuwało się od nóg do głowy, aż ustało... Przedemną był nowy zapas mięsa... Od tego przeklętego poranku cień Jusufa wszędzie idzie za mną!... Nie mogę spać, bo się boję, że rzuci się i zadusi; gdy siedzę w domu albo w jaskini, ciągle muszę wyglądać, aby się przekonać, że Tatar nie skrada się do mnie. W lesie oczekuję, że skoczy na mnie z gałęzi sosny, w stepie spodziewam się jego cienia w trawie lub za kamieniami... Posiwałem i straciłem rozum, ale nic już nie poradzę! Jusuf mści się straszliwie i okrutnie, chociaż zjadłem go całego. Teraz on zjada mi duszę i mózg, jak robak, który toczy jabłko. Tylko wódka trochę pomaga, bo się wtedy zapomina... Czy nie macie, panowie, trochę wódki dla nieszczęśliwego Trufanowa, który przed wami odsłonił swoją nagą duszę?...

Milczeliśmy, głęboko wstrząśnięci tą ponurą opowieścią-spowiedzią. Ale inni zabrali głos i, porwani szczerością ludożercy, jęli opowiadać coraz to straszliwsze i ohydniejsze przejścia więźniów, zbiegów i włóczęgów, którzy zużywali tyle energii po to tylko, aby ratować życie, które nie miało żadnej ceny na społecznym rynku w Rosji, gdzie rząd z takim planowym okrucieństwem zamieniał ludzi w dzikie zwierzęta i pchał ich w XX wieku w objęcia ludożerstwa i ohydnych zbrodni. W ten sposób tworzyły się niezliczone zastępy mścicieli, którzy zemsty dokonali w krwawe dni bolszewizmu.

Hak i Sieńko byli doświadczonymi zbrodniarzami, którzy po mękach, doznanych w więzieniach, byli zdecydowanymi wrogami społeczeństwa. Po parę razy uciekali z więzienia i byli już znani wszędzie jako „ptaki”, czy „latawce”, co oznaczało w żargonie więziennym ludzi niemogących się pogodzić z trybem życia aresztanckiego. Administracja więzienna, której takie ptaki sprawiają dużo przykrości i kłopotu, walczyła z nimi w sposób okrutny. Przy pościgu każdy żołnierz miał prawo zabić zbiega, za co otrzymywał nagrodę pieniężną od głowy; na Syberii z tej przyczyny istniał cały odłam kozactwa, szczególniej pośród kozaków jakuckich, który trudnił się wyłącznie ściganiem uciekających więźniów, łapiąc ich lub wprost zabijając i zarabiając po... 10 rubli od głowy. Zbiega, schwytanego i przyprowadzonego z powrotem do więzienia, administracja piętnowała specjalnymi stygmatami.

Hak pokazał nam te stygmaty — przerażające znaki na swoim ciele. Były to koła i trójkąty na ramionach i piersi, wypalone gorącym żelazem. Znaki były tak głębokie, że przez wypalone mięśnie na piersiach widać było żebra. Sieńka miał inne stygmaty, wyrwane nozdrza i odciętą wierzchnią część ucha.

Każdy obywatel rosyjski, spotkawszy ludzi z takimi znakami, miał prawo zabić ich chociażby tylko dlatego, aby doznać silnego wrażenia, lub wypróbować swą broń palną. Aresztanci, posiadający takie znaki, byli uznani przez sądy za „wiecznych” aresztantów i pozostawieni faktycznie poza prawem.

Takich właśnie wyrzutków społeczeństwa mieliśmy w naszych robotnikach, z którymi pływaliśmy i pracowali na jeziorze Sziro.

Byli to jednak ludzie bardzo uprzejmi, chętni i wrażliwi. Może zbyt wrażliwość, nadzwyczajna łatwość i zdolność do podniecania się były właśnie powodem ich gwałtownych i krwawych czynów, sprawiedliwość zaś społeczna zamiast szpitala lub szkoły obrała dla nich siedzibę w więzieniach, burzących pojęcia moralne, i w katogach, czyli miejscach ciężkich robót przymusowych.

Szczególnie przyjemny był w obejściu i pożyciu Hak. Zawsze pogodny i chętny do pracy, wdzięczny za każdy przejaw ludzkich względem niego uczuć, był on niezastąpiony przy pracach na wodzie. Był niegdyś majtkiem, znał i kochał wodę i czuł się w niej jak we własnym żywiole. Pływał jak ryba, nurki dawał jak dzika kaczka.

Gdyśmy zgubili raz nasz „lag” do mierzenia głębokości, Hak podjął się dopomóc nam w tym nieszczęściu. Wziąwszy ciężki kamień w ręce, opuścił się z nim razem na dno jeziora, które miało tam około 8 metrów głębokości, rozplątał sznur, który zaczepił się za odłamy skał, staczających się z Kizyl-Kaja, i wydobył ciężki przyrząd.

Hak znakomicie też umiał łapać turpany.

Podpłynąć czołnem do tych czujnych, posępnych ptaków było wprost niepodobieństwem. Zrywały się daleko poza strzałem. Hak zaś pewnej niedzieli upolował dla nas kilka sztuk.

Wziął worek płócienny, przerzucił go przez ramię i poszedł. Gdy dowiedziałem się, że idzie na turpany, ruszyłem z nim razem. Na północnym brzegu jeziora, gdzie wpadał strumyk, rozebrał się, wziął worek, narwał sporo trzciny, przymocował je do szyi, tak że zasłaniały mu całą głowę, z góry kazał narzucać trawy i wszedł do wody. Wkrótce natrafił na miejsce głębsze i popłynął, stojąc w wodzie. Mała kępka, porośla trzcina, powoli posuwała się ku niewielkiemu stadku turpanów, żerujących na jeziorze. Na razie ptaki, bacznie się oglądając, zaczęły odpływać od nieznanego przedmiotu, lecz stwierdziwszy, że to kępka trzciny, nie zwracały już na nią uwagi.

Tymczasem kępka dopłynęła do najbliższego turpana, który nawet skubnął jeden z badyli, lecz po chwili wrzasnął przeraźliwie i znikł pod wodą. Pozostałe z widocznym zdziwieniem obejrzały się, lecz nie widząc niebezpieczeństwa, uspokoiły się. Po paru minutach znikł drugi ptak, a po nim trzeci.

Kępka zaczęła się znów posuwać w stronę brzegu i po pewnym czasie z wody wynurzyła się postać Haka, po mistrzowsku wyrzucającego rękami i płynącego bardzo szybko w stronę trzcin.

Wkrótce był już na brzegu, a w worku miał trzy turpany, które na jeziorze, porwawszy za nogi, wciągnął pod wodę i wcisnął do worka, gdzie się potopiły.

— Trzeba zdjąć skórki jeszcze dzisiaj, gdyż jest gorąco i ptaki się zepsują, a wtedy cała wasza zadziwiająca sztuka pływania i wasze starania byłyby na nic! — zawołałem. — Szkoda, że nie mam noża, bo moglibyśmy to od razu zrobić.

— Nóż? — spytał Hak. — Zaraz wam dam.

Z tymi słowami dotknął swych nagich bioder i tam, gdzie od stawu biodrowego zaczyna się brzuch, odciągnął skórę. Ujrzałem nieduży otwór, w którym Hak zanurzył dwa palce i wydobyl długi, cienki nóż i malutką piłę. Była to kieszeń, zrobiona we własnej skórze „wiecznego więźnia”.

— My, starzy areztanci, prawie zawsze poddajemy się tej operacji! — objaśnił mnie z chytrym uśmiechem. — Inaczej nie można! Przecież żeby uciec z więzienia, trzeba przepiłować kraty, a czasem i kajdany. A żeby obronić się od dozorczy lub żołnierzy, ścigających nas, trzeba mieć broń. Dlatego nosimy ze sobą zawsze to „pióro” — cienki i ostry, jak brzytwa nóż, którym łatwo „szyć”⁸ człowieka.

Mówiąc to, Hak najspokojniej w świecie zabrał się do zdzierania skórek z turpanów, a czynił to zapewne równie zręcznie, jak mordował ludzi, a później „szył” dozorców więziennych.

ROZDZIAŁ III. ZATOPIONE MIASTO

Pływackie zdolności Haka dopomogły nam w jednym interesującym odkryciu, którego dokonaliśmy w południowej części jeziora Sziro. Pewnego razu urwał się nam ze sznurka doskonały termometr, którym mierzyliśmy temperaturę różnych warstw wody. Nasz robotnik natychmiast zrzucił z siebie ubranie i skoczył do wody. Po kilku głębokich nurkach wypłynął na powierzchnię jeziora, błądy i przerażony.

Byliśmy bardzo zdziwieni, gdyż zdawało się nam, że nie ma takich rzeczy na świecie, które mogłyby przerazić Haka.

Jednak Hak był śmiertelnie wystraszony i drżącymi ustami bełkotał coś niezrozumiałego.

Nareszcie, wgramoliwszy się do czółna, uspokoił się trochę i zaczął opowiadać.

— Gdy spuściłem się pod wodę po raz ostatni, ogarnęła mnie jakaś dziwna ciemność. Czułem, że dno jest blisko, lecz nic nie mogłem dojrzeć. Nie pojmowałem, co się stało. Ale po chwili oczy przyzwyczyły się do zmroku, i spostrzegłem, że jestem pomiędzy dwoma wysokimi kamieniami, gdy jednak zacząłem się posuwać, trzymając się tych kamieni, znalazłem w nich otwór. Był zupełnie kwadratowy. Zrozumiałem, że było to okno lub drzwi, i że kamienie — to ściany. Przez okno zobaczyłem jakieś zwaliska i część wieży... a później...

Hakiem nagle coś wstrząsnęło, a twarz jego jeszcze bardziej zbiałała.

— Cóż zobaczyliście później? — dopytywaliśmy się ciekawie.

— Ujrzałem szkielet ludzki! Stał przy ścianie i kiwał się, jakby przestępował z nogi na nogę...

— Czy jesteście pewni, żeście widzieli to wszystko? — pytaliśmy.

— Tak jak was widzę! — odrzekł, ciężko oddychając. — Gotów jestem przysiąc na zbawienie duszy!

Przez kilka dni bywaliśmy co dzień na tym miejscu, starając się zajrzeć w ciemne głębie Szira, lecz w wodzie jeziora nic nie mogliśmy dostrzec.

Zato dowiedzieliśmy się od kupca-Tatarzyna, że istnieje podanie o jeziorze Sziro, że jakoby powstało ono w ciągu jednego dnia przez wylanie się wody na powierzchnię ziemi. Tatar wynalazł nam jakąś starą Tatarkę, ślepą i prawie głuchą, która, otrzymawszy od nas rubla srebrnego, opowiedziała co następuje:

⁸szyć — w więziennym żargonie znaczy rżnąć. [przypis autorski]

— Tam, gdzie teraz leży gorzkie jezioro⁹, było niegdyś miasto Tatarów-Ujgurów, którzy niegdyś panowali w całej Azji. W mieście tym stała świątynia, gdzie spoczywał ostatni z Ujgurskich władców pod ciężkim kamieniem ze świętymi znakami. Przyszedł wielki Dżengis-Chan-Temudżyn, pozabijał mężczyzn, aby znikli z ziemi Ujgurowie. Wtedy rozpadł się kamień na grobie ujgurskiego chana, a cień jego, zjawiwszy się, zawołał: „Matki, żony i córki Ujgurów! Płaczcie gorzkimi łzami nienawiści i przekleństwa, bo przyszedł ostatni czas dla narodu naszego!” Spełniły ten rozkaz kobiety ujgurskie, a wojownicy Dżengisa, którzy pojęli je za żony i czekali na wesołość, pieśni i tańce wiotkich jak trzciny Ujgurek, zobaczywszy je, wylewające łzy i miotające przekleństwa, wpadli w szal i zamordowali wszystkie. Lecz i trupy męczennic wciąż płakały, a było tych łez tak dużo, że kotlina, w której stało miasto, napełniła się gorzką wodą; zatopione zostało miasto, a nad nim szumią i burzą się fale Szira-Kul, gdyż tam w otchłani miota się, nienawiścią struty, ostatni władca niegdyś potężnych i walecznych Ujgurów...

Legenda ta nosi zwykle cechy podań azjatyckich, lecz niezawodnie jest znacznie starsza od tych ruin miasta, które widział na dnie Szira nasz odważny Hak.

W pamiętnikach znanego badacza rosyjskiego, Martianowa, jest wzmianka, że Tatarzy widzieli na dnie Szira zwaliska domów i murów. Jak już mówiłem, kotlina Szira jest miejscem jeszcze trwających procesów geologicznych, a dno jeziora podlega nagłym wznoszeniom się i opadaniom. Mogło się więc zdarzyć, że jakieś zabudowania tatarskie, a nawet meczet, wraz z częścią brzegu obsunęły się i zostały zalane przez jezioro. Gdy dno jego podniosło się na znacznie większą wysokość, Tatarzy mogli dojrzeć w wodzie resztki zatopionych budynków, a wtedy zrodziła się legenda, ponieważ ludzie kochają się w tajemniczych opowiadaniach romantycznych, szukając w nich wypoczynku po zwykłych trudach szarego codziennego życia.

— A kołyszący się w wodzie szkielet ludzki? — pytaliśmy się wzajemnie. I natychmiast znaleźliśmy odpowiedź, gdyż przypomnieliśmy sobie smutne opowiadanie małej, tęsknej Tatarce o przybywających tu, na brzegi Szira, nieszczęśliwych kobietach — niewolnicach, które szukają w otchłani jeziora wyzwolenia od nieznośnych więzów życia. Czyż nie mogły fale Szira zanieść do ruin podwodnego miasta ciała jednej z topielic? Zawadziwszy o coś nogami, pozostało ono, zmieniawszy się w szkielet na długie, długie lata w głębi tego umierającego jeziora, gdzie bakterie *Beggiatoa* walczą z ostatnimi błyskami życia w jeziorze, same nieświadomie dążąc do śmierci?

Wszystko to jest takie zrozumiałe, proste i możliwe, lecz wśród bezludnych obszarów, naiwności i przesądów Azji — takie tajemnicze, romantyczne i rozrzewniające!

ROZDZIAŁ IV. WŚRÓD KWIATÓW

Jezioro Szira na wschodzie i na zachodzie, gdzie piętrzy się grzbiet Kizyl-Kaja, posiada wzniesienie górskie. Ma ono charakter niewysokiego płaskowzgórza, pokrytego bujną trawą. To płaskowzgórze oddziela kotlinę jeziora Szira od kotliny innego jeziora It-Kul. Na najwyższej części płaskowzgórza w kilku miejscach spotkaliśmy znaczne nagromadzenie belemnitów i skamieniałych muszli, charakterystycznych dla tych pokładów geologicznych, wśród których zawsze leżą grubsze lub cieńsze warstwy węgla kamiennego. Były to przeważnie tak zwane ammonity¹⁰.

Za płaskowzgórzem rozciąga się olbrzymia przestrzeń stepu, ujęta w pasma gór, porośnięta iglastymi drzewami; góry te otaczają z trzech stron trochę większe od Szira jezioro It-Kul.

Pewnego dnia wyruszyliśmy na wycieczkę naukową do jeziora, w celu wyjaśnienia charakteru tego basenu.

Gdyśmy przebywali step pomiędzy Szirem a It-Kulem, zwróciła naszą uwagę wielka ilość kwiatów, barwnymi plamami zdobiących jego zielone tło.

Olbrzymie okazy dzikich białych i żółtych lilii, o kielichach dosięgających 20 centymetrów, jak wspaniałe bukiety, wznosiły się wysoko ponad trawę, wydając słodki, upajający zapach; o kilka kroków dalej, jak woskowe świece, nieruchomo stały tak zwane

⁹gorzkie jezioro — po tatarsku Szira-Kul. Gorzki smak wody powodują znaczne ilości rozpuszczonej w niej glauberskiej i magnezjalnej soli. [przypis autorski]

¹⁰ammonity — wymarłe glowonogi o płaskiej, spiralnej skorupie. [przypis edytorski]

stepowe fiołki nocne. Roślina ta posiada jedną łodygę, pokrytą 50–80 drobnymi, białymi, jakby woskowymi kwiatami, kształtem swym przypominającymi kwiat orchidei i, jak ona, drapieżnymi; liczne bowiem drobne owady w ich wdzięcznych kielichach znajdowały śmierć niechybną.

Kwiaty te posiadały nadzwyczaj silny, wprost odurzający zapach, który potęgował się po wschodzie słońca i dochodził do największego napięcia o północy. Zdarzyło nam się spotykać dość obszerne polany leśne, gdzie rósł tylko jeden samotny okaz fiołka nocnego, ale całe powietrze było w nocy przepojone zapachem nadzwyczaj subtelnym, a wprost zakradającym się do mózgu. Próbowaliśmy robić z tych kwiatów perfumy. W tym celu zrobiliśmy ekstrakt na olejku migdałowym. Dość było dodać dziesięć kropel tego ekstraktu na pół litra spirytusu, aby otrzymać perfumy o bardzo delikatnym i trwałym zapachu. Jednakże umieszczony w pokoju bukiet nocnych fiołków okazał się prawdziwą trucizną: straszliwie rozboleła mnie głowa, i ból trwał prawie dwie doby, w ciągu których czułem stale bicie serca i odrętwienie lewej połowy ciała. Niezawodnie, oprócz zwykłych w kwiatach eterycznych olejków, fiołki nocne posiadają jakieś pierwiastki trujące, na przykład cyjanek wodoru, którego gorzko-migdałowy zapach daje się czasami wyczuć wyraźnie. Stwierdziliśmy trujące właściwości fiołków nocnych jeszcze i w inny sposób.

Już zaznaczyłem, że kwiaty te są drapieżnikami, pożerają owady, które się dostają do ich wnętrza. Jednak nerw, który przy dotknięciu do niego zmusza kwiat do zamknięcia się, położony jest w najgłębszej części małego kielicha. Drobne owady, wpadające do kielicha, zaczynają zjadać miód przy wejściu i mogłyby spokojnie potem odlecieć. Kwiat w tym wypadku daje sobie radę z rabusiem w ten sposób, że zaczyna wydzielać ów trujący i odurzający zapach. Owad traci przytomność i poczucie kierunku i posuwa się nie na zewnątrz, lecz do wnętrza kielicha, docierając do jego dna i dotykając ośrodka nerwowego. Płatki natychmiast się zamykają, i kwiatek zamienia się w wonną trumienkę, w której spocznie łakomy owad, stopniowo wysysany przez drapieżny a mściwy woskowy kielich nocnego fiołka, wydzielający cudną lecz śmiertelną woń. Zauważyliśmy też, że pszczoły omijały te kwiaty, chociaż ich zapach przyciągał je z daleka.

Wśród trawy kryły się czerwone, w czarne plamy i pręgi lilie alpejskie, które tu noszą nazwę *sarana*. Płatki ich kielichów są skręcone spiralnie ku dołowi, zapachu zaś prawie nie posiadają. Ten rodzaj lilii jest nader poszukiwany przez smakoszków chińskich, chociaż tu, w stepach Czuluymo-Minusińskich, nie mają one zastosowania. *Sarana* posiada białą cebulę podłużną, wielkości orzecha włoskiego, złożoną z dwóch połówek. Chińczycy, którzy wywożą *saranę* z Urjanchaju i Mongolii, gotują tę cebulę, polewają słodkim sosem z miodu i imbiru i podają jako osobne danie na najwykwintniejszych obiadach. Cebulka *sarany* jest mączysta, jak kasztan, i ma słodkawy smak.

Żółte, białe i fioletowe irysy japońskie, o kwiatach długich na 20–30 centymetrów, tworzą w trawie całe kępy, ślicznie odbijające od zielonego kobierca stepu. Mają one subtelny zapach fiołków, lecz silniejszy posiadają korzenie irysu.

Korzeń ten, wysuszony i roztarty na proszek, przez długie lata zachowuje zapach i przez to jest w Azji w powszechnym użyciu. Woreczki z tym proszkiem, w swoim rodzaju *sachet* — kobiety azjatyckie noszą w fałdach ubrań i nawet we włosach. Mężczyźni zaś dodają go do tabakierek lub do tytoniu w fajkach.

W niektórych wilgotniejszych wąwozach spotykaliśmy niebieskie kwiaty jakiejś rośliny z rodzaju *Saponifera*, posiadające bardzo słodkie łodygi i korzenie. Jest to przysmak stepowy, i około koczowisk tatarskich gromady dzieci poszukują zawzięcie tej rośliny.

Cały szereg okazów z rodzaju *Asparagus* (szparagi) wspaniale się rozwija w okolicach It-Kul, a na wiosnę, jak nam opowiadał inżynier E. Różycki, można się tam żywić szparagami, których pewne gatunki są bardzo smaczne.

Wreszcie jeszcze jedna roślina obrała sobie siedzibę w kotlinie jeziora. Należy ona do rodzaju *Brassica* i nosi w Chinach nazwę *Cybet*. Korzeń jej ma silny zapach piżma i nazwę handlową „piżmo roślinne”. W Chinach wyrabiają z niego najpopularniejsze perfumy, którymi są przepojone domy bogatych Chińczyków.

Tatarzy abakańscy znają aromatyczne właściwości *Cybetu* i używają go w formie proszku, którym kobiety posypują sobie włosy i ciało; mężczyźni zaś dodają go do nieodstępnego woreczka z tytoniem fajkowym.

Kwiaty, Śmierć

Przytoczyłem najbardziej interesujące gatunki roślin tego florystycznie bogatego kraju, nie wspomniałem jednak o całym szeregu leczniczych i trujących roślin, które są starannie zbierane przez Tatarów, a szczególnie przez muzułmańskich lekarzy i cudotwórców lub czarowników. Znają oni ipekakuangę, walerianę, gencjanę, strychninę, opium, koniinę, i belladonnę. Nie miałem sposobności przekonać się o medycznych zdolnościach tubylców lekarzy, lecz słyszałem o dramatach stepowych, w których strychnina i opium odgrywały dużą rolę, po czym na stepach zjawiały się nowe kamienie, wskazujące miejsca ostatniego spoczynku synów stepów, uśpionych na zawsze wprawną ręką tatarskich czarowników.

Bardzo ciekawa i charakterystyczna dla tej miejscowości jest *edelweiss* — szarotka, ten okaz wyłącznie alpejskiej flory, spotykany tu powszechnie w wielkiej ilości.

Zjawisko to tłumaczy się tym, że step pomiędzy Szirem a It-Kulem jest położony bardzo wysoko, klimat zaś odpowiada wysokiemu pasmu Alp. Wszędzie spotykaliśmy alpejskie pastwiska z bujną, pożywną trawą, pośród której rosły szarotki, duże nieśmiertelniki, jak gdyby wycięte z białego aksamitu.

Samo jezioro It-Kul mu typ alpejski. Strome, schodzące wprost do jeziora skały, u stóp których trafialiśmy od razu na znaczną głębokość, niską temperaturę i wielką przejrzystość wody; grube pokłady niegdyś zatopionych i zupełnie skamieniałych konarów drzew, które stoczyły się z gór na dno jeziora — wszystko to przypomina liczne jeziora alpejskie w Europie i tego samego typu jeziora w kraju Urjanchajskim, opisane przez p. Douglasa Carruthers w jego *Unknown Mongolia* i przeze mnie w *Beasts, Men and Gods*¹¹.

W górach otaczających It-Kul wykryto cały szereg bogactw kopalnianych. Znaleziono tu pokłady żelaza, manganu, miedzi i węgla. Pod tym względem geologia terenu tego jeziora podobna jest do geologii Szira, gdzie też są znane pokłady manganu i żelaza.

Nie mieliśmy na It-Kulu czółna, gdyż brzegi jego są zupełnie niezaludnione. Czasami tylko przychodzą tu tabuny koni tatarskich do wodopoju, lecz zdarzało się to rzadko, gdyż wody w tej okolicy jest wszędzie pod dostatkiem. Gdyśmy chodzili po brzegu jeziora, od razu spostrzegliśmy, że obfituje ono w ryby. Objasnia się to tym, że w słodkiej wodzie jeziora był bardzo bogaty „plankton”, czyli flora i fauna mikroskopijna, złożona z przeróżnych wodorostów, robaków i hydr. Co chwila widzieliśmy duże ryby, wyskakujące ponad powierzchnię jeziora i ścigające swoje drobniejsze krewniaczki.

Ponieważ mieliśmy tu spędzić parę dni, posłaliśmy Sieńkę po wędki i inne przyrządy do rybołówstwa, jak sztuczne rybki na przynętę, duże haki-kotwice, jedwabne linki do wędki. Tegoż jeszcze wieczora, niemiłosiernie cięci przez komary i gryzące muchy, siedzieliśmy z wędkami. Potów był nadzwyczajny. Prawie co chwila korki naszych wędek gwałtownie się zanurzały w wodzie, wędzidła¹² gięły się w pałąk i czuliśmy energiczne targanie dużych i silnych ryb. Po paru godzinach wyciągnęliśmy około 60 sztuk karpia i okoni. Niektóre okazy ważyły po 15 funtów.

Sieńka i Hak, którzy od dzieciństwa byli rybakami, a później w czasie swej włóczędzy doszli do wielkiej wprawy i pomysłowości w tej dziedzinie, postanowili łapać ryby przez całą noc, licząc szczególnie na wschód słońca, gdy ryba bierze się na haczyk najchętniej.

Wzięli więc długi, jedwabny, dość gruby sznur i nawiazali na nim kilkanaście haczyków, na końcu linki umocowali haczyk-kotwicę, na który wsadzili małego karpia. Z wysokiej skały, zwieszającej się nad wodą, zarzucili linkę daleko na jezioro i przywiązali ją do krzaka.

Później powrócili do ogniska i, wyciąwszy długie i mocne pręty brzoźowe, przymocowali do nich linki ze sztucznymi rybkami.

— Gdzie mieszka dużo spokojnych ryb, tam muszą być i rozbójnicy! — zauważył sentencjonalnie Hak, zakończywszy swą pracę.

Nie wątpiliśmy bynajmniej, że Hak, który zamordował sporo ludzi, coś o tym musiał wiedzieć.

— Chcemy złapać szczupaka na sztuczną rybkę — ciągnął dalej — widziałem, jak coś bardzo dużego rzuciło się dziś rano na głębokość. Był to niezawodnie szczupak, co w trawie przy brzegu czyhał na zdobycz!

¹¹*Beasts, Men and Gods* (ang.) — *Zwierzęta, ludzie, bogowie*, książka Ferdynanda Ossendowskiego. [przypis edytorski]

¹²wędzidło — tu: wędzisko. [przypis edytorski]

Po kolacji i po herbacie poszedłem z Sieńką sprawdzić zarzuconą ze skały linkę.

Z trudnością podciągnęliśmy ją do skały, a z większym jeszcze wysiłkiem wywlekliśmy na brzeg, gdyż kilka dużych karp i linów połknęło haczyki. Sieńka był zmuszony przedtem wejść do wody i siekierą ogłuszyć ryby, aby się nie miały, gdyż obawialiśmy się, że porwą nam linkę.

Parę razy w ciągu nocy nasi robotnicy sprawdzali linki i za każdym razem przynosili pełen worek dużych ryb.

Nader ciekawe i niezwykle rzeczy widziałem o wschodzie słońca, gdy Hak i Sieńka rozpoczęli swe polowanie ze sztucznymi rybkami, najeżonymi haczykami. Szli brzegiem i, zarzuciwszy wędki do wody, ciągnęli rybki, które płynęły, kręcąc się, połyskując srebrną powierzchnią i wabiąc drapieżników czerwonymi szmatkami, ukrywającymi haczyki. Po pewnym czasie zobaczyłem, jak z gęstego sitowia i trzciny coś się wymknęło z głośnym pluskiem, aż fala uderzyła o brzeg.

— Jest, jest! — zawołał jednocześnie Sieńka i zaczął się porać ze schwytaną rybą, trzymając wędkę obu rękami. Prawie przez kwadrans borykał się człowiek z rybą; to podciągał ją do brzegu, to znowu puszczał na głębinę, aż znużył ją i zaczął już śmielej ciągnąć do siebie. Przy samym już brzegu, ryba, goniąc resztkami sił, zaczęła się miotać w wodzie, aż się kotłowało naokoło, nareszcie rzuciła się na miejsce głębokie i pomknęła. Coraz bardziej i bardziej rozwijała się linka, aż się wyprężyła tak silnie, że myśleliśmy, iż pęknie. Lecz ryba była już śmiertelnie znużona i niezdolna do większego wysiłku. Sieńka po chwili zupełnie spokojnie podciągnął ją do brzegu, wszedł do wody, parę razy uderzył siekierą i z wielkim wysiłkiem wyciągnął zdobycz na brzeg! Był to stary, prawie całkowicie czarny szczupak, o złych żółtych oczach i potężnej głowie. Jeszcze żył i otwierał potworną paszczę z ostrymi jak igły zębami. Połknął nikłową rybkę ze wszystkimi hakami tak głęboko, że trzeba było rozplatać mu gardło i brzuch, aby wydostać przynętę i linkę. Sieńka poszedł dalej, ja zaś zawlokłem potwora do naszego obozu. Ważył co najmniej 60 funtów, na grzbiecie zaś miał cały ogród botaniczny, złożony z przeróżnych wodorostów, tworzących na nim gęsty zarost. Był to okaz bardzo stary i drapieżny.

Sieńka z Hakiem upolowali jeszcze trzy mniejsze szczupaki i dużego okonia, ważącego do 20 funtów; wysokość jego najeżonych, kolczastych płetw przenosiła 35 centymetrów. O sile i krwiożerczości okonia opowiedział nam Sieńka następujące szczegóły.

— Okoń to ryba podstępna i leniwa! Nie lubi zadawać sobie kłopotu ze ściganiem ofiary. A bywają nią nie tylko karpie i inne spokojne ryby, lecz nawet szczupaki. Okoń wynajduje ofiarę, podpływa pod nią i zatrzymuje się. Powoli, nie ruszając płetwami i tylko najeżywszy wierzchni kolczasty grzebień, nieznacznie podnosi się, zbliżając do nieoczekiwanej napadu ryby. Gdy się jej dotknie swymi kolcami, wtedy wykonywa dwa błyskawiczne ruchy, którymi wbija kolce w brzuch ofiary i rozpruwa go. Jeżeli nie może od razu zjeść upolowanej ryby, odnosi jej resztki w miejsce ustronne i zakopuje gdzieś pod kamieniem lub drzewem.

Gdyśmy obchodzili jezioro, zwiedzając otaczające je góry i skały, przybył do nas nasz znajomy z Szira, znany na Syberii lekarz, doktor Peacock, zniszczony Anglik. Był to sławny i zapalony myśliwy. Przyjechał, aby zapolować w lasach, rosnących na brzegu It-Kula. Po obiedzie poszliśmy z nim we dwóch w stronę lasu, położonego na stokach zachodnich.

Nie zdążyliśmy wejść w gęste krzaki, stanowiące początek lasu, gdy wyskoczyły trzy sarny i jeden rogacz. Strzeliłem pierwszy grubymi lotkami z mego Lepage'a i śmiertelnie zraniłem sarnę. Upadła i dopiero, gdy zacząłem zbliżać się do niej, popęzła na przednich nogach, gdyż tylne miała poranione. Dogoniłem ją jednak i uderzyłem nożem w to miejsce, gdzie szyja przechodzi w pierś. Miałem piękne trofeum.

Peacock strzelił do rogacza z karabinu Henela z lunetą. Strzelał z odległości 200 kroków i przeszył go na wylot, przebiwszy serce. Wypatroszywszy naszą zdobycz, z trudnością dowlekliśmy ją do ogniska, przy którym przygotowaliśmy na kolację wyborny „szaszłyk”. Jest to kaukaska potrawa, przyrządzenie której nie wymaga bynajmniej zdolności kulinarnych. Mięso kraje się na niewielkie kawałki, nadziewa na pręt i piecze na gorących węglach. Przyrządzone w ten sposób, jest nadzwyczaj aromatyczne i smaczne.

Nazajutrz o świcie wyszliśmy na polowanie. Wdrapaliśmy się na góry i weszli do malowniczego lasu o charakterze alpejskim. Ogromne sosny wyrastały wprost z bujnej

trawy. Nie było żadnego krzaku dokoła i cały las przypominał dobrze utrzymany park angielski.

— Trzymaj się pan ostro! — szepnął Peacock. — Zaraz się zacznie!

Jak gdyby w odpowiedzi na to ostrzeżenie, z trawy poderwał się z łopotem skrzydeł olbrzymi, czarny głuszc, ale nie zdążył jeszcze dolecieć do wierzchołków drzew, gdy zagrzmiął strzał Peacock'a, po którym wspaniały ptak, trzepocząc skrzydłami, padł i jął wykonywać ostatnie skoki na ziemi. Wkrótce pozostał nieruchomy.

Pobiegłem do niego, gdy nagle z krzykiem i hałasem wyfrunęło całe stado młodych cietrzewi. Latały jeszcze niezręcznie, odleciawszy zaś jakieś trzydzieści kroków, opadły w trawę. Przygotowawszy się do strzału, zacząłem je podchodzić i wkrótce spłoszyłem stadko, z którego zabiłem dwie sztuki.

W tym lesie było jak gdyby jakieś sztuczne zbiorowisko różnych ptaków. Co chwila zrywały się głuszce, cietrzewie i jarząbki. Były między nimi stare i młode. Jedne z nich już fruwały, inne mogły tymczasem tylko biegać, bardzo umiejętnie kryjąc się w gęstwie trawy. Obserwowałem zachowanie się stadka młodych głuszców. Zobaczyłem kwokę, siedzącą na jakiejś kępie. Podpuściwszy mnie na pięćdziesiąt mniej więcej kroków, zerwała się z głuchym, basowym i trwożnym krzykiem i znikła wśród gałęzi sosny. Nie strzelałem do niej, pamiętając o przepisach myśliwskich, wpojonych mi jeszcze w dzieciństwie, gdyż poluję od dziewiątego roku życia. Domyśliłem się zaraz, że kura głuszca miała gdzieś w pobliżu gniazdo i pisklęta. Zacząłem się więc skradać i tuż przy kępie spostrzegłem stadko małych głuszców. Nie umiały jeszcze latać. Zobaczywszy mnie, zbiły się w gromadkę, a potem, jak na komendę, rozsypały się w różne strony. Zdawało się, że to myszy rozbiegły się w popłochu. Małe, żółto-szare istotki mknęły ze zdumiewającą szybkością. Widziałem je dokładnie, stojąc prawie tuż nad nimi. Wyciągnęły się w jeden sznur i zaczęły się. Widząc, że się nie ruszam, uspokoiły się i zaczęły gorączkowymi rzutami podbiegać ku sobie, kierując się z obydwóch stron sznura ku środkowemu braciszkiowi czy siostrzyczce. Po chwili były znowu w jednej gromadce, kręciły główkami i żałośnie piszczały. Odszedłem.

Ledwie się odwróciłem plecami do kępy, gdy z tym karnym głuchym krzykiem z wierzchołka sosny spadła w trawę jak kamień zatrwożona losem swych dzieci kwoka.

Tego dnia nastrelaliśmy dużo zwierzyny. Były to ogromne, mieniące się wszystkimi barwami głuszce-samce, czarne cietrzewie, o dwóch białych zakręconych piórach w ogonach; jarząbki o czerwonych brwiach i kosmatych nogach.

Było tego tak dużo wszędzie, że wkrótce znudziło nas i znużyło polowanie. Strzały były łatwe, wszystkie jednakowe, gdyż ptaki podrywały się powoli i długo szukały dla siebie w powietrzu przejścia przez gęste korony sosen. Strzelaliśmy więc do celu prawie nieruchomego, co dla myśliwego-sportowca jest wcale¹³ nieprzyjemne.

Niemniej obfite było następne polowanie na dzikie ptactwo wodne. Przy południowym brzegu jeziora It-Kul rosły na dużej przestrzeni gęste trzciny. Część ich była już w wodzie, część zaś na brzegu, pokrytym wysokimi kępami, pomiędzy którymi spotykaliśmy albo błoto na torfowisku, albo dość znaczne nagromadzenie piasku.

W trzcinach gnieździło się ptactwo wodne: gęsi i kaczki, kuliki różnych gatunków i czaple. Młode pokolenie już podrosło, lecz jeszcze nie latało, chociaż była to już połowa czerwca. Za każdym razem, gdyśmy podchodzili do trzcin, widzieliśmy jak na jeziorze zaczynało się roić od młodych kaczek i gęsi, które pływały w różnych kierunkach, miotały się w panice i znowu zapadały w gąszcz. Wypłoszyć starych gęsi i kaczek nie mogliśmy długo. Peacock opowiedział mi, że na Syberii myśliwi zauważyli, iż gąsiory i kaczory odlatują od samic na cały czas wychowywania piskląt. Gdy potomstwo zaczyna latać, odzwyczajając się od opieki matki i wreszcie porzuca ją całkowicie, wtedy samce przylatują i rozpoczynają na nowo chwilowo przerwane pożycie małżeńskie. Bywają jednak wyjątki, że niektóre samce biorą na siebie wraz z żonami ciężar wychowania dziatwy, szukając pożywienia i broniąc gniazda. Na takich wiernych i cierpliwych mężów zagiął parol stary Peacock. Istotnie, nie omylił się, gdyż po pewnym czasie łażenia po zaroślach trzcin i po kępach spłoszyliśmy kilka gąsiorów. Zerwały się jednak tak daleko, że nasze strzelby nie uczyniły im szkody, chociaż słyszeliśmy, jak śrut uderzał w ich potężne i twarde skrzydła.

¹³wcale (daw.) — całkiem. [przypis edytorski]

— Musimy się rozejść w różne strony! — zdecydował Peacock — gdyż spłoszony przez jednego z nas ptak może skierować się w stronę drugiego, a wtedy można będzie strzelać.

Poszedłem więc w inną stronę, wypatrując zdobyczy, lecz nie spotkałem nic w kępach i zaroślach trzciny i sitowia. Nagle ujrzałem wśród wysokiej, ostrej trawy, dość duży plac piaszczysty, po którym z pewną miną przechadzało się kilka starych gąsiorów. Gwizdnąłem przeciągle, aby się zerwały, gdyż nigdy nie strzelałem do ptaków na ziemi. Pamiętam, gdy miałem lat dwanaście, zastrzeliłem dziką kaczkę, siedzącą na brzegu, a mój ojciec, który to widział, bardzo dotkliwie wyszydził mnie wobec całego towarzystwa myśliwych. Od tego czasu strzelałem do ptaka tylko wtedy, gdy się broni, a więc, gdy jest w locie.

Pamiętam, jak ojciec wtedy mówił:

— Strzelać do ptaka na ziemi jest takim samym poniżającym czynem, jak napaść na człowieka z tyłu. Sportowiec jest rycerzem i powinien przeciwnikowi dać szansę obrony. Myśliwy ma mniej lub więcej celne oko, ptak mniej lub więcej szybki i zawikłany lot. Tu są szanse i dla napadu, i dla obrony. Gdy na przykład bekas stoi na błocie, na kępie, lada nicpoń go ustrzeli, ale gdy ten chybki i pomysłowy w locie ptaszek robi w powietrzu swoje sarto-mortale w kształcie litery S, dosięgnąć go potrafi tylko bardzo wprawny i celny strzelec...

Więc też gwizdnąłem na gąsiory, a one pobiegły, rozpuściwszy szerokie, potężne skrzydła i zaczęły prawie pionowo wzbijać się do góry. Padł strzał i jeden z ptaków, ciężko rażony grubym śrutem, padł na piasek, lecz powstał i zdążył w stronę trzcin, wlokąc za sobą złamane skrzydło.

Pomknąłem na przelaj, lecz zaledwie nogi moje dotknęły piasku, uczułem, że mi grzęzną. Zapał myśliwski gnał mnie jednak dalej.

Postąpiłem jeszcze kilka kroków, gdy naraz wydało mi się, że ziemia się pode mną rozstąpiła. Pod stopami nie czułem żadnego oparcia, i zanurzałem się coraz głębiej i głębiej. Piasek płynny i ruchomy doszedł mi do bioder: po chwili już zanurzył się mój pas z ładunkami, zrobiłem gwałtowny ruch, aby się wydobyć, lecz zapadłem się jeszcze głębiej. Zrozumiałem, że trafiłem na trzęsawisko piaszczyste, głębokie i wciągające ofiarę. Zacząłem krzyczeć, obracając głowę na wszystkie strony, gdyż nie widziałem spoza traw i trzcin dr. Peacocka.

Piasek tymczasem wciągał mnie coraz głębiej; jeszcze kilka minut, i zniknąłbym w piasku z głową, a to zdradzieckie trzęsawisko zatarłoby natychmiast wszystkie ślady człowieka, i nikt nigdy nie odnalazłby nawet mego ciała.

Na tę myśl włosy mi stanęły na głowie, lecz mózg zaczął uporczywie i błyskawicznie pracować. Co robić? Jak się ratować? Czy doktor słyszy moje krzyki?

Przypomniałem sobie opowiadania ludzi, którzy ginęli już przy podobnych przygodach. Nie przestając krzyczeć na swego towarzysza, przyciągnąłem do siebie dubeltówkę, którą rzuciłem był podczas walki z piaskiem, położyłem ją przed sobą na powierzchni trzęsawiska i, oparłszy się o nią piersi, starałem się przechylić przez nią swoje ciało, czyniąc jak najmniej ruchów i ostrożnie wyciągając nogi. Trudna to była gimnastyka! Strzelba też grzęzła pod moim ciężarem, musiałem ją wyciągać i znowu powtarzać swój manewr. Jednak po kilku minutach już leżałem na piasku, wyciągnięty całym ciałem, które w takiej pozycji prawie nie grzęzło, swoją płaszczyzną stawiając znaczny opór miękkiemu gruntowi. Leżąc na piasku, ostrożnie posuwałem się na brzuchu w stronę trzcin. Wkrótce byłem wśród tych zbawczych zarośli, w oddali od zdradzieckiego topieliska. Byłem ocalony, ale cały przesycony mokrym piaskiem. Wynałazłem miejsce suche, zalane gorącym słońcem, rozebrałem się i, czekając na wyschnięcie ubrania i butów, czyściłem swego staruszka Lepage'a, który do obrzydliwości nalykał się piasku. Dopiero po godzinie mogłem wyruszyć na poszukiwanie Peacock'a. Odszedł on daleko i wcale nie słyszał moich nawoływań.

Zginąłbym był niezawodnie, gdyby nie poczciwy Lepage.

Doktor nastrelał sporo gęsi i kaczek, a ja powróciłem do obozu z pustą torbą.

Lecz gdy Peacock dowiedział się o mojej przygodzie, spoważniał i rzekł:

— O, pan upolował coś daleko cenniejszego niż gęsi i kaczki, bo przekonanie o własnej zimnej krwi, która powiada: „strach strachem, a myśl — myślą”!

Stary Anglik miał słuszność.

Toteż wkrótce przy kolacji już się zupełnie pocieszyłem.

Ale te piaszczyste plamy na bagnach pamiętam bardzo dobrze i nigdy im nie dowierzam. Wolę człapać po wodzie i błocie, płacząc się nogami w gęstej i ostrej trawie błotnej, niż stąpać po tych podstępnych, a tak zdradzieckich piaskach!

Dość miałem strachu i roboty w takiej pułapce na It-Kulu.

ROZDZIAŁ V. DZIKIE ŻYCIE

Po powrocie na Sziro, spędziwszy tam kilka dni dla opracowania badań It-Kulskich, wyruszyliśmy z profesorem Zaleskim w stepy, dokąd nas zaprosił bogaty Tatarzyn, Jusuf Spirin, posiadający olbrzymie tabuny koni.

Był to zupełnie prosty, niewykształcony, ale bajecznie bogaty koczownik. Mieszkał ze swą rodziną w namiotach, które przenosił z miejsca na miejsce w miarę tego, jak tabuny zjadały trawę w tej lub innej części stepów, pomiędzy jeziorami Sziro, It-Kul i Szunet.

Zaprosił nas w gościnę, mówiąc, że mu pochlebiają odwiedziny ludzi uczonych.

Przysłał po nas dobry powóz, zaprzężony w trójkę dużych i ładnych koni. Na koźle siedział robotnik, młody, przystojny i wesoły Tatarzyn Alim. Gdyśmy wsiedli, obejrzał się na nas, uniósł na siodle, zaciął konia długim z rzemieni skręconym batem i wrzasnął dziko.

Wydało nam się, że ktoś spod nas wyrwał powóz. Ledwie zdążyliśmy złapać się za poręcze, aby nie wypaść. Konie ruszyły z miejsca pełnym galopem i mknęły przez step, poganiane przeraźliwymi krzykami dzikiego stangreta i straszliwym smaganiem biczem. Dwadzieścia dwa kilometry przemknęliśmy w godzinę.

Ujrzeliśmy kilka namiotów z szarego wołjoku. Na stepie pasły się barany i krowy dla użytku domowego. Wszystkie zaś stada i tabuny były daleko, za grzbietem Kizyl-Kaja.

Na horyzoncie czerniły się niskie sześciany z belek sosnowych, otoczone niewysokimi murami z gliny. Były to tak zwane *auły*, w których bogaci Tatarzy spędzają zimę.

Spiryn ze starszym synem, Machmetem, spotkał nas przed swoim namiotem — jurta, do której wprowadził nas z niskimi ukłonami i błogosławieństwem w imieniu Proroka. Jurta była wewnątrz urządzone wspaniale. Ziemia zasłana grubą warstwą wołjoków, z narzuconymi z wierzchu puszystymi, grubymi kobiercami, wyrabianymi rękami pracowitych bucharskich i sartskich kobiet. Miękkie zasłony jedwabne okrywały ściany wewnątrz jurty, jako też i pułap, a olbrzymie jedwabne poduszki i materace zapraszały do spoczynku. Wkoło, przy ścianach stały duże skrzynie i małe szafki, okute srebrem i wysadzone turkusami, lapis-lazuli i malachitem. Cynowe, mosiężne i srebrne misy, kubki, talerze i półmiski połyskiwały na półkach wiszących. Na wprost drzwi wchodowych¹⁴, na ścianie, w ciężkiej srebrnej ramie był zawieszony święty werset z Koranu, a obok w drewnianej ramie portret Szeih-Ul-Islama, najwyższej duchownej osoby Mahometan. Pomiędzy dwiema suto okutymi srebrem szafkami stało coś w rodzaju sztalug malarskich, na których na kolkach leżały i wisiały karabiny, rewolwery, szable, pałasze i krótkie szable, czyli jatagany, proste jak sztylety, lub powyginane jak kosy lub sierpy.

— Ależ na Boga! — zawołał profesor. — Macie tu cały arsenał!

— Tak! — kiwnął głową stary Tatar. — Czasy niespokojne, musimy bronić siebie i swojej majątności. Ciężkie, czarne czasy!...

Widocznie bardzo boleśnie odczuwał przyjsie tych „czarnych czasów”, bo usadowiwszy nas wygodnie na poduszkach, jął rozpowiadać o tym, co się działo w stepach.

Rząd rosyjski zawsze korzystał ze sporów i nienawiści pomiędzy różnymi szczepami, wchodzącymi w skład państwa. Tak było i na stepach Czulymo-Minusieńskich. Władze posłały do tego kraju, od wieków należącego do Tatarów szczepu Abakańskiego, kolonistów z Ukrainy, leniwych, rozpustnych i pijanych chłopów. Zaczęli oni kosić siano na tatarskich obszarach, kraść konie i bydło, krzywdzić kobiety i zabijać tubylców. Tatarzy bez powodzenia zanosili skargi do władz, lecz nikt nie chciał wejść w te krzywdy, owszem dopomagano nawet Ukraincom. Wtedy Tatarzy chwycili za broń. Step stał się widownią dzikich potyczek, krwawych aktów zemsty i bezprawia. Nikt już nie oglądał się na władzę, każdy bronił swego życia i mienia, walcząc z gwałtem, jakiego się dopuszczali

¹⁴wchodowy — dziś: wejściowy. [przypis edytorski]

zdemoralizowani wychodźcy ukraińscy. Niejednego trupa ukryła bujna trawa stepowa, a wichry wysuszyły go i, w proch obróciwszy, rozniosły po świecie.

Spirin podejmował nas bardzo gościnnie. Miał aż sześć żon, od starej już, liczącej 50 lat, do młodej, wiotkiej jak trzcina, o dużych, tęsknych oczach sarny. Wszystkie te kobiety krzątały się w sąsiedniej jurcie, gdzie się mieściła kuchnia. Co chwila wnoszono coraz to nowe, a coraz smaczniejsze potrawy, a więc gorące *sulty*, czyli tłustą wypukłość z piersi barana, upieczoną na węglach; *czycherty*, czyli zupę z kury i żółtek; *szaszłyk* z baraniny, posypanej jakimiś kwaśnymi, suszonymi jagodami; *szaszłyk* z cynaderek baranich; *azu*, czyli rodzaj węgierskiego gulaszu z baraniny; *tamałyk*, czyli naleśniki z grzybami i jagodami; słodki ser owczy i kozi; kompot z rumbabarum, rodzynek, fig i daktyli. Wszystko to popijaliśmy *kumysem* — kwaśnym, fermentującym mlekiem kobyliczym, czerwonym burgundem i prawdziwym szampanem, sprowadzonym na nasze przyjęcie z miasta. Po tej uczcie nastąpiło nieskończone długie picie herbaty z konfiturami różnych gatunków, marmoladą, miodem i cukierkami, przy czym na przekąskę podawano angielskie biszkopty w blaszankach.

Picie herbaty, jako oficjalna część obiadu wschodniego, zwykle trwa bardzo długo i jest nużącym. Lecz Spirin uprzyjemnił nam ten czas. Rozkazał żonom wynieść przed jurkę kilka poduszek i kobierców, postawić niskie stoliki i zaprosił nas na „świeże powietrze”.

— Pokażę wam moje najlepsze konie! — rzekł z uśmiechem i klasnął w dłoń.

Nasz stangret, Alim, i syn gospodarza, Machmet, natychmiast wskoczyli na siodła i pomknęli w stronę aułów. Po kwadransie powrócili, goniąc przed sobą około pięćdziesięciu koni. Były to ogiery bułane, białe i zupełnie czarne, jak kruki. Wszystko to mknęło na złamanie karku z rozwianymi grzywami i wspaniałymi ogonami, z którymi igrał wiatr stepowy. Konie chrapały i parskały głośno, wierzgając i gryząc się pomiędzy sobą. Błyszczące, krwią nalane oczy zdawały się palić, a z rozdętych nozdrzy omal że nie buchał ogień.

— Są to dzikie młode ogiery, nie znające nie tylko siodła, ale nawet i dotknięcia ręki ludzkiej. Wychowały się w Czum-Basłyku, gdzie jest najlepsza trawa. Krew mają w sobie szlachetną, o, najszlachetniejszą w całym naszym stepie. Są silne jak niedźwiedzie, zdrowe jak żbiki, a szybkie jak sokoły, przy tym złe i śmiałe. Nie zleką się walki z wilkami lub z niedźwiedziem, a są one najlepsze do wojny. W ataku konnym walczą zębami i kopytami razem z jeźdźcem. Od rasy tej przyjęły właściwości *argamaki* Turkmenów, te rumaki, które w boju biją się zawzięcie, a po boju mkną na pole walki, aby zdruzgotać głowy wrogów, leżących na ziemi...

Rzucił po tatarsku kilka słów do obydwóch młodzieńców, a ci natychmiast wydali przeraźliwe wycie. Cała gromada koni rozsypała się w różne strony, ze wściekłością oglądając się i pędząc coraz dalej. Tatarzy gonili je na dobrych wierzchowcach. Nareszcie odwiązali *arkany*, długie sznury z pętlą na końcu i, zakręciwszy je nad głowami i wywijając nimi w powietrzu, pomknęli szybciej. Zaczęła się gonitwa. Dzikie ogiery, wolne od jeźdźców, od razu odsadziły się od wierzchowców tatarskich, lecz te, wytrenowane w długim, wytrwałym biegu, utrzymywały stałą odległość, a wtedy, gdy ogiery już nieco znużone wściekłym galopem, zaczęły zwalniać biegu, nieznacznie, ale coraz bardziej zbliżały się do nich. Tatarzy, wspaniali jeźdźcy, umiejętnie kierowali ruchem ogierów, zmuszając je do zataczania po stepie coraz węższych kół.

Gdy się już prawie zbiły do kupy, zobaczyliśmy Tatarów, wyprostowanych na siodłach i wciąż kręcących w powietrzu sznurami swych arkanów. Po chwili wyleciały, jak dwa szybkie węże, a wnet potem cała gromada ogierów znowu się rozbiegła po stepie.

Jeźdźcy pędzili za nimi, lecz dwa ogiery, jeden czarny, a drugi bułany, zaczęły wyraźnie zwalniać biegu. Co chwila stawały dęba, ciskały się w różne strony, aż nagle padły, jak gromem rażone.

Stary Spiryn śmiał się:

— Zdusił je arkan!

Istotnie, zobaczyliśmy jak obydwaj jeźdźcy zeskoczyli z siodła i zaczęli się ostrożnie zbliżać do leżących ogierów, naciągając sznury arkanów. Gdy podeszli, rzucili się na leżące konie i błyskawicznymi wprost ruchami zaczęli im związywać nogi. Po chwili ogiery, zwolnione z duszących je arkanów, ciężko podniosły się z ziemi i chciały umknąć, lecz

miały już nogi skrępowane, a więc, uczyniwszy kilkadziesiąt konwulsyjnych skoków, stanęły jak wryte. Tatarzy wnet założyli im wędzidla i uzdy, mocno przyciągając głowy do ziemi. Jeszcze chwila, a nogi ogierów zostały zwolnione z pęt — kilka szalonych wierzgań, obracania się młynkiem na tylnych nogach, a potem zobaczyliśmy człapiących na swoich rumakach Tatarów, nisko schylonych na siodłach, za nimi zaś biegly schwytane dzikie ogiery, których przedtem nie dotykała ręka ludzka.

Wkrótce byli już przy jurtach. Dzikie rumaki chrapały i oglądały się z wściekłością, przyciskając uszy do głowy i szczerząc olbrzymie kły.

Kilku chłopaków przyniosło siodła. Alim trzymał jednego ogiera za uzdę, a Machmet zaczął go kulbaczyć. Zaczęło się dziać coś nadzwyczajnego. Czarny ogier prawie cały czas był w powietrzu. Całym swym ciałem sprężystym wyskakiwał w górę, zawisał kopytami nad człowiekiem, na jedno mgnienie oka dotykał ziemi po to tylko, aby się znowu od niej oderwać; szalał ze wściekłości i strachu, rżał i chrapał. Jednak tęgi jak dąb Alim trzymał go mocno za ramię uzdy i nie puszczał. Rzemienie z surowej skóry były mocne jak liny stalowe, a wędzidło wrzynano się w wargi rumaka, aż krew zabarwiała pianę, którą parskał, trzęsąc łbem. Machmet też nie próżnował. Co chwila dopadał konia i zaciągał kawałek po kawałku rzemienie poprzęgu. Nareszcie dociągnął i przerzucił strzemiona. Alim zawisnął na rzemieniu i przyciągnął głowę konia do samej ziemi, Machmet błyskawicznym rzutem dotknął strzemienia i był już na siodle, tatarskim obyczajem skulony, ze zgiętymi w kolanach nogami.

Krzyknął, smagnął konia nahajem.

Alim puścił rzemień i odskoczył na stronę¹⁵.

Ogier przez mgnienie oka stał jak wryty, tylko sypał skry oczami. Nagle wyprostował się na tylnych nogach, zdawało się nam, że upadnie na wznak, lecz nie upadł, natomiast w takiej pozycji zaczął wykonywać susy, obracać się młynkiem i miotać na wszystkie strony. Później, stanawszy wszystkimi nogami, zaczął wierzcąc tylnymi tak wysoko, jakby chciał przerzucić się przez głowę. Był to jakiś dziwny wir rzutów, ruchów i skoków. Lecz na siodle siedziała niewzruszenie skulona postać Tatara, który stanowił część miotającego się konia.

Straciwszy nadzieję zrzucenia z siebie jeźdźca, ogier pomknął jak strzała w step, przesadzając kamienie i rowy. Spostrzegłem, że Machmet puścił wolno cugle i, z lekka poruszając nimi w powietrzu, lechtał miękkiemi butami boki konia i od czasu do czasu smagał go nahajem. Widziałem wtedy, jak się prężyło muskularne ciało wolnego zwierzęcia i jak wyciągał się, prawie płaszczyl po ziemi, wyrzucając co chwila w powietrze swe zgrabne i silne ciało. W takich chwilach Machmet wyglądał na legendarnego jeźdźca, mknącego w powietrzu, gdyż nie mogłem uchwycić momentu, gdy koń dotykał kopytami ziemi.

Puszczony wolno ogier zataczał jednak olbrzymie koła i zbliżał się znowu do jurt. Widziałem, jak piana wielkimi płatami spadała z jego boków i szyi, i jak coraz bardziej i bardziej krwią zabarwiał się pieniający pysk.

Ogier zatoczył jeszcze dwa koła, a wtedy nie mogłem nie wydać okrzyku zdumienia. Siedzący na tym wściekłym „Bucefale”¹⁶ Tatar najspokojniej w świecie przechylił się na jeden bok, puścił cugle i, wydobywszy fajkę, zaczął starannie ją nabijać i zapalać. Gdy skończył, poprawił się na siodle i podjechał do namiotu. Ogier słuchał każdego ruchu jego rąk i nóg, drżał na całym ciele, lecz był już ujarzmiony.

— To dopiero prawdziwa sztuka! — zawołałem, z zachwytem przeglądając się Machmetowi, który spokojnie się uśmiechał, palił i klepał ogiera po spienionym karku.

— Nic w tym trudnego! — zaśmiał się stary Spirin. — Ten dziki koń zrozumiał, że jeżeli nie będzie posłuszny, kolana i łydki Machmeta, ściskające jego boki, połamią mu żebra.

Gdym spojrział na krzywe, potężne jak korzenie starego dębu nogi Machmeta, uwierzyłem, że mógłby połamać kości koniowi.

Inną, jeszcze bardziej karkołomną sztukę pokazał robotnik Spiryna — Alim.

¹⁵na stronę (daw.) — na bok. [przypis edytorski]

¹⁶Bucefal — ulubiony ogier Aleksandra Wielkiego, jeden z najsłynniejszych koni starożytności. [przypis edytorski]

Tak jak młody gospodarz, podciągnął popręg, lecz widocznie źle umocował sprzączkę, bo gdy wskoczył na siodło, popręg się obluźnił a siodło obsunęło się na bok. Alim spadł na ziemię, lecz koń pomknął, i wtedy nawet stary Spiryn krzyknął z przerażenia.

Alim włókł się, zahaczony nogą o strzemię. Parę razy groziła mu śmierć niechybna, gdy koń pędził po kamieniach, lecz przytomny Tatar rękami odbijał się od ziemi i przerzucał się przez groźące jego życiu kamienie. Wreszcie już się widocznie rozpatrzył w położeniu, bo wparł wolną nogę w bok koniowi, a po chwili wyprężył się i uniół ponad ziemię. Stał teraz pionowo do boku końskiego na prawej, wyprężonej nodze i na wyciągniętym rzemieniu strzemienia. Widzieliśmy, jak majstrował coś z cugłami, a potem znów opadł do samej ziemi i, podwinąwszy się pod brzuch wierzchowca, zaczął chwytać nogi mknącego z nim konia. Po kilku minutach starań zarzucił na przednią nogę pętlę rzemienia i znowu się wyprężył, stanąwszy na boku konia. Koń miał nogę wysoko podciągniętą pod samą pierś, lecz jeszcze skakał i rzucał się gwałtownie. Nareszcie stanął dęba i padł na kolana. Jak dziki kot rzucił się do jego szyi Alim, przerzucił mu rzemień przez głowę i zdusił. Koń zaczął glucho rzeźzić. Alim, dusząc go ciągle, prawą ręką wypróbował siodło, poprawił popręg i usiadł na kulbace. Zwolnił stryczek na szyi i oswobodził nogę konia. Ogier po tej przygodzie więcej już nie usiłował walczyć z jeźdźcem i pokornie poszedł w stronę jurty, kierowany ręką wesóło uśmiechającego się Alima, który pieszczotliwie do niego przemawiał.

— *At, at, jakszi at. Toor!*¹⁷

To widowisko ujarzmiania dzikich koni tabunowych było najlepszą nagrodą dla nas, gdyż tłusty, ciężki obiad pocziwego Spiryna wywarł na nas wrażenie oszołamiające. Długo czuliśmy go z profesorem, i po tej próbie byliśmy ostrożni i wstrzemięźliwi w jedzeniu na obiadach tatarskich.

Posprzeczałyśmy się nawet z moim kochanym nauczycielem.

— To *azu* tak nas podcięło! — zauważył z goryczą w głosie.

— Nie! Myślę, że za dużo zjedliśmy tych opływających tłuszczem *suty*! — odparłem.

— Ależ nie! — twierdził profesor — *Suty* ma lekki, strawny tłuszcz. To *azu* z jakimiś korzonkami, jarzynkami i z suszonymi jagodami — było wprost trucizną!

Obstawałem jednak przy swoim zdaniu, profesor zaś bronił *suty* i pioruny miotał na *azu*. Nie udało się nam dojść do porozumienia, ale później on obawiał się *suty*, ja zaś wystrzegąłem się *azu*.

ROZDZIAŁ VI. DRAMAT STEPOWY

Nie przeczuwaliśmy, podejmowani przez Spirina, że jesteśmy w rodzinie, na którą miało w dwa dni później spaść wielkie nieszczęście.

Profesor w parę dni po powrocie od Tatara posłał mnie w step na rekonesans dla pewnych prac geologicznych. Szukałem takich pokładów, które mogłyby być źródłem siarczanu magnezyj w wodzie Szira. Zapuszczałem się w wąwozy, wryte przez potoki wiosenne, oglądałem urwiste brzegi wyschłych rzek stepowych, gdy nagle spostrzegłem duże stado kruków i kilka wielkich sępów, krążących nad jednym miejscem. Domyśliłem się, że leży tam trup zdechłego konia lub wołu, ale gdy wchodząc na niewysoki pagórek, spojrziałem w tę stronę, wydało mi się, że ujrzałem leżącego w trawie człowieka.

Poszedłem na miejsce wypadku i aż serce przestało mi bić w piersiach, gdy poznałem w leżących w trawie dwóch trupach znanych mi już śmiałych i wspaniałych jeźdźców: Machmeta, syna Spirina, i jego robotnika, tęgiego Alima. Leżeli z twarzami zeszpeconymi uderzeniami siekiery i z roztrzaskanymi głowami. Żadnych śladów walki naokoło nie zauważyłem.

Towarzyszący mi Hak zbadał zabitych bardzo starannie i z powagą i znajomością rzeczy zaopiniował:

— Głowy Tatarów strzaskano obuchem topora, a później zadano cios w twarz. To już uczyniono dla znęcania się nad zabitymi...

Zawiadomiliśmy policjanta i starego Spirina o strasliwym wypadku. Śledztwo potoczyło się szybko, gdyż wypadkowo wśród gości na stacji leczniczej Szira był sędzia śledczy.

Trup

¹⁷*At, at, jakszi at. Toor!* — Koń, koń, dobry koń. Cicho! [przypis autorski]

Wkrótce już wiedzieliśmy, co się stało na stepach, gdzie przelała się krew dwóch młodych Tatarów.

Aby zrozumieć cały ten dramat, trzeba znać niektóre szczegóły życia w stepach.

Tatarzy najbardziej cenią swoje stadniny, czyli *tabuny*, ponieważ wyhodowali specjalną rasę końską o bardzo wysokich zaletach. Abakańskie ogiery cieszyły się wielkim powodzeniem na Altaju, gdzie z ich pomocą ulepszono i uszlachetniono miejscową rasę koni, prawie wyradzającą się i zdrobniałą. Wobec tego koniokradzy spośród przybyszów ukraińskich polowali na konie tatarskie i wprowadzali je na sprzedaż na Altaj. Jednakże było to zadanie niełatwe, gdyż pastusi tatarscy, strzegący tabunów, byli bardzo czujni, odważni, doskonale uzbrojeni i nie uchylali się bynajmniej od potyczki z rabusiami. Oprócz tego tabuny są strzeżone i bronione przez ogiery tabunowe, dzikie i odważne zwierzęta, które rzucają się na obcych, gryzą i wierzgają. Tak było i w tabunach Spirina. Lecz w ostatnich czasach zauważono, że niektóre tabuny były porzucone przez ogiera, który dowodził całym tłumem kobył, i takie właśnie tabuny uciekały. Raz tylko udało się dognać jeden uchodzący tabun i zawrócić. Pastusi zauważyli, że naokoło tabunu było dużo śladów koni podkutych, widocznie jakichś jeźdźców, którzy ukryli się przy zbliżeniu Tatarów. Schwytane ogiery, które porzuciły swe tabuny, miały na ciele rany, z czego wywnioskowano, że przedtem, nim opuściły one swe kobyły, musiały walczyć z napastnikami.

Była to tajemnicza, zagadkowa sprawa, gdyż nawet wprawni Tatarzy nikogo wytropić w stepach nie potrafili. Gubili się więc w domysłach.

Zręczny i doświadczony sędzia śledczy zagadkę tę rozwiązał. Opatrzywszy zranione ogiery i jeden z dognanych i zawróconych tabunów, a także ślady podkutych koni i drogę, którą przeszły prowadzone tabuny, dał rozkaz policji w całym obwodzie wyszukania człowieka, właściciela bardzo dużego, rudego ogiera, nie podkutego, ze złamanym jednym kopytem. Po kilku dniach policjant ze wsi, odległej od Sziro o 60 kilometrów, przywiózł chłopca — Ukraińca, który był posiadaczem właśnie takiego konia. Ogiera zaś nie przyprowadzili ze sobą, ponieważ, jak mówił chłop, uciekł, i szukają go teraz. Sędzia zagroził chłopu więzieniem, jeżeli nie wyzna prawdy, lecz ten zapierał się uparcie.

Wtedy sędzia kazał zaarrestować chłopca, a gdy go osadzono w kancelarii policjanta, przyszedł do niego i tak przemówił.

— Widzę, że jesteś dobrym „ptaszkiem”, ale ja w swoim życiu widziałem lepszych. Bo to, widzisz, mój przyjacielu, łapałem koniokradów w Turkiestanie... odważnych Turkmenów i przebiegłych jak lisy Persów. Nikt mnie teraz na tym nie oszuka. Pamiętaj o tym, a teraz słuchaj! Masz ogromnego i złego ogiera rudego, który złamał sobie kopyto u lewej tylnej nogi. Ten ogier ma prawie biały ogon. Jakbym go widział przed sobą! A mądre to konisko, bo potrafiło nauczyć się od ciebie praktyki złodziejskiej. Postępujesz tak... Wiem i to, mój przyjacielu! Upatrzywszy sobie tabun tatarski, przyprowadzasz w nocy swego rudego. Ten rozpoczyna bitwę z tatarskim ogierem i zwycięża, bo jest większy i silniejszy. Pastusi, słysząc rżenie i kwiki bijących się koni, nie zwracają na to uwagi, a nawet jeżeli czasem i spojrzą w stronę tabunu, zobaczą, że jest wszystko w porządku, i znowu zasną. Nie spaliby jednak, gdybyś nie przyjechał do ich ogniska w dzień i nie wsypał do ich worów z mięsem „sennego proszku”... Zwyciężywszy, rudy ogier zrazu powoli, a później coraz prędzej prowadzi za sobą wszystkie kobyły, aż doprowadzi je do miejsca, gdzie ty i podobni do ciebie czekają na tabun. Wtedy pędzicie konie galopem w stronę Altaju, gdy tymczasem wasi towarzysze krzyżują ślady skradzionego tabunu, goniąc w tym samym kierunku swoje szkapy. No, chyba to wszystko, bo dalej idzie wam jak z płatką! Sprzedajecie konie chłopom i Tatarom altajskim, powracacie do waszej wsi z pieniędzmi, zaczynacie spijać się wódką i piwem, a później, gdy wszystko przepijecie, nową awanturę zaczynacie obmyślać. Ale tym razem coś was spłoszyło, bo natychmiast po wyruszeniu pastuchów w pogon za skradzionymi końmi, przyjechaliście na ich koczowisko i łaziliście wszędzie, czegoś szukając. Czegoż to szukaliście w stepie?

Chłop, blady i drżący, przerażony opowiadaniem tego „czarownika” lub „diabła” — sędziego, milczał z wytrzeszczonymi oczami. Sędzia ciągnął dalej:

— Widzisz, że wiem o wszystkim! Wiem też, po co przyjechaliście do koczowiska. Któryś z was zgubił woreczek z „sennym proszkiem”. Nie znaleźliście jednak tej poszlaki, bo byliście pijani, ale ja znalazłem. Tu jest wasza zguba!

Mówiąc to, sędzia wydobył z teki mały woreczek z proszkiem, jak mnie później objaśnił, mieszaniną roztartych jagód belladony i opium.

Chłop upadł na kolana i zaczął błagać o przebaczenie, wydając swych towarzyszków, którzy popędzili tabun na Altaj. Sędzia zarządził pościg krótszymi drogami, bo za pomocą telegrafu.

Rabusie zostali ujęci, tabuny zwrócone właścicielowi. Jednak od tego czasu Machmet i Alim, robotnik i daleki krewny Spiryna, często odwiedzali swoje tabuny, kontrolując pastuchów. Krewni zaaresztowanych rabusiów przyłapali Tatarów i zamordowali ich w okrutny sposób. Sprawców tej zbrodni jednak nie zdołano znaleźć.

Gdy rozpytywałem sędziego, w jaki sposób wykrył cały przebieg zajścia, opowiedział mi co następuje:

— Znam metody koniokradów ze swej obszernej praktyki śledczej wśród narodów wschodnich. Więc zagadkowość zajścia od razu nasunęła mi tę myśl, musiałem ją tylko sprawdzić. Oglądając zranione ogiery, znalazłem w ich pyskach rude włosy końskie, oraz parę długich włosów białych z końskiego ogona. W tabunach Spirina w tej miejscowości nie było takich ogierów, zresztą na placu walki wyraźnie widziałem ślady kopyt rudego napastnika, a z tych śladów sądzić mogłem o jego rozmiarach i figurze. Co się tyczy woreczka ze środkiem usypiającym, znalazłem go, gdym oglądał koczowisko pastuchów tatarskich. Nie mogłem zrozumieć, w jaki sposób przeoczyli oni obcego konia i pozwolili mu prowadzić tabun. Myślałem, że się popili *buzą*¹⁸ lub *araka*¹⁹, lecz nie spostrzegłem żadnych śladów pijaństwa, natomiast znalazłem wciśnięty nogą do ziemi woreczek z proszkiem. Któryś z Tatarów nadeptał na niego i wcisnął w ziemię, dlatego rabusie go nie znaleźli. Co się tyczy zbrodni zabójstwa syna Spirina i robotnika, to — już jest zwykły wypadek w tym kraju, gdzie prawo zemsty jest uznane i przez tubylców-Tatarów, i przez Rosjan.

Sędzia, naturalnie, był bardzo doświadczonego i spostrzegawczego człowiekiem, sprawę całą wykrył szybko i gruntownie. Lecz gdy widziałem, jak płakały stara matka i żona Machmeta, pomyślałem, że wszystkie te sposoby i przepisy prawa nigdy już nie wskrzeszą zreńskiego Tatara, który umiał tak pięknie ujarzmić dzikie konie z tabunu swego ojca. Tak myśląc, spojrzałem na tłum Tatarów, odprowadzających ciała zabitych na schyłek pagórka, gdzie już była przygotowana mogiła, a wzrok mój mimo woli zatrzymał się na pięknej twarzyczce młodej Tatarce, prawie dziecka jeszcze. Z tęsknotą i rozpaczą niewypowiedzianą patrzyła bez łez i westchnień na wesołą nawet po śmierci twarz tęgiego jak tur Alima. Pomyślałem, że ten olbrzym i siłacz zapalił w głębi młodego serca dziewczyny gorący płomień miłości stepowej, i kto wie, czy karząca ręka sprawiedliwości nie wymierzy ciosu za pomocą cienkich, zgrabnych palców tej tęsknej dziewczynki, która przecież też wie o prawie zemsty?

A może?...

Przypomniał mi się trup, kołyszący się wśród rumowisk podwodnego miasta, i pełną rozpaczę opowieść młodej Tatarce z Szira o męczeńskim końcu niewolnic wschodnich, jakimi są żony i matki większości szczepów mongolskich.

ROZDZIAŁ VII. MARTWE JEZIORO WŚRÓD MOGIŁ

Gdy minęły pierwsze wrażenia krwawego dramatu stepowego, rozpoczęliśmy nasze dalsze prace. Życie jest życiem, oplakuje ono śmierć, bywa na grobach tych, którzy odeszli, lecz ślad życia idzie inną drogą, swoją, pełną wysiłków, energii, chęci istnienia i wiedzy.

Po kilku dniach pojechałem w dalszą podróż na jezioro Szunet. Jezioro to służyło jako najbardziej słone i posiadające na dnie i po brzegach gruby pokład czarnego szlamu o silnym zapachu siarkowodoru. Miałem polecenie zbadania go. Jechałem w parokonnym wózku wraz z Hakiem, który się bardzo do mnie przywiązał, widocznie tylko za to, że obchodziłem się z nim jak z człowiekiem, jak z równym sobie.

Nie ujechaliśmy dziesięciu kilometrów, gdy spostrzegliśmy, że trawy stepowe zaczęły się zmniejszać, stawały się coraz mniej bujne i gęste, aż wreszcie pozostały tylko krzaczki

¹⁸*buz* — wódka z kwaśnego mleka kobyłego. [przypis autorski]

¹⁹*araka* — wódka z kwaśnego mleka krowiego. [przypis autorski]

o czerwonych, jakby krwią nalanych; miękkich łądygach. Były to różne gatunki *Salicornia*, charakteryzujące gleby przesycone solą. Potem i ta trawa znikła, i pozostał zupełnie czarny step, pokryty, jak szronem, kryształami soli. Był to tak zwany na Syberii *Solonczak*.

W pobliżu tego martwego stepu spotkałem pierwsze stare mogiły tubylców-nomadów. Mogiły te, jak dowiódł znany etnograf i archeolog rosyjski, Adrianow, zamordowany w Tomsku przez rząd Sowieków w r. 1920, są pozostałością po tubylcach Ujgurach, którzy koczowali tu jeszcze przed najściem Dżengiza-Chana.

Były to niegdyś kopce, już zapadnięte, ale jeszcze otoczone, jak zwykle, czterema lub sześcioma kamieniami, wysokimi płytami lub słupami, monolitami z piaskowca dewońskiego, przywożonego nieraz z bardzo dalekich miejscowości, jak to widziałem na rzece Tubie i w stepach pomiędzy Tubą a rzeką Abakanem, dopływami Jeniseju. Te mogiły, czyli tak zwane *dolmeny*²⁰, ciągną się długim szeregiem i giną gdzieś na horyzoncie.

Na niektórych monolitach widniały jakieś znaki; były to znaki runiczne, napisy w piosniewi pierwotnej, w najstarszym alfabecie ludzkości, która nie tylko usiłowała porozumiewać się na odległość, przysyłając takie pisma na deszczułkach czy na korze brzozej lub sosnowej, lecz i pozostawiła po sobie wspomnienie przyszłym pokoleniom na kamieniach.

Wtedy powierzchownie tylko oglądałem dolmeny i monolity, z którymi w dalszej podróży zapoznałem się bliżej i lepiej, gdyż przejeżdżałem przez kraj mogił, przez olbrzymi, historyczny cmentarz całych szczepów i ludów, które ciągnęły przez niezmierzone przestrzenie Azji, gnane jakąś niewidzialną ręką na Zachód, na podbój Europy, na zagładę cywilizacji chrześcijańskiej.

Wreszcie w ramie czarnego, cuchnącego błota, pokrytego plamami soli, zabłysnęła przed nami powierzchnia Szunetu. Na słońcu skrzyła się cała, aż raziała oczy.

Żadnego ptaka nie można było dostrzec na brzegach jeziora. Było ono martwe, ale umierało pięknie! Na jego powierzchni tworzyły się kryształy soli, skrząc się jak diamenty, łączyły się z sobą, tworząc całe kry z soli, i opadały na dno, formując gruby pokład soli i coraz bardziej wypełniając cały basen znikającego w ten sposób jeziora.

Grzęznąąc w czarnym, cuchnącym błocie na brzegu, zbliżyliśmy się z Hakiem do jeziora, aby wziąć próbki wody do badań chemicznych i zrobić pomiary temperatury. Gdyśmy podeszli do samego jeziora, zdziwiliśmy się, spostrzegłszy, że jest ono otoczone szeroką na jedną stopę ramą o gorącej, koralowo-szkarłatnej barwie. Nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, schyliłem się nad tą czerwoną obwódka i stwierdziłem, że składała się ona z warstwy jakichś czerwonych istotek, już nieżyjących, od gnicia których w powietrzu unosił się niemiły, mdły zapach.

Zebrałem sporo trupów tych żyjątek do flaszki i zacząłem wlewać do zbiornika wodę z jeziora. Naraz spostrzegłem, że w zbiorniku szklanym pływają jakieś koralowe, malutkie raczki, nie większe nad pięć milimetrów, bardzo szybkie w ruchach i bardzo delikatne, gdyż po paru minutach już ginęły.

Późniejsze badania biologiczne dowiodły, że był to ostatni rodzaj żyjących w Szunecie istot — raczek *Artemia salina*. Poza nim żyły tam jeszcze tylko bakterie *Beggiatoa*, zabijające resztki życia w jeziorze i same ślepo dążące do zguby.

Posłałem Haka, aby spróbował, czy jezioro jest głębokie. Hak rozebrał się i wszedł do wody. Po chwili, gdy był dość daleko od brzegu, zawołał:

— Idzie się, jak po szkłe!

To mnie zaciekawiło i, rozebrawszy się, poszedłem za nim. Rzeczywiście, dno Szunetu było twarde i gładkie, jak polerowany kryształ lub marmur, złożone z warstwy soli, od wieków opadającej z powierzchni jeziora; pod wpływem promieni słońca i wiatrów, powodujących parowanie wody i czyniących ją coraz to bardziej skoncentrowaną, sól osadzała się prawie przez pół roku.

Obeszliśmy całe jezioro, które miało okrągłą formę i zawierało prawie zupełnie czystą sól kuchenną; w twardej warstwie, leżącym na dnie, było jej 99.85%. Wreszcie, korzystając z upalnego dnia, postanowiliśmy się wykapać, chociaż jezioro było zupełnie płytkie, niegłębsze nad trzy stopy.

Z tą kąpielą mieliśmy dużo kłopotu!

²⁰dolmen — prehistoryczny grobowiec wykonany z głazów. [przypis edytorski]

Gdyśmy się chcieli zanurzyć, nie mogliśmy tego uczynić, gdyż woda nas wyrzucała, jak wyrzuca puste butelki, szczególnie zakorkowane. Chcieliśmy pływać, z tym też była niemała uciecha, ponieważ leżeliśmy na wodzie, prawie się w niej nie zanurzając, tak, jak gdybyśmy się umieścili na podłodze. Tylko ta podłoga była jakaś nietrwała, obsuwała się i kołysała pod nami. Przewalaliśmy się na niej z boku na bok, z piersi na plecy.

— Do diabła! — krzyknął wreszcie Hak, śmiejąc się głośno. — A to dopiero skandal! Najgorzej, kiedy o człowieku powiedzą, że jest głupi jak korek. A tu się czuję, jak najprawdziwszy korek, pływający na wodzie. Czyż i rozum mam korkowy?

Hak istotnie miał najzupełniejszą słusność. Ciała nasze w swojej wadze były w takim stosunku do wody Szuneta, jak korek do zwykłej wody.

Nie udało nam się wykąpać, ale za to uczyniliśmy jedno ciekawe spostrzeżenie.

Zauważyliśmy mianowicie, że na jednym z brzegów jeziora coś się rusza, kierując się w naszą stronę. Czarny punkt zbliżał się, sunąc ku nam po powierzchni. Siedząc w wodzie, przyglądaliśmy się temu zjawisku. Naraz Hak skoczył na równe nogi i wrzasnął:

— Uciekajcie czym prędzej!

Mimo woli poszedłem za jego przykładem i odbiegłem na bok. Wtedy ujrzałem ogromnego pająka — tarantulę, który kroczył na długich, kosmatych nogach po wodzie, wcale się w niej nie pograżając. Szedł jednak ostrożnie, gdyż woda się pod nim uginała, więc był trochę przerażony i niezadowolony. Sunął groźnie, wystawiając macki i wznosząc głowę do góry, gotów do napadu i obrony za pomocą swoich strasznych kłów trujących.

Przeszedł niedaleko ode mnie bardzo wojowniczo, jeszcze wyżej wzniosłszy głowę, jak gdyby uprzedzając:

— Nie radzę mieszać się do cudzych spraw!

Z szacunkiem odprowadziliśmy wzrokiem tego olbrzyma, który powoli oddalał się w stronę przeciwnego brzegu.

Wyszedszy wreszcie z wody, od razu krzyknęliśmy, gdyż poczuliśmy ostry ból całej skóry. Zdawało nam się, że tysiące igieł wpija się w nasze ciało. To woda jeziora słonego tak wyżarła nam skórę. Po paru minutach ciała nasze, od szyi aż do stóp pokryły się cienką warstwą skryształizowanej soli, która odpadała z nas kawałkami przy zginaniu stawów i gwałtownych ruchach.

— To zupełnie tak wygląda — śmiał się Hak — jakby w nas ktoś wszystkie szyby powybił!

Znowu miał słusność dowcipny Hak.

Ostatecznie wszystkie „szyby” z nas wyleciały, ale za to została zjedzona przez sól skóra, podrażniona i boląca, czerwona, jak od oparzenia. Przez kilka dni potem nie mogliśmy się pozbyć tego przykrego i dokuczliwego bólu.

Spędziliśmy z Hakiem dwa dni na brzegu Szunetu, czyniąc różne badania wody, soli i szlamu (błota) jeziora, łapiąc *Beggiatoa* i koralowe, szybkie raczki, zbierając rośliny i owady.

Robiłem również ciekawe spostrzeżenia nad tarantulami. Cała okolica była pełna ich nor. Są to zupełnie okrągłe dziury w ziemi, z dna których rozchodzą się w różne strony dwa dość długie korytarze. Jeden, dłuższy, jest domem mieszkalnym, gdzie się znajduje rodzinny *home* pająka; drugi, krótszy — jest fortem obronnym i warownym.

Stąd tarantula czyni napady na swoje ofiary i broni się przeciwko intruzom, dużym żukom brązowym, o twardych pancerzach i gruczołach, wydzielających cuchnący i odurzający płyn. Te żuki polują na tarantule i pożerają je. Pająk, gdy się broni przed napastnikami, buduje „zasięki kolczaste” z mocnej pajęczyny, w której się przeciwnik plącze, co ułatwia tarantuli atak i odparcie napadu. W końcu tego fortu pająk ma też niewielką sieć, do której wsadza i w której usidla ofiary porwane w trawie i zawleczone do nory.

Ten rodzaj pajaków grasuje w trawie i szybkim błyskawicznym ruchem rzuca się na upatrzoną ofiarę, którą albo uśmierca klami, albo wprost porywa, niesie do nory i przechowuje żywą, trzymając w sieci. Widziałem jedną norę, w której było pięć dużych liszek, uwięzionych za kratami z mocnej pajęczyny.

Ukąszenie tarantuli jest bardzo bolesne, gdyż ugryzione miejsce straszliwie puchnie, powodując znaczną gorączkę w całym organizmie. Opowiadano mi, że ludzie, którzy zaniedbywali opatrunku po ugryzieniu przez tarantulę, dostawali zakażenia krwi i umierali.

Najstraszliwszym wrogiem tarantuli jest owca. Kpi sobie z jadowitych kłów pająka i zapuściwszy swój ozór do jego nory czeka, aż pająk wpije się weń i uczepi się go wszystkimi łapami. Wtedy, czując widocznie miłe lechtanie, rozkosznie mruży oczy i łyka rozwścieczonego pająka tak, jak się łyka ostrygę *blue point* albo *cold spring*, tylko naturalnie bez cytryny lub ostrego sosu.

Polecilem Hakowi, aby mi nałowił tarantul jak największych i jak najlepszych. Dałem mu na ten cel duży szklany słoik z korkiem. Mój towarzysz pracy podjął się tej dostawy bardzo chętnie, gdyż w ogóle robił wszystko z ochotą i dobrym humorem.

Trzeba zauważyć, że wszyscy trzej zbiegowie byli stale pogodni, pracowici i usłużni.

Raz tylko zauważyłem, że siedzieli w swoim pokoju na Sziro ze smutnie spuszczoneymi głowami i coś szeptali do siebie.

Zapytałem ich o przyczynę smutku. Odpowiedział mi za wszystkich Trufanow, który wtedy pełnił obowiązki kucharza dla całej naszej ekspedycji.

— E-e! — westchnął głęboko. — Co tu gadać, panie? Łatwo się domyśleć. Jesteśmy teraz ludźmi, jak inni, nikt nas nie ma za dzikie zwierzęta, potwory i wyrzutki ludzkości, bo bronicie nas swoimi czystymi i szanowanymi imionami. Ale to nasze „prawdziwe” życie prędko się skończy. Wy stąd wyjedziecie, a my jednocześnie damy nura po dawnemu do odludnych wąwozów, do nor w skałach i pod ziemię, do lasów, do krzaków na niedostępnych bagnach! Znowu obrócimy się w wilków, ściganych przez wszystkich. Pójdziemy na głód, choroby, mękę i poniewierkę! Niech to diabli wezmą! Nie warto tak dłużej żyć!

Skończył i głowę spuścił w głębokiej zadumie.

Reszta też milczała. Po chwili jednak odezwał się Hak, jakimś nieznanym mi, ponurym głosem:

— Trudno! Życie tkwi w nas jeszcze, a więc trzeba żyć, choćby po wilczemu...

Sierńka na te słowa podniósł swą drapieżną głowę i zamruczał:

— Mam jeszcze porachunki ze świadkami. Nie wykrztuszę duszy, póki nie zobaczę ich zdychania... Będę żył na ich niedolę, na ich czarną godzinę! Ale wszyscy będziemy wspominać was i żałować, że się rozstajemy!

Takie myśli snuły się po głowach tych naszych niezwykłych towarzyszy na Sziro.

Hak, wzięwszy słoik, poszedł na tarantule. Widziałem, że wpakował do kieszeni od spodni butelkę z wodą.

— Pić będziecie wodę? — spytałem zdziwiony, wiedząc, że Hak z obrzydzeniem mówił o zimnej wodzie, uznając tylko wódkę lub herbatę, jeżeli była gorąca, a co najważniejsze, gdy jej było bardzo dużo.

— Nie! To dla wypędzenia tarantuli z nory — odparł. — Do dziury wleję trochę wody, a zmoczony pająk, który jak ja nie lubi zimnej wody, wylezie na powierzchnię ziemi, ja zaś natychmiast zaproszę go do słoika.

Tak też i robił Hak, chodząc po stepie, wyszukując nory i wyganając z nich pająki.

Po godzinie powrócił, niosąc słoik do połowy napełniony pająkami. Czarno tam było od skłębionych, ciemnych, kosmatych ciał tarantul. Siedziały cicho, przerażone i wyciekające. Postawiliśmy słoik na ziemi i przyglądaliśmy się im ciekawie. Czulem wyraźnie, że wszystkie oczy pajęcze bacznie i z nienawiścią wpatrywały się we mnie. Chciałem załać je spirytusem, aby zakonserwować dla naszych kolekcji, lecz Hak złapał mnie za rękę i zawołał:

— Niech się pan wstrzyma! Zobaczycie pan ładną hecę! A później ja wam nałapię nowych pająków, ile zechcecie.

— Cóż to ma być? — pytałem.

— Nie powiem! — zaśmiał się. — Sami — zobaczycie! Powiadam wam — heca, skandal, a bardzo do ludzkich hec i skandali podobne!

Znowu się zaśmiał, a w głosie jego brzmiały pogarda i szyderstwo.

Zacząłem więc przypatrywać się pająkom. Leżały one grubą warstwą, nieruchome, szeroko rozłożywszy długie nogi. Czasem tylko jedna z nóg drgała i drapieżnie się kurczyła. Trwało to przez kilka minut, aż nagle skądś, z samego dna, roztrącając wszystkie pająki, wydoستاła się na wierzch olbrzymia, zupełnie czarna tarantula. Stała na grubych nogach i groźnie wzniosła do góry macki i głowę. Jeszcze chwila, i nagle gwałtownym ruchem wpadła na najbliższą sąsiadkę i wbiła w nią kły. Kilka drgań bezradnych, kilka

Walka

coraz wolniejszych i słabszych ruchów nogami i... koniec! W słoiku dokonana została pierwsza zbrodnia.

Jak wściekła, ciskała się tarantula, raniąc i zabijając inne. To podnieciło i rozjuszyło resztę. Wszystko się zakotłowało w ciasnym słoiku. Nie można było rozróżnić poszczególnych pajaków. Zbiły się w kupę, splotły z sobą, miotały, skakały i ciężko padały na ruchomą masę czarnych ciał, rażąc i otrzymując ciosy. Już kilka trupów bezwładnie leżało na dnie, potrącane, tratowane i gryzione przez rozszalałych zapaśników. Leżała bez życia pierwsza zbrodniarka, której rozpruto brzuch i oderwano dwie nogi w ogólnym zgiełku bitwy. Nagle zobaczyłem dużego, rudego pajaka, który chyłkiem wygramolił się z tłumu walczących i, wskoczywszy na ich miotające się grzbiety, dał susa do góry. Tu w wąskiej części słoika wparł się w jego ściany i zawisł, kołysząc się na długich nogach pokrytych rudym włosiem. Pod nim wrzała dalej walka na śmierć i życie.

— To młoda tarantula! — zawołał Hak. — Młoda a chytra, jak każdy rudy.

Rudy pajak długo wisiał. Wisiał do chwili, gdy ostatni z zapaśników, leżąc już po otrzymanych ciężkich razach, słabo poruszał nogami. Wtedy rudy zeskoczył na dół, dobił ostatniego żyjącego i bez żadnych skrępowań zaczął go zjadać.

— No! — zawołał Hak. — Czyż nie tak samo bywa wśród ludzi w wielkich słoikach — miastach?

Mimo woli uśmiechnąłem się. Porównanie było trafne.

Hak, już nic nie mówiąc, otworzył słoik, wytrząsnął ciała tarantul na trawę i, widząc zmykającego rudego pajaka, mruknął:

— Zmykaj, przyjacielu! Do ciebie należy życie, bo masz spryt...

Rzekłszy to, poszedł po nowe tarantule.

Powrócił, gdy już było ciemno, i zaczął przyrządzać herbatę i gotować zupę przy ognisku. Tymczasem zalałem spirytusem prawie pełny słoik z tarantulami i sporządziłem dziennik rekonesansu.

Przy kolacji Hak, spoglądając na stojący preparat z pajaków, zaczął opowiadać jedną ze swych licznych historii.

— Pewnego razu chciałem przemknąć się po ucieczce z więzienia z Aczyńska do Turkiestanu. Gdzieś w stepach kirgiskich, zdaje się, koło jeziora Bałchasza, w zupełnie odludnym ustroniu, natrafiłem na chatę pewnego człowieka. Nie był on ani Kirgizem, ani Rosjaninem, kim zaś był — właściwie nie wiem. Wiem tylko, że po rosyjsku mówił źle i nie lubił nic o sobie opowiadać. Spędziwszy u niego kilka dni, zauważyłem, że po zachodzie słońca wychodzi z domu i powraca późno, dźwigając coś dużego pod połą sukmany. Budząc się w nocy, widziałem go przy piecu, pochylonego nad dużym garnkiem, w którym coś gotował.

— Kiedyś do naszego schroniska przyjechało kilku jeźdźców. Byli to Kirgizi i Sarci, i jeszcze jacyś tubylcy z Turkiestanu. Zdziwiło mnie to, że byli uzbrojeni, gdyż wiedziałem, jak surowo władze rosyjskie prześladowają tubylców azjatyckich za noszenie broni. Domyśliłem się, że byli to rozbójnicy, poczułem więc do nich sympatię. Oni też, dowiedziawszy się, że jestem „mięsem więziennym”, stali się rozmowni i szczerzy. Rychło dowiedziałem się, że są to parobcy kilku właścicieli zajazdów na drodze z Buchary do Krasnowodska. Właściciele ci rabowali kupców, powracających do Buchary i Chiwy po sprzedaży bydła, koni, jedwabiu i wełny firmom rosyjskim w Krasnowodsku. Rabowali dziwnie. Ponieważ kupcy mieli zawsze z sobą oddziały zbrojne, robili to w sposób następujący. Dodawali do trunków tak zwanego „wina tarantulowego”, które się przygotowuje z tarantul, przed śmiercią doprowadzonych do wściekłości, potem zaś zalewanych spirytusem i poddawanych długiemu gotowaniu z przeróżnymi jagodami i ziółkami. Wino to ma barwę zielono-brunatną i wstrętny zapach. Kilka kropel wina tarantulowego, dodanych do innego napoju, powoduje prawie natychmiastowe zemdlenie, które przechodzi po paru godzinach, zostawiając jednak po sobie długo trwający obłąd, zatracenie pamięci i nieprzytomne ruchy i słowa. W trakcie zemdlenia właściciel zajazdu rabuje kupca i jego ludzi, później zaś parobcy wywożą ich daleko w step i tam pozostawiają. Najczęściej ofiara nie może sobie uprzytomnić, co się z nią stało i gdzie była ostatnio. Na tym się kończy cała przygoda. Jeżeliby zaś zrabowany przypomniał sobie cały przebieg sprawy i przybył ze swymi ludźmi, aby upomnieć się o zgubę, to w zajazdzie też dają sobie z nim radę, wysyłając przeciwko pokrzywdzonemu uzbrojonych parobków, których werbują pośród

Miasto

Truczna

ściganych zbrodniarzy, awanturników i innych „głów zatraconych”. Tacy to ludzie przybyli do samotnej chaty, gdzie się ukrywałem. Pan już się pewno domyślił, że właściciel chaty był fabrykantem „wina tarantulowego”. Straszne to rzemiosło, a jednak widziałem, że czynił on wiele dobrego. Z różnych stron ziemi kirgiskiej i z Siedmiorzeczca przybywali do niego chorzy na łamanie w kościach. Przybywali z opuchniętymi nogami i rękami, skuleni w kabłąk, ledwie suwając nogami. Ten fabrykant wina trującego wszystkich leczył chętnie i bezinteresownie. Dawał do picia jakąś trawę, dolewał do tego płynu swego straszliwego wina, które wtedy wcale nie działało tak odurzająco: kazał leżeć na słońcu, i po kilku dniach pacjenci, prawie już zdrowi, dziękując mu, odjeżdżali. Odwdzięczali mu się nie podarkami, lecz w inny sposób. Donosili mu mianowicie, kiedy i gdzie ma przejeżdżać naczelnik policji, sędzia lub inny urzędnik, aby „lekarz” miał się na baczności. Dzięki takiej pocztce byłem tam zupełnie bezpieczny, mogąc zawczasu zniknąć, jak kamfora, gdyby do naszej fabryki zawitał gość nieproszony. Prawie pół roku pomagałem swemu gospodarzowi fabrykować „wino tarantulowe”, za które mu drogo płaciły zajazdy zbójckie, nauczyłem się drażnić pająki rozpalonym drutem i poznałem wszystkie ich obyczaje.

— Dlaczegoż porzuciliście to schronisko? — spytałem Haka.

Machnął ręką i rzekł niechętnie:

— Wszystko się stało przez kobietę!

— Opowiedzcie! — poprosilem.

— Historia prosta! — rzekł — Żądza nagłego dużego zarobku zgubiła i mego przyjaciela, i mnie. Było to tak! Przyjechała do nas nieoczekiwanie jakaś dobrze ubrana pani. Zamknęła się z właścicielem domu, i długo o czymś rozmawiali. Zaniepokojony i zaciekawiony zacząłem podsłuchiwać. Wkrótce usłyszałem głos przybyłej pani. „No, już zgoda! — mówiła — dam wam wszystkie pierścionki i jeszcze tysiąc rubli, byle tylko działało natychmiast!”, „Niech pani nie wątpi” — mruczał mój przyjaciel swoją łamaną mową. — „Wleje pani mężowi przed obiadem dziesięć kropel, i będzie to dla niego ostatni obiad. Niech mnie piorun zabije, jeżeli się mylę!”. Pani odjechała, urządziła dla męża „ostatni obiad”, lecz widocznie nieudolnie, gdyż sąd domyślił się zbrodni, zaarrestowano ją, a ona wyśpiewała, skąd otrzymała truciznę. Wpadła na nas niespodziewanie policja, jak jastrząb na kurczęta, i gdyśmy już byli związani i wsadzono nas na wóz, aby odwieźć do więzienia, przyleciał nagle „pacjent” mego przyjaciela z doniesieniem, że policja przejechała o kilka kilometrów od jego chaty. Spóźniona była to nowina, bo wiedzieliśmy namacalnie, że policja podjechała znacznie bliżej do naszego ustronia. Długo potem włóczono nas po więzieniach. A wszystko przez kobietę!...

Zamilkł, zapalił fajeczkę i wstając, rzekł:

— Już czas spać, panie!

Ów „dzień tarantulowy” wywarł jednak na mnie wrażenie. Długo przewracałem się z boku na bok na swym grubym wołoku, i myślałem, że nie bardzo będzie przyjemnie, jeżeli spod mojego posłania wylezie z jakiej nory czarna, kosmata tarantula i dźgnie mnie w nogę. Paskudna sprawa! Nie podobały mi się te złośliwe i wstrętne rozbójniki stepowe! Godziłem się tylko z tymi, z których zrobiłem w moim słoiku „tarantulowe wino”, oczywiście nie dla jakiejś pięknej pani lub bandyckiego zajazdu, lecz dla kolekcji zoologicznej.

Hak posłyszał, że nie śpię i głosem sennym zapytał:

— Nie śpicie?

— Nie mogę! — odpowiedziałem. — Boję się pajaków.

Ziewnął głośno i odparł:

— Nie bójcie się, bo na *koszmę* (wojłok) z wełny owczej żadna tarantula nie ośmieli się wpełznąć. To już wypróbowano miliony razy.

Hak zachrapał jak dziki koń.

ROZDZIAŁ VIII. HISTORIA O MOGIŁACH I NAGROBKACH

Długo jeszcze, bo aż dwa miesiące przecinaliśmy w różnych kierunkach stepy Czulymo-Minusińskie. Zwiedzaliśmy i badali jeziora z solą kuchenną, jak Forpost i Czarne, gdzie były pierwotne zakłady dla wyparowywania soli z wody; jeziora z sodą, jak Gęsie, i Sale-

trzone, z solą glauberską²¹, podobne do Szira, i cały szereg innych; zwiedzaliśmy pokłady rudy miedzianej w kopalni Julia, gdzie pracowali Anglicy, oraz rudy żelaznej i manganowej, i posuwaliśmy się coraz bardziej na południe w stronę obwodu Minusińskiego lub wschodnich odnóg Wielkiego Altaju. W miarę tego, juk zagłębialiśmy się w stepy Czulymskie, kierując się lewym brzegiem Jeniseju, spotykaliśmy coraz to częściej liczne duże i małe dolmeny. Czasem widzieliśmy na swojej drodze ogromne ich zbiorowiska, były to *horodyszcz*, czyli masowe mogiły dawnych tubylców, których tu spotkała jakaś katastrofa.

Ten kraj, gdzie koczują ze swymi stadami Tatarzy szczepu abakańskiego, stał się ogólnym cmentarzyskiem historycznym. Tatarzy-Oguzy, Ujgurowie, Sojoci, Chałchascy, Olety, Dżungary i tysiące innych koczowników, mrowie ludzkie, zrodzone w szerokim łonie Azji, tej matki ludów — wszyscy dla różnorodnych przyczyn i celów przeciągali przez te bezbrzeżne stepy z przebiegającym przez nie czerwonym grzbietem Kizyl-Kaja i jego odnogami, które zlewały się na stronie południowo-zachodniej z górami Altajskimi. Tędy wędrowały hordy Dżengiza-Zdobywcy, Tamerlana Chromego, groźnego Gundżura i ostatniego potomka Wielkiego Mongoła — Amursan-chana. Jeszcze dawniej dążyli tymi szlakami kupcy i oddziały zbrojne z Babilonu, Ekbatany i wojowniczy awanturnicy z północnych stoków Pamiru.

Wszyscy pozostawiali po sobie pamiątki, groby zmarłych i zabitych, oznaczone czerwonymi monolitami dolmenów. W tych historycznych mogiłach znaleźć można miecze, strzały i siekiery z brązu i żelaza, miedziane i srebrne wędzidła końskie, strzemiona, złote sprzączki uzd i kolczyki niewieście i tylko z rzadka czaszki i kości ich właścicieli i właścicielek, bo czas i natura już pochłonęły na zawsze owe szczątki ludzkie.

Wśród jednostajnych, mniejszych lub większych dolmenów wznosi się czasem dumny, arogancki stos, złożony z kamieni, z wetkniętą na szczycie płytą z piaskowca. Są to kurhany pozostawione przez krwawego Dżengiza-Temudżyna. Wznosił on je na miejscach bitew z tubylcami, nad grobami swych potomków, wodzów i bojowników, znaczył z ich pomocą swój krwawy szlak wielkiego zdobywcy. Do dnia dzisiejszego są one drogowskazami od Uralu do... Pekinu i Taszkientu, są wiechami dla obliczenia przestrzeni w stepach, przez nikogo nie zmierzonych.

— Jak daleko do koczowiska Asu! — pyta podróżnik spotkanego Tatara-pastucha.

Tatar zamyślił się i odpowiedział:

— Tyle, ile wypadnie pięć razy wzięta przestrzeń od małego Dżengiz-kurhanu do Kara-Dżengiz-kurhanu. (Czarny kurhan Dżengiza).

Tak się mierzy drogi stepowe, i takie mają znaczenie te krwawe, prastare ślady wielkiego twórcy państwa mongolskiego.

Wrażliwy podróżnik czuje, że nad tymi grobami i oceanem trawy stepowej unoszą się cienie dawno zmarłych bohaterów i męczenników, a gdzieś wysoko na tle bezbarwnego, niebiesko-szarego nieba jeszcze nie zgasły łuny pożarów i nie umilkły groźne głosy wojny i mordy. Zdaje się, że każdy kamień tych grobów ma swoją historię czy legendę, i że na nim czas nie zatarł jeszcze śladu palców zbroczonej krwią dłoni, która ważyła losy mrowia ludzkiego, odbywającego przez te przestrzenie bezgraniczną swoją tułaczkę dziejową. Może tej lub owej płyty kamiennej dotykał ten, który w kilka lat później był postrachem Europy wschodniej, a pod tym słupem z czerwonego piaskowca siedział w zadumie wódz, który na wielkim *Kurultaju*²² porwał za sobą tysiące koczowników spod odwiecznego muru chińskiego i zawiódł je aż nad Dniepr, krwią i ogniem zalewając ziemię i łzami jeńców i branek przepelniając rzeki i potoki?!

Ze wzruszeniem lub zgrozą wyczuwałem wyraźnie dzieje owych miejsc, dzieje, po których pozostały groby i legendy, przemawiające głosami surowych bojowników lub szlochaniem i tęsknotą ofiar! Zdawało mi się, że trawa szepce nieznanne opowieści o czasach dawno minionych i o spoczywających pod dolmenami ludziach, a kamienie monolitów w napięciu straszliwym wysilają się, aby wypowiedzieć imię bohatera, który znalazł miejsce ostatniego spoczynku na tym szlaku ras, narodów i szczepów.

²¹*sól glauberska* — siarczan sodu, stosowany jako środek przeczyszczający. [przypis edytorski]

²²*Kurultaj* — rada, sejm, wiec. [przypis autorski]

Jakiś smutek i rozrzewnienie mnie ogarniało, gdym się błakał wśród monolitów, domienów i horodyszcz, a dusza moja wołała:

— Gdzież jesteście, wy wszyscy, którzy przyszlście tu znad brzegów Eufratu, Tarimu, Kerulenu, Żółtej rzeki? Wy, którzy byliście zrodzeni pośród gór Kwen-Łunia, Pamiru, Tiań-Szania, Wielkiego Chingana i leśnego Tannu-Olu? Czy pamiętacie cele i dzieje swego życia? Ukojenie lub mękę wieczną znaleźliście w nieznannej krainie, dokąd przybył wasz duch, gdy ciało wasze pochłonęła ziemia, upiększona na waszą cześć czerwonymi płytami i słupami dolmenów? Dlaczego milczeniem zbywacie trwożne pytanie duszy żyjących? Dajcie znak, że pozostało po was coś lepszego i trwalszego od ciała i kości, co zniknęły bez śladu!

Takie myśli błakały mi się po głowie, gdym oglądał kamienie starych grobów nieznanych tułaczy dziejowych. Większość słupów i płyt była gładka, na innych znów widziałem napisy runiczne, jakieś kółka, trójkąty, kwadraty, zygzaki, strzały i punkty, rozrzucone w nieładzie; czasem coś przypominającego pisownię indyjską lub tybetańską, misterną a zawilg. W innym miejscu wiązane pismo, jak koronka alfabetu mongolskiego, dalej znowu znaki na kształt klinów asyryjskich, babilońskich. Wszystko to niezbadane, tajemnicze i pociągające możliwością nowych odkryć historycznych i etnograficznych.

Znalazszy wspaniały, olbrzymi dolmen, postanowiłem go sfotografować. Było to w pobliżu Czarnego jeziora, gdzie spędziliśmy dwa dni, oglądając dość duży zakład wyprężania soli z wody jeziora. Dolmen leżał w niewielkiej kotlinie, otoczonej pagórkami, pokrytymi odłamkami czerwonych piaskowców dewońskich i kawałkami zielonej rudy miedzianej. Był to wspaniały dolmen! Szesnaście dużych, ośmiostopowych słupów otaczało mogiłę. W środku dolmenu zachowały się jeszcze ślady kopca. Na północnych kamieniach wykryłem jakieś znaki runiczne, często się powtarzające. Głęboka cisza zalegała tą kotlinę, i nic jej nie mąciło. Czułem się tak, jakbym był w Świątyni lub w obliczu otwartego grobu z umarłym. Cicho, bez szmeru przepelznął i znikł w trawie wąż, mignęła chyża jaszczurka, bez szelestu i odgłosu, tajemnicza, a pełna życia, jak widmo dzienne. Zrobiłem dwa zdjęcia tego dolmenu, fotografując go z różnych stron. Gdy składałem swój aparat do futerału, nadjechał pastuch-Tatar.

Zapytał, co tu robisz, pokiwał smutno głową, zszedł z konia i usiadł przy mnie.

Zacząłem rozmowę. Pastuch wcale się nie interesował dolmenami. Natomiast wspomniiał, że niedaleko od nas przechodziła „ścieżka *bogadyra*”, czyli mocarza. Poprosiłem, aby mi ją pokazał. O trzysta kroków od dolmenu przechodził rów głębokości pięciu stóp, prowadzący aż na brzeg Jeniseju. W nadbrzeżnych górach rów ten szedł aż na ich szczyt, spuszczał się stokami do samej wody, która, wirując, mknęła tuż pod skałami słojącymi pionowo do rzeki. Wskazując ręką rów, urywający się na skraju skał, wiszących nad prądem, Tatar opowiadał:

— Dawno, bo jeszcze przedtem, zanim przyszli tu z Abakanu nasi Tatarzy, w stepach koczowały jakieś plemiona pod dowództwem starego księcia Guna. W pewnej potyczce Gun został zabity. Syn pochował go na szczycie gór, otaczających jezioro Kara-Kul, że zaś nie było tam twardych, czerwonych kamieni na grobowiec, każdego poranku wychodził na brzeg Jeniseju, odrywał te czerwone płyty i przed nocą przynosił je na mogiłę, chociaż od jeziora był prawie dzień drogi, a kamienie były duże i ciężkie, o! cięższe od dwóch byków. Taki to *bogadyr* był ten syn starego księcia! To on właśnie, dźwigając wielki ciężar i chodząc szybko, jak dziki kozioł, wycisnął swymi potężnymi stopami tę ścieżkę *bogadyra* i tu, na miękkim stepie, i tam — w skałach!

Takie opowiadania o ścieżkach, wydeptanych w skałach przez silaczy tatarskich, słyzałem kilkakrotnie w innych okolicach, a zawsze w tych podaniach figurował syn, znoszący z daleka kamienie na grób ojca. Jest to widocznie danina, jaką poezja ludowa składa przywiązaniu synowskiemu. Jednak ten temat poruszają wyłącznie tubylcy z Jeniseju, Tuby, Amyłu i Abakanu. Dalej na południu i na wschodzie podobnych opowieści już się nie spotyka.

Tegoż wieczoru zacząłem wywoływać klisze fotograficzne ze zdjęciami dolmenu. Jakież było moje zdziwienie, gdy na płytach nic nie znalazłem. Były one nienaruszone. Nazajutrz rano poszedłem znowu do dolmenu na nowe zdjęcia, przedtem zaś w nocy do kaset aparatu włożyłem świeże klisze Lumière'a, otworzywszy nowe pudełko. I znowu

Grób, Siła

na kliszach nic nie znalazłem! Robiłem różne przypuszczenia co do przyczyn tego zjawiska. Klisze były świeże i dobre, aparat działał sprawnie, a więc przyczyn należało szukać w warunkach zewnętrznych. Jedna tylko hipoteza mogła mieć rację bytu, a mianowicie przypuszczenie, że w kotlinie, gdzie się znajdował dolmen, istniało rzadkie, ale możliwe zjawisko interferencji promieni. Zagasłe fale świetlne nie działały na klisze fotograficzne. Takie objaśnienie na razie zadowoliło mnie, uspokoiłem się i postanowiłem nie tracić więcej klisz na ten dolmen. Objazdzając smętne okolice Czarnego jeziora i badając porzucane w różnych miejscach mineralne źródła sodowe i pokłady rudy miedzianej, spotkałem pewnego razu grupę jeźdźców tatarskich, a wśród nich jednego *muedzyna*, czyli kapłana-mułłę²³. Jechaliśmy dość długo razem, Tatarzy wypytywali mnie o życie w innych krajach, ja zaś ze swej strony czyniłem to samo, interesując się ich życiem.

Muedzin, czyli *mułła*, jako nieco bardziej wykształcony, opowiadał mi o epizodach historycznych, przeważnie z epoki pochodu Mongołów do Europy i wspominał przy tym o nieznanym mi fakcie:

— Kiedy Dżengiz-chan²⁴ przedostał się Amyłem, Kiemczykiem i Abakanem na najsze stepy — zaczął mułła opowieść — wtedy koczowali tu waleczni Ujgurowie. Były to już resztki wielkiego narodu, który niegdyś panował nad całą Azją i założył największe w świecie imperium koczujące. Gdy się ono rozpadło, resztki niedobitków ujgurskich, po przejściu przez góry Sajańskie i Ałtaj, ukryły się w tych stepach, gdzie koczowały, mając na czele chanów, potomków wielkich władców ujgurskich. Kiedy hordy dżengizowe wdarły się na stepy, mordując opornych, wycinając stada i tabuny, panował tu ostatni chan ujgurski, Abuk.

— Chan posłał do Dżengiza dwóch jeźdźców z prośbą, aby wielki wódz przeszedł przez stepy spokojnie, nie krzywdząc ludności. Dżengiz jednego z jeźdźców stracił, bo był to syn Abuka, drugiego zaś przekupił bogatymi darami, namówiwszy go, aby zapewnił Abuka, że Dżengiz ze swą hordą przejdzie prawym brzegiem Jeniseju. Jeździec, który był powiernikiem chana, zdołał go uspokoić i ten nie przygotował się do obrony. Dżengizowe pułki napadły go nocą i zwyciężyły. Abuk został wzięty do niewoli i stracony. Gdy szedł na śmierć, zawołał: „Nienawidzę wszystkich i wszystko! Kto zabierze cośkolwiek z miejsca mojej śmierci, temu grozić będzie moja zemsta! Duch mój krążyć tu będzie, jak mgła jesienna”.

— Tak powiedział chan Abuk — ciągnął dalej mułła. — Dżengiz, zagarnąwszy jego mienie i bojowników, poszedł dalej, jak płomień niszczący. Pozostali Ujgurowie obstawili miejsce, gdzie zginął ich władca, czerwonymi kamieniami i wryli na nich słowa jego przekleństwa i nienawiści. Byli tu jacyś ludzie i chcieli zabrać kamienie z napisami, lecz jednego koń zabił, a drugi utonął, płynąc w czołnie przez rzekę. Nasi Tatarzy myśleli, że wielkie skarby ofiarne są złożone w grobie Abuka, i chcieli je wydobyć.

Gdy jednak zaczęli kopać ziemię, zjawiła się mgła, która ukryła przed nimi wszystko. Rydyle uderzały ciągle o kamienie, z których tryskały ogień i dym. Trzech Tatarów osłępiło, czwarty zabił się, schodząc ścieżką skalistą do rzeki... Był tu również przed kilku laty malarz rosyjski i chciał malować mogiłę Abuka-Chana, lecz uciekł stąd z przerażenia. Trzy razy przychodził, na próżno, gdyż ani razu nie widział kamieni grobu z powodu ciężkich oparów, które się nad nimi unosiły...

— Pokażcie mi ten grób! — zawołałem, gdyż lubiłem i lubię tajemnicze miejscowości, w których zawsze jest jakaś cząstka jeszcze niezbadanej prawdy.

— Właśnie będziemy przejeżdżali obok niego — odparł mułła — bo chcemy popasać na Czarnym jeziorze. Mamy tam *kunaka* (przyjaciela) — Rosjanina.

Jechaliśmy dalej, skracając sobie czas rozmową. Wreszcie jeden z Tatarów, który jechał na przedzie, odwrócił się na siodle i krzyknął:

— Grób Abuka-Chana!

Wydałem okrzyk zdumienia. Był to ten sam dolmen, którego nie mogłem sfotografować!

— Co u licha?! — myślałem. — Czyżby stary Abuk zasłaniał mi niewidzialną dłonią mój obiektyw Zeiss'a?

²³*mułła* — duchowny islamski. [przypis edytorski]

²⁴*Dżengiz-chan*, właśc. *Czyngis Chan* (zm. 1227) — twórca imperium mongolskiego. [przypis edytorski]

Natychmiast postanowiłem uczynić nową próbę. W nocy przygotowałem trzy kasety z kliszami, obejrzałem aparat, skontrolowałem go we wszystkich szczegółach i czekałem na poranek z takim samym uczuciem, z jakim zwykle przez noc wyczekuję na zajmujące i podniecające polowanie.

Nazajutrz o godzinie dziewiątej rano byłem już przy dolmenie. Słońce świeciło jaszkrawo. Czerwone monolity wydawały się płytami ze stali, rozpalonymi do czerwoności. Obszedłem cały dolmen, wybrałem trzy punkty i zrobiłem dwa zdjęcia błyskawiczne, jedno zaś wytrzymałem 20 sekund. Potem musiałem czekać do wieczoru, aby wywołać swe zdjęcia tajemnicze, wyrwane „nienawidzącemu wszystko i wszystkich” ujugurskiemu chanowi.

W południe przyszedł profesor i po obiedzie, zabrawszy mnie z sobą, rozkazał zawieźć się do dużej wsi, położonej na brzegu Jeniseju, skąd mieliśmy statkiem przepłynąć się znacznie na południe, dla badań pokładów soli, która przypuszczalnie miała być saletrą.

Powóz toczył się szybko po ubitym stepie, a za nami podążał wóz z robotnikami i z bagażami. Przed samą wsią z poza kamieni jakiegoś dolmenu wyskoczył pies. Konie się przelęknęły, targnęły powóz w prawą stronę i gwałtownie zawróciły. Nie spodziewając się szarpnięcia, wypadliśmy z powozu. Spadłem na kupę kamieni i zwichnąłem lewą rękę, którą od tego czasu mam słabszą i cieńszą, i rozbiłem aparat fotograficzny tak straszliwie, że obiektyw Zeiss'a i kasety z kliszami rozleciały się w kawałki.

Gdy się podniosłem, potłuczony, czując silny ból w ręku, nie mogłem się wstrzymać od okrzyku.

— Niech cię, Abuku, diabli w piekle przypieką za twoją głupią nienawiść!

Profesor, który podczas upadku zgubił binokle i stłukł zegarek, był bardzo zdziwiony i zaczął się dopytywać, co miał znaczyć mój wykrzyknik.

Opowiedziałem mu historię Abuka i moją „fotograficzną” z nim walkę.

Uśmiechał się, słuchając mego opowiadania, a potem powiedział:

— Ale to rzeczywiście nadzwyczajny zbieg okoliczności! Zawzięta to jednak osobistość ów pan Abuk.

Lecz ja byłem poturbowany, poszkodowany i zły.

Nigdy nie zapomnę tego przekłętą Ujgura.

Wiedział stary Dżengiz-Chan, za co stracić Abuka! Powinien był go tylko zmusić do podpisania zobowiązania, że nie będzie bandytą po śmierci!...

ROZDZIAŁ IX. ŻYCIE KOCZOWNIKÓW

Przez całe lato do późnej jesieni podróżowaliśmy stepami pomiędzy Abakanem a koleją Syberyjską. Zwiedzaliśmy lewy brzeg Jeniseju, gdzie koczują Tatarzy. Należą oni do szczepu Abakańskiego. Jest to szczep mieszany i składa się z resztek różnych narodowości mongolskich, które dążyły przez stepy i pozostawiały tu swoich ludzi. Tatarzy abakańscy z wielkim trudem poddają się wpływowi cywilizacji i pozostają na stopniu kultury XIII–XIV wieku, a był to wiek, który tak wybitnie zaznaczył się w ustroju społecznym i państwowym Azji.

Prawo Dżengisowe, czyli tak zwane „prawo stepowe”, pomieszane z przepisami Koranu, panuje tu wszechwładnie.

Autorytet starszyny, która rządzi i sędzi, jest niczym niezachwiany. Na ustroju rodziny odbijają się wszelkie cechy plemienia, prowadzącego wojowniczo-koczowniczy tryb życia, w którym kobieta jest przedmiotem rozrywki, czasami tylko chwilowej. Nie ma ona żadnej wartości, gdyż koczowniczy bojownik, który jutro może zginie w pierwszej potyczce, nie zamierza wcale kochać kobiety lub przywiązywać się do niej. Dziś ją posiada, nazajutrz porzuca bez żalu i wspomnienia, lub morduje nożem, aby się nie stała łupem przeciwnika, gdy musi uciekać. Kiedy zaś życie koczownika bywa nieco spokojniejsze, spogląda on na kobietę jak na *pałan*, czyli bydło robocze, i zmusza ją do ciężkiej pracy od wschodu słońca do północy, odmawiając jej nie tylko czystej, duchowej miłości, lecz nawet szacunku.

Jednak kobieta, ów szczyt marzeń mężczyzny, była przedmiotem pożądania wojowniczych koczowników, spędzających długie miesiące na wojnie i tułaczce. Bili się oni o kobiety z innych plemion, podejmowali dla ich zdobycia ciężkie i ryzykowne wyprawy.

Brak miłości i szacunku dla kobiety odbił się na stosunkach rodzinnych. Zawsze jest ona sługą, roboczym lub ciężarowym bydlęciem. Nic jej od tego losu nie ochroni, chyba przypadek!

Zwierzęcy pociąg do kobiety, do zdobycia jej tak, jak to było przed wiekami, ustalił szczególne zwyczaje przy wyszukiwaniu żony. Tatar wypatruje sobie żonę pośród córek swego znajomego, nie mówiąc o tym nic dziewczynie i nigdy z nią nie rozmawiając. Wkrótce przysyła ojcu podarki, a swat mówi do niego:

— Mój *kunak* (przyjaciel) jutro objedzie twoją jurcję na gniadym koniu i rzuci na ziemię związany rzemień.

— Powiedz swemu *kunakowi* — odpowiada ojciec lub brat — że jest on złodziejem, i że go kula nie minie, jeżeli nazajutrz po rzuceniu rzemienia, o wschodzie słońca, będzie szybko jechał w pobliżu naszego koczowiska!

Po tym sakramentalnym frazesie swat dostaje dary dla siebie i dla swego przyjaciela.

Młody Tatar spełnia obietnicę. Objężdża w milczeniu namiot i rzuca rzemień. Ojciec i matka przed wschodem słońca wiążą ręce dziewczynie i wyprowadzają ją z zasłoniętą twarzą na step. O wschodzie słońca przybywa konkurent, porywa dziewczynę na siodło i mknie w step.

W tym momencie oświadczyć musi być bardzo ostrożny i zręczny, i mieć konia karnego.

Gdy mknie koło koczowiska, ojciec lub starszy brat wydają okrzyk i strzelają do jeźdźcy, mierząc w głowę konia. Jeśli jeździec nie usłyszy okrzyku, lub nie potrafi od razu konia osadzić, może dostać kulą.

Niekiedy się to zdarza, lecz prawie zawsze z innej przyczyny. Czasem ojciec, jeżeli jest stary i nie ma syna, porucza dać ognia do narzeczonego jednemu z parobków.

Nieraz się trafia, że taki parobek kocha się w córce swego gospodarza, a przez nią ma nadzieję stać się wolnym obywatelem stepów; widząc, że ta nadzieja znika, mocno trzyma karabin w rękę, mierzy starannie w jeźdźca i... nie wydaje okrzyku ostrzegawczego.

W takich razach niefortunny konkurent ciężko spada z konia, a nadzieja w sercu skromnego parobczaka zapala się nowym płomieniem. Biegnie do dziewczyny, starannie zdejmując z jej rąk więzy rzemieńne i, kto wie? może szepce jej do ucha proste a mocne słowa pierwotnej miłości, nieokielznanej, jak żywioly stepu...

Jeżeli narzeczony dowiedzie pomyślnie wybraną do swego koczowiska, wtedy zdejmując ją z siodła, siedząc na koniu i, trzymając za rzemień, oprowadza dokoła swego namiotu, rozcina więzy i wprowadza do nowego domu.

Obrządek na tym się kończy. Nazajutrz państwo młodzi posłają do domu rodziców kobiety *kałym*, czyli wiano, składające się z bydła, pieniędzy i różnych przedmiotów, co do których już się byli umówili poprzednio rodzice młodej pary.

Takie małżeństwa, w których odgrywa rolę jednostronny wybór, bez prawa protestu ze strony kobiety, są powodem do częstych dramatów w życiu kobiecym. Już opowiadałem powyżej o samobójstwie nieszczęśliwych niewolnic, jakimi stają się wszystkie żony tatarskie. Bywają inne wypadki, mianowicie wtedy, gdy w sercu kobiety zakwitnie szkarłatny kwiat miłości, a wraz z nią zrodzi się zazdrość, dzika i bezwzględna, jak sama natura tego oceanu trawy, piasków, nagich gór i straszliwych, mroźnych wichrów zimowych.

Kobiety przechowują między sobą sztukę tajemną przyrządzania trucizny z jagód cykuty (*Belladonna*) i z korzonka tajemniczej rośliny *gazam*, której poszukują zawzięcie i dla nabycia której dopuszczają się przestępstwa, wykradając mężowi z jego tabunów dobre, drogie konie.

Dopomagają zawiedzionym kobietom tatarskim lekarze-szamani. Ci znają trujące własności traw i ziół, umieją przyrządzać „lubczyki” i amulety. Posiadają oni tajemną moc zaklęć i za dobrą zapłatę fabrykują niezawodną truciznę dla rywalki — nowej żony, lub dla samego pana i władcy — męża. Szamani, szepcząc zaklęcia, szperają po starych domkach, zbierają czarne kości ludzkie, ścierając je na proszek, rozkopują świeże mogiły i w gnijące ciała nieboszczyków wbijają noże, zatruwając ostrza, które posypują proszkiem z kości zmarłych lub maczają w płynie z gruczołów jadowitych żmij. Taki zatruty nóż przerwał niejedną nić życia koczowników i dał ujście zazdrości i rozpaczy kobiecej, nieukojojonej w surowych warunkach dzikiego życia stepowego.

Od czasu do czasu wydaje się, jak gdyby śmierć przypominała sobie o tym cmentarzystku historycznym, zjawiając się, aby powiększyć ilość mogił i kości. Naraz zaczynają grasować różne choroby: cholera, dżuma lub ospa i dziesiątkują ludność koczowniczą. Przychodzą też epidemie na bydło: dżuma, zakaźne zapalenie płuc, śliniak; padają tysiącami byki, konie i owce, zaczyna szaleć głód, a za nim idzie śmierć i zbiera swe ponure żniwo.

Pierwotne formy życia, pierwotne prawa, pierwotna psychologia i obojętność rządu rosyjskiego dopomagały jej, i niczym niekrępowana śmierć mknęła i ścinała istnienia ludzkie, jak ścina kosa wieśniaka soczystą i bujną trawę.

Nikt się nie dziwi, nikt nie protestuje i nie walczy ze śmiercią, bo postawiła tu ona wszędzie swe ślady odwieczne. Pośród mogił rodzą się stepowi koczownicy, matki opowieściami o śmierci usypiają niemowlęta, ojcowie kształcą swych synów opowiadaniem o zmarłych i straconych bohaterach.

Każda skała, każdy wąwóz, każde jezioro lub łożysko wyschłej rzeki stepowej ma swą historię, krwawą, ponurą, zakończoną śmiercią...

O niej mówią tysiące dolmenów, ciągnących się nieprzerwanym pasmem od ujścia Many aż pod Sajany i Wielki Altaj.

Tu, pod tymi znikającymi już kopcami i monolitami z czerwonego piaskowca, pogrzebane są całe cywilizacje, plemiona i ludy, o których pozostały tylko słabe i niejasne wspomnienia.

Kamienne, z gruba ociosane posągi, ledwie dostrzegalne pośród traw i skał ruiny nieznanymi miast, o losach których już nikt nigdy się nie dowie — wszystko to mówi, woła, krzyczy głosem rozpaczliwym o śmierci, tylko o śmierci.

Przed wojną światową kultura europejska zaczęła się z wolna posuwać naprzód przez te stepy.

Zjawili się lekarze, pomoc weterynaryjna, przedsiębiorstwa przemysłowe, współczesna hodowla bydła, rasowe konie i barany, projekty kolei, szos i stacji leczniczych.

Ale przyszła wojna i porwała za sobą wolnych synów stepów, a ich śmierć wśród obcych, niezrozumiałych dla nich warunków widziały Karpaty i Prusy Wschodnie.

Czy powrócili do swoich stepów rodzinnych, czy ujrzeli raz jeszcze stare dolmeny przodków?

Chyba nie!...

Później nadszedł krwawy, zbrodniczy bolszewizm...

Widziałem jego ślady w r. 1920, kiedy, uchodząc przed bolszewikami, jeszcze raz przebiegłem ten kraj mogił i śmierci z północy na południe.

Widziałem kulturalne stacje doświadczalne, gdzie rasowym koniom odrąbywano nogi do kolan, a merynosy rżnięto na pokarm dla pijanych żołnierzy sowieckich.

Jechałem stepami, gdzie przez wieki pasły się miliony głów bydła i koni. Teraz tam — pustynia! Tatarzy odeszli na południe, przekroczyli granicę mongolską, uciekając od występnych rządów sowieckich; trawa albo była spalona za pomocą umyślnie wznieconych pożarów stepowych, albo do szczętu zjedzona przez szarańczę.

Całe chmury szarańczy unosiły się nad stepami, szukając pożywienia. Gdym jechał pomiędzy Bateni a Czarnym Jeziorem, koła mojego wozu pozostawiały mokry ślad na wyschłej, ubitej, popękanej od skwaru ziemi. Była to rozgnieciona szarańcza, miliardy tych owadów, pokrywających, jak szronem, cały step.

Kara Boża?... Przekleństwo Abuka-chana?... Zemsta pokrzywdzonych i znieważonych cieniów wielkich wodzów i bohaterów od dawna zmarłych ludów?

Wszędzie spotykałem trupy Tatarów, zamordowanych przez bolszewików, kości zjedzonych tatarskich baranów i krów.

W kilku miejscach droga była otoczona trupami, jak ramą, drogą, którą przechodziły bandy sowieckich partyzantów-Ukraińców spod Tannu-Ołu i zachodnich odnóg Altaju.

Na Czarnym Jeziorze, gdzie niegdyś mieszkałem z uczonym profesorem i ze zbiegami z więzień rosyjskich, zobaczyłem spalone zabudowania fabryki soli i zwaliska domów mieszkalnych. Pozostała tylko mała chałupa, gdzie mieszkał stróż z rodziną, — ludzie głodni i chorzy, oczekujący śmierci, która musiała tam zawitać.

Jak symbol tego beznadziejnego, ponurego życia, rzuciła mi się w oczy na szczycie góry, na tle wiosennego nieba ciemna sylwetka wilka.

Śmierć

Stał nieruchomo, jak posąg ze spiżu.

Nagle podniósł głowę, wyciągnął szyję i zawył.

Wył przeciągle, tęskno i groźnie, jakby wołał na śmierć, zagładę i zapomnienie...

Gdzieś ty jest, moja młodości? Gdzież twoje myśli i ideały? Czyż tego się spodziewałem od życia i cywilizacji, gdy, błądząc wśród dolmenów, słuchałem opowiadań o starych, dawno minionych czasach i myślałem, że przyjdzie tu potężna wiedza i kultura i wybawi te umierające szczepy od zagłady? Czyż takie obrazy chciałem tu widzieć w przyszłości, gdy dla lepszego losu tej ziemi bezbrzeżnej a rozrzewniającej swą prostotą, skromnie pracowałem, jak mogłem i umiałem, dla postępu i szczęścia ludzkości?

Czyż wreszcie tego oczekiwałem od najsilniejszego przejawu postępu — rewolucji, gdy w imię tego postępu, tego protestu przeciwko zbrodniczemu rządowi cara, ujarzmiającego inne narody, rzuciłem się w 1905 r. w wir pierwszej rewolucji i gdy potem za ten poryw cierpiełem dwa lata w celi więzienia carskiego?

O nie! Nie tego pragnęła dusza moja!

Mówią, że rewolucja — to postęp.

Lecz czyż zawsze tak bywa?

Kraina śmierci i mogił w stepach Czułymo-Minusińskich szeptem swych traw i kamieni na grobach mówiła to samo, co powiedział mi Hak, gdyśmy już w końcu września żegnali naszych towarzyszy pracy niedaleko od Minusińska.

— Źle nam będzie teraz bez was, ale wam gorzej! My o głodzie i chłodzie oczekiwać będziemy śmierci, ale za to dookoła nas będą szumiały wolne lasy i trawy, mówić do nas będą góry i rzeki!... Wy tam, w miastach, będziecie walczyli z chytrym i złośliwym życiem, które z każdym rokiem staje się chytrzejsze, coraz bardziej złośliwe, i coraz bardziej czyhające na ludzi. Umrzecie, a umierając słyszeć będziecie krzyki i jęki tych, których morduje życie!...

Uścisnęli nam ręce, głęboko zajrzeli w oczy i odeszli.

Szli gęsiego, jak wilcy, kryjąc się w krzakach, gdyż obawiali się i nienawidzili uczęszczanych, wielkich dróg, dużych miast i nieznanych ludzi.

Na skraju gąszczy zatrzymali się i badali okolicę, milczący i czujni.

Byli wtedy podobni do tego wilka z nad Czarnego jeziora, co wył z nienawiścią i przekleństwem za to, że postęp ludzkości skazał go na głód i śmierć.

Przeklinał „chytre, czyhające życie”, o którym mówił nieszczęśliwy zbrodniarz Hak, występny i wdzięczny za każde słowo serdeczne, za każdy odruch zrozumienia jego chorej duszy.

Miasto, Życie

CZEŚĆ DRUGA. W KRÓLESTWIE TYGRYSA

ROZDZIAŁ I. PERŁA WSCHODU

Pomiędzy rzeką Amurem, Oceanem Spokojnym, granicą mandżurską a Koreą leży Kraj Ussuryjski, od południa na północ przecięty rzeką Ussuri z jej dopływami — Sungaczą i Daubi-Che, a podzielony na dwie części, kontynentalną i morską, grzbietem Sichota-Alin.

Dziwny to jest kraj, jakaś mieszanina północy i południa!

Jodła, sosna, cedr i brzoza polarna obok greckiego orzecha, lipy, dębu korkowego, dimorfanta palmowego i winnej łoży. Renifer, wieloryb, północny niedźwiedź brunatny, soból — spotykają się w tej samej kniei z tygrysem, z boa i czerwonym wilkiem. Na wodach jezior i na grząskich błotach równiny jeziora Hanki pływają i żerują razem północne gęsi, łabędzie i kaczki z australijskim czarnym łabędziem, z indyjskim flamingo, południowo-chińskimi żurawiami i kaczką-mandarynką.

Czy to zagadka, czy figiel natury?

A legenda, ten wykwit tubylczej myśli i wyobraźni, głosi:

„Gdy Bóg zakończył stworzenie ziemi i osadził wszędzie odpowiednie drzewa, krzaki, trawy, zwierzęta, ptaki i plaży, jeden tylko szmat ziemi pozostał nagi i bez życia. Był to kraj przecięty rzeką Ussuri. Duch rzeki wielkim głosem zawołał:

„Twórco! Wszystkim krajom dałeś wspaniałe dary, tylko tę ziemię opuściła łaska twoja! Zmiłuj się nad nią i obdarz wedle mądrości i miłosierdzia Twego!

„Bóg-Twórca usłuchał głosu ducha rzeki i, wzięwszy zewsząd wszystkiego po trochu: roślin, zwierząt, ptaków i kamieni, rzucił to na Ussuri. Kraj od razu zakwitnął, napenił się życiem, a różne szczepy dążyć tu zaczęły do szczęścia i dobrobytu...”

Tak mówi legenda, a naturalista Maak, który zwiedzał ten kraj, w swych pamiętnikach mówi, że tej legendzie nic nie ma do zarzucenia z punktu przyrodoznawstwa.

Badacze rosyjscy od dawna nazywają Kraj Ussuryjski „perłą Wschodu” i mają słuszość!

Przybyłem do Władywostoku z polecenia rządu rosyjskiego dla²⁵ zbadania rynku Dalekiego Wschodu, więc miałem sposobność zapoznać się dobrze z krajem i z jego wartością ekonomiczną. Po krótkim pobyciu w tym mieście zostałem wybrany na uczonogo sekretarza Wschodniego Wydziału Towarzystwa Geograficznego, co udostępniło mi wszystkie biblioteki, muzea i archiwa, które bardzo mi pomogły w moich osobistych pracach naukowych.

Przeprowadzałem chemiczno-geologiczne badania węgla kamiennych. Ponieważ pokłady węgla w Kraju Ussuryjskim i na całym rosyjskim wybrzeżu Oceanu Spokojnego są rozrzucone na całej przestrzeni tego dominium Rosji, więc zwiedziłem Kraj Ussuryjski i wyspę Sachalin.

Tu podróż dostarczyła mi bardzo wielu wrażeń i spostrzeżeń, które się złożyły na tę część mojej książki.

Za moje badania węgla kamiennych, wydane przez Rosyjski Komitet Geologiczny, Rosyjskie Towarzystwo Geograficzne przysądziło mi wielką nagrodę imienia akademika Busse.

Przybyłem do Władywostoku w lutym. Słońce już świeciło, grzejąc na dobre. Drzewa zaczynały się rozwijać, w ogrodach i na spadkach gór zieleniała trawa, kwitły fiołki i konwalie.

Miasto położone jest na brzegu głębokiej zatoki, zwanej „Złoty Róg”, i przechodzi potem na półwysep Egerszeld. Na leżącej naprzeciw miasta wyspie Ruskiej widniały forty obronne, z których działa forteczne wychylały ciekawe, groźne szyje.

Samo miasto, złożone przeważnie z murowanych, jasnych kamienic i z niewielkiej ilości drewnianych starych domów, tarasami wznosi się w górę, gdzie na szczycie najwyższym, zwanym „Orle gniazdo”, umieszczona jest stacja meteorologiczna.

²⁵dla (daw.) — w celu. [przypis edytorski]

Pierwszy taras był zabudowany domami urzędowymi, gmachami kolejowymi, składami, bankami i koszarami.

Ta stolica Dalekiego Wschodu stanowi zakończenie półwyspu „Murawiew Amurski”, leżącego w zatoce Piotra Wielkiego, pomiędzy zatokami Ussuryjską i Amurską, stanowiącymi część morza Japońskiego.

Poza oficjalną i europejską dzielnicą, wyżej, w górach mieściła się dzielnica japońska, żyjąca własnym, oryginalnym życiem, które przenosiło Europejczyka do kraju Wschodzącego Słońca. Dalej, za tą dzielnicą, już poza górami, ciągnęło się śmietnisko ludzkie: nory na wpół zaryte w ziemi, rozwalone płoty, zburzone dachy i całe potoki cuchnącego biota, spływającego z ulic i zaułków. Tu, jak od szczurów na śmieciach, roilo się od ludzi, odzianych w białe lub różowe, bawełniane, szerokie spodnie i w krótkie kurty, z dziwaczными fryzurami lub w przezroczytych cylindrach z włosia końskiego, w których, jak w klatce ptaszek, siedział zawiązany w węzeł warkocz. Ogorzałe, brudne, brązowe twarze o ładnych rysach; gardłana, jakaś ponura, szczekająca mowa! Byli to Koreańcy, — dzieci krainy „Smutnego Zachodu”. Tu, w tej dzielnicy, w tych krecich norach, w kloakach zamiejskich, w labiryncie zaułków zabłoconych i zanieczyszczonych, na stosach odpadków, zwożonych i wyrzucanych z całego miasta, płynęło zupełnie odrębne, poza prawem pozostające życie tych przybyszów. Zbrodnie wśród tego mrowia nie były przedmiotem dochodzeń sądu rosyjskiego i trupy zamordowanych gniły obok trupów zdechłych psów i kotów na stosach śmieci i ohydnych odpadków. Tylko czasem, gdy w tej dzielnicy wybuchnęła cholera, ospa lub dżuma, władze policyjne wyrzucały wszystkich Koreańczyków poza obręb fortecy i pod groźbą surowej kary nakazywały im iść o głódzie i chłodzie w stronę granicy Korei, do brzegów rzeki Chubtu. „Miasto” oddawano na pastwę płomieniom, tym najsilniejszym dezynfektorom. A po roku na zgliszczach starych śmieci, odpadków i ruin nor powstawało nowe miasto, nowi zaś mieszkańcy-Koreańcy prowadzili takie same, jak ich poprzednicy życie, trudniąc się kradzieżą, wróżbiarstwem leczeniem różnych chorób, połowem ryb i krabów, utrzymywaniem palarni opium i haszyszu oraz tajnych przytułków dla zbrodniarzy wszelkiego rodzaju. Policja nie ryzykowała zapuszczać się w labirynt krzywych uliczek tego przedmieścia, gdzie za każdym rogiem mogło czyhać niebezpieczeństwo i gdzie żaden pościg za złoczyńcami nie mógłby się udać, wszystkie bowiem domy były połączone podziemiami, umiejętnie skrytymi przejściami, w których przy wejściu nieproszonych gości zawałala się ziemia, wynikały wybuchy lub wylewała się płonąca nafta albo siarka.

Takie było to przedmieście koreańskie.

Cała banda zbójów, która stale grasowała w porcie władzywostockim, dokonywując w biały dzień napadów na sklepy i banki, lub porywając i więząc bogatych ludzi dla okupu, miała tu swe barłogi, niedostępne dla policji i sądu. O ile bandytom po śmiałej wyprawie udawało się przedostać do dzielnicy koreańskiej, byli już bezpieczni i mogli śmiać się z policji i z władz śledczych.

Gdy się zaczęła wojna Rosji z Japonią, byłem we Władzywostoku i wiem, że miny²⁶ podziemne w celu wysadzenia dwóch ważnych fortów tej twierdzy prowadzono z dzielnicy koreańskiej, a wszyscy szpiegowie, na których ślad wpadły władze wojskowe, utonęli w mrowiu biało ubranych, tajemniczych i milczących synów kraju „Smutnego Zachodu”.

Jak z dżungli, jak z tajgi wychodzą nocą na łup zwierzęta drapieżne: tygrys, pantera i niedźwiedź, tak stamtąd wychodzili ludzie, ścigani przez prawo, a czyny ich były nie mniej krwawe i dzikie. W tych norach podziemnych przedmioty złote i srebrne przetapiano na małe bloki drogich metali i sprzedawano przez jubilerów koreańskich jubilerom rosyjskim; drogie kamienie, papiery wartościowe i przedmioty nienadające się do przeróbki pakowano do pudeł z suszonymi rybami lub z wiązkami wodorostów jadalnych i ładowano na dwumasztowe dżonki koreańskie, które, jak cienie, bez szmeru i plusku sunęły zatoką Amurską do morza Japońskiego i do brzegu Korei lub dalej do Chin.

Ten proceder złodziejski prowadziła odrębna kasta piratów, a ponieważ z ich usług korzystali jeszcze do niedawna Rosjanie i cudzoziemcy, ludzie ci doszli do wielkiej wprawy, posiadając dużą odwagę żeglarzy i bojowników.

²⁶mina — tu: podkop. [przypis edytorski]

Echo tego przedmieścia koreańskiego doszło mnie pierwszego wieczoru po przyjeździe moim do Władystoku.

Przepiękny księżyc w pełni płynął po ciemnoszafirowym niebie. Jarzyły się i płonęły gwiazdy, które zdawały się wisieć zupełnie nisko nad górami i morzem. Moi znajomi poradzili mi, abym poszedł w góry położone nad miastem i zobaczył prześliczną nocną panoramę morza.

Włożyłem do kieszeni nieodstępny w mych podróżach Mauzera²⁷ i wchodziłem pnącymi się do góry ulicami na coraz wyższe tarasy. Wreszcie zacząłem spotykać oddzielne domki, a później chałupy, sklecone z desek od pudeł. Wkrótce i te zabudowania znikły. Wszedłem na spadki gór, trawą porośnięte, na szczycie których rósł młody las z drzewami, pokrzywionymi i oszpeconymi przez mgłę i wiatry.

Stąd roztaczał się prześliczny widok.

W dole, mieniące się i jarzące światłkami w domach i latarniach elektrycznymi na ulicach, leżało miasto, gwarne niemilkącym hałasem i niespokojnym szumem. Dalej zatoka czarna, a na niej różne ognie barwne na okrętach i długie równe rzędy wspaniale oświetlonych okienek na bokach statków pasażerskich i groźnych białych krążowników. Czarne kontury wyspy Ruskiej z rzadkimi, ledwie dostrzegalnymi latarkami na fortach, zniżały się na wschodzie i znikły w morzu, a trochę dalej wzbudzał niepojętą trwogę, to zapalając się, to gasnąc, olśniewający snop promieni latarni morskiej na skale Skryplio-wa. Za czarną masą tej wyspy już niepodzielnie i wszechwładnie panowało morze. Było podobne do roztopionego srebra z biegnącymi po jego ruchomej powierzchni ciemno-granatowymi falami, szerokimi i łagodnymi, które dobiegały do brzegów zatoki Patroklesa²⁸ lub Ulissesa²⁹ i pieściły się z krzakami leszczyny i zwieszającymi się nad wodą pędami dzikiego wina.

Gdzieś bardzo daleko sunęła czarna sylwetka żaglowca, może koreańskiego lub chińskiego pirata, a wprost na wschodzie płynął z dala od brzegów duży statek. Długi rząd oświetlonych iluminatorów posuwał się jak jakiś wąż wielooki.

Pomyślałem, że tam tętni odrębne życie tej gromadki ludzkości, która przerzuca się z jednego kontynentu na inny, tam rozbrzmiewa muzyka, tańce, miłość, smutek i tęsknota. Tam może umiera ktoś lub zjawia się na świat nowa istota, a wszystko to nie ma nic wspólnego ani z miastem, leżącym u moich stóp, ani ze mną, który myśli o tym statku, odpływającym w dal nieznaną. *Okręty, przepływające nocą* — przypomniła mi się powieść, niedawno czytana w pociągu i myśl gonila za losem okrętu i jego czasowych mieszkańców.

Lecz rozproszył te myśli jakiś ochrypli basowy głos, zdradzający wielką sympatię do alkoholu.

— Proszę coś ofiarować dymisjonowanemu urzędnikowi!

Przed mną z krzaków wynurzyła się olbrzymia postać draba z kijem sękatym w rękę i w wytartej czapce urzędniczej.

Znam te typy przepite, niezdolne do pracy i życia społecznego. Są to tak zwani „bo-siacy”.

Wyjąłem z kieszeni kamizelki kilka srebrnych monet i dałem mu.

Uśmiechając się ironicznie i podrzucając na dłoni monety, które błyszcząły w świetle księżycy, mruknął:

— Mnie... tu... kilka monetek, gdy mogę zabrać wszystko?

Mruknąwszy to, zaczął niedbale wywijać swoją sękatą, ciężką „laseczką”.

Nic nie mówiąc, wyjąłem z kieszeni Mauzera i schowałem go na powrót.

— *Ach! pardon*³⁰! — rzeki drab, dotykając po wojskowemu daszka czapki. — Trzeba było od tego zacząć rozmowę. Dobrej nocy szanownemu panu.

²⁷ *Mauzer* — rewolwer automatyczny fabryki Mausera w Niemczech. [przypis autorski]

²⁸ *Patroklos* — wojownik grecki, najlepszy przyjaciel Achillesa, zginął z ręki Hektora podczas ataku na Troję. [przypis edytorski]

²⁹ *Ulysses* — bohater *Iliady* i *Odysei* Homera, przeklęty przez Posejdona, boga mórz, podróżował przez 10 lat po świecie, nie mogąc trafić do domu. [przypis edytorski]

³⁰ *pardon* (fr.) — przepraszam. [przypis edytorski]

Odszedł, ślaniając się i wywijając swoją maczugą, ale od czasu do czasu spoglądając za siebie, widocznie w obawie, że Mauzer jedynym swoim okiem może wpatruje się w jego plecy.

Była to zabawna przygoda, lecz bądź co bądź zepsuła mi nastrój, a myśli o *Okrętach, przepływających nocą* odleciały wraz z oddalającymi się krokami bosiaka. Pozostał tylko wyraźny zapach alkoholu i odgłos chwiejnych kroków „dymisjonowanego urzędnika” z sękatym kijem i eleganckim *parдон*.

Był to jeden z tych, którzy mieszkają, jak „ptaki niebieskie”, w krecich norach dzielnicy koreańskiej, wychodząc tylko nocami na żer i łup, jedni z sękatymi kijami, inni z nożami za cholewami dziurawych butów lub z rewolwerem za pazuchą. Wąwozami spuszcza się oni na ulice środkowych tarasów miejskich i tu czatują na spóźnionych przechodniów, powracających z hulanki nocnej lub z klubów po grze w karty.

Dziwna w owych czasach była ludność Władywostoku! Urzędnicy, oficerowie, kupcy rosyjscy i cudzoziemscy, Japończycy, Koreańczycy i Chińczycy — wieża Babel, mieszanina ras, szczepów i języków. Na wiosnę przybywało tu około pół miliona kulisów³¹ chińskich, pośród nich było dużo *chunchuzów*, czyli bandytów, którzy zaczynali swój proceder zaraz po przybyciu, wnosząc nowe zamieszki w zgiełk życia tego portu. Gdy byłem w 1921 we Władywostoku, w okolicach tego miasta grasowały tysiące *chunchuzów*, którzy napadali na ulicach, rabowali kasy w sklepach, porywali przechodniów i uprowadzali ich w góry i lasy, skąd wypuszczali dopiero za bogate okupy.

Ludność Władywostoku, o ile przedstawiała mozaikę etnograficzną, o tyle też stanowiła mieszaninę pojęć moralnych i przekonań. Urzędnicy rosyjscy, którzy tu spijali się i wzbogacali łapówkami lub trafiali do więzienia; oficerowie, prowadzący tryb życia pijaków i karciarzy, doprowadzający ich do zupełnego zdziczenia i moralnego upadku; kupcy, prowadzący handel spekulacyjny; drobni fabrykanci, wyzyskujący taniego i pozbawionego praw robotnika; różne męty społeczne: bandyci, szulerzy, handlarze towarem ludzkim, podrabiacze dokumentów, fałszerze pieniędzy, szantażyści, fałszywi świadkowie, występni lekarze bez patentów; truciele, złodzieje, szpiegowie, koniokrady, wyłamywacze kas ogniotrwałych, osobniki bez żadnej profesji, lub właściwie wszystkich zawodów od bandytyzmu do fałszowania pieniędzy; szumowiny wszystkich krajów i narodów, pośród których można było zwerbować partyzantów na każdą przygodę: na wyprawę po złoto na wybrzeże morza Ochockiego, do myśliwskich wycieczek na wyspy Komandorskie dla wybicia fok, tak opieszale ochraniających przez władze rosyjskie, dla handlu z tubylcami Kamczatki i Anadyru, gdzie za skórę sobola lub bobra dawano szklankę wódki i pół funta podmoczonego prochu; dla podpalenia i zrabowania miasta, jak się to stało podczas rewolucji 1903 r. — taka była ludność tego miasta.

Wątpliwa pod względem moralnym, była ona tłem, na którym rozwijała się początkową historią Władywostoku. Przez dłuższy czas była tu jeno mała twierdza rosyjska, pod okopami której czaiła się niewielka osada, gdzie się mieściły szynki, podejrzone restauracje, domy gry i wszystko, co jest plagą daleko wysuniętych na kresy placówek kulturalnych. Na krańcach osady gnieździł się w norach ziemnych i szałasach z pudeł przeróżni zbrodniarze, zbiegowie z więzień, śmiałe, niespokojne, awanturnicze żywioły, ponieważ tu na kresach, gdzie rząd był zainteresowany w jak największej liczbie mieszkańców, nie bardzo wglądano w przeszłość tych, którzy z każdym rokiem zwiększali ludność nowego miasta, przyszłej „perły Dalekiego Wschodu”.

Po pewnym czasie na widowni miasta zjawily się nowe osobistości: dwóch niemieckich majtków-zbiegów z jakiegoś statku, Holender, którego ścigało prawo karne, oraz Szwed i Finlandczyk, rzucony tu na brzeg Oceanu Spokojnego igraszką losu. Do nich przyłączył się wkrótce jakiś Rosjanin, zdaje się z liczby uciekinierów z katorgi. Założyli do spółki mały sklep, gdzie sprzedawano wódkę, tytoń, wino, zapalki, sardynki, świece, smołę i powrozy. Sklepek był bardzo niepokazny, ale właściciele wzbogacali się z błyskawiczną szybkością i wkrótce zaczęli skupować place, budować domy przy najlepszych obecnie ulicach.

Przyczyny takiego powodzenia kryły się poza obrębem sklepiku i nawet samego miasta. Ta paczka przedsiębiorczych awanturników miała całkiem inny interes na otwartym morzu, posiadała bowiem kilka niewielkich a zwinnych i dobrze uzbrojonych żaglowców,

³¹kulis — azjatycki robotnik. [przypis edytorski]

które napadały na Morzu Japońskim na drobne statki japońskie, chińskie i amerykańskie, prowadzące proceder przemytnictwa, a także na dżonki³² koreańskie, wiozące drogie futra, leczniczy, drogocenny dżen-szeng³³, wiosenne rogi jelenie, złoto i inne towary, kupione lub zrabowane w granicach rosyjskiego Dalekiego Wschodu. Wszystko to składano potem w miejscu bezpiecznym, później zaś sprzedawano.

Przedsiębiorstwo grupy międzynarodowych awanturników trwało bardzo długo. Właściciele jego stali się bogaczami, honorowymi obywatelami miasta, piastowali wysokie godności, posiadali zaufanie ludności i wreszcie zawiesili czynności na morzu, poświęcając swe zdolności całkiem legalnym przedsięwzięciom. Jednak pewnego razu jakiś młody i odważny prokurator rozpoczął dochodzenie sądowe co do przeszłości tych potentatów Dalekiego Wschodu. Zapłacił jednak życiem za swoją śmiałość. Zaproszony na polowanie na jelenie, „przypadkowo” dostał kulę pomiędzy oczy. Z jego śmiercią ustały wszelkie próby rzucenia światła na mroczne życie tych „szanownych obywateli”. Gdy przyjechałem do Władywostoku, niektórzy z nich jeszcze żyli.

Wszyscy kłaniali im się prawie do ziemi, a w sekrecie rozpowiadali straszliwe, krwawe szczegóły ich życia i działalności na brzegach Oceanu Spokojnego.

Korzystając z niemożliwości rozpoczęcia bezpośrednich prac z powodu przebudowywania lokalu dla mego laboratorium, poznawałem okolice miasta i najbliższe miejscowości na półwyspie Murawiew-Amurski i w obydwóch zatokach.

Pewnej niedzieli, wzięwszy strzelbę, poszedłem w góry, porośnięte drobnym i rzadkim lasem. Była to bezludna miejscowość³⁴. Dziwiło mnie to bardzo, gdyż o jakieś dwa kilometry pod tymi górami wrzało duże miasto portowe, w zatoce „Złoty Róg” krążyły handlowe i wojenne statki pod flagami różnych państw, prawie 300,000 mieszkańców wiodło czynne życie, a tu, w górach, panowała pustka i cisza. Olbrzymie jastrzębie, szybkie sokoły i czarne orły o białych ogonach ciężko unosiły się z ziemi, lub z samotnie stojących skał, i odlatywały; w gęstych zaroślach dębów uganiały się małe zające — mieszanina zająca białego i królika; wiewiórki żyły się pośród gałęzi niewysokich drzew; wśród kamieni pełzały węże i jaszczurki, a olbrzymie pająki-krzyżaki snuły swe mocne a zdradliwe sieci pomiędzy drzewami.

Parę razy na polanach zrywały się przepiórki i zapadały w gąszczu. Już straciłem nadzieję polowania, gdy nagle z jakimś wyjącem piskiem wysunęło się spoza kamieni ciemno-brunatne zwierzątko o długim włosiu. Biegło szybko, kierując się w stronę nagiego szczytu. Wystrzeliłem. Zwierzątko upadło, zaczęło się wić na jednym miejscu, ale po chwili podniosło się i z wielką szybkością pobiegło dalej. Zatrzymał je drugi nabój grubego śrutu. Podeszedłem i zobaczyłem ciemnobrunatne zwierzątko o białej sierści na pierśsiach i brzuchu i o długich, jasnych włosach, rosnących z rzadka pośród ciemnego futra. Było bardzo podobne do niedużego psa, tylko bardziej puszyste i zupełnie dzikie. Gdym je obejrzał szczegółowo, przekonałem się, że jest to szop³⁵, obecnie znikający na obszarach Dalekiego Wschodu i pozostający jeszcze w Korei i we wschodniej części chińskiej prowincji Heilunkiang, czyli Mandżurii.

Przez cały czas mego pobytu i podróży po Kraju Ussuryjskim jeszcze raz spotkałem szopa. Było to na rzece Majche, niedaleko od kopalni węgla.

Klub myśliwski po pewnym czasie mego pobytu we Władywostoku zaprosił mnie na polowanie na aksisy-jelenie (*Cervus axis*), których znaczna ilość przechowała się na wyspie Askolda, leżącej w zatoce Piotra Wielkiego. Do pionowo wystających z morza brzegów tej skalistej wyspy dowieziono nas niewielkim statkiem parowym. Zaczęliśmy się wznosić wąskimi ścieżkami, wijącymi się pośród skał, wreszcie weszliśmy na cudowną płaszczyznę, pokrytą wspaniałym lasem z dębów, grabów i leszczyny. Rozstawiono nas w jednej linii i uprzedzono, że strzelać możemy tylko kulami ekspresowymi i zabijać wyłącznie samców.

Staliśmy, zachowując głębokie milczenie. Dwóch naganiaczy ze sforą psów gończych obchodziło las jednocześnie od obydwóch brzegów. Po długim oczekiwaniu lekki wiatr przyniósł nam odgłos trąbki myśliwskiej, a w chwilę później bardzo dalekie szczekanie puszczonych na trop psów. Ujadanie zaczęło zbliżać się szybko do linii strzelców. Można

³²dżonka — rodzaj azjatyckiej łodzi o prostokątnych żaglach. [przypis edytorski]

³³dżen-szeng — dziś popr.: żeń-szeń. [przypis edytorski]

³⁴miejscowość — tu: miejsce. [przypis edytorski]

³⁵szop — *Procyon lotor*. [przypis autorski]

już było odróżnić różne tony głosów goniącej psiarni: basowe, przeciągłe lub urwane, cienkie i dźwięczne jak dzwonki, czasem wprost niecierpliwe, histeryczne skomlenie lub rzadkie wycie. Przede mną wznosił się niewysoki, okrągły szczyt, całkowicie pozbawiony roślinności. Na nim ujrzałem kilkanaście ciemnych postaci jeleni. Zatrzymały się i nadśluchiwały, widocznie daleko pozostawiwszy za sobą psy, pędzące ich śladami. Wziąłem lornetkę i przyjrzałem się jeleniom. Stały, strzygąc długimi uszami, ostrożnie obracając głowy i węsząc. Powinny były wyjść na mnie, lecz, niestety, były to samice, a więc nie miałem prawa strzelać do nich. Krew się we mnie burzyła na myśl, że obok mnie przemknę bez wystrzału całe to stadko, ja zaś będę tylko patrzył i kłął!

Nareszcie stado ruszyło dalej, gdyż psy już się zbliżyły. Szły na moje stanowisko, ale w chwili, gdy miały już wpaść do zarośli, które były przede mną z lewej strony rozległ się strzał któregoś ze szczęśliwszych myśliwych. Cała gromada natychmiast się rozproszyła i od razu znikła mi z oczu. Byłem nawet rad, że się tak stało, bo nie miałbym żadnej pokusy. Stałem już znacznie spokojniejszy, gdy nagle usłyszałem przed sobą trzask suchych gałęzi. Myśląc, że to jedna z samic zabłądziła i wyszła na mnie, spojrzałem w tę stronę, i nogi mi zadrżały ze wzruszenia! O jakie 60 kroków przede mną stał olbrzymi ciemnoszary samiec ze wspaniałymi rogami i, odrzuciwszy głowę w tył, nadśluchiwał. Z dala już grały psy gończe. Przygotowałem się do strzału, lecz najłżejszy ruch wystarczył, by jeleni spostrzegł mnie w krzakach. Jednym susem skoczył i rzucił się w tył, zawadziwszy jednak rogami o suchą gałąź dębu, złamał ją i poniósł ze sobą. Odbiegł zaledwie pięć kroków, gdy przebrzmiał mój strzał. Zwierzę padło, jak rażone piorunem. Kula przebiła i zdruzgotała mu w kilku miejscach kręgosłup.

Już dostrzegałem w krzakach nadbiegające psy, gdy nagle na stanowisku mego sąsiada huknął wystrzał, a wnet po nim duży jeleni, przesadzając krzaki i zwały kamieni, pędził przez zarośla. Dałem do niego dwa strzały, po których upadł, a psy natychmiast wsiadły na niego. Jeleni jeszcze żył i strzelec, idący za psami, dobił go pchnięciem noża.

Podczas polowania nawet nie słyszałem, że na linii była dość ożywiona strzelanina. Po polowaniu, gdy już wszystkie psy ściągnęły, pokazało się, że zabito tego dnia sześć jeleni, a do drugiego z upolowanych przeze mnie strzelano z pięciu stanowisk, gdyż mknął on wzdłuż linii strzelców, aż dobiegł do fatalnego dla siebie krzaku przed moją pozycją. Oprócz moich dwóch kul nie miał w sobie żadnej innej.

Całe polowanie, które składa się z jednego *round'a*, zajęło nam nie więcej niż dwie godziny. Do wieczora pozostawało dużo czasu, postanowiłem przeto zwiedzić kopalnię złota, znajdującą się na wyspie.

W skałach z piaskowców i zielonych pokładów geologicznych, przecinając je pionowo do powierzchni ziemi, tkwi gruba na dwie stopy żyła szarych i białych kwarców, zawierająca bardzo drobne ziarenka złota, trudne do rozróżnienia gołym okiem. Jakiś przedsiębiorca zbudował fabrykę, w której tę rudę złota za pomocą różnych sposobów przekształcają w drobny, jak mąka, pyłek; z niego dopiero wyciągają złoto, rozpuszczając je albo w rtęci, albo w słabych roztworach cyjanku potasu.

W kopalni pracowało kilku Rosjan i trzydziestu Chińczyków. Rosjanie byli dobrze uzbrojeni, w obawie przed chińskimi robotnikami, a najbardziej przed częstymi napadami piratów chińskich, którzy marzą o zajęciu tej kopalni.

Na wyspie Askold oprócz mieszkańców kopalni złota, w osobnym domku przebywało wraz z rodzinami dwóch dozorców ochraniających jelenie z ramienia Towarzystwa Myśliwskiego. Jednakże najlepszymi obrońcami jeleni byli mieszkańcy małej wioski koreańskiej, położonej na wąskim wybrzeżu morskim, tuż pod skalistym brzegiem wyspy. Koreańczycy pilnowali, czy nie zbliża się jakiś podejrzany żaglowiec lub grupa dżonek i w razie grożącego niebezpieczeństwa zawiadamiali telefonicznie dozorców, którzy mieli dla obrony wyspy sporo karabinów i nawet jeden kulomiot Maxima. Piraci chińscy i koreańscy z pożądaniem spoglądali na wyspę, gdyż wiedzieli, że na niej przebywa około dwóch tysięcy jeleni. Wyprawy na wyspę Askold z brzegów Korei i Chin odbywały się po kilka razy na rok, przeważnie na wiosnę, a to z tego powodu, że wiosenne rogi jelenie, czyli tak zwane *panty*, przepelnione krwią i różnymi sokami, są uważane przez lekarzy azjatyckich za najsilniejsze i prawie najcudowniejsze lekarstwo przy wszelkich zaburzeniach nerwowych i przy przemianie materii w organizmie. Wartość dobrze spreparowanych, tj. wygotowanych i wysuszonych rogów, dosięga niemal ceny złota.

Polowanie

Wobec tego piraci wschodni wytężali swoje siły i pomysłowość, aby się dostać na Askold i pograsować na nim, ale na przeszkodzie im stali Koreańczycy, którzy za prawo zamieszkiwania tam, połowu ryb i prowadzenia ogrodów warzywnych, sumiennie strzegli wyspy. Za swą wierność ucierpieli oni nieraz, bo piraci nocami dobijali do brzegu po to tylko, aby uczynić napad na tę osadę, podpalić ją i wyciąć mieszkańców. Z tej przyczyny ciemne skały Askolda i zawsze burzliwe morze często były świadkami krwawych potyczek i ponurych dramatów.

Towarzystwo Myśliwskie we Władywostoku, posiadając wyspę Askolda, na której hodowało jelenie aksy i eksploatowało *panty*, było jednym z najbogatszych towarzystw myśliwskich w Rosji. Trzeba mu też oddać sprawiedliwość, że prowadziło gospodarko umiejętnie i racjonalnie. Podczas wojny rosyjsko-japońskiej załoga eskadry admirała Uriu wycięła na mięso wszystkie jelenie na wyspie Askolda.

ROZDZIAŁ II. CZARNE DIAMENTY

— Nasz półwysp — mówił do mnie jeden z dawnych mieszkańców Władywostoku — można by nazwać „czarnym diamentem”, ponieważ stanowią go pokłady węgla kamiennego!

Bogactwo

Moje badania w tym kierunku najzupełniej potwierdziły to zdanie obywatela Władywostoku. Zaczynając od północnej części półwyspu i kończąc na ostrym przylądku na południu, w obrębie samego miasta ciągną się grube warstwy węgla kamiennego, przeważnie brunatnego. Cały szereg kopalni i szybów zwiedzałem wzdłuż linii kolei ussuryjskiej; są one z technicznego punktu widzenia mniej lub więcej dobrze urządzone i zaopatrują w paliwo kolej, zakłady przemysłowe i drobne statki parowe. Bardzo charakterystyczną okolicznością dla wszystkich prawie węgla tego okręgu jest domieszka bursztynu. Niektóre pokłady są wprost przesycone bursztynem, ową smołą dawno zaginionych drzew, tak dalece, że byłoby praktycznym i zyskownym wydobywanie go i przerabianie na lakier.

Cały półwysp Murawiew-Amurski pokryty jest gęstymi lasami o florze mieszanej, północnej i południowej, iglastej i liściastej. Wielka ilość deszczów, wygodna orografia³⁶ półwyspu jest wspaniałym terenem dla rozwoju lasów. Widocznie takie warunki istniały i w poprzednich epokach geologicznych, co spowodowało tworzenie się licznych pokładów węgla kamiennego w głębokich wąwozach górskich, gdzie się nagromadziły wielkie masy drzew, które spadły ze stoków gór. Podobne warunki istnieją we wszystkich dolinach południowej i środkowej części grzbietu Sichota-Alin, gdzie istotnie spotykałem bardzo często większe lub mniejsze pokłady węgla brunatnego niedawnego pochodzenia.

W lasach półwyspu widziałem prawie dżunglę, knieję trudną do przejścia, oplecioną, jak lianami, dzikim winem i różnymi pnącymi się roślinami, jak na przykład chmielem i bluszczem europejskim.

W lasach tych jest mieszanina północnych drzew iglastych, jak cedr, sosna i świerk, i liściastych: brzoza, osina, oraz gatunków południowych: korkowy dąb, orzech grecki, lipa, czarna brzoza i nawet pokrewny palmie południowej dimorfant. Olbrzymia ilość krzaków kwitnących, jak głóg, malina, agrest, bzy, czyni knieję ussuryjską prawie nie do przejścia; podróżnik musi przedzierać się przez nią z pomocą siekiery. W takich dżunglach rozwija się niesłychanie bujnie życie różnych zwierząt. Tym się tylko daje objaśnić fakt, że o jakieś 15 kilometrów od Władywostoku, miasta o ożywionym ruchu kolejowym, z gęstą ludnością i z portem, gdzie w dzień i w nocy rozlegają się przeraźliwe jęki okrętowych syren i potężne ryki statków parowych, spotkać można władcę tej kniei — tygrysa lub niedźwiedzia, o polowanie zaś na bażanty lub cietrzewie nietrudno było tuż niemal za miastem.

Mieszkając o 30 kilometrów od miasta, w kopalni węgla towarzystwa rosyjsko-angielskiego, wyszedłem pewnego poranka z domu i w ogrodzie spostrzegłem psa podwórzowego, który, podniósłszy głowę, ujadł patrząc na wierzchołek drzewa. Zacząłem się bacznie przyglądać i zauważyłem nieduże zwierzątko o ślicznym, prawie czarnym futerku; przykucnęło ono na gałęzi i jarzącymi oczkami spoglądało na szczekającego psa. Wyjąłem z kieszeni rewolwer i dałem kilka strzałów, Gdy zwierzę spadło na ziemię martwe, przeko-

³⁶*orografia* (z gr.) — rzeźba terenu, ukształtowanie gór. [przypis edytorski]

nałem się, że był to soból³⁷. Jak wiadomo, jest to najdzikszy i najsamotniejszy drapieżnik leśny, postrach wszelkiego ptactwa i wiewiórek, a jednak zabiłem go o 20 kroków od domu mieszkalnego! Niezawodnie przekradł się tu z kniei, z tajgi ussuryjskiej, zwabiony domowymi kurczętami i kaczącami.

Podczas wycieczek do lasów, rosnących na zboczach tej odnogi Sichota-Alin, spotykałem tuż w pobliżu Władywostoku całe stada bażantów, cietrzewi i głuszców. Gęstymi zaroślami krzaków ze złośliwym chrząkaniem sunął dzik, a po ziemi, porośniętej wysoką trawą i krzakami różanecznika, mknęły spłoszone sarny-męczennice, które stale tropiła ussuryjska pantera, czyli „bars”, ryś, żbik, tygrys i wreszcie najstraszliwszy i najbardziej krwiożerczy ze wszystkich wrogów — człowiek.

Nigdzie jednak nie spotykałem ludzi. Tylko ślad ich wił się tu i ówdzie poprzez knieje w postaci rzadkich, ledwie dostrzegalnych w gąszczu ścieżek. Ale widocznie rzadko chodzono nimi, gdyż były one już prawie zarośnięte nie tylko trawą, ale nawet małymi krzaczkami. Lasy tu rąbią tylko w pobliżu plantu³⁸ kolejowego lub na skraju, więc w głębi puszczy nikt nie ma nic do roboty, i z rzadka jeno jaki myśliwy lub włóczęga-przyrodnik zagłębia się w serce tych dżungli, oddając się żywcem na pożarcie: w dzień — olbrzymim bąkom gryzącym, w nocy zaś — komarom i drobnym muszkom.

Podczas jednej ze swych wycieczek szedłem wraz z pomocnikiem z laboratorium — żołnierzem. Przedzieraliśmy się przez gęstwinę leśną, płacząc się w mocnej pajęczynie, jakby z jedwabnych nici splecionej, ze wstrętem zrzucając czepiające się twarży pająki i od czasu do czasu strzelając do podrywających się bażantów, które żerowały pod bukami i dębami, żywiąc się żołędziami. Gdyśmy wyszli na niewysokie pagórki, za którymi rozciągał się piaszczysty brzeg morski, zauważyliśmy dżonkę, przywiązaną do leżących tam drzew zwalonych przez burzę. Ludzi nie spostrzeżliśmy na razie, lecz gdyśmy zaczęli schodzić z pagórków, trzech biało ubranych Koreańczyków wybiegło z krzaków, ciągnąc za sobą dużą, ciężką skrzynię.

Krzyknęliśmy na nich. Porzucili swój ciężar i pomknęli w stronę łodzi. Wpadli na pokład i w chwili, gdy dwaj z nich z nadzwyczajną szybkością i sprawnością podnosili fałdowane, prawie czarne żagle, trzeci rozpoczął bardzo ożywioną strzelaninę z karabinu w naszą stronę. Kule świstały blisko nas, uderzały w drzewa i wzbijały w górę niewielkie obłoczki piasku. Mój żołnierz położył się za kamieniem i dał do łodzi dwa strzały.

Schowałem się również za kamień i obserwowałem Koreańczyków. Dopomagając żaglom, zaczęli wiosłować z całych sił. Łódź szybko oddalała się od brzegu, skąd spłoszyliśmy tych białych gentelmenów, a gdy wydostała się za mały występ skał, porwał ją wiatr, nadął żagle i szybko poniósł na otwarte morze.

Obejrzelśmy skrzynię. Były tam karabiny wojskowe, skradzione lub nabyte u łapowników i złodziei — urzędników rosyjskich w fortecy. Z wielkim trudem zawlekliśmy skrzynię w krzaki i po powrocie do Władywostoku zawiadomiliśmy o zajściu władze wojskowe.

Zima tego roku przeszła na pracy w laboratorium i na opracowaniu zebranych materiałów naukowych.

ROZDZIAŁ III. RAJ MYŚLIWSKI

Na wiosnę rozpocząłem wycieczki po kraju.

Z grupą myśliwych odwiedziłem podczas świąt wielkanocnych dwie interesujące wyspy, położone w pobliżu brzegów półwyspu Murawiew-Amurski, w zatoce Piotra Wielkiego, mianowicie wyspy Rikord i wyspę Putiatina.

Pierwsza z nich jest też posiadłością Towarzystwa Myśliwskiego, które hoduje tam sarny. Jest ona zarośnięta trawą nadzwyczaj bujną, pożywną i poszukiwaną przez sarny.

Wyspa przedstawia masyw skalny, przedzielony wąwozem, czyniący ją podobną do siodła. Pokrywa ją piękny las z wysokich brzoź, lip i grabów, lecz las ten jest bez podszycia. Na wyspie mają schronienie setki sarn i, co najdziwniejsze, nie porzucają jej, chociaż morze w grudniu zamarza, więc po lodzie mogłyby z łatwością przejść na kontynent.

³⁷soból — *Mustela Zibellina*. [przypis autorski]

³⁸plant — wydzielony teren, na którym znajduje się tor kolejowy. [przypis edytorski]

Tego jednak nie robią, przeciwnie: z półwyspu emigrują na Rikord stadka sarn i jeleni. Widocznie pociąga je tam odpowiednie i obfite pożywienie.

Na Rikordzie odbywa się raz do roku, na jesieni, obława z psami na sarny, lecz nie wolno strzelać do jeleni, gdyż Towarzystwo Myśliwskie pragnęłoby na tej wyspie mieć jelenie-aksisy, jak na Askoldzie.

Myśliwi ustawiają się w jedną linię wzdłuż jaru, przedzielającego wyspę na dwie równe części. Odbywają się dwie naganki z psami gończymi. Strzelać można tylko bardzo grubym śrutem lub loftkami, kule zaś są zupełnie wykluczone.

Na jesieni byłem na takiej obławie.

Stałem między dwoma dużymi kamieniami, od przodu zasłonięty krzakami głogu. Szczekanie psów dolatywało mnie wyraźnie, a z jego kierunku mogłem sądzić, w którą stronę idą sarny. Wkrótce kilka samek³⁹ przemknęło niedaleko mej zasadzki, lecz nie strzelałem, bo zabijać wolno było tylko rogaczy (samców). Na linii z lewej i z prawej strony ode mnie grzmiały wystrzały. Na mnie jakoś nie wybiegł ani jeden rogacz. Już widziałem psy, idące tropem z wesołym szczekaniem i wywijające ogonami.

Obok mnie, na sąsiednim stanowisku padł strzał pojedynczy, a śrut, bijąc o liście drzew, przeleciał nade mną.

— Co u licha! — pomyślałem — do czego tam strzelają w powietrze?

Nagle wprost na mnie wypadł, robiąc szalone susy, duży rogacz. Podbiegł do moich kamieni, wyprężywszy się, skoczył i, niby wielki ptak, przeleciał mi na głowa. Nie umiem strzelać do latających kozłów, więc przepuściłem go trochę i dopiero gdy był już o jakieś 20 kroków ode mnie, strzeliłem. Potoczył się ze schyłku góry, i zatrzymały go dopiero niewielkie drzewka lipowe.

Po tej nagance mój sąsiad objaśnił mnie, że strzelał do rogacza w powietrzu, gdy ten przesadzał⁴⁰ krzak, ale chybił. Ten właśnie kozioł wpadł na mnie i powtórzył tę samą sztukę akrobatyczną, lecz się mu nie udało, bo po przesadzeniu kamieni musiał przebiec miejsce otwarte, gdzie go dosięgły moje dobre loftki angielskie.

Przy drugiej nagance nie miałem żadnej zdobyczy. Wyszedł na mnie jelen i długo stał, nad słuchując odgłosów psiej pogoni, oddalającej się ku zachodowi. Dygotałem cały z pokusy, aby mu posłać kulę z trzeciej dolnej lufy mego Sauera, lecz wiedziałem, że nie mam prawa tego uczynić, więc wymierzyłem tylko do niego starannie i zabiłem... w swych marzeniach. Dobrze jednak zrobił, że wkrótce zawrócił i wyciągniętym klusem pobiegł w stronę brzegu morskiego, bo kto wie, czy namiętność myśliwska nie zniewoliłaby mnie, bym strzelił do tak pięknego i okazałego celu?

Drugą wyspę zwiedziłem zaraz po świętach wielkanocnych. Mieszkała tam rodzina kolonisty, syna powstańca polskiego, zesłanego w r. 1863 na Syberię, p. Jankowskiego. Miał on tam doskonałą kolonię, hodował rasowe i wyścigowe konie, uprawiając rolę i pracując w ogrodach warzywnych i owocowych. Miał córkę i dwóch synów.

Córka miała lat 16; była to bardzo dzielna dziewczyna. Żaden cowboy nie powstydzilby się pójść z nią w zawody. Dosiadała dzikich rumaków i chwytła na arkan konie z tabunu.

Przy nas osobiście siodłała konia, który nigdy nie zaznał popręgu, i, dosiadłszy go, pojechała na nim w pole. Powróciła po godzinie na spienionym rumaku, który szedł już pokorny i cichy.

Razem z nami przybyli synowie Jankowskiego. Byli to chłopcy zdrowi i silni, o szerokich barach i piersiach. Oczy im się śmiały wesołością i odwagą. Znać było po nich, że już mieli w swym krótkim życiu przygody i że przed niebezpieczeństwem nie schowają się w krzaki.

Opowiadano nam o nich, że podczas napadów piratów i chunchuzów na wyspę walczyli dzielnie razem z dorosłymi i nieraz przyczynili się do odparcia napastników. Sami nic o sobie nie opowiadali, co najlepiej świadczyło nie tylko o ich skromności, lecz i o wartości moralnej.

Bardzo miłe spędziłem na wyspie Putiatina cały dzień, zwiedzając tabuny Jankowskiego, jego stajnie wyścigowe i pokłady doskonałej gliny porcelanowej, czyli kaolinu.

³⁹samka (daw.) — samica. [przypis edytorski]

⁴⁰przesadzać — tu: przeskakiwać. [przypis edytorski]

W parę dni po powrocie do Władywostoku dowiedziałem się, że młodzi Jankowscy nazajutrz po pożegnaniu się ze mną byli o włos od śmierci.

Wziąwszy strzelby na kaczki i osiodławszy konie, pojechali oni przez las w stronę brzegu morskiego, gdzie na wiosnę zbierało się dużo przelotnych kaczek i różnego ptactwa wodnego.

Chłopcy jechali gęsiego, gdyż ścieżka była wąska i wiła się jak wąż w gęstych zaroślach.

Młodszy chłopiec, jadąc z tyłu, zauważył w krzakach zaczajonego lisa, który mu jednak od razu znikł z oczu. Podniósłszy się na strzemionach, zatrzymał konia i zaczął rozglądać się uważnie po krzakach. Lis jak w wodę wpadł! Chłopak zamierzał już zsiąść z konia, gdy usłyszał groźny, chrapliwy ryk i wołanie starszego brata.

Spiął konia i popędził ścieżką. Wkrótce wpadł na małą polanę i zobaczył straszny obraz.

Brat mknął przechylony w tył, a na zadzie konia wisiał tygrys, którego koń włókł za sobą. Jedną łapą straszego drapieznika leżała na prawym ramieniu jeźdźcy i coraz przechylała go w tył, drugą łapą tygrys wpił się w bok koniowi, lecz nie mógł oprzeć się o konia jedną z pozostałych łap i włókł się, ze wściekłością czepiając się ziemi i krzaków.

Mały Jankowski ściągnął konia nahajem i wkrótce dogonił brata i napastnika. Starszy brat tymczasem już zaczynał słabnąć, gdyż tygrys prawie całym swym ciężarem wisiał na nim, cisnąc go i raniąc. Krew zlała całe ramię i plecy chłopca.

Młodszy brat dopadł tygrysa, a gdy ten zwrócił ku niemu rozwścieczony łeb, wypalił mu z rewolweru w ucho. Zwierzę bezwładnie ześlizgnęło się z konia i upadło bez życia. Parę kul jeszcze wpakował w łeb tygrysa mały chłopak, a potem dopiero zaczął pomagać bratu, który otrzymał bardzo poważne rany, również jak i koń, straszliwie broczący krwią. Pomógł bratu zejść z siodła, naprędcę zrobił mu opatrunek, rozerwawszy swą koszulę na bandażę, i przywiózł do domu. Wziąwszy parobka, powrócił na miejsce wypadku, zdjął skórę z tygrysa i zjawił się z tym trofeum w osadzie ojca.

Takich młodzieńców wychowuje życie z naturą, wśród przygód i stałych niebezpieczeństw, wymagających odwagi, siły woli i przytomności umysłu. Jest to najlepsza, choć bardzo twarda szkoła dla podrastającego pokolenia, od którego zależeć będą losy, szczęście i wielkość wszystkich państw i narodów.

ROZDZIAŁ IV. WYSPA ZBRODNI

Prawie pod fortami Władywostoku, w Zatoce Ussuryjskiej wznosi się mała wyspa, z jednej skały złożona. Nagi kamień i tylko w jego szczelinach rosną małe krzaczki. Nie widać tu ani domu europejskiego, ani żadnej fanzy chińskiej lub koreańskiej, chociaż o jakie dwa kilometry na brzegu półwyspu Murawiew-Amurski leży szaro-żółta dzielnica koreańska. Czasami zatrzyma się przy tej skale dla połowu ostryg i krabów jaka uboga dżonka. Tylko stada mew gnieźdzą się na jej szczycie.

Wyspa ta zupełnie bezludna, niepotrzebna, a jednak usłyszy o niej każdy podróżnik, zwiedzający Władywostok, ponieważ stały się tu niegdyś rzeczy okropne, a tak zwykłe w Rosji. Do budowy fortecy w Władywostoku przysłano przestępców kryminalnych z Sachalinu. Pracowali oni przy kopaniu wałów i dołów na piwnice cementowe. Naczelnikiem nad tymi przymusowymi robotnikami był urzędnik administracji więziennej, niejaki Komorski, pochodzący z arystokratycznej rodziny rosyjskiej. Żywił robotników źle, obchodził się z nimi okrutnie. Więźniowie długo znosili cierpliwie to znęcanie się, wreszcie jeden z nich rzucił w Komorskiego kamieniem, po czym zaczął się bunt. „Bunt” ten był buntem tylko w raportach Komorskiego i innych urzędników więziennych, w rzeczywistości był to protest przeciwko nieprawnemu postępowaniu z więźniami. Odmówili oni pracy do czasu, aż zostanie usunięty Komorski i wprowadzony będzie możliwy tryb życia i pracy, przez prawo przewidziany.

Wyższe władze jednak poleciły temu samemu Komorskiemu zajście zlikwidować. Komorski spełnił polecenie. Odesłał „buntowników” na samotną skałę i pozostawił ich tam bez żywności. Około dwustu ludzi zmarło z głodu, reszta poddała się Komorskiemu i dalej wiodła życie męczeńskie pod opieką swego kata i dręczyciela.

Samotna wyspa nie ma nazwy, lecz we Władywostoku i w każdym więzieniu rosyjskim znają tę „wyspę Komorskiego”, którą przeklinają szeregi pokoleń więziennych.

Ale nie tylko smętni mieszkańcy więzień rosyjskich, którzy dobrze znają i pamiętają dzieje ludzi, odsiadujących więzienia lub przechodzących przez katorgę, przeklinają „wyspę Komorskiego”.

Losy wielu ludzi w ten lub inny sposób, zawsze jednak tragiczny, były związane z tą samotną skałą.

Złożyła się na to historia Władywostoku i konglomerat, jakim jest jego ludność.

Już wspominałem, że najbliższym od tej wyspy punktem była dzielnica koreańska. Mieszkańcy tego przedmieścia, w pewnej części trudniący się rybołówstwem, szczególnie zaś połowem potwornie dużych krabów, obierających sobie za siedlisko Zatokę Ussuryjską, często uprawiają swe rzemiosło niedaleko od złowrogiej skały. Nie lubią oni jednak wychodzić na jej brzeg nie tylko z powodu mrocznej historii wyspy, lecz i dlatego jeszcze, że tu w stromy brzeg biją zawsze bałwany, zagrażając niewielkim łodziom rybackim. Przy wyspie Komorskiego morze jest dość głębokie, a dno jego pokryte gęstym lasem wodorostów z gatunku *Fungi* i *Laminaria*. Jest to jadalna, bardzo smaczna i poszukiwana w Chinach, Korei i Japonii „kapusta morska”. Jednak zbieracze tych wodorostów połowem ich w tym miejscu wcale się nie trudnią. Są ku temu poważne przyczyny, owe wodorosty bowiem są nieczyste, a nawet, jak twierdzą Koreańczycy, zatrute.

W zaroślach kapusty morskiej zawsze można było znaleźć trupy ludzkie, zjadane przez kraby, małe raki pustelniki i inne stworzenia morskie.

Skąd się brały te trupy?

O tym mogliby opowiedzieć przede wszystkim właściciele różnych podejrzanych instytucji, jak restauracje, szynki, kawiarnie, domy gry, małe, brudne hotele, cisnące się tuż przy brzegu, w odległej części portu. Oprócz tych ludzi, przeważnie Gruzinów, Ormian i Greków, potrafiliby dać szczegółowe informacje niektórzy z rybaków koreańskich.

W tych przytułkach nocnych, drogo opłacających policję lub ukrywających się od niej, często zdarzały się zajścia krwawe, po których pozostawały trupy.

Byłem świadkiem podobnego wypadku. Było to przed wojną rosyjsko-japońską. Jeden z moich znajomych zaproponował mi zwiedzenie tych barłogów portowych, i około godziny 11-ej w nocy wybraliśmy się, zaopatrzeni w nabite rewolwery. W sali źle oświetlonej i przesyconej smrodem nieświeżych potraw i spirytusu było ciasno, tłumnie i gwaro. Majtkowie z okrętów cudzoziemskich, tragarze portowi, jacyś elegancko ubrani młodzieńcy o ciężkim, niespokojnym wzroku, obszarpańcy różnych gatunków, kulisi chińscy, rybacy koreańscy we włosianych cylindrach i białych watowanych spodniach i kurtach, pstro, krzyżąc ubrane kobiety, lokaje o twarzach zbrodniarzy-recydywistów — wszyscy się tłoczyli przy stolikach i szczególnie przy ladzie właściciela, atletycznego, opasłego Gruzina o czerwonej, obrzęklej twarzy i podbitym oku. Gruzin nalewał do kieliszków wódkę, likiery, kümmel⁴¹ i żwawo rozdawał ogromne kufle piwa i porteru. Goście pili, jedli, grali w karty, śpiewali, obejmowali się lub bili. Wszędzie uwijali się lokaje, roznosząc dania, piwo i butelki z mocnymi trunkami. Niekiedy w dalszych, zaciemnionych kątach zrywały się wściekle krzyki i poważniejsze bijatyki, wtedy cała służba się tam rzucała, i po wprawie, z jaką rozbrajała, można było sądzić o barwnej i dość niepowszedniej karierze, która doprowadziła tych ludzi do restauracji Gruzina w porcie władywostockim.

Usiedliśmy przy wolnym stoliku. Ze wszystkich stron patrzyły na nas oczy baczne i podejrzliwe. Podeszedł garson⁴², olbrzym o spuchniętej twarzy i czerwonych rękach rzeźnika. Zażądaliśmy piwa.

Długo trwało badawcze przyglądanie się nam, wreszcie ktoś z obecnych dość głośno się odezwał:

— Nie, to nie policja!

Przyciszone rozmowy, szepty, jakieś przyczajone skupienie od razu znikły: zerwały się krzyki, głośne rozmowy, śmiechy i wymyślania, zabrzęczały szklanki i talerze.

Goście zachowywali się dość bezceremonialnie. W naszych oczach jakiś gracz przegrał wszystko, co miał, i zaklinał się, że nie ma czym płacić, a na dowód tego rozebrał się na sali do koszuli i oddał swoją garderobę partnerom do zrewidowania, istotnie, nic w niej nie znalaziono oprócz przeróżnych, nieznośnych żywych stworzeń. Części tualety

⁴¹kümmel — słodki likier na bazie kminku i kopru włoskiego. [przypis edytorski]

⁴²garson (daw.) — kelner. [przypis edytorski]

niefortunnego gracza powróciły do właściciela z wyjątkiem butów, które zatrzymał sobie szczęśliwy partner, jakiś ciemny i długi jak tyka Chińczyk.

— Ubieraj się prędzej! — naglili lokaje, a gdy się ubrał i stał bosy, głośno i ohydnie wymyślając, porwali go za kark i wyrzucili na ulicę.

Pijący piwo i wódkę, skończywszy butelkę, rzucali ją przez głowy gości za ladę, starając się trafić w worek ze słomą, powieszony w tym celu w kącie przez przezornego Gruzina; przy tym wołali:

— Ej, ty tam, pysku gruziński, wschodni człowieku, wypijaczu naszej krwi, dawaj świeżą butelkę!

W takiej kompanii spędziliśmy parę godzin, uważnie przyglądając się zebranim. Wdzieliśmy, że w dalszych kątach sali jakieś ciemne osobistości szeptały coś do siebie z tajemniczymi minami, widocznie omawiając ważne, a niezupełnie legalne przedsięwzięcia. Do tych grup zbliżali się niekiedy elegancko ubrani gentelmeni i rzucali zmięte banknoty oraz kilka słów rozkazu lub rady. Byli to hersztowie bandyckich i złodziejskich band, którzy pozostawali poza kulisami akcji, będąc jednak jej mózgiem i wolą. Ci panowie, jak drapieżne szczupaki wśród ryb, grasowali niepostrzeżenie wśród ludności miejskiej, nawet się nie kryjąc, bronieni przez odpowiednie dokumenty, przez stosunki z policją, która niekiedy brała nawet czynny udział w wyprawach zbrodniarzy, oraz przez swój dostatni i „porządny” tryb życia towarzyskiego.

Znałem we Władywostoku pewnego młodzieńca, który posiadał języki europejskie i zajmował stanowisko sekretarza w większych przedsiębiorstwach przemysłowych we Władywostoku, lecz nagle został zaarrestowany w jednym z najbrudniejszych barłogów portowych, gdzie się klócił przy podziale zdobyczy bandyckiej.

Spostrzeżliśmy na stolikach graczy w karty, w kości i domino nadzwyczajne stawki. Figurowały tu nie tylko banknoty, złote i srebrne monety różnych krajów, lecz korzenie dżen-szengu lub aromatycznego cybetu⁴³, piasek złoty, perły, drogie kamienie, skórki sobole, gronostajowe, bobrowe i fokowe, rewolwery, sztylety, kawałki bursztynu, a nawet niewprawną ręką kreślone plany miejscowości, gdzie włóczęgowie leśni znaleźli pokłady złota, miedzi lub węgla. Wszystko to przechodziło przez tę giełdę hazardu, gdzie ludzie ci szukali zapomnienia i wypoczynku po twardym i niebezpiecznym życiu, którego wiernymi i nieodstępными towarzyszami były więzienie lub śmierć.

Te stawki śledzili lokaje i informowali Gruzina. Ten czasami opuszczał swój tron za ladą szynku, zbliżał się do najbardziej hazardownego stolika i wszczynał targ, kupując drogie przedmioty za tanie pieniądze lub wódkę.

Podczas naszych obserwacji przy jednym ze stolików wybuchła sprzeczka.

— Ty oszukałeś, psie cuchnący! — krzyczał z pianą na ustach młody, błady człowiek z oczami gorejącymi nienawiścią i rozpaczą. — Widziałem wyraźnie, żeś podrzucił asa pikowego.

Otyły Chińczyk o zagadkowej, lecz pewnej siebie twarzy, do którego stosował się ten zarzut, podniósł na krzyżącego partnera swe czarne, skośne oczy i milczał.

— Odpowiadaj, odpowiadaj natychmiast! — miotał się młodzieniec. — Jeżeli się nie przyznasz i nie oddasz mi wygranego zegarka, dam się zaarrestować, ale doniosę policji, że we Władywostoku u Gruzina ukrywa się wódz chunchuzów, Su-Lu-In. Pamiętaj diabelski synu, przysięgam ci to na szubienicę!

Chińczyk podniósł się, i natychmiast rozległ się strzał. Zobaczyliśmy na jedno mgnienie oka zalaną krwią twarz bladego człowieka, lecz znikła ona za głowami biegnących ku stolikowi Chińczyka gości i lokajów. Pędził tam i opasły Gruzin, wymachując rękami i krzyżąc przeraźliwym, piszczącym głosem, który tak nie pasował do jego figury atlety cyrkowego.

Przecisnął się przez tłum ciekawych i, dopadłszy Chińczyka, zaczął go ciągnąć za jego jedwabną, czarną „kurmę”⁴⁴ i coś mu krzyżeć do ucha.

Su-Lu-In oswobodził się z rąk Gruzina i, nie zmieniając wyrazu twarzy, rzucił mu kilka słów, po czym klasnął w dłoń. Natychmiast kilku Koreańczyków, cuchnących krabami i rybami, podeszło i obejrzało trupa zabitego.

⁴³cybet — pachnidło wykorzystywane w przemyśle perfumeryjnym. [przypis edytorski]

⁴⁴kurma — krótka kurtka, zastępująca palto. [przypis autorski]

Chińczyk wskazał oczami na leżącego i usiadł.

Gdy wszystko się uspokoiło i barłóg przeszedł do porządku dziennego, zapłaciliśmy za piwo i opuściliśmy „restaurację” Gruzina.

Czekał on jednak na nas w przedpokoju i od razu zapiszczał:

— To był zły człowiek, ten, do którego strzelał kupiec chiński z Cziffoo... Wezwałem lekarza i odstawić go każę do szpitala, panowie! Doprawdy, przysięgam na zbawienie duszy chrześcijańskiej, że był to bardzo zły człowiek! Nie warto go nawet żałować... przysięgam...! Proszę wstępować do mnie... Będę miał jutro pyszne ostrygi i ogromne, większe od raków rzecznych *czylimsy*⁴⁵ z Foczej Wyspy... U nas zwykle spokojnie zupełnie, to tylko dziś publiczność się spiła i... taka oto zdarzyła się nieprzyjemność... Do widzenia, do widzenia!...

Wyszliśmy, a gdy obejrzelśmy się, gruba postać Gruzina tkwiła jeszcze we drzwiach szopy i bacznie nas śledziła.

Skręciliśmy za róg jakiejś kamienicy i czekaliśmy.

Po kilku minutach przez inne wyjście z szopy Gruzina wysunęło się dwóch Koreańczyków, z trudem niosąc na plecach zwój sieci rybackich. Podeszedłszy do dżonki, wrzucili sieć na pokład, podnieśli żagiel i zaczęli wiosłować, oddalając się od brzegu. Łódź kierowała się na północ.

— Popłynęli teraz do wyspy Komorskiego! — szepnął mój znajomy. — Tam uwiążą kamień nieboszczykowi i wrzucą go na głębinie do zarośli wodorostów. Będą one dla niego „szpitalem”, o którym mówił nam piszczący Gruzin...

— Teraz musimy zawiadomić policję — zauważyłem.

— Co do mnie, to nie! — zawołał mój towarzysz. — Bezcelowe to i niezupełnie bezpieczne! Policja jest nawet rada, jeżeli kilku zbójów i opryszków wywędruje na tamten świat, tym bardziej, że i tak nie uda się wykryć śladów zbrodni. Od tego są Koreańczycy i stary doświadczony rekin — Gruzin. Obiecał, że jego gość będzie w szpitalu, i bądź pan pewien, że jakiś ochotnik znajdzie się za dobrą zapłatę. Posiadając prawdziwe dokumenty i nie będąc ściganym przez władze, pozwoli się za zapłatą z lekka zranić i będzie odstawiony do szpitala, gdzie powie, że się po pijanemu pobił z którymś z Chińczyków-kulisów, i ten go zranił z rewolweru. Chińczyka sam wielki Bóg nie znajdzie, bo w tym mrowiu kulisów nikt na to nie poradzi... Tymczasem zaciąży na nas zemsta tych nicponiów, i już nigdy nie będziemy mogli spędzić godzin tak pełnych wrażeń w barłogach portowych. Zresztą i policja nie pochwali nas za ten czyn obywatelski, a nawet może zrobić nam chryję i zamieszać do jakiej brudnej sprawy... Pluń na to i lepiej już, jeżeli chcesz, zmów pacierz za duszę błędnego młodzieńca, którego ciało, o, widzisz? — już się zbliża do miejsca ostatniego spoczynku!

Wskazał palcem dżonkę, która złowrogo czerniła się na oświetlonej księżycem wodzie, dopływając do ostrego przylądka.

— Zaraz za tą skałą zaczną się wały fortu, a stamtąd już blisko do wyspy Komorskiego!

W parę dni po tej nocy spotkałem w pewnym towarzystwie gubernatora Władystostoku, generała Cziczagowa i rozmawiałem z nim o przygodzie u Gruzina. Bardzo się oburzał na policję, która nic nie robi i o niczym nie wie. Później jednak ta sama policja nie wiadomo dlaczego stawiała mi dużo przeszkód podczas wykonywania moich czynności, gubernator zaś, jak mi opowiadano, miał zamiar wysiedlić z obwodu fortecy i miasta „pewnego uczonego”, który „łazi” po knajpach portowych i wścibia nos w nie swoje sprawy.

Mój znajomy, który milczał, lepiej ode mnie znał warunki życia „Perły Wschodu” i nie chciał bliżej zapoznawać się z gąszczami wodorostów w morzu, bijącym bałwanami w brzegi „wyspy zbrodni”.

ROZDZIAŁ V. MIASTO PODZIEMNE

Gdzie się osiedlą Chińczycy, wygnani z ojczyzny przez głód lub prawo, tam od razu gnieździ się zbrodnia, jako jedyna broń w ręku tych biedaków, walczących z życiem współczesnym o życie swoje i swoich rodzin, pozostałych gdzieś na Hwang-Ho, Pej-Ho lub

⁴⁵*czylimsy* — chińska nazwa krewetki. [przypis autorski]

Yan-tze-Kiangu. Zbrodnia nienawidzi światła dziennego, boi się promieni słońca, czuje wstręt do prądu świeżego powietrza. Więc czai się w lochach, w zwaliskach domów, lub wpełza, jak wąż, pod ziemię. Tak było i we Władywostoku. Nie tylko dzielnica koreańska, ale i japońska, skały samego miasta i góry okoliczne obfitowały w podziemia, gdzie się ukrywały różne niebezpieczne organizacje i drapieżne osobistości, wynurzające się z mrowia przybyszów chińskich.

Były tam nie tylko schroniska najuboższych i najwystępniejszych synów Państwa Nieba, lecz i jadalnie, składy zrabowanych rzeczy i broni, złożonej tu przez hersztów bandytów chińskich, czyli *chunchuzów*, herbaciarnie, palarnie opium i haszyszu, fabryki spirytusu i papierosów, nawet teatry chińskie. O pewnej części tych legowisk i skrytek wiedziały władze rosyjskie, lecz mało się tym przejmowały, ponieważ istnienie tego „podziemnego” miasta pozbawiało ich kłopotu co do rozmieszczenia olbrzymich mas Chińczyków, przybywających tu na wiosnę. Naturalnie, że w każdym innym kraju takie miasto zwróciłoby na siebie uwagę rządu, ponieważ pośród tych tysiącznych tłumów zawsze grasowały najstraszliwsze epidemie tyfusu, ospy, cholery i dżumy.

Zarządzenia sanitarne władz sprowadzały się jednak do tego, że policja wzywała starszyzną chińską i uprzedzała ją bardzo groźnie:

— Niech nie będzie chorych! W przeciwnym razie wyrzucimy wszystkich za granicę!

To ostrzeżenie istotnie skutkowało. Bardzo rzadko można było zauważyć masową epidemię wśród ludności chińskiej. Że ona jednak istnieje, wiadano z objawów innych, a mianowicie z przepelnienia szpitala przez chorych Rosjan. Epidemia przenosiła się z podziemi i z jawnych hoteli i zajazdów chińskich i szerzyła pośród Europejczyków. Chińczyków zaś w szpitalach prawie nigdy nie było, z wyjątkiem robotników, pracujących u Rosjan lub u cudzoziemców.

Szczególnie niebezpieczna była dżuma, i w razie wybuchu tej epidemii władze byłyby zmuszone do przedsięwzięcia bardzo kłopotliwych i kosztownych środków zapobiegawczych.

Pierwszym zarządzeniem byłoby wysiedlenie przybyszów chińskich, dla których równało się ono wyrokowi śmierci, gdyż Chińczycy wiedzieli, że zaraz za granicą rosyjską czyhały na nich głód i prawo. I pierwsze, i drugie niosły z sobą śmierć. Więc znalazł się sposób: chorych na dżumę umieszczono w odludnej jaskini, izolując ich starannie, zwłoki zaś zmarłych palono lub zalewano wapnem. Były podobno wypadki, że gdy epidemia zaczynała się rozszerzać, chorych wrzucano do dołów z wapnem, aby nie nieśli z sobą zarazy.

Bądź co bądź przy budowie nowych fortów zawsze odkopywano wielkie ilości wapna z resztkami kości i szmat ubrania. Były to, jak objaśniano, albo cmentarze zadżumionych Chińczyków, albo doły, do których wrzucano chorych na dżumę.

Europejczycy, którzy nigdy nie byli w Chinach, zwykle zwiędzali palarnie opium.

Byłem tam ze znajomym Chińczykiem, znanym bogaczem Jun-Cho-Zanem. Pokazał mi on jedną palarnię, która miała być najbardziej typową w guście chińskim. Mieściła się przy ulicy Aleuckiej, w górze, w piwnicy chińskiego brudnego hotelu, w którym i w dzień, i w nocy panował taki zgiefk, jakby tam był pożar lub tłumy ludzi mordowały się wzajemnie.

Tylko w prawej piwnicy panowała cisza, jak w świątyni, lecz — naturalnie nie chińskiej. Przy wejściu wisiała duża latarnia papierowa z jarzącą się świecą z czerwonego wosku. Już w sieni uderzyły nas zaduch i niemiły, gorzki zapach dymu z fajek. Uchyliwszy drzwi i schylając głowy, aby się nie uderzyć o futrynę, weszliśmy do środka palarni. Była to długa piwnica, o jednym oknie w rogu, ale i ono było zasłonięte kupą śmieci, zebranych z podwórza i z ulicy; w tych śmieciach walczyły z sobą o kawałki chleba i kości psy, świnię i gromada dzieciaków chińskich.

W piwnicy wzdłuż ścian umieszczone były dwoma rzędami prycze, z wąskim przejściem pośrodku, którym bez szelestu i odgłosu kroków sunęły milczące postacie dwóch służących, podających gościom przyrządy do palenia. W rogu, przy ladzie z drzewa, malowanego na czerwono, ozdobionej czarnymi sentencjami chińskimi, siedział stary Chińczyk, właściciel palarni. Wydzielał on potrzebne przedmioty i zapasy służbie i palił tytoń z długiej fajki, popijając zimną herbatę.

Na pryzkach, na bambusowych matach, przedzieleni jeden od drugiego niewysokimi

Narkotyki

parawanami z papieru, ozdobionego rysunkami i napisami chińskimi, leżeli goście. Przy każdym stał mały stolik z tacką, na której mieściły się przyrządy do palenia. Stała tam lampka olejna, przykryta szklanym kloszem, z otworem u góry, słoik ze smołą opiumową, metalowa szpilka do wyjmowania opium i gruba fajka bambusowa. Gość, leżąc na boku, wyjmował szpilką smołę, ugniatał z niej gałkę i rozgrzewał na ogniu lampki, aż smoła zaczynała dymić i nawet się zapalać. Wtedy wkładał ją do fajki i dokonywał paru głębokich pociągnięć, w błogiej rozkoszy przymykając oczy. Po dwóch lub trzech fajkach przewracał się na plecy i leżał wpatrzony w sufit, z którego zwieszała się papierowa latarnia, z przywiązaną do niej błyszczącą kulką szklaną, kwiatkiem lub ptaszkiem. Inni leżeli z zamkniętymi oczyma, pogrążeni w jakichś marzeniach, lub spali spokojnym, błogim snem.

Od czasu do czasu do palaczy zbliżali się posługacze i zaglądali im w oczy, badając, czy przypadkiem śmierć nie zaskoczyła ich w tym stanie rozkosznego zapomnienia.

A często się to zdarza w owych przytułkach straszliwego nałogu! Wtedy ci sami milczący posługacze owijają w maty martwe ciało i składają je pod prycze, na których dążą do takiego kresu życia inni palacze. W nocy albo wydadzą ciało krewnym, albo zjawią się przekupnie chińscy sprzedawcy włoszczyzny lub ryby, położą nieboszczyka na dno wozu, przysypią go ziemniakami lub pospolitymi tu rybami o czerwonych płetwach i wywiozą do nor Koreańczyków, ci zaś wrzucą je do morza w okolicach „wyspy Komorskiego”.

Spędziłem z Jun-Cho-Zanem w palarni około godziny. Mój towarzysz wypalił dwie fajki, a ja wypilem szklanek ciepłego chińskiego *majgoło*, czyli wódki anyżowej, zagryzając ten niezbyt smaczny trunek piernikami z bobowej mąki i z chińskiego zielonego marcepanu. Przyglądałem się przy tym bacznie otoczeniu.

Palący Chińczycy wpadali w coraz to większe odrętwienie, z trudnością przewracając się na bok dla przyrządzenia świeżej fajki i na coraz to dłużej pogrążając się w śnie głębokim. Jednak sen stawał się coraz niespokojniejszy. Miotali się, wykrzykiwali jakieś zdania lub mruczeły coś ledwo dosłyszalnym głosem. Służący częściej zaglądali za parawanami, stojące na pryczach, a niektórym znanym i stałym klientom kładli zimne okłady na głowę i serce, rozcierali ręce i nogi lub dawali do picia zimną wodę.

Niektórzy, skończywszy palenie i oprzytomniawszy, wychodzili, ślaniając się na nogach, śmiertelnie żółci, o twarzach jak z wosku, ze zgasłymi martwymi oczami. Tu, w tych palarniach pozostawiali oni nieraz całe swe mienie i spadali coraz głębiej w otchłań nędzy, z dniem każdym coraz szybciej tocząc się w przepaść — śmierć.

Później byłem kilkakrotnie w gorszych palarniach na przedmieściach, gdzie prycze są budowane na dwa a nawet na trzy piętra, jedno nad drugim, i gdzie nałogowi temu oddawały się jednocześnie dziesiątki Chińczyków.

Właściciele wyzyskiwali swych gości, żądając straszliwie wysokich cen za opium i za usługę.

Podejrzana służba ograbiała nieprzytomnych gości, a gdy ci później protestowali, kończyła z nimi porachunki poza ścianami nory, zabijając ich, a trupy wywożąc za miasto lub na brzeg morza. Chunchuzi z palarni porywali zwykle ludzi bogatych, po czym wysyłali do krewnych lub do przedsiębiorstw listy, grożąc porwanym śmiercią, jeżeli nie otrzymają okupu.

Takie wypadki zdarzały się w palarniach, mieszczących się w podziemiach lub w jaskiniach, gdzie się zaczęli zbierać nałogowcy, kiedy władze rosyjskie zarządziły prześladowanie opium. Dopiero wojna rosyjsko-japońska położyła kres istnieniu tego nielegalnego miasta, ponieważ władze wojskowe, obawiając się podkopów, wybuchów i szpiegostwa, wypędziły to mrowie ludzkie z obwołu fortecy, zburzyły dzielnicę koreańską i japońską, a nawet załaly cementem niektóre jaskinie i przejścia podziemne.

Byłem we Władywostoku w czerwcu 1921 r., wtedy, gdy pomiędzy wodzami ruchu antybolszewickiego toczyły się spory, co przeszkadzało w utrzymaniu ładu i bezpieczeństwa w mieście. „Perła wschodu” stała się areną działalności bandytów chińskich, którzy nawet w biały dzień dokonywali napadów na sklepy i banki chińskie, porywali bogatych kupców, zabijali policjantów rosyjskich, obawiali się zaś tylko Japończyków, którzy byli wtedy panami położenia w stolicy posiadłości rosyjskich na Dalekim Wschodzie. Słyszałem od stałych i dawnych mieszkańców Władywostoku, że miasto podziemne znowu

odżyło, zapełniło się nowymi ludźmi, wprowadziło dawne ulubione przez Chińczyków obyczaje i porządki, zaczynając od palarni opium, kończąc zaś na dżumie i cholery.

Pamiętam, że bywały wtedy takie dni, kiedy nikt bez obawy o swoje życie nie mógł wychodzić poza obręb miasta, a wszystkie miejscowości, które były zabudowane willami bogatych obywateli, stały się terenem energicznej akcji bandytów.

Wraz z upadkiem prawa i autorytetu władzy, kraj ten odpadał coraz bardziej od Rosji, odpadał automatycznie, stając się areną dla grup anarchicznych i dla doświadczeń polityki cudzoziemskiej.

ROZDZIAŁ VI. ZRABOWANE MORZE I KRWAWE SZLAK

Pewnego razu w trakcie mych prac nad węglem kamiennym i nad złotem, musiałem zwiedzić zatokę Posjeta, czyli tak zwany port Niżegorodzki, położony na południu Kraju Ussuryjskiego w pobliżu granicy rosyjsko-koreańskiej. Na brzegach tej zatoki leży osada wojskowa, Nowokijewsk, gdzie jest załoga i kilkunastu oficerów. Miała tu niegdyś powstać forteca dla obrony kraju od strony południowej, ale projekt do skutku nie doszedł i w zatoce pozostała tylko samotna osada, gdzie ludzie się spijali, zgrywali w karty, kończyli życie samobójstwem i starali się rozerwać w tak dziwny sposób, że wprost zmuszony jestem poświęcić tej sprawie osobny rozdział w swej książce.

Osada Nowokijewsk jest otoczona lasami, bardzo gęstymi w pobliżu granicy koreańskiej. Gdzieniedzie spotykają się *fanzy*⁴⁶ myśliwych, przeważnie chińskich. Pomiędzy Władywostokiem a tą osadą kursują niewielkie statki pocztowe, przewożąc nielicznych podróżnych, ponieważ pod względem handlowym i przemysłowym ten punkt nie ma żadnego znaczenia i nikogo nie pociąga.

Jednakże w lasach, otaczających osadę, spotkać można znaczną ilość ścieżek i dziwne zabudowania. Są to ukryte w krzakach, niskie, do połowy wryte w ziemię chaty o dachach z belek, okrytych darniną i porośniętych krzakami.

Objasniono mi, że są to *zasidki*, czyli miejsca zasadzek myśliwych na zwierzęta i ptaki. Oficer Popow, który wyjeżdżał ze mną na polowanie, mówiąc o *zasidkach*, uśmiechnął się i dorzucił:

— To są zasadzki na „białe łabędzie”. Nasi kozacy pobudowali je za dawnych czasów, ale korzystają z nich i teraz, chociaż już rzadziej!...

Nie zapytałem go wtedy o szczegóły, chociaż zadziwiło mnie, dlaczego kozacy czyhają na łabędzie w lasach, zamiast czynić to gdzieś na brzegu jeziora. Ale wyjaśnienie otrzymałem w parę dni później w sposób zupełnie nieoczekiwany.

Zwiedziłem brzegi zatoki Posjeta, a później i samą zatokę na małym statku wojennym. Zdziwiło mnie bardzo, że nigdzie nie widziałem oznak życia, ani nawet wodorostów, tak obficie rosnących we wszystkich zatokach morza japońskiego.

Kapitan statku z goryczą w głosie zaczął opowiadać:

— Bo to, widzi pan, nasz rząd tak mądrze prowadzi sprawy państwa! Przed pięciu laty dano Japończykom koncesję na połów ryb w tej zatoce. Wyłapali oni wszystkie ryby, wydobyli z pomocą nurków wszystkie wodorosty, ostrygi, trepangi⁴⁷ i kraby z dna i pozostawili tu po sobie pustynię wodną, na którą nie zapuszczają się już stada ryb, nastraszone barbarzyńskimi sposobami połowu. Jeżeli pan chce, dam panu skafander i urządzę przechadzkę po dnie zatoki!

Zaciekawiło mnie to opowiadanie i zgodziłem się na propozycję. Niedaleko od osady kapitan zatrzymał statek i wydał rozkaz spuszczenia łodzi z pompą i przyrządami dla nurków. Wsadzono mnie do worka gumowego, włożono mi na nogi grube buty z podeszwami z ołowiu, na głowę — ciężki skafander i zaproponowano, abym wszedł po schodkach do morza. Drugi nurek spuścił się z drugiej strony łodzi. Gdy się zanurzyłem w morze i wreszcie, trzymając się za linę, dotknąłem dna, zacząłem się rozglądać i ostrożnie stąpać po dość grząskim gruncie zatoki.

W miękkim zielonkawym półmroku widziałem zatopione belki i jakieś kawały żelaza; nieco dalej tkwiła zamulona do połowy kotwica z kawałkiem łańcucha. Kamienie,

⁴⁶*fanza* — chata. [przypis autorski]

⁴⁷*trepangi* — jadalny, bardzo smaczny, tusty i pożywny gatunek robaków morskich. [przypis autorski]

zardzewiałe blaszki od nafty i konserw, potłuczone butelki i jakieś szmaty i sznury leżały rozrzucone w różnych miejscach, ale nigdzie nie spostrzegłem śladu życia. Dno było zupełnie ogołocone. Nie spotkałem ani wodorostów, ani ryb, ani gwiazd morskich lub meduz, nawet resztek muszli najzwyczajniejszych mięczaków nie mogłem zauważyć. Była to istotnie pustynia, martwa, porzucona przez istoty żyjące, jakby jakaś zadżumiona okolica, którą omija każde żywe stworzenie.

Ponury a smutny był to widok. Targnąłem za sznur i wkrótce byłem już na pokładzie łodzi, gdzie mnie wyluskwiono z gumowo-mosiężnej łupiny.

— Wesolutki krajobraz? — zapytał z ironią kapitan.

Opowiedziałem swe wrażenie, a marynarz smutnie spuścił głowę na piersi.

Niedaleko od Nowokijewska przechodziła droga do granicy koreańskiej. Biegła ona przez porośnięte lasem liściastym odnogi Sichota-Alina. Nikt jednak tamtędy nie jeździł; droga miała znaczenie strategiczne, lecz nie była uczęszczana; były bowiem inne, tajne drogi, czyli ścieżki, którymi brnęli biało ubrani Koreańczycy do swojej smutnej, melancholijnej ojczyzny z Kraju ussuryjskiego, gdzie zdobywali różnymi legalnymi i nielegalnymi sposobami środki do życia swego i swych rodzin, opuszczonych czasami na długie lata.

Byłem na polowaniu z oficerami w pobliżu granicy Korei.

Za przewodników służyli nam kozacy, którzy tu przybywają do straży pogranicznej z miasta Nikolsk Ussuryjski i z wiosek kozackich. Strzelaliśmy tam sarny, których całe stada pasły się na schyłkach gór w wysokiej trawie i w gęstych krzakach.

Podczas polowania, dążąc za sarnami, które uchodziły w góry, przez gęste zarośla dębu, spostrzegłem coś czarnego za zwalami skał. Na razie myślałem, że to człowiek, więc krzyknąłem, aby uciekał, bo łatwo może dostać postrzał. Nikt mi jednak nie odpowiedział. Skierowałem się w stronę kamieni, gdy nagle coś zaryczało przeraźliwie i duże, czarny niedźwiedź wyskoczył na prawo ode mnie i stoczył się w dół, na dno wąwozu. Widziałem tylko uginające się pod jego ciężarem krzaki, lecz zwierza nie mogłem dostrzec.

Chciałem już iść za nim, gdy nagle z dołu zagrzemiał wystrzał, a echo kilkakrotnie go powtórzyło, niosąc coraz dalej w góry.

Wtedy ujrzałem jednego z naszych przewodników, kozaka, który wołał na innego, aby przyszedł dopomóc mu w obdzieraniu niedźwiedzia ze skóry. Poszedłem na miejsce wypadku: duże niedźwiedź leżał, ugodzony w serce, a kozacy już zaczęli zdzierać z niego skórę.

Tuż obok niedźwiedzia, w gęstej trawie, zauważyłem strzępy białej odzieży koreańskiej i kawałki zmkolej i żółtklej waty.

Kozacy, spostrzegłszy, że patrzę na te łachmany, zaśmieli się głośno:

— To „biały łabędź” przechodził, a ja go tu przyłapałem! — rzekł stary kozak, rozcinając niedźwiedziowi skórę na brzuchu. — Było to dwa lata temu. Ja z ciotecznym bratem, kozakiem z Imanu, przyjechaliśmy tu na „białe łabędzie”, ponieważ wiedzieliśmy, że cała ich kupa ciągnie tymi ścieżkami.

— Co nazywacie „białymi łabędziami?” — spytałem kozaków.

— Koreańczyków, panie, Koreańczyków! — odpowiedział starszy z nich wesołym głosem. — Idą oni z amurskich kopalni złota, z Sungaczy, z Maj-che, z zatoki Imperatora, a niosą na grzbietach w swych koszach dużo cennych rzeczy: złoty piasek, panty (wiosenne rogi jelenie), džen-szeng, bursztyn, grzyby, perły rzeczne, skórki sobole, gronostajowe i kunie. Dlaczego mamy na to pozwalać, gdy takie rzeczy i nam-chrześcijanom, na pożytek pójść mogą?

Znowu wybuchnęli głośnym śmiechem.

— W jaki sposób zabraniamy im tego? — spytałem, domyślając się prawdy.

— Bardzo to proste przedsięwzięcie! Urządzamy sobie na ścieżkach *zasidki* i czekamy. Wszystkie prawie ścieżki dawnymi czasy były obsadzone w ten sposób. Koreańczycy idą pojedynczo, bo nie dowierzają sobie nawzajem, a więc przekradają się, ukrywając się w krzakach i lasach. Gdy kozacy posłyszają odgłos kroków albo stuk siekiery lub zobaczą w nocy na wierzchołkach drzew lunę od ogniska Koreańczyka, chwytają takiego „białego łabędzia” i zabierają mu zawartość jego kosza. Czasami rzuca się on na nas z siekierą lub z nożem, broni się zawzięcie — wtedy kula go na zawsze uspokoi. Jeżeli tylko płacze

i przeklina, kozak też go zastrzeli, bo co takiemu niefortunnemu „łabędziowi” po życiu? Czy tak, czy owak, powinien umrzeć...

Tak opowiadał spokojnym, dźwięcznym głosem stary kozak, a nie miałem powodu mu nie wierzyć, gdyż widziałem poplamione, może krwią, strzępy odzieży koreańskiej, w krzakach zaś parę zasadzek.

— Wszak to zbrodnia? — zauważyłem, patrząc na kozaków.

— Jakaż tam, proszę pana, zbrodnia! — odparł młody. — Czyż to są ludzie? To „gadziny”. A dużo ich jest, jak mrówek! Teraz już rzadko odbywa się takie polowanie, bo zaczęli oni jeździć kolejami i statkami, i tylko najbiedniejsi przekradają się lasami. Zresztą władza za polowanie na „białe łabędzie” wsadza kozaków i chłopów na sześć miesięcy do więzienia, a Cyryła Fomenkę to wpakowali na cały rok: jakiś konsul ujął się za zabitym, dowiedziawszy się o tym od Chińczyków, którzy widzieli trupa, a później spotkali Fomenkę, który porządkował w koszu „łabędzia”. Dawniej, panie, panowała tu swoboda! Raj to był dla odważnego i mocnego kozaka! Minęły te czasy! Teraz idziesz lasem, aż tu telegraf ciągnie się nie wiadomo dokąd i poco! Chyba żeby krępować wolnych ludzi...

Wolność

Serdecznie klęli obaj na ten niepotrzebny wynalazek cywilizacji, i, skończywszy z niedźwiedziem, ruszyli dalej.

Natrafiliśmy na wielką polaną, z której zerwało się stado bażantów. Miałem tam używanie! Za każdym mym krokiem z krzaków lub z trawy wyfruwały bażanty, szare kury i złote koguty, mieniące się różnymi barwami na szyi, piersiach i grzbiecie. Zrobiłem prawdziwy pogrom. Strzał do bażanta jest łatwy, gdyż ptak zrywa się z hałasem, trzepotem skrzydeł i krzykiem, ciężko i bardzo powolnie wzbija się pionowo w górę, na jakie 10–15 metrów, i dopiero wtedy zaczyna lecieć w prostej linii, ze znaczną już szybkością, lecz zupełnie równo. Myśliwemu, o ile nie strzela on w gąszczu, gdzie trzeba szybkiego celowania i sprytu, polowanie na bażanty znudzi się prędko. Szczególnie stosuje się to do Kraju Ussuryjskiego, gdzie ilość bażantów jest wprost zdumiewająca. W okolicach zatoki Posjeta polowałem w towarzystwie dwóch oficerów i w ciągu dnia zabiliśmy 270 sztuk.

Innym znów ptakiem, w wielkiej ilości znajdującym się w tym kraju, jest bekas daurski. W roku 1905 na błotach, tuż za głównymi warsztatami kolei wschodniocchińskiej, polując od godziny 8-ej rano do południa, zabijałem do 80 bekasów.

Taki jest ów raj myśliwski, a wśród zdobyczy strzelca spotkać tam można „białe łabędzie”, nieszczęśliwych tułaczy koreańskich, którzy, dorobiwszy się ciężką i zawsze niebezpieczną pracą w lasach Ussuri lub w wąwozach Sichota-Alina, dążą do swej ojczyzny, do krainy Smutnego Zachodu, gdzie jeszcze smutniejsze życie pędzą ich rodziny, porzucone czasem na lata całe przez ojców i mężów. Próżno będą wyglądać ich powrotu, próżno żywić nadzieję lepszej przyszłości, bo tam, koło tajnych skrytek kozackich, na nieznanych ścieżkach pozostały po nich tylko skrwawione strzępy białej odzieży, draśnięty kulą pień i tylko czasem kości. Ciała dawno znikły, rozszarpane przez tygrysy, niedźwiedzie i wilki.

Takie myśli mi ciążyły, gdy w kniei ussuryjskiej przecinał te krwawe szlaki „białych łabędzi”, co na wiosnę brnęły na północ ku nadziei, a w jesieni ciągnęły z powrotem na południe... w objęcia niechybnej śmierci z rąk „Europejczyków”-Rosjan, niosących kulturę na Daleki Wschód.

ROZDZIAŁ VII. KLUB TYGRYSA

Spędziłem parę dni w osadzie Nowokijewsk i przyglądałem się jej życiu. Bywałem stale w towarzystwie miejscowych oficerów. Osobliwe to było towarzystwo. Większość stanowili oficerowie, zesłani tu za różne występki, jak np. sprzeniewierzenie pieniędzy rządowych, pijaństwo, nieuczciwą grę w karty, za skandale, zabójstwo żołnierzy i za okrucieństwo w koszarach. Były to typy zupełnie zwyrodniałe, upadłe, znajdujące rozrywkę wyłącznie w wódce, kartach i rozpuście. Większość była kawalerów, gdy więc przybywała rodzina oficerska, zaczynały się romanse, skandale i pojedynki. Oazę stanowili oficerowie z dobrych rodzin, mianowani do Nowokijewsk przypadkiem. Życie tych ludzi było ustawiczną męką. Nie mogli się tu zaaklimatyzować, przyzwyczaić do ohydnych warunków służby i istnienia. Zabijali oni czas polowaniem. To była jedyna rozrywka. Poza tym nic: ani książek, ani towarzystwa, ani przyjemności kulturalnych. Zwykle uciekali stamtąd jak najprędzej przy pierwszej sposobności, ale komu się to nie udawało, ten był skazany —

Samobójstwo

na samobójstwo. Najczęściej zaczynał pić i w stanie nieprzytomnym w ataku wesołości pijackiej lub rozpaczki pakował sobie kulę w łeb lub w serce.

Cmentarz w Nowokijewsku jest ponurą kartą historii kolonizacji rosyjskiej na wybrzeżu Oceanu Spokojnego.

Większość zaś jednak, prawie zapomniana przez władze, rzucona na brzegi martwej zatoki, na dzikie pogranicze Korei, potrafiła istnieć. Homeryczne pijaństwo, hazardowna gra w karty i nieskończone, często krwawe burdy rozjaśniały życie tych upadłych ludzi.

Najlepszą ilustracją tego okropnego wprost bytowania oficerów na brzegu Posjeta był „klub tygrysa”.

Za moich czasów musiał się on już ukrywać, bo władze go nie tolerowały, ale przed 20 lutego istniał jawnie, a sława jego dochodziła aż do środkowej Syberii. Wtedy nosił dziwną nazwę „Stowarzyszenia Łancepupów”.

Opowiem o nim według słów starego oficera, który spędził długie lata w Nowokijewsku.

— Wieczorem, po dobrym pijaństwie zbieraliśmy się w kasynie oficerskim, brudnej i ciemnej szopie przepojonej wyziewami alkoholu. Dość było nawet trzeźwemu człowiekowi wejść do tego lokalu, by od razu poczuł się pijanym. Pijani zaś już przedtem wpadali w stan ponurej rozpaczki lub dostawali ataku wściekłości. Skutkiem tego nastroju była specjalna gra, wynaleziona tu, na brzegach zatoki Niżegorodzkiej, w koszarach Nowokijewska. Była to gra w tygrysa. Gracze tworzyli „Klub tygrysa”, który do 1895 roku nosił nazwę „Stowarzyszenie Łancepupów”. Członkowie klubu wchodziłi do pokoju, oświetlonego tylko jedną świeczką. Zarzynało się ciągnięcie losów: białego i czerwonego. Biały oznaczał myśliwego, czerwony tygrysa. Myśliwemu dawano nabity rewolwer, tygrysowi dzwonek. Reszta członków sadowała się na wierzchnich szczeblach drabin, przystawionych do ścian, pozostawiając na dole tylko myśliwego i tygrysa. Gdy wszyscy byli już na swoich miejscach, wołano na służbę, która natychmiast wносиła tace z dużymi szklankami, napełnionymi wódką. Główni aktorzy dostawali zamiast wódki — czysty alkohol lub mocny arak. Po wypiciu tego „chłodzącego napoju”, służba gasiła jedyną świecę i wynosiła się, szczerlnie zamykając drzwi za sobą. Rozlegała się komenda: „Polowanie w toku”... i gra się rozpoczynała.

Tygrys skradał się w ciemności bez szmeru, gdyż przed grą zdejmowano buty, czaił się w kątach izby, czasem kładł się mi ziemię lub czołgał na brzuchu, starając się zmylić baczność i słuch myśliwego. Nagle rozlegał się dzwonek, głuchy i urwany, a za nim strzał myśliwego do tygrysa.

Czasami natychmiast słycać było głuchy łoskot upadającego ciała zabitego lub ranego „tygrysa”, czasami krzyk radosny: „Chybił, teraz ty za tygrysa!”...

Gracze zmieniali role, i gra trwała dalej. Nieraz po takiej wesołej nocy w „klubie tygrysa” patrole ranne znajdowały na brzegu zatoki ciała zabitych oficerów. Wszyscy wiedzieli, jaki był koniec tych członków „Stowarzyszenia Łancepupów”, lecz w raportach zawsze pisano, że „Oficer taki a taki znaleziony został martwy wskutek nieostrożnego obchodzenia się z bronią palną”.

Opowiadający to zamyslił się na chwilę, ogarniając wzrokiem ubiegłe lata w koszarach Nowokijewska, a potem podniósł głowę i mruknął:

— A przecież doprawdy ta gra w tygrysa była lepsza od całego naszego życia w osadzie i w koszarach tam — na brzegu zatoki! Przekłete to było życie, ohydne, brudne, zwierzęce!...

Zaklął straszliwie i zamilkł, pykając dymem z fajki.

ROZDZIAŁ VII. W KNIEI

Trudno mi jest zapomnieć o wycieczce mojej na północ od Władywostoku, gdzie dokonywałem rekonesansu geologicznego, mając na celu poszukiwanie węgla i złota. Rozciąga się tu dzika „tajga”, knieja ussuryjska, ocean zieloności, mieszanina flory północy i południa. Tu, na drugim brzegu Zatoki Ussuryjskiej, pochłonęły mnie głuche, bezludne wąwozy środkowego Sichota-Alina. Wijące się i znikające co chwila ścieżki prowadzą do fanzy do fanzy, gdzie mieszkają myśliwi rosyjscy i chińscy.

Często zatrzymywałem się w tych samotnych fanzach. Czasami przyjmowano mnie uprzejmie i gościnnie, czasami zaś przy zbliżaniu się mym do chaty właściciel jej wybiegał i krył się w lesie, czasem nawet kula z niewidzialnego karabinu gwizdnęła mi nad głową, jako ostrzeżenie, żebym ominął tę siedzibę człowieka nie lubiącego, widocznie, towarzystwa.

Pewnego wieczora mignęło mi przez gąszcze światło. Skierowałem się ku niemu i wkrótce ujrzałem mały domek z cienkich belek, otynkowanych gliną. Płot ze stojących palów, z ciężką bramą z grubo ociosanych desek otaczał tę *fanzę*. Krzyknąłem, aby mi otworzono bramę, a mój przewodnik — kozak uderzył kolbą w płot. Rozległa się jakieś mruczenie, niezrozumiały, głuchy bełkot, i brama powoli się uchyliła. Najpierw zjawiała się latarnia papierowa, a potem strwożona, wychudzona twarz Chińczyka z dużymi przerażonymi oczami. Miał warkocz owinięty naokoło głowy i za tę fryzurę wsuniętą fajkę.

— *Ni ljao-cho!*⁴⁸ — pozdrowił go kozak po mandżursku.

Chińczyk zaczął szybko kiwać głową i bełkotać.

Nic nie rozumieliśmy, chociaż mój przewodnik biegle mówił narzeczem mandżurskim. Chińczyk zaś w dalszym ciągu coś bełkotał głuchym, ciągle urywanym głosem. Wreszcie szeroko otworzył usta i zbliżył do swojej twarzy latarnię. Ujrzeliśmy odcięty prawie przy samym gardle język i wybite przednie zęby.

Kozak szybko się porozumiał z kaleką na migi i wkrótce opowiedział mi, że nasz gospodarz był poszukiwaczem dżen-szengu, i pewnego razu napadł go w domu, tu, w lesie, chunchuzi. Zażądali, by im oddał swą zdobycz. Odmówił im jednak. Wtedy zaczęli go torturować. Wbijali mu drzazgi pod paznokcie, przypiekali go na gorących kamieniach, wreszcie odcięli mu język i wybili zęby. Lecz on nie wskazał skrytki, gdzie przechowywał czarowny korzeń. Objasniając to bełkotem i na migi, Chińczyk, zdawało się, dawał nam do zrozumienia, że teraz, gdy ma przypalone stopy, powykręcane paznokcie i ucięty język, niczego się już nie obawia, nie wyjawia przeto nikomu, a więc także i nam, swej tajemnicy.

Co do mnie, tak zrozu miałem bełkot i gesty Chińczyka.

Ulokowaliśmy się w jego chacie z komfortem. Naznosiliśmy dużo świeżej trawy i urządziliśmy wygodne posłanie, rozkubaczyliśmy konie i przywiązali je pod strzechą małej obory, stojącej tuż przy fanzie; przynieśliśmy następnie wody ze strumyka i zaczęli przygotowywać herbatę. Chińczyk, który wzruszył się i uspokoił tym, że nic od niego nie żądamy, lecz nawet go częstujemy tytoniem i cukrem, przyniósł nam koszyk jaj bażan- cich i wiązanek kapusty morskiej.

Po kolacji, którą zjadł razem z nami, i po herbacie stał się bardzo „rozmowny”. Bełkotał coraz szybciej i głośniej, wymachiwał rękami, ciągle rozglądał się po izbie i szperał po wszystkich kątach. Nareszcie dał nura do jakiejś dziury, zniknął na chwilę i wkrótce się zjawił z miną zagadkową. Coś trzymał na dłoni, przykrywając drugą. Gdy podszedł do *kanu*⁴⁹, oświetlonego naszymi świecami, rzucił nań dwa duże brunatne korzenie, dziwacznej formy. Miały wyraźną, zupełnie określoną formę ludzką. Widać było głowę, pierś, nogi i ręce o długich zakrzywionych palcach. Na głowie rosły cienkie, poplątane włosy. Kozak, znawca tych rzeczy, uważnie oglądał korzenie, potem zaś rzekł ze smutnym westchnieniem.

— Za takie dżen-szengi we Władywostoku, czy w Chabarowsku dadzą drugie tyle złota podług wagi! Są to stare, zdrowe, najmocniejsze korzenie!

Z jego westchnienia i smutnej miny wywnioskowałem, że, gdyby mnie tam nie było, niemowa-Chińczyk z pewnością musiałby przejść przez nowe tortury i wskazać, gdzie chowa skarb, tak poszukiwany na wschodzie.

O północy, gdy już leżeliśmy na swoich łóżkach przy słabym, migotliwym płomyku lampy olejnej, wszedł towarzysz kaleki, drugi poszukiwacz dżen-szengu. Był to olbrzym o surowej, prawie groźnej twarzy, szerokich barach i potężnym karku niedźwiedzia. Gdy się ruszał w ciasnej izbie, zdawało się, że ją rozwali. Zatrzymał się przy naszym posłaniu i bacznie się nam przyglądał, po czym, oczami porozumiawszy się z niemową, od razu się

⁴⁸*Ni ljao-cho!* — Bądź zdrów! [przypis autorski]

⁴⁹*kan* (chiń.) — ogrzewana prycza. [przypis autorski]

uspokoił; zdjął karabin, postawił go w odległym kącie, wyjął z zanadru mały woreczek skórzany i oddał go towarzyszowi. Ten odwrócił się twarzą do lampki i, skwapliwie go rozwiązawszy, począł oglądać zdobycz. Widocznie była dobra, bo bełkotał radośnie i klaskał w dłonie, jak dziecko. Olbrzym rozbiął się powoli, był widocznie bardzo znużony; z trudnością przełknął miseczkę kaszy z prosa, popił herbatą i głośno stękając, upadł na *kan*. Wkrótce chrapał jak koń, a niemy znowu dał nura do jakiejś skrytki i długo nie wracał. Zdawało mi się, że słyszę łoskot toczących się kamieni i głuchy zgrzyt żelaza; zresztą był to może sen, bo już nie pamiętałem, kiedy powrócił nieszczęśliwy kaleka. Nazajutrz o świcie byliśmy już na nogach i piliśmy herbatę, przegryzając sucharami i biszkoptami. Olbrzym, ciągle stękający i śmiertelnie znużony, okazał się człowiekiem bardzo rozmownym i towarzyskim. Mówił niezłe po rosyjsku, gdyż mieszkał we Władywostoku kilka lat i służył tam jako *boy*⁵⁰. Przyszło mi na myśl, że ten lokaj o ciele słonia i karku niedźwiedzia ładnie się zapewne obchodził z meblami i sprzętami domowymi; wyobrażałem sobie na przykład, jak usługiwał przy stole, zmywał kieliszki „Baccarat” lub prasował białystową.

— Ciężka i niebezpieczna jest nasza praca! — mówił, popijając herbatę i krzywiąc się, gdyż go bolały stawy w nogach. — Żeby znaleźć korzeń, musi człek obejść góry i doliny, omal że nie na kolanach, bo roślina to mała i kryje się w gęstej trawie. Wreszcie znajdziesz miejsce upragnione, a wtedy należy każdą piędź ziemi obmacać. A jednocześnie trzeba się strzec. „Wielka kotka”⁵¹ i bars też przychodzą tu po dzeń-szeng. Korzeń przynosi siłę i długie życie, więc go szukają i potem zjadają. A gdy spotkają człowieka lub niedźwiedzia, zaczynają walkę i nigdy nie ustąpią, chyba zginą w potyczce. Już sześć lat wałęsam się po tajdze i zabiłem dziewięć tygrysów i dwa barsy, a niedźwiedzi nawet zliczyć nie mogę! Nie boję się „wielkiej kotki”, bo kiedy zabiłem pierwszą, która na Maj-che napadła na mnie na polanie z korzeniami, zjadłem jej serce i wątrobę. Jednak straszniejszy jest diabeł, który broni dzeń-szengu. Mały jest, czerwony, o pałających oczach. W dzień broni korzeni w ten sposób, że oślepia człowieka, a w nocy zapala trawę i wpija się w pierś, wysysając krew!...

— Widzieliście go? — spytałem.

— Ja — nie! Ale stary Fu-Dziań dwa razy go widział i ma całą pierś poszarpaną pazurami diabła! — odpowiedział olbrzym. — Często się zdarza, że diabeł — zamieni się w dzeń-szeng, który wyrasta przed poszukiwaczem, a gdy ten się zbliża, posuwa się coraz dalej, aż człowiek straci drogę i zginie w kniei. To mi się przytrafiło w zeszłym roku. Idę sobie wąwozem i wyglądam wyciętych liści cudownej rośliny. Naraz widzę duży liść i czerwone drobne kwiateczki, jak płomyki. Stary to musiał być korzeń! Podchodzę, a zbliżyć się nie mogę; odległość pozostaje wciąż taka sama. Krążyłem, krążyłem po lesie, i nagle znikł mi liść i kwiatki. Oglądam się — nie ma nic! Szukałem wszędzie, lecz nic odnaleźć nie mogłem. Już wieczór się zbliżał. Chciałem powracać do fanzy, ale nie mogłem się połapać, gdzie jestem! Błądziłem do północy, aż zmęczony usiadłem pod drzewem i już miałem zasnąć, kiedy nagle usłyszałem, że ktoś głośno stąpa, przedzierając się przez las. Nie miałem wtedy karabinu, tylko siekiere. Przygotowałem się. Naraz zobaczyłem niedźwiedzia. Szedł i węszył. Podniósł głowę i zatrzymał na mnie wzrok. Ruszył ku mnie, zbliżył się o pięć kroków, zajrzał mi w oczy, zawrócił i poszedł. Pozostałem pod drzewem. Niedźwiedź oglądał się za mną kilka razy, potem powrócił i znowu, oglądając się, poszedł! Zrozumiałem, że woła mnie za sobą. Poszedłem za nim, a on doprowadził mnie do naszego strumyka, skąd już trafiłem od razu do fanzy. Dużo, *Ta-je*⁵², dziwów widzieć można w tajdze!

Wstał, przeciągnął się z jękiem, aż mu stawy zatrzęszczały, przerzucił karabin przez ramię, nóż i łopatę przywiązał do pasa, za który zatknął siekiere, i wyszedł. Zauważyłem, że zabrał z sobą na cały, pełen pracy dzień, dwa małe *mento* — chleby ugotowane nad parą.

Widziałem i inne fanzy, gdzie mieszkali myśliwi. Rzadko używali oni strzelb, polując za pomocą różnych sideł i zasadzek.

⁵⁰*boy* — lokaj. [przypis autorski]

⁵¹*wielka kotka* — tygrys. [przypis autorski]

⁵²*ta-je* — panie. [przypis autorski]

Za pomocą sidła łapia sobole, kuny i tchórze. Stosują dwa gatunki sidła: zwykłą sieć lub pułapkę nadzwyczaj pierwotną, lecz zbudowaną na podstawie znajomości zwyczajów zwierząt.

Polowanie odbywa się wyłącznie w zimie, gdy na śniegu łatwo odnaleźć ślady zdobyczy. Myśliwi śladami idą do gniazda sobola lub kuny. Wykrywają je w dziupli drzewa. Pies myśliwski, tak zwany *czao-czao*, z rodzaju kosmatych wilków, o stojących uszach i czarnym języku, zaczyna czekać, zwęszywszy zwierzątko i drapać pień drzewa. Zaciekawiony i zaniepokojony soból natychmiast wylazi gdzieś na wierzchnie gałęzie i bada położenie. Wtedy Chińczycy rąbią najbliższe drzewa, jeżeli są one w pobliżu i jeżeli ofiara może na nie ratować się ucieczką. Potem pień drzewa otaczają ze wszystkich stron luźno zawieszonymi na drążkach sieciami. Następuje naganka. Chińczycy zaczynają wystraszać mieszkańca nory, uderzając siekierą w pień, krzycząc i rzucając w górę kawałki drzewa i kamieni. Soból wdrapuje się na sam wierzchołek drzewa, ale, ciągle płoszony hałasem, powraca do nory, z której po chwili znowu ucieka. Trwa to dość długo, wreszcie zrozpaczone zwierzątko zwinnie ześlizguje się wzdłuż pnia, aby zeskoczyć na ziemię i zemknąć, lecz tu trafia w sieć, która opada i wnet je oplata, gdy stara się ono wydostać, ciągle się szamocząc. Uderzenie obucha przerywa pasmo jego dni. Tak giną sobole, kuny i tchórze.

Pułapki, używane na te drapieżne zwierzęta, są bardzo proste. Soból stara się iść zawsze po drzewach, nie lubi grzebać się i grzęznąć w śniegu. Jeżeli ma przebyć kawał drogi, posuwa się wzdłuż leżących drzew i zgniłych pni. Myśliwi, znając to przyzwyczajenie, stawiają na takich drogach pułapkę — deskę, podpartą z jednego końca lekkim patykiem, z góry zaś przyciśniętą ciężkim kamieniem. Soból, idąc wzdłuż leżącego drzewa i spotykając przeszkodę, nie zeskakuje w śnieg, lecz zaczyna się przeciskać, starając się przeslizgnąć pomiędzy deską a skrajem pnia. Wreszcie zawadza o patyczek, deska spada i swym ciężarem przygniata zwierzątko. Na kuny i tchórze ten sposób jest używany z przynętą. W tym celu za deską umieszczają uwiązane żywe ptaki.

Jelenie, łosie łapie się w jesieni, urządzając dla nich tzw. „solanki”. Myśliwi podczas lata wypalają dość dużą polanę, pozbawiając ją krzaków i trawy. Ziemię zaś w ciągu całego lata solą. Zwierzęta zaczynają przychodzić na lizanie soli, i często można spotkać na takiej przestrzeni dość głębokie dołki, wylizane przez jelenie. Gdy zwierzęta już się oswoją z miejscem i uczęszczają na polanę, jesienią wykopuje się na tym placu parę głębokich dołów, przykrywa z góry gałęziami, przysypanymi mocno przesoloną ziemią; do tych dołów wpadają jelenie, łosie i sarny, gdyż gałęzie załamują się pod ich ciężarem. Myśliwi siekierami lub dzidami zabijają zdobycz i obdzierają ze skóry.

Za pomocą takich dołów łapia też brunatnego księcia kniei — niedźwiedzia. Zwabiają go padliną, a w dno dołu wbijają zaostrzony pał, na który wpada drapieżnik.

Dziwną jest rzeczą, że tygrys nigdy nie wpadnie do takiej pułapki. Krąży dokoła, a zawsze zwęszy robotę swego wroga — człowieka i odejdzie jak najdalej od pokusy i niebezpieczeństwa. Chciwi myśliwi polują na tygrysa z karabinem w ręku i chętnie chadzą na niego, ponieważ chińscy lekarze płacą grube pieniądze za żółć i serce tygrysa, a czarownicy szamani różnych szczepów, koczujących w lasach ussuryjskich, poszukują na amulety pazurów i kłów władcy tajgi.

Na rzece Maj-cho, gdzie badałem pokłady węgla brunatnego, spotkałem fanzę myśliwych rosyjskich. Było ich dwóch i posiadali dwa doskonale tresowane psy. Przybyłem do ich osady w przeddzień ich wyprawy na tygrysa, liczne bowiem ślady tego drapieżnika znaleźli w lasach okolicznych.

— Ten tygrys musi być stary i zuchwały! — opowiadał mi jeden z myśliwych. — W nocy przeskoczył płot chaty kozackiej, porwał krowę i z nią razem przesadził ogrodzenie. Widocznie ześlizgnęła mu się z grzbietu i spadła na płot, lecz ją wyciągnął, pozostawiając na ostrzach palów kawałki jej skóry i sierści. Było to przed tygodniem, po czym tygrys znikł, teraz zaś ponownie się zjawił i porwał onegdaj dwa psy. Jutro idziemy na niego z Bożą pomocą!...

Zaprosili mnie z sobą, gdy obejrzeni mój karabin Henela z lunetą i dużego Mauzera w pochwie drewnianej. Zgodziłem się. Nazajutrz o świcie wyszliśmy na polowanie. Była to jesień. Las stał w złotych i szkarłatnych szalach, jakby świątecznie przybrany. Szliśmy ścieżką pośród gęstych krzaków, rosnących na miękkim gruncie. Nagle psy się zatrzymały i zaczęły węszyć, trwożnie nastawiwszy uszu. Zobaczyłem, jak moi towarzysze oglądali się

na wszystkie strony z palcami na cynglach. Lecz psy się uspokoiły i popędziły do lasu. Po kilku minutach zatrzymały się i, przycisnąwszy nosy do ziemi, zdawało się, zamarły w tej pozycji baczności i namysłu. Myśliwi również badali miejscowość. Wkrótce trafiliśmy na miejsce, gdzie tygrys leżał. Trawa była pomięta, a na suchej gałęzi, leżącej w trawie, odnaleźliśmy świeży, głęboki ślad straszliwego pazura. Psy ostrożnie już biegły naprzód, ale wnet znowu się zatrzymały. Teraz na miękkiej ziemi zobaczyłem głęboki ślad łapy tygrysej. Ślad ten, otoczony śladami pazurów, był zupełnie świeży.

— Gdzieś tu powinien być! — szepnął jeden z myśliwych. Obaj stale się oglądali, od czasu do czasu czyniąc gwałtowne zwroty w tył. Później się dowiedziałem, że tygrys, gdy poczuje pościg, obchodzi myśliwego i napada z tyłu.

Zachowanie się myśliwych denerwowało mnie i budziło trwogę. Byli to ludzie młodzi, jeszcze niedoświadczeni. Począłem żałować, że zgodziłem się z nimi polować. Nagle w gęstej trawie rozległo się żalosne skomlenie psów, i obydwa przybiegły do nas z podwinętymi ogonami, drżące i wystraszone, cisnąc się do naszych nóg i oglądając z przerażeniem. Moi towarzysze... zaczęli zmykać, wołając na mnie.

Z wielkim wysiłkiem woli wstrzymałem się parę sekund, po czym może nazbyt szybko ich dogoniłem. Szliśmy w milczeniu, dość zawstydzeni. Nawet psy rozumiały całą doniosłość skandalu i biegły za nami, ponuro spuściwszy łby.

— Straszno było! — mruknął jeden z myśliwych.

— Oj, straszno! — natychmiast odezwał się drugi.

— Jeden tygrys, i to już za dużo — ciągnął dalej pierwszy — a tu ci dwa od razu!

— Skąd wiecie, że były dwa tygrysy? — zapytałem, zły na cały świat.

— Czy nie widzieliście śladów? — zapytał. — Były to ślady dwóch różnych tygrysów. Pewno para ich tu lazi...

— Od strachu dwoi się wam w oczach! — zawołałem.

— Będzie się dwoiło, gdy człowiek wpadnie na parę takich diabłów! — odparł. — Żeby się to dwoiło! Ale tam były naprawdę dwa. Dwa tygrysy czaiły się w trawie i w krzakach, bo nawet psy nie szczekały, ale od razu uciekły, ponieważ tygrysy pewno zaczęły się do nich skradać z różnych stron...

— Straszne, oj straszne! — wzdychał drugi „pogromca tygrysów”, oglądając się trwożnie.

Chciałem go wykipić, ale przypomniałem sobie tę polaną, porośniętą brunatno-żółtą trawą, złote krzaki dębu, jakąś ciszę przyczajoną, przeraźliwe skomlenie wystraszonych psów, uczucie skradającego się niebezpieczeństwa, groźnego, nadchodzącego nie wiadomo z której strony, oraz ślad pana i władcy lasu, duży, jak głęboki talerz, upiększony, jak ramką, wciętymi w ziemię odblaskami ostrych, potwornych pazurów. Przypomniałem sobie to wszystko i dałem spokój swym towarzyszom, z którymi przecież i ja tak szybko przymaszerowałem do domu z polowania na tygrysy.

Byłem bardzo zły i zawstydzony, lecz później uspokoił mnie sławny myśliwy i strzelec, dyrektor Politechniki Tomskiej, profesor N. I. Kartaszow, który opowiadał mi, jak sam uciekał z podobnego polowania.

I inni myśliwi potwierdzili, że łowy na tego straszliwego drapieżnika w gęstych krzakach, gdzie go żadne oko nie wysledzi, a skąd napada on pewnie i zawsze ze skutkiem dobrym dla siebie, a złym dla myśliwego, napełniają trwogą najodważniejsze serca. Tylko jeden człowiek mówił inaczej, ale o nim opowiem na innym miejscu.

Zwiedziłem tej jesieni zatoki św. Olgi, św. Włodzimierza i Tetiuche. Są to miejsca na wybrzeżu Oceanu Spokojnego, najbardziej pociągające kapitalistów ze względu na najbogatsze pokłady rudy żelaznej, węgla, miedzi i cynku. Przed i po wojnie japońskiej rozwijali tam swą akcję handlową Niemcy, którzy zagarnęliby byli te bogactwa kraju, gdyby nie wojna światowa. Po tej wojnie nastąpiła zmiana: na wybrzeżu zaczęli działać Japończycy.

Na Dalekim Wschodzie mówiono z przekąsem:

— Święta Olga i Włodzimierz przysłali na pomoc Rosji przeciwko bolszewikom Japończyków!

Było to prawda, gdyż Japonia pozbawiona większych zasobów rudy żelaznej i potrzebująca tego surowca dla swego przemysłu i dla celów wojennych, mogła go znaleźć tylko w zatokach św. Olgi i św. Włodzimierza. Dlatego tak długo wojska japońskie i japońscy

Strach

dplomaci siedzieli we Władywostoku i Niokolajewsku na Amurze, to bijąc się z bandami czerwonych partyzantów, to prowadząc rokowania z hetmanem Siemionowem, przeciwnikiem Sowietów, to znowu odbywając konferencje w Dajrenie i Czycie z dyplomatami moskiewskiego rządu komunistycznego.

Bogactwa te są niewyczerpane, a gatunek rudy — najlepszy. Przemysł metalurgiczny ma tam pole do pracy przynajmniej na 150 lat. O taki kasek warto było walczyć, gadać i okrywać wstydem naród japoński, jak to czynił współczesny rząd w Tokio.

ROZDZIAŁ IX. DRAMAT NA RZECE LEŚNEJ

Podróżując po Kraju Ussuryjskim, zwiedzałem nie tylko samotne fanzy chińskich lub rosyjskich odludków, poszukujących tajemniczego dżen-szengu i złota, lub polujących na sobole, kuny, jelenie i niedźwiedzie, lecz i większe osady, najczęściej kozaków lub chłopów ukraińskich, przesiedlonych tu znad brzegów Dniepru lub Dniestru. Osady te, o ile są położone z dala od linii kolejowej, łączącej Władywostok z Chabarowskiem, przedstawiają zbiorowiska złożone z 10–50 chat, rozrzuconych zwykle na dużej przestrzeni, gdyż odległość między chatami jest znaczna.

W tych wsiach, zaprzęszczonych w lasach i nad brzegami bystrych rzek górskich, życie płynie zupełnie inaczej niż w miastach lub nawet w osadach więcej zbliżonych do kolei. Jakieś dziwne prawa obyczajowe, swoista moralność i wyraźne wpływy koczowniców mongolskich panują tu bez żadnych krępujących je reguł.

Na tym tle rozgrywają się nieraz życiowe dramaty, ciężkie i ponure. Byłem świadkiem jednego takiego wypadku, gdy podróżowałam konno od stacji Czernihowskiej do brzegów zatoki Tetiuche.

Ścieżka biegła przez obszary leśne i przecinała główny grzbiet Sichota-Alin. O 60 kilometrów od wybrzeża morskiego dogonił nas młody kozak. Służył on w straży pogranicznej w Mandżurii, gdzie w potyczce z chunchuzami dostał postrzał w piersi i, po wyjściu ze szpitala, otrzymał czterotygodniowy urlop do domu. Był błady i wychudzony, w szeroko rozwartych źrenicach była jakaś ciągła trwoga, miał gorączkę i pluł krwią. Nie rokował wcale długiego życia ten młody milczący kozak.

Jechał z nami parę dni i powoli stał się ze mną szczery, może dlatego, że go trochę leczyłem, dając mu chininę, a na noc, ponieważ źle sypiał — krople walerianowe.

Opowiedział mi więc, że już od trzech lat nie był w domu, za którym tęsknił; z rozrzwiniem w głosie wspominał o swej malowniczej wiosce, położonej wśród starych dębów, na brzegu rzeki, bystrej i głębokiej, pełnej wirów i odmętów. Szczególnie długo opowiadał o niewielkim jeziorze, porośniętym wysokimi trzcinami, ze ślicznymi, jak z aksamitu, kitami, o szumiących strumykach, wypływających z jeziora.

— O, żeby pan zobaczył to jezioro! — mówił z zachwytem. — Piękne jest, zwłaszcza w noc księżycową. Jeżeli sięść na wysokim brzegu w krzakach dębowych lub za ścianą trzcin, które śpią nad wodą, jezioro wydaje się srebrne. Czasem tylko po jego błyszczącym zwierciadle zaczynają biegać czarne koła i pasma. To ryba gdzieś plusnęła, lub spóźniona kaczka wpadła, rozcięła gładką powierzchnię roztopionego srebra, na której od razu zaczynają wznosić się małe fale, marszcząc srebrne zwierciadło... Jakie to piękne!...

Spojrzałem na przybladłą twarz kozaka, i w jego rozmarzone oczy. Mimo woli uśmiechnąłem się i zapytałem:

— Pewno nie sami siadywaliście w tych krzakach i przyglądaliście się srebrnej wodzie jeziora?

Pochylił głowę i po chwili milczenia szepnął:

— Tak, panie! Bywałem tam z narzeczoną. Kocham tę dziewczynę nad życie! Gdym wyjeżdżał, przysięgła, że będzie na mnie czekała. Teraz tylko rok służby w wojsku mi pozostał, a potem powrócę na dobre do wsi i pobierzemy się!

— Daj Boże szczęścia! — powiedziałem.

— Dziękuję wam! — szepnął w przerwach ciężkiego kaszlu.

Kraj pomiędzy koleją ussuryjską i dalej za Sichota-Alinem jest interesujący z punktu widzenia historycznego i etnograficznego. Niegdyś panowała tu znaczna kultura, zapewne koreańska. Mieszkańcy kraju Smętnego Zachodu byli niegdyś ludem walecznym i potężnym, lecz, mając niespokojnych i bardziej przedsiębiorczych sąsiadów, Japończyków

i Chińczyków, podupadli, zubożeli i wreszcie zatracili kulturę, wolność, a obecnie i własny kraj. W lasach spotykałem ruiny wałów i murów, rozsypujące się już kamienne fundamenty dużych budynków, może świątyń i pałaców lub twierdz. Gdzieniedzie pozostały pamiątki starożytnej rzeźby z owych czasów. Były to olbrzymie, na 2–3 metry długie żółwie, wykute z olbrzymich głazów granitowych, poniszczone zębem czasu. Niektóre miały na grzbietach wyryte rysunki, wyobrażające smoka lub jakieś kwiaty i ornamenty.

Niegdyś wrzało tu życie, o czym świadczyły ślady szerokich dróg, obecnie zarośniętych lasem. Drogi te były nawet brukowane okrągłymi kamieniami i miały mosty, gdyż resztki ich spotkałem w dwóch miejscach: na rzece Daubiche i na nieznanym mi z nazwy, nadzwyczaj wartkiej, chociaż małej rzeczce, płynącej pośród wysokich, skalistych brzegów.

Obecnie pozostała tylko dzika, bezludna knieja. Nawet pojedynczych fanz nie spotkałem, ale za to widziałem stada jeleni, kabarg (*Gazela mosca cabarga*) czyli piżmowej antylopy i ślady barsa, czyli pantery północnej. Ślad to był krwawy — trup jelenia z przegryzionym gardłem. Spłoszyliśmy drapieżnika, który ukrył się przed chwilą, gdyż jeleni był jeszcze ciepły, a na ziemi wyraźnie odbiły się ślady łap i pazurów napastnika. Kozacy, spostrzegłszy ślady, jednogłośnie orzekli, że był to bars, postrach jeleni i saren, oraz klęska dla koni i bydła domowego.

Idąc jego śladami, doszliśmy do miejsca, gdzie one nagle zniknęły.

— Na drzewo się schronił! — zauważył starszy przewodnik.

Rozglądaliśmy się po konarach dębów i cedrów, ale nigdzie nie mogliśmy dojrzeć zwierza. Badając każde drzewo, przeszliśmy nie mniej niż dwa kilometry, gdy nagle spostrzegliśmy ciemną masę, która zeskoczyła z drzewa, przebiegła przez niewielką polanę i z zadziwiającą szybkością wdrapała się na samotnie stojący dąb.

Kozacy porwali za karabiny i pomknęli w tamtą stronę. Pośpieszyłem za nimi, przygotowawszy swego Henela. Pierwszy dopadł dębu chory kozak i w okamgnieniu, nie schodząc z konia, wymierzył do barsa i strzelił. Jak ciężki worek, drapieżnik spadł w gęstą trawę. Kilku nieprzytomnych skoków, bezładnych podrygów — i rozciągnął się martwy, gdyż dostał kulą za uchem.

Był to okaz ciemno-brunatny, z dużymi plamami na całym ciele, długim na 1½ metra. Miał nieproporcjonalnie dużą głowę i długi ogon.

— Dobry strzał! — pochwaliłem kozaka.

— Jestem w komendzie strzelców konnych! — odparł z dumą. — Do niej zaś wyznaczają tylko takich, którzy najlepiej strzelają. Zresztą ciągle polujemy na grubego zwierza w lasach północnej Mandżurii. Już się nabyło wprawy.

Kozacy szybko zdarli z barsa skórę, którą nabyłem dla muzeum za 10 rubli.

Gdyśmy przyjechali do wsi rodzinnej chorego kozaka, byłem zniewolony spędzić tam trzy dni, gdyż mój koń podbił sobie kopyto, które spuchło mu bardzo. Spędziłem tedy czas na polowaniu, jezioro bowiem, które tak upoetyzował chory kozak, roiło się od kaczek. Używałem, nie szczędząc prochu i śrutu.

Stanąłem w chacie starosty, przeto swego towarzysza podróży nie widziałem, mieszkał on na drugim końcu wsi, rozciągniętej prawie na trzy kilometry. Zresztą przez cały dzień włączyłem się ze strzelbą nad brzegami jeziora, licznych strumyków i małych rzeczek, wypływających z niego.

Pewnego razu powracałem do domu już po zachodzie słońca. Byłem zmęczony, ponieważ cały dzień polowałem, zabrawszy z domu chleb, trochę suszonego mięsa i tabliczkę czekolady. Usiadłem więc na kamieniu w krzakach, na brzegu strumyka i postanowiłem trochę wypocząć, bo do wsi miałem jeszcze co najmniej godzinę drogi.

Przesiedziawszy z pół godziny, już miałem ruszyć dalej, gdy nagle doszły mnie odgłosy kroków i rozmowa ludzi, idących drugim brzegiem strumyka. Usiadłem znowu. Usłyszałem smutny głos kobiecy, drżący ukrywanym łkaniem i przerywany od czasu do czasu wzburzonym barytonem męskim.

Mówiący zbliżyli się i, idąc ścieżką, prowadzącą do jeziora, przechodzili blisko mej mimowolnej kryjówki.

Kobieta mówiła cichym, beznadziejnie smutnym głosem:

— Ja nie śmiałam się sprzeciwić... Macocha kazała iść za męża — poszłam, żeby nie być ciężarem w domu. Bieda u nas przecie, nędza!...

— Ale przysięgłaś mi, że będziesz czekała na mnie! — wybuchnął mężczyzna i głośno zakaszał. — Przysięgłaś?

— Przysięgłam... — odezwała się, jak echo, kobieta.

— Przysięgłaś! — szyderczo zaśmiał się mężczyzna. — I cóż z tego, żeś przysięgła? Zdradziłaś mnie!... Wyszłaś za męża!... Za męża!... Za mego ojca!... Rozumiem!... Bogaty i hojny dla młodej żony, a ja — żołnierz, biedak!... Eh, jaką ty mi krzywdę wyrządziłaś!... Nie mam słów na wypowiedzenie mego żalu, mej męki... Boję się nawet tych słów, bo są to słowa przekleństwa i nienawiści!...

Kobieta coś mówiła jeszcze, ale już tego nie słyszałem, bo poszli dalej, a wiatr zaszumiał trzcinami i gałęziami krzaków. Wyjrzałem ze swej kryjówki, skąd mimo woli podśledzałem smutną rozmowę dwojga nieszczęśliwych, i poznałem swego towarzysza podróży — kozaka, który ciężko ranny, jechał do ojczystej wioski na wypoczynek i po... miłość.

Jakaś trwoźna ciekawość zapędziła mnie nazajutrz do mego przypadkowego towarzysza podróży.

Zastałem go na podwórzu, oglądającego koła wozu. Ucieszył się, gdy mnie ujrzał, lecz wkrótce wpadł w smutną zadumę. Zaprosił mnie na herbatę, tradycyjny syberyjski i w ogóle azjatycki poczęstunek.

Weszliśmy do chaty. Wszędzie znać było chłopski dostatek. Pod ścianami stały ciężkie skrzynie z różnym dobytkiem. Stół był nakryty czystą serwetą — wyszywaną; w prawym kącie wisiało dużo srebrnych obrazów świętych, z palącą się przed nimi w dzień i noc lampką. Obrazy były przystrojone wyszywaniem ręcznikami i kwiatami sztucznymi, o jaskrawych barwach. Na ścianach wisiało duże lustro i jakieś oleodruki w czarnych ramach. Podłoga z desek, gładko wyheblowanych, świeciła czystością, zarówno jak ławki i stoły. Znać było, że życie w tej chacie jest już urządzone na stałe i płynie biegiem normalnym. Przez drzwi, prowadzące do drugiej izby, zobaczyłem na podłodze i ścianach domowej roboty dywany, szerokie łóżko z całym stosem poduszek, od ogromnej do zupełnie małej, zdatnej chyba do kołyski lalki; poduszki leżały jedna na drugiej i tworzyły wieżę, wznoszącą się niemal do niskiego pułapu z desek cedrowych. Wszędzie na ścianach wisiały karabiny, rewolwery, szable i noże myśliwskie. Był to dowód najlepszy, że się znalazłem w chacie kozackiej, gdyż kozacy, jako należący przez całe życie do kasty wojskowej, lubują się w broni wszelkiego rodzaju, starannie ją zbierają i przechowują. Ta kasta kozacka pielęgnowała przed bolszewizmem własną bojową tradycję, upiękkszowaną krwawym eposem, ową półlegendarną, półprawdziwą historię kozactwa, którego instynkt wojowniczy znał brzegów Donu i Dońca zagnał aż nad Irtysz, pod Sajany, na Bajkał, Amur i na brzegi Ussuri.

Młody, tęskny kozak, wprowadziwszy mnie do domu, zawołał na swoich. Po chwili weszła młoda szczupła kobieta, o gładko zaczesanych czarnych włosach, z oczyma ciemno-piwnymi. Uderzyła mnie matowa bledność jej twarzy i gorzkie zmarszczki około pełnych, pięknie wykrojonych ust. Była ubrana w ciemną suknię, ręce zaś trzymała na fartuchu, prawie kurczowo zacisnąwszy palce. Gdy weszła, rzuciła na młodego kozaka spojrzenie pełne obawy i bólu.

— To ona! — pomyślałem. — To ta, która przysięgła czekać na młodego syna, a wyszła za męża za starego ojca...

Wkrótce nadszedł z lasu sam gospodarz. Był to kozak olbrzymi, szeroki w ramionach, o gęstej, siwej czuprynie. W jego gorących, siwych oczach błyszczała wesołość i żądza życia.

Z powagą mnie powitał i, zapraszając do stołu, rzekł z niemiłym przekąsem:

— Dziękuję panu za leczenie tego chlerlaka! Słabi teraz ludzie po ziemi chodzą! Za moich czasów na takie rany nie zwracaliśmy uwagi. Miałem dwie takie dziury w pierśsiach podczas wojny tureckiej i kulę w nodze, a widzi pan, że jestem jeszcze zupełnie w porządku?

Zaśmiał się głośno i dodał:

— Młody jestem, młodszy od mego synalka, więc rok temu ożeniłem się powtórnie. Pewnie syn już panu chwalił się swym ojcem?

— Winszuję panu — odparłem — lecz nie słyszałem o tym od niego. Myślę jednak, że pan nie miał takich dziur, jaką kula chińska przewierciła w piersi młodzieńca. Rana jest bardzo poważna, powinien leczyć się bardzo długo i zwracać uwagę na stan swego zdrowia.

Podczas herbaty zauważyłem kilkakrotnie, że stary podejrzliwie i złośliwie spoglądał na milczącą żonę i na smętną, mizerną twarz syna. Te złośliwe migotania w wesołych, energicznych oczach starego kozaka przerażyły mnie. Wyczułem i pojąłem, że wystarczy poważniejszy jakiś powód, by w sercu tego siwego olbrzyma obudził się drapieżny, dziki zwierz. Stwierdziłem również, że życiowo i fizycznie był on silniejszy od śmiertelnie pokrzywdzonego przez siebie syna.

Nie bardzo mile minął mi czas w domu tej rodziny. Czulem, że ze wszystkich kątów tego dostatniego domu wyziera nieszczęście, dyszące zgrozą, wiszącą w powietrzu. Miałem wrażenie takie, jak gdyby się zbliżała burza, a poprzedzające ją czarne, ciężkie chmury, silne powiewy wichru i pierwsze, jeszcze tymczasem dalekie grzmoty i błyskawice już nadbiegały.

Byłem więc bardzo rad, gdy wreszcie poczęstunek się skończył i mogłem pożegnać rodzinę, nad którą, jak sobie z tego doskonale zdawałem sprawę, zawisło bliskie i nieodzowne nieszczęście. Nie myślałem jednak, że tak prędko przyjdzie ono w całej swej bezwzględności i surowości.

Tegoż samego wieczora, gdy pakowałem swe rzeczy, ponieważ nazajutrz miałem wyruszyć dalej, wpadł do mnie mój gospodarz — starosta.

— Panie! Złoty, dobry panie! — wołał, drżąc całym ciałem i niemal łkając. — Prędeż, prędeż! Stało się nieszczęście! Pomóżcie! Ten młody kozak, który przyjechał razem z panem, zastrzelił się...

Chwyciłem ze sobą apteczkę i wybiegłem za starostą.

W pierwszej izbie na szerokiej ławie leżał kozak. Biała, płócienna koszula była zbroczona krwią, która ciężkimi kroplami spadała na podłogę. Był nieprzytomny i leżał na wznak z twarzą siną, mocno zaciśniętymi wargami, a otwarte oczy patrzyły prosto przed siebie nieruchomymi, groźnymi źrenicami.

Od razu pojąłem, że niewiele tu będę miał do roboty, gdyż śmierć już mnie wyprzedziła. Wziąłem za puls. Jeszcze dawał się wyczuć, lecz z każdym uderzeniem słabnął, wreszcie umilkł na zawsze. Powoli ciężkie powieki, jakby znużone, zaczęły opadać, twarz zbladła i nabrała przejrzystości i barwy wosku. Obejrzałem się.

Obawiałem się powiedzieć prawdę, gdyż sądziłem, że młoda kozaczka nie wytrzyma i wybuchnie, budząc burzę w sercu męża.

Lecz kobiety nigdzie nie spostrzegłem. Zajrzałem do sąsiedniej izby — nie ma nikogo!

— Kogo pan szuka? Żony? — spytał mnie ponurym głosem stary. — Nie ma jej... Wyszła przed wieczorem i jeszcze nie wróciła...

— To i lepiej! — odpowiedziałem — Nie będzie rozpaczała, bo muszę wam powiedzieć, że syn wasz umarł...

Stary żadnym odruchem nie zdradził swych uczuć, podniósł na mnie błyszczące oczy i mruknął:

— Już nie będzie rozpaczała ta przekłeta kobieta. Zatrwała życie mnie i jemu! Ale teraz już nie przyniesie nikomu nieszczęścia... Koniec!

— Co się z nią stało? — spytałem, czując, jak chłód zakrada mi się do serca. — Co się stało?

Kozak długo milczał, a potem, ściskając oburącz głowę, wyszeptał:

— Utopiła się!...

Nazajutrz długo posuwaliśmy się brzegami wijącej się rzeki, wypływającej z jeziora, które lśniło w blasku księżyca, jak płynne srebro. A w tej srebrzystej toni znalazła ukojenie młoda kobieta o smutnej twarzy, ta co przysięgła i przysięgę złamała. Jadąc brzegiem, mimo woli wpatrywałem się w szybko mknący prąd i pytałem w myśli, czy nie mignie mi gdzieś na mieliźnie lub w sitowiu przybrzeżnym czarna suknia topielicy i jej błada twarz, napiętnowana bólem... Lecz rzeka mknęła dalej i ukrywała tajemnicę w swoich wirach i w pianie, wyrzucając ją wysoko w powietrze, gdy nurt uderzał ze wściekłością o kamienie i o zwalone pnie starych, spróchniałych dębów.

Samobójstwo

ROZDZIAŁ X. METAL ŻÓŁTEGO DIABŁA

Przerzucając się po tajdze ussuryjskiej z miejsca na miejsce, zależnie od wiadomości, jakie otrzymywałem o nowych pokładach węgla kamiennego lub złota, zdarzyło mi się raz jechać zwykłą ścieżką leśną, rzeką Bikin i jej drobnymi dopływami. Rzeką Bikin wpada do Ussuri i przedziela grzbiety górskie Sinku i Cyfaku, mając swoje źródła na zachodnich spadkach Sichota-Alina.

Węgla tu nie znaleziono, za to w łóżyskach drobnych dopływów Bikina natura złożyła złoto. Nie jest to wprawdzie Klondike, lecz ludzie charakteru awanturniczego i o wielkiej żądzy bogactw pokładali wiele nadziei w złocie, ukrytym w niedostępnej tajdze na Bikinie.

Prawie co dzień spotykałem na swej drodze ślady robót prospektorów, owych ruchliwych i niespokojnych poszukiwaczy złota: wysadzone, poszarpane prochem skały i zwały kamienne, głębokie doły i szyby, rowy, którymi odprowadzano wodę i wysuszano place, które posiadały, jak podejrzewano, złoty piasek. Porozrzucane w krzakach i pośród kamieni blaszanki od konserw i nafty, kawałki zardzewiałego żelaza, resztki wozów dla przewożenia ziemi, jakieś połamane rury żelazne i nędzne szopy — wszystko świadczyło o kipiącej tu niegdyś pracy ludzkiej. Lecz ci, co pozostawili po sobie widoczne wspomnienia, już dawno byli odeszli; na ich miejsce przyszli inni. Pojedynczy ludzie lub niewielkie grupy, złożone z przeróżnych osobników, najczęściej z kryminalną przeszłością, zagłębiali się w knieję aby, oszukawszy baczność policji i inspekcji górniczej, w ciągu lata i jesieni grzebać w ziemi, stojąc po pas w wodzie i wypłukiwać z piasku złoto, chociażby tylko w takiej ilości, aby przeżyć do następnego lata i — następnie powtórzyć to samo. Tacy ludzie budowali sobie nory w ziemi, kopiąc dla siebie szyb, słabo umocowany zrąbanymi drzewami; pracowali, nie mając żadnych innych życzeń, oprócz znalezienia złota i ominięcia ich schroniska przez policję.

Ci ludzie nikogo nie tknęli, a wszystkich się bali. Gdy się ich spotykało przypadkowo w gęstym lesie, nigdy się od razu nie przyznawali do swych czynności, lecz zapewniali, że są myśliwymi lub rybakami, stosownie do miejsca spotkania, pokazując kilka skórek wiewiórek lub tchórzy, albo suszone ryby, rozwieszane na sznurach obok schronisk.

Ale w krzakach i gąszczu leśnym czaiły się i inne indywidualia. Były to niewielkie, liczące po dwie lub trzy osoby, lotne i luźne bandy rabusiów. Polowały one na poszukiwaczy złota; po pomyślnych zaś napadach musiały się mieć bardzo na baczności, gdyż inne podobne im bandy zawsze planowały atak na szczęśliwszych rabusiów. W tym roku, kiedy jechałem ścieżką przez tajgę bikińską, postrachem wszystkich był bandyta, znany pod przewiskiem „Jednooki”. Imię to strachem i grozą przejmowało nielegalnych, a nawet i legalnych mieszkańców tajgi, bo „Jednooki” umiał napadać nieoczekiwanie i zawsze pomyślnie dla siebie, był zaś bezwzględny i okrutny dla przeciwników, rabując ich do ostatniego ziarnka złota, do ostatniej koszuli, przy czym torturował opornych i ukrywających swą zdobycz, a później zawsze podcinał wszystkim gardła.

Przy tej operacji zwykle mawiał do swych pięciu pomocników, takich samych okrutników, jak sam:

— Zabić wszystkich, żeby nikt nie został ani dla zemsty, ani dla plotek!

Jednak nie słyszałem o nim jeszcze wtedy, gdy opuściwszy małą, odludną stację kolejową, konno zagłębiałem się w tajgę, spotykając po drodze dość rzadkie wsie Ukraińców znad Dniestru, przywiezionych to przez rząd rosyjski w celach kolonizacyjnych.

Pamiętam gorące południe lipcowe, gdy wjeżdżałem do małej wsi, z dziesięciu chat złożonej, na lewym brzegu Bikina. Nikt nie wychodził z domu na widok mej skromnej ekspedycji, złożonej z trzech ludzi i pięciu koni. Kobiety, wyjrawszy przez okno, natychmiast się chowały, nawet dzieci nie pokazywały się na ulicy. Zatrzymałem się przy jednym z domków, który wydał mi się czystszy i bogatszy, i zapukałem do bramy. Długo nikt mi nie odpowiadał, chociaż słyszałem, że ktoś kilka razy trząsał drzwiami, wychodzącymi na podwórze, przywiązywał rwącego się na łańcuchu psa i mruczał coś półgłosem.

— Powariowaliście tam do diabła, czy co?! — krzyknął jeden z mych kozaków, rozwścieczony powolnością właścicieli domu. — Człowieka uczonego zmuszacie stać na takim skwarze!

Ten wykrzyknik poskutkował. Po chwili zjawiała się niemłoda już kobieta, otworzyła bramę i poprowadziła nas do izby, tłumacząc się:

— Jesteśmy nastraszeni, panie, wybaczenie! Chodzi tu po ludziach pogłoska, że „Jednooki” grasuje gdzieś w pobliżu i zamierza przyjść do nas, aby wziąć okup. Nasi chłopcy może mu dadzą radę, ale później przyjadą urzędnicy i policja, zaczną się awantury, śledztwo, sąd; chłopcy w tak gorący czas dla rolnika musieliby jechać do sądu, do miasta. Lepiej już nikogo nie wpuszczać!

Moi kozacy roześmieli się głośno.

— A to mądrzy z was ludzie! — zawołał starszy kozak, wysoki, chudy, o szybkich nerwowych ruchach. — Cóż to? do samej śmierci będziecie siedzieli zamknięci w chatach?

— To się zobaczy później! — tłumaczyła się kobieta, krzątając się już koło herbaty. — Siadajcie, proszę, rozgoście się, zaraz przyrządzę herbatę i poczęstuję gorącym pierogiem z rybą!

Ale my już dawnośmy się rozgościli i prawie leżeliśmy na szerokich ławach, zmęczeni skwarem i walką z komarami, które zapewne przysięgły komuś wyssać z nas całą krew. Inaczej nie umiałbym objaśnić ich zaciętości w owym dniu.

Nawet moi przewodnicy, już przyzwyczajeni do tej „małej” przykrości leśnej, kłękali energicznie, że aż się konie oglądały z wyrzutem.

Napiliśmy się herbaty, najedli wybornego pieroga ze świeżą kaługą, rybą z rodzaju jesiotrów, i postanowiliśmy trochę wypocząć.

— Ja nie będę spał! — oznajmił starszy przewodnik. — Pójdę się zapoznać z tymi dziwakami — chłopami. Może się od nich dowiem czego o węglu i o złocie. Słuchajcie no, babciu, przecież wasi chłopcy po tajdze się włóczą?

— A jakże! — odrzekła. — Las rąbią, polują, zbierają orzechy cedrowe...

— Widzę, że macie tu święte życie! — zaśmiał się wesoło. — A dobrze wam się tu powodzi?

— Chwalić Boga — dobrze! — odparła i przeżegnała się nabożnie. — Ziemia urodzajna, chleba mamy pod dostatkiem i sprzedajemy go do Chabarowska i Niokolajewska, bydła — ile nam potrzeba, chłopcy sobole i kuny biją, handlują z Goldami⁵³ spirytusem, tytoniem, prochem i zapalkami, a ci płacą złotem i futrami. My jesteśmy najbliższymi sąsiadami Goldów i najczęściej od nich kupujemy albo bierzemy w komis. Wszystkie ich towary przez nas idą dalej do kolei i do miasta. Sam tylko Golienko zeszłej zimy kupił pięćset soboli i sprzedał w Chabarowsku!...

Mówiła z zachwytem, uszczęśliwiona dobrobytem i powodzeniem.

— Żyć tu z wami, a nie umierać! — wykrzyknął mój kozak, a drugi parsknął głośnym śmiechem i zawołał:

— Dobrze wam, a sami siebie zamykacie w chatach, jak w więzieniu!...

— To tylko teraz, bo „Jednooki”... — objaśniała baba, myjąc naczynia.

Zasnąłem podczas tej gadaniny, a gdym się obudził, zobaczyłem, że moi przewodnicy są już gotowi do drogi. Załatwiłem rachunek z gospodynią, i ruszyliśmy.

Po paru godzinach jazdy przez las, po dawnemu trapieni przez komary i olbrzymie rude muchy gryzące, które kozacy określali jedną i tą samą nazwą *gnus*, spotkaliśmy z boku od ścieżki ślady kół, o jakie zaś pół kilometra dalej — ukryty w gąszczu szałas, w którym zastaliśmy trzech poszukiwaczy złota. Pili wódkę i byli już mocno podchmieleni.

Po powitaniu prospektorzy ostrożnie rozpytali, kim jesteśmy, i natychmiast się uspokoi.

Obejrzałem ich szyb z piaskiem złotodajnym, dając solenną obietnicę, że nikomu z władz o nich nie powiem, i pojechaliśmy dalej ku wielkiej uciezce komarów i innego *gnusa*.

— Powiodło się widocznie tym chłopcom coś większego wykrobać z ziemi — zauważył starszy kozak. — To już bogata „partia”, bo mają dwa konie z wozami, a i wódek nie brak! Nieczęsto się to zdarza tym obszarpancom, co żyją z dnia na dzień!...

Na nocleg zatrzymaliśmy się w głębokim wąwozie, przez który płynął strumyk, głośno szumiąc w kamiennym łożysku.

Po kolacji zawiązałem się z głową w szeroki płaszcz brezentowy i zasnąłem na miękkim posłaniu, które mi urządzili kozacy. Jak gdyby przez sen słyszałem jakiś hałas, czyjeś kroki, parskanie koni, lecz ponieważ nic mnie to nie obchodziło i nie miałem nic, co by mi było

⁵³Goldowie — myśliwskie plemię mongolskie, koczujące w lasach na Ussuri. [przypis autorski]

można ukraść, oprócz leżących przy mnie pod płaszczem karabinu i rewolweru, spałem dalej spokojnie.

Obudziłem się, gdy słońce już było wysoko na niebie. Kozacy siedzieli przy ognisku i pili herbatę. Spostrzegłszy, że już nie śpię, podeszli do mnie i oznajmili, że dwa konie juczne uciekły i że nie mogli ich znaleźć, gdyż widocznie poszły w stronę domów drogą już przez nas przebytą.

— Zaraz jedziemy na poszukiwanie! — rzekł starszy, podchodząc do osiodłanego konia. Zauważyłem, że koń był mocno spieniony, jakby przebył długą i ciężką drogę.

Kozacy odjechali.

Czekałem na nich bardzo długo, bo aż do godziny 7-ej wieczór. Kląłem i ich, i konie, jak mogłem i jak umiałem. Dopiero koło siódmej usłyszałem z daleka szczeł podków i głosy ludzkie. Z lasu po kilku minutach wynurzyło się kilku jeźdźców. Gdy się zbliżyli, poznałem czapki i mundury policyjne.

— Nie ruszać się z miejsca, bo będziemy strzelać! — zawołał jadący na czele i podniósł karabin.

Nic nie rozumiałem. Napad policjantów na podróżującego badacza? To nawet w Rosji rzadko się zdarza.

— Dobrze, nie ruszę się! — odpowiedziałem.

Podjechali i zażądali okazania dokumentów. Ponieważ wszystkie moje papiery były w porządku, opatrzone podpisami samego gubernatora, więc od razu policja zmieniła ton i zeszła z koni.

Gdy już siedzieli koło ogniska, dowódca oddziału z widocznym zakłopotaniem zapytał:

— Bardzo przepraszam, ale w jaki sposób pan się spiknął z „Jednookim”?

— Z kim? — spytałem.

— Z bandytą... z najniebezpieczniejszym bandytą, „Jednookim”.

— Skoro się tak nazywa, powinien mieć jedno oko, ja zaś takiego człowieka nie znam! — odrzekłem głosem stanowczym.

— Pan się zapiera? — spytał zdziwiony policjant.

— Nie zapieram się, ale twierdzę, że z moich ludzi, którzy pojechali na poszukiwanie koni, żaden nie jest jednooki!

Policjant wzruszył ramionami i zwracając się do swych towarzyszy, zawołał:

— Przeprowadźcie no tu i pokażcie temu panu „Jednookiego”!

Po chwili przede mną stał mój starszy przewodnik, a z poza jego pieców wyglądała głupowata, wystraszona twarz drugiego kozaka.

Zdumienie moje nie miało granic. Mój przewodnik, bo on to był we własnej osobie, miał tylko jedno oko: krwawa jama lewego oka była zażawiona, a powieka wisiała nad nią bezwładnie. Drugie, zdrowe oko patrzyło na mnie wesoło i filuternie. Dzwoniąc założonymi kajdankami, skłonił się przede mną i mruknął:

— Proszę o przebaczenie za nieprzyjemność z mego powodu!

Policjanci odprowadzili ich na bok. Musiałem dać wyjaśnienia, w jaki sposób wynajęłem we wsi, położonej przy stacji kolejowej, tych ludzi, niezupełnie stosownych na straż przyboczną.

Wtedy dowódca oddziału opowiedział mi, że „Jednooki” ze swym towarzyszem napadli na ukrywających się w lesie prospektorów, wyrznęli wszystkich i zrabowali prawie pięć funtów złota; następnie powrócili do mnie, później zaś, pod pozorem szukania koni, udali się do wioski, gdzie odpoczywaliśmy w chacie zbyt szczerzej baby. Tam weszli do domu bogatego chłopca, Golienki, i pod groźbą tortur i śmierci zmusili go do wydania pieniędzy. Ten już był spełnił ich żądanie, gdy nagle nadjechał oddział policji i schwytał bandytów, nie oczekujących napadu. „Jednooki” był już wtedy bez jednego oka, gdyż, spodziewając się bójki i potyczki, sztuczne oko schował do kieszeni swej bluzy. To sztuczne oko było najlepszą maską bandyty w okolicy, gdzie „Jednooki” stał się postrachem dla wszystkich.

Co do mnie, muszę zaznaczyć, że „Jednooki” był człowiekiem dobrze wychowanym i ujmującym w obejściu. Narobił mi jednak kłopotu, gdyż dalej jechałem z wynajętym dla mnie przez policję wieśniakiem-Ukraińcem, głupim i leniwym, który ciągle mylił drogę, bał się starych dębów dziuplastych, ponieważ w nich, jak twierdził, miały siedzibę zielone biesy leśne. Ale za to w sposób zupełnie dla mnie niezrozumiały po kilka razy na dzień

bywał pijany, po czym nie już nie rozumiał i śmiał się bezczelnie, jak idiota. A nazywał się... Orzeł!

W owej tajdze bikińskiej panuje nad wszystkim złoto. Opowiadają baśni o nieistniejących bogatych żyłach złota w masywach grzbietów górskich, w łóżyskach głębokich i wartkich rzek, jak Chor i Iman, z ust do ust przechodzą opowieści o zbrodniach, dokonanych w tych lasach i o straszliwych przygodach prospektorów. Istotnie, sporo krzyżów spotkałem w miejscowościach zupełnie odludnych, a przecież wiem, że Sybirak stawia krzyż nad znalezionymi i przez siebie zakopanymi zwłokami zamordowanych, zmarzniętych lub rozszarpanych przez zwierzęta ludzi. W imię metalu Żółtego Diabła, jak nazywają złoto Koreańczycy, dzieją się w tajdze ussuryjskiej rzeczy straszne i krwawe, dokonywają czyny bohaterskie, pełne odwagi, siły woli lub bezprawia, lecz Żółty Diabeł triumfuje zawsze i prowadzi ludzi, omamionych blaskiem złota, do zguby i zbrodni.

ROZDZIAŁ X. TCHNIENIA PRASTARYCH CZASÓW

Tu, w tej kniei bezbrzeżnej i jeszcze dziewiczej, gdzie tylko z rzadka spotkać można białego człowieka, znajdują dla siebie schronisko i środki do życia Chińczycy i Koreańczycy. Są oni właściwie wyłącznymi posiadaczami tych lasów, niezbadanych i niezgłębionych, znają je dokładnie, wycinając z każdym rokiem coraz to nowe ścieżki i zagłębiając się coraz dalej w lasy, które ciągną się aż do tundry północnej. Oprócz tych przybyszów z południa, którzy się rzadzili podług swych obyczajów i praw, była tu jeszcze dawna ludność, już wymierająca, która uważała się za właścicielkę tych obszarów leśnych, mianowicie koczujące plemię mongolskie Goldów. Żyli oni tak, jak żyli przed wiekami, stawiając pułapki na drobniejszego i grubego zwierza, chwytając niemal gołymi rękami jelenie i losie, nawet strzelając czasem, w tym naszym wieku elektryczności i pary, z luków, strzałami o ostrzach z kamienia lub z kości. Jedyną zdobyczą cywilizacji na ziemiach Goldów były proch i alkohol.

Niegdyś, pod pilnowaniem wszechwładnych azjatyckich monarchów z mongolskiej dynastji Juan, Goldowie wchodzili w skład Państwa Nieba, stanowiąc jego straż północną, i walczyli z nacierającymi Tunguzami. Później podczas wielkich przewrotów i zmian wewnętrznych w państwie Dżengis-chana i Tamerlana, Goldowie dostali się pod panowanie Koreańczyków, Tunguzów i Japończyków, aż wreszcie, wraz z zajęciem przez Rosję Dalekiego Wschodu do brzegów Oceanu Spokojnego i do granicy koreańsko-mandżurskiej, zostali obywatelami rosyjskimi.

Płacili oni sumiennie wszelkie podatki w postaci futer, znosili straszny wyzysk kupców rosyjskich i wymierali szybko, zatrutowani alkoholem, tą ustaloną przez pionierów rosyjskich „monetą”. Nie wiedzieli zresztą dokładnie, do jakiego należeli państwa, gdyż, płacąc podatki skarbowi rosyjskiemu, byli co parę lat nawiedzani przez przekradających się tu od morza urzędników chińskich, którym też bez protestu składali daniny do skarbu pekińskiego sobolami, kunami i wiewiórkami.

W r. 1903 zdarzył się tu nawet wypadek tragikomiczny, gdy jakiś przedsiębiorczy nicpoń, przedostawszy się do Goldów, rozpoczął zbieranie podatków wyłącznie skórkami sobolowymi na rzecz... skarbu angielskiego. Na szczęście Goldów, przedsiębiorczy „Anglik” trafił na urzędnika rosyjskiego, który mu sobole odebrał, a jego aresztował. Sobole te wpłynęły do kasy... urzędnika, który podobno nawet się podzielił z „Anglikiem”, po czym go uwolnił.

Ci znakomici myśliwi, niezmordowani, celni strzelcy, odważni, w pojedynkę chodzący na tygrysa i niedźwiedzia, przebiegają całą tajgę w lecie i w zimie od Amuru do Bikina, a nawet do rzeki Iman; dalej na południe jednak się nie posuwają, gdyż niegdyś, w XIII wieku, imperator chiński wydał rozkaz, zabraniający „barbarzyńcom północnym” zbliżać się do granicy koreańskiej i do ziemi Manczu, w obawie, że przyłączą się oni do wojowniczych Mandżurów i razem z nimi uderzą na rdzenne Chiny i na spuściznę Dżengizydów — Mongolię.

Spotkanie moje z Goldami odbyło się w lasach, położonych na północ od Bikina, podczas mojej podróży do Zatoki Imperatora, skąd rząd carski miał zamiar przeprowadzić kanał, aby połączyć Amur z morzem, planując krótszą drogę, niż przez ujście tej olbrzymiej rzeki.

Kradzież

Jechałem więc z dwoma pomocnikami i z trzema przewodnikami przez lasy, często grzęznąc w bagnistych jarach górskich.

Pewnego wieczoru, w chwili, gdy zamierzaliśmy zatrzymać się na nocleg, zauważyliśmy na niewysokiej górze lunę ogniska, rzucającego krwawe blaski na gałęzie grabów i dębów.

— Tam są pewnie Goldowie! — zawołał jeden z przewodników.

Ruszyliśmy więc w stronę ogniska. Wkrótce wjechaliśmy na obszerną polanę leśną, gdzie wokoło ogniska siedziało co najmniej dwudziestu mężczyzn, ubranych w skórzane, szerokie kurty i spodnie, w czepkach skórzanych na głowach. Siedzieli, w milczeniu paląc fajki i nieruchomo patrząc w ogień.

O kilka kroków dalej pod drzewem stał wysoki tubylec w poszarpanym ubraniu, upiękuszonym jaskrawymi szmatami i wstążkami, w wysokim kołpaku z kory brzozonej. Prostował się ciągle i zginał do samej ziemi, ciągnąc za długi rzemień, którego koniec nikł w mroku, wśród gałęzi starego, rozłożystego drzewa. Zacząłem wpatrywać się w niejasne kontury gałęzi i nagle zauważyłem, że wysoki człowiek w kołpaku... wieszka innego człowieka. Czarna figura wisielca powoli wznosiła się ku szeroko rozpostartym gałęziom, kołysząc się z boku na bok.

Chciałem ratować nieszczęśliwego, lecz jeden z moich przewodników, dawno mieszkający w obwodzie amurskim, uśmiechnął się i rzekł:

— Niech się pan nie przeraża! Goldowie wieszają swych nieboszczyków. Jest to forma pogrzebu.

Tak było istotnie. Trafiliśmy na pogrzeb Golda, który zmarł od nadmiernego pijaństwa.

Zwłoki umieszczono pomiędzy dwiema połówkami kory, zdjętej bardzo misternie z pnia brzozy. Obwiązano potem improwizowaną trumnę rzemieniami, a teraz zawieszano ją na wysokich gałęziach, gdzie miała wisieć do czasu, aż rzemień, przegniwszy lub spróchniawszy, pęknie, i trumna spadnie w wysoką trawę. Praktyka goldzka wskazuje, że przeciąg czasu, niezbędny dla zgnicia rzemienia, jest dostateczny dla zupełnego zaniku ciała zmarłego, z którego pozostają wtedy tylko kości. Często zdarzało mi się widzieć wiszące trumny, w których urządziły sobie gniazda jaskółki skalne, różne drobne ptaszki, lub nawet biała polarna sowa (*Nyctea nivea*).

Życie jest zawsze bezwzględne. Nic go nie obchodzi i nie wzrusza śmierć. Omija ją ono, jak się omija stos kamieni, zagradzających drogę, jak się obchodzi inną nieuniknioną przeszkodę, spotkaną na drodze. Obojętność natury względem śmierci jest nadzwyczajna, ale ta cecha jej nie jest właściwa ludziom. Ci czują instynktowną odrazę, lęk przed niezgłębioną otchłanią śmierci, przeczuwając na jej dnie albo nieznaną, nowe życie, albo nicość.

Gdy nieboszczyk już spokojnie kołysał się pod konarami drzewa, oświetlony od dołu krwawym blaskiem ogniska, szaman podszedł do Goldów i, usiadłszy, przyjął od najstarszego z nich kawał mięsa i kubek alkoholu. Gdy zjadł i wypił, wtedy dopiero Goldowie powstali z swych miejsc i zbliżyli się do nas, witając i pytając o naszą drogę i zamiary.

Po chwili już siedzieliśmy w otoczeniu Goldów przy ognisku. Przyglądałem się z ciekawością ich poważnym, rozsądnym twarzom, zupełnie pozbawionym uśmiechu. Nie wiem, czym się to tłumaczy, czy jakimiś atawistycznymi cechami, czy też... alkoholizmem, często bowiem obserwowałem, że chroniczni, nałogowi pijacy są zwykle nader poważni i wcale nieskłonni do żartów, śmiechu i dowcipów. Co prawda, spostrzeżenie to stosuje się wyłącznie do Rosjan, wśród których spotyka się często pijaków nałogowych.

Gdy księżyc już był wysoko, szaman znowu przystąpił do swych czynności, ponieważ pogrzeb składał się z czterech części. Pierwsza polegała na przygotowaniu trumny i zawieszeniu jej wraz ze zwłokami na drzewie cementarza. Inne były bardziej zawikłane i trudne, a mianowicie: prześląganie duchów innych nieboszczyków, spoczywających, albo ściślej — wiszących tu, aby łaskawie przyjęły nowego sąsiada, wzywanie ducha zmarłego dla porozumienia się z rodziną i przyjaciółmi i wreszcie najprzyjemniejsza część — uczta pogrzebowa, czyli tak zwana *izana*.

Szaman, powstawszy od ogniska, zaczął „zmieniać” ubranie. Zdjął z siebie wszystkie jaskrawe szmatki i paski czerwonej i żółtej tkaniny, zastępując je sznurkami, rzemykami i łańcuszkami z uwiązanymi do nich amuletami, dziwacznej formy korzeniami różnych roślin, barwnymi kamykami, odłamkami kości ludzkich, niedźwiedzimi kłami i innymi

Pogrzeb

Śmierć

Alkohol

„tajemniczymi” i czarownymi przedmiotami; na głowę włożył szeroki kapelusz z jeleniej skóry, wziął bęben i piszczałkę z kości, na plecy zarzucił worek z darami: były tam butelki ze spirytusem, kilka paczek tytoniu, fajki, sól i bób.

Zaczęła się scena z jakiejś dziwnej sztuki czarodziejskiej. Na polanie wśród wysokich drzew paliło się ognisko, rzucając krwawe światło na pnie drzew i migotliwie drgając na liściach. Milczące koło ludzi w ponurych i skupionych pozach czerniało na tle gorejącego ogniska. Twarze ich były czerwone od blasku płomieni.

W oddali, w gęstej trawie ślaniała się chwiejnym krokiem oświetlona tylko z jednego boku postać szamana. Chodził z głową podniesioną do góry i od czasu do czasu wykrzykiwał przeraźliwym głosem:

— *Yin, Yin!* — wtórując sobie uderzeniem w bęben.

Mój pomocnik objaśnił mnie, że szaman w ten sposób zwraca się do każdego z nieboszczyków, aby go słyszeli. Zacząłem się wpatrywać w drzewa i spostrzegłem w różnych miejscach zawieszane dawniej trumny, częściowo zakryte gałęziami i gąszczem liści.

Szaman czterdzieści razy uderzył w swój bęben i tyleż razy wykrzyknął słowo sakramentalne. Wreszcie umilkł, umieścił się tak, aby wszyscy nieboszczycy mogli go słyszeć i rozpoczął długą mowę ochryplym, gardlanym głosem, od czasu do czasu przerywając ją grą na piszczałce i warczeniem bębna.

— *Yin Szumgu Tamaz* — wygłosił wreszcie głosem uroczystym, a miało to znaczyć, że dusze nieboszczyków zgromadziły się, aby przyjąć ofiary.

Szaman odkorkował jedną butelkę spirytusu, i, zakreślając nią półkole, wylał na trawę trochę drogiego płynu, poczym podniósł ją do ust i, golnąwszy łyk, znowu wylał spirytusu na ziemię, poczym nastąpił nowy łyk. Taką czynność odbył szaman z dwiema butelkami sześć razy.

Zauważyłem jednak, że był on człowiekiem doświadczonego i sprytnego, ponieważ wylewał uroczyscie na ziemię po kilka kropel, łyki zaś pociągał długie i bardzo głębokie. Z tego sędzę, że dusze zmarłych tego wieczora upić się nie zdołały, ale za to szaman... upił się, jak Bela.

Po alkoholu przysła kolej na tytoń, którym czarownik po przyjacielsku podzielił się z nieboszczykami, nawet sporą szczyptę soli włożył sobie do ust, tylko nie sprzeniewierzył fajek i bobu.

Po tej ceremonii nastąpiły tańce rytualne szamana.

Posiadał on stanowczo zdolności choreograficzne. Skakał wysoko i zręcznie, wykonywając w powietrzu różne ruchy rękami i nogami; tupał w takt szybkiego warkotu bębna, obracał się na jednej nodze tak szybko, że trudno było rozróżnić jego twarz. Tańczył długo, zgrzał się ogromnie i zaczął, nie przerywając tańca, zrzucić z siebie amulety, kapelusz i wierzchnie ubranie, wreszcie pozostał obnażony do pasa, ale wciąż jeszcze tańczył, wywijając chudymi rękami i konwulsyjnie wykręcając nagie ramiona. Potem stanął. Stanął od razu, jak jakaś sprawna maszyna i, schwyciwszy ubranie i rzemyki z amuletami, podszedł do Goldów i oznajmił im, że dusze zmarłych ofiary przyjęły, a więc dla nowej duszy będą łaskawe.

Czarownik ponownie napił się herbaty, nieco ochłonął, ubrał się, pociągnął ze stojącej do ogólnego użytku misy a wódką, zagryzł kawałkiem pieczonego mięsiwa i znowu się podniósł.

Tym razem nic na siebie nie włożył. Wziął tylko dwie malutkie deseczki z włożonym pomiędzy nie skrawkiem cienkiej jak bibuła, białej kory brzozonej i powolnym krokiem oddalił się w stronę zawieszzonego przez siebie nieboszczyka. Stał tam długo, milcząc, jakby w skupieniu, o ile nie było to skutkiem działania wódki, potem zaś usłyszeliśmy dźwięk słaby, jak brzęczenie komara. Szedł on z daleka, zrozumiałem tedy, że szaman wydobywa go z deseczek, które włożył w usta.

To brzęczenie jednak potęgowało się z każdą chwilą, aż wreszcie przeszło w nieustające basowe huczenie, które napełniło cały las, wszystkie jego zakątki od gęstej trawy do koron dębów. Dźwięk ten zakradał się do uszu, serca i mózgu. Chwilami zdawało się, że rozsadzi czaszkę. Niezawodnie czarownik potrafiłby doprowadzić człowieka do szaleństwa za pomocą tych małych deseczek i kawałka kory.

Huczenie zaczęło słabnąć i przeszło w dziwne, ledwie uchwytnie dla ucha brzęczenie. Jednocześnie szaman odszedł w cień drzew, a wtedy w różnych miejscach, wśród panujących pod konarami ciemności zaczęły się zapalać blade ogniki fosforyzujące.

Goldowie zaczęli coś szeptać do siebie, z nabożeństwem i trwogą wpatrując się w mrok nocny.

Co to było? Sugestia, wywołana przez grającego szamana, czy też rzucił on w powietrze jakieś świecące przedmioty, na przykład kawałki próchna dębowego, proszek zgniłych grzybów, lub świecące owady, których tak dużo posiada Kraj Ussuryjski?

Po zjawieniu się ogników szaman wykrzyknął coś, co bardzo pocieszyło zupełnie już pijanych najbliższych krewnych nieboszczyka, Goldów zaś, którzy urządzali tę uroczystość, zmusiło do napełnienia wódką kilku nowych mis i dzbanów. Bardzo się to podobało naszym przewodnikom.

— Bogaty, porządny pogrzeb! — mruzczeni, zacierając ręce.

Gdy czarownik zajął swe miejsce przy ognisku, zaczęła się uczta, a właściwie pijatyka, w której wzięli udział czynny i moi przewodnicy. Ludzie wprost zalewali się alkoholem, krztusili się, padali i znowu się podnosili po to tylko, aby pić.

Jedli mało, od czasu do czasu rozrywając zębami kawały pieczonego i gotowanego mięsa lub suszone ryby. Po paru godzinach ognisko już przygasało, a Goldowie, coś bełkocąc i miotając się, spali snem pijackim.

Przewodnicy jeszcze się krzątali przy pozostałej baryłce z wódką, ale byli również zupełnie pijani.

Obawiałem się o dzień następny, lecz się omyliłem. Wstali o świcie, trochę przybledli, ale wykonywali zwykle czynności z dawną sprawnością i szybkością. Co do Goldów, ci znikli jak kamfora. Na długo przed świtem opuścili oni cmentarzysko, gdzie pozostały tylko wiszące i kołysane przez poddmuchy wiatru trumny z kory brzoźowej.

W kilka miesięcy później spotkałem w tajdze Goldów, o których miałem tak niemiłe wspomnienie z powodu pijackiej orgii pogrzebowej.

Zmieniłem jednak swe zdanie, gdy zobaczyłem ich w warunkach ciężkiej walki o byt. Było ich trzech, wszyscy myśliwi; mieli karabiny pistonówki, noże i siekiery za pasami. Ich ubranie zwróciło moją uwagę. Najpierw spodnie i buty razem zrobione z futra jeleniego. Futro było na zewnętrznej i wewnętrznej stronie batów. Wewnątrz były wszyte strzyżone skórki zająca. Z góry na nagie ciało włożone mieli specjalne koszule goldzkie. Zaslugują one na opis. Wyobraźmy sobie dwie koszule z futra jeleniego, włożone jedna na drugą tak, że futro pozostaje i od wewnętrznej strony, i na zewnątrz. Żeby pomiędzy dwiema warstwami skór pozostawało powietrze, jako najlepsza ochrona od zimna, obydwie warstwy są przedzielone spiralami z jelenich żył. Do ramion takiej koszuli przyszyty jest czepek, zastępujący nie tylko czapkę, ale i maskę na twarz od mroźnego wiatru, a do rękawów — futrzane rękawice.

Miałem taką koszulę podczas polowań zimowych i stwierdzam, że nie znam lepszego ubrania na wielkie mrozy. Podróżnik ubrany w taką koszulę może spokojnie przebywać wprost na śniegu przy podbiegunowych mrozach i wiatrach.

Zastałem myśliwych goldzkich wieczorem przy ognisku. Byli już po polowaniu; zabili kilka saren i jeleni. Nazajutrz o świcie jeden z Goldów wyruszał na polowanie. Krzyknąłem, gdy zobaczył, jak się ubrał. Włożył na nagie ciało cienutkie spodnie i koszulę z zamazu, ze skóry młodego jelenia. Na nogach zaś miał niskie buty futrzane, w rodzaju północnoamerykańskich mokasinów indyjskich, i krótkie a szerokie narty, które nie tamowały ruchu w lesie wśród krzaków.

Odjechawszy parę kilometrów od obozu Goldów, byłem świadkiem cudownej sceny myśliwskiej. Młody Gold gonił jelenia. Z nadzwyczajną szybkością mknął na swych nartach przez gąszcz, krzycząc i gwizdząc na jelenia, jakby zachęcając go do biegu.

Szybkość Golda była tak wielka, że ani na chwilę nie mógł stracić z oka swej ofiary, kierował ją zaś w stronę głębokiego wąwozu, pełnego śniegu. Wystraszony jeleni wpadł do tego wąwozu i, grzęznąc w głębokim śniegu, zaczął skakać, starając się go przebyć i wyjść na stromy spadek przeciwnie. Lecz w tej właśnie chwili ze stromego brzegu wąwozu z szybkością strzały stoczył się na swych nartach Gold i spadł na jelenia, który wnet leżał już związany. Gold gramolił się na krawędź wąwozu, aby zawołać do pomocy swych towarzyszy.

Strój

W ruchach i biegu Golda była taka zwinność, siła i wytrwałość, tyle piękna zdradzało każde jego poruszenie, że czułem po prostu przykrość, gdy nasunęły mi się wspomnienia ohydnej nocnej orgii w lesie na cmentarzysku z zawieszonymi trupami na gałęziach dębu.

ROZDZIAŁ XII. LUDZIE-TYGRYSY

Tajga ussuryjska jest przepelniona bogactwami. Obfituje ona w najdroższe futra, złoto, barwne kamienie, dżen-szeng, we wspaniałe ryby, a poza tym w zapasy żywności dla tysięcy ludzi, złożonej z mięsa ptaków, jeleni, losiów i saren. Jest to więc zrozumiałe, że ludzie przedzierają się przez knieje, szukając tych bogactw i sposobów do życia. Naturalnie, za tymi ludźmi idą inni, bardziej przedsiębiorczy, pozbawieni nawet śladów zasad moralnych. Są to ludzie-„tygrysy”. Już pisałem o „Jednookim”, o bandach zbójów i innych zbrodniarzy, grasujących w lasach i polujących na ludzi i ich dobytek, z takim trudem wyrwany z ziemi, wody i kniei.

„Ludzie-tygrysy...” Tak poetycznie nazwał tych „konkwistadorów” leśnych jeden z myśliwych chińskich na rzece Ula-cho, nieraz przez nich krzywdzony, chociaż „tygrysy” to przeważnie Chińczycy. Są to luźne, lecz dobrze zorganizowane bandy chunchuzów, które się wylaniają spośród milionów stale głodnych synów „Państwa Niebieskiego”, bezrobotnych kulisów, oraz dezerterskich niedyscyplinowanej armii chińskiej.

Takie zrozpaczone lub awanturnicze osobniki zaopatrują się w broń i wyruszają na przygody i po łupy. W Chinach z ich gęstą ludnością i nędzą nie mają oni nic do roboty, więc albo grasują w północnych obwodach Korei, gdzie z nimi poradziły sobie jednak władze japońskie, albo też przechodzą granice koncesji rosyjskich w Mandżurii, lub zagłębiają się w lasy Kraju Ussuryjskiego. Chunchuzi często operują w określonych obwodach, gdzie zwykle się znajdują większe przedsiębiorstwa; pracują w nich od czasu do czasu w roli zwykłych robotników, albo też pod grozą śmierci trzymają w swych rękach Chińczyków, pracujących w przedsiębiorstwach; pobierają oni od nich daninę, czasem zaś i od przedsiębiorstw, które w zamian za to wymagają od bandytów utrzymania robotników w surowym rygorze. Najczęściej jednak chunchuzi grasują po całym kraju, szybko przenosząc się z miejsca na miejsce: zmusza ich do tego albo pościg zbrojnych oddziałów policji, albo wiadomość o grupach ludzi, z powodzeniem eksploatujących naturalne bogactwa lasów.

Pozostawieni własnym siłom, nigdy nie pracują, chyba że się zajmą uprawą i zbieraniem grzybów, lecz wkrótce przechodzą na otwarty bandytyzm, ohydny i występny.

Za najzwyklejszy objaw takiego bandytyzmu należy uważać chunchuzów, przyjmujących służbę w domach europejskich w roli *boy’ów*, lokajów, kucharzy, czy furmanów. Chunchuz zostaje na służbie dopóty, aż wszystko w domu zbada i wypatrzy, oceni majątek, dowie się, gdzie są ukryte pieniądze, klejnoty lub broń, pozna cały rozkład dnia mieszkańców. Wtedy daje znać swym towarzyszom, aby byli gdzieś w pobliżu, dokonują rabunku, oddaje łup towarzyszom, którzy wynoszą wszystko i ukrywają; sam on zaś opuszcza dom tak, że wszyscy go widzą, odchodzącego bez rzeczy, jakoby idącego do miasta po sprawunki.

Biada jednak mieszkańcowi domu, jeżeli wejdzie do mieszkania podczas rabunku, dokonywanego przez zwykle cichego i usłużnego *boy’a*. Będzie zmuszony albo pokonać rabusia, albo zginąć w sposób okrutny. Wypadki, że właściciel mieszkania zabija Chińczyka, którego zastał na rabunku, były dość częste w Mandżurii podczas mego tam pobytu. Lecz jeden podobny wypadek przeraził mnie swym tragizmem, ponieważ dotyczył kobiety.

Działo się to w Charbinie, w rodzinie dość wysokiego urzędnika kolei Wschodnio-Chińskiej, niejakiego Golikowa. Gdy mąż rano wyszedł do biura, Chińczyk-*boy*, znany chunchuz, przezwiskiem „Wilk”, którego doskonale znali z jego przeszłości zbrodniczej wszyscy charbińscy Chińczycy, lecz nie wydawali go władzom, zakradł się do sypialni, gdzie spała pani Golikowa. *Boy* zaczął wyłamywać zamek w biurku właściciela. Kobieta obudzona hałasem, krzyknęła na Chińczyka, lecz ten natychmiast rzucił się na nią i cienkim a mocnym sznurkiem zaczął ją dusić. Kobiecie jednak udało się wyrwać z rąk mordercy i dobiec do okna, w którym wybiła szybę, lecz Chińczyk ją dogonił i kawałkiem szkła przeciął jej gardło. Dokonawszy zbrodni i rabunku, wyszedł, lecz, nie mając

pomocników, niósł z sobą duże pudełko ze srebrnymi łyżkami. To go zgubiło. Gdy rozpoczęło się śledztwo, jakiś Chińczyk się wygadał, że widział rano „Wilka” z pudełkiem pod pachą. „Wilka” schwytano i powieszono.

Wspomniałem o uprawie i zbieraniu grzybów, jest to bardzo ciekawa forma przemysłu w guście ściśle chińskim. Na upadłym czy zrąbanym dębie po roku już zaczynają się rozwijać białe lub żółte grzyby z rodzaju śluzowatych smardzów. Chińczycy je zbierają, suszą i sprzedają smakoszom chińskim. Jest to znana w Chinach wykwintna potrawa, istotnie bardzo smaczna i aromatyczna.

Otóż takie plantacje grzybów są plagą lasów dębowych w Kraju Ussuryjskim. Chińscy szkodnicy wyrabiali te lasy na rzece Chor, Daubi-che i Ula-che wyłącznie po to, aby na zrąbanych konarach rosły i mnożyły się smardze. Zrąbane olbrzymy leżą i gniją bez żadnej korzyści dla kulturalnego życia, gdyż po 4–5 latach na ich pniach grzyby już więcej nie rosną.

W Kraju Ussuryjskim powtarza się to, co się zdarzyło w samych Chinach, gdzie po upadku feudalizmu wieśniacy wyrabiali wszystkie dębowe lasy, przeważnie w tym celu, aby dostarczyć smacznych grzybów dawnym feudałom.

Podczas jednej ze swych podróży po kraju w pobliżu rzeki Suczan, polując w lasach, natrafiłem wraz ze swoim żołnierzem na samotną fanzę.

Weszliśmy do niej niepostrzeżenie. Na kanie leżało sześciu Chińczyków. Byli dobrze ubrani i palili fajki. Zerwali się na nasz widok, lecz mój żołnierz, człek bywały, podniósł karabin i zawołał:

— Ręce do góry!...

Wszyscy podnieśli ręce, jak na komendę swego naczelnika. Zapowiedziawszy mi, że-
bym trzymał swą broń w pogotowiu, żołnierz podszedł do słupa, na którym wisiało sześć karabinów, wyjął z nich naboje, związał razem wszystkie torebki z ładunkami i zwrócił się do Chińczyków w języku rosyjsko-chińskim, tej niepojętej mieszanki obco brzmiących słów:

— Wiemy, że jesteście chunchuzi, ludzie źli. Za nami jadą kozacy i będzie z wami *pu-szango*⁵⁴. Ale my nie chcemy waszej zguby, więc zabierzemy karabiny i dwa konie. Karabiny schowamy koło przeprawy przez Suczan; później spotkamy kozaków i powiemy, że nikogo ze złych ludzi nie widzieliśmy, a wy natychmiast po nas wynoście się stąd na wszystkie cztery wiatry. *Tunda*?⁵⁵.

— *Tunda-la, Tunda!* — odpowiedzieli chórem.

— *Szango!*⁵⁶ — z godnością wyrzekł pomysłowy żołnierz, zgarbiając i związując karabiny.

Wycofaliśmy się z fanzy z nastawionymi karabinami, zamknęliśmy za sobą drzwi i przyparli je mocnym drągiem; potem wybraliśmy dwa najlepsze konie i uciekliśmy.

W parę tygodni później żołnierz sprzedał swą zdobycz jakiemuś amatorowi starej broni, szczególnie tak poszukiwanej, jak oryginalna chunchuska i, dobrze na tym zarobiwszy, pytał mnie, filuternie przymrużając oko:

— Łaskawy panie, powiedzcie mi, kto tam w tej fanzie był chunchuzami? Te biedne *manzy*⁵⁷ czy, z przeproszeniem, pan i ja?

— Naturalnie, że wy! — odparłem, śmiejąc się — boście się porządnie obłowili na chunchuzach i, jak prawdziwy naczelnik chunchuski, z towarzyszem nie podzieliliście się lupem!

— Wiedziałem, że pan swojej części nie przyjmie! Zresztą, wybaczcie... na chunchuskim koniku jechaliście aż do Władywostoku! — mruknął, uśmiechając się chytrze.

— Alem go oddał do wojska! — odpowiedziałem.

— To już była pańska woła! — rzekł. — Nas, biedaków, na to nie stać... Nasza rzecz wziąć i sprzedać, a dalej — co Bóg da!

Taki to był dowcipny, odważny i chytry chłopak.

⁵⁴*pu-szango* — niedobrze. [przypis autorski]

⁵⁵*Tunda?* — Rozumiecie? [przypis autorski]

⁵⁶*Szango* — Dobrze. [przypis autorski]

⁵⁷*manzy* — rosyjska nazwa Chińczyków. [przypis autorski]

ROZDZIAŁ XIII. W CZARNYM KOTLE

Dla moich badań naukowych bardzo ciekawą miejscowością był tak zwany „czarny kocioł”. Jest to kotlina między rzekami Suczan i Tudagou. Tu się znajdują olbrzymie złoża węgla brunatnego, nad którym dużo i mądrze pracowała natura, spełniając czynności inżyniera i chemika.

Węgiel brunatny, niedawnego stosunkowo pochodzenia, jest zupełnie podobny do węgla, znajdowanego wszędzie na półwyspie Murawjew-Amurski, a więc zdatny tylko na opał. W kotlinie Suczańskiej sama natura bardzo umiejętnie dała dostęp wewnętrznemu ciepłu ziemi do tych węgla, które od powierzchni częściowo stały się półkoksem. W ten sposób w „czarnym kotle” Rosja posiada węgiel brunatny dobry na opał, węgiel dający koks, a więc zdatny do celów metalurgicznych, i wreszcie antracyt, jako produkt, który najbardziej uległ zmianom pod wpływem wysokiej temperatury. W tym „kotle” natura założyła olbrzymie laboratorium, w którym zostały przerobione miliony ton węgla.

Suczańskie pokłady węgla stanowią znaczne bogactwo kraju i mają wielkie znaczenie przemysłowe, gdyż najbliższy węgiel koksowy otrzymać można tylko z Sachalinu, ale brak na tej wyspie urządzeń portowych i źle zorganizowana komunikacja stoją temu na przeszkodzie⁵⁸.

Innym znów bogactwem doliny Suczanu jest niezwykle urodzajna ziemia — czarnoziem! Dlatego rząd piotrogrodzki skierował tu falę emigracyjną, przeważnie z obwodu kijowskiego i połtawskiego, charakter bowiem gleby w tych obwodach jest zbliżony do suczańskiego. Chłopi tu szybko się osiedlili, rozwinęli rozległą gospodarkę rolną i doszli do znacznego dobrobytu, zwiększając go polowaniem na sobole i na grubszego zwierza.

Razem z doliną rzeki Tudagou, gdzie w łóżyskach małych jej dopływów odnaleziono złoto, obwód Suczanu przedstawia dla kapitalistów obiekt bardzo pociągający. Zresztą uwagę na niego zwrócili przede wszystkim luźne bandy włóczęgów chińskich, którzy kopali tu złotodajny piasek i trudnili się polowaniem.

W tych mniej więcej miejscach spotkałem ową bandę chunchuzów, których wraz ze sprytnym żołnierzem tak bezwstydnie... ograбіłem.

W osadzie, leżącej niedaleko kopalni węgla, poznałem starego, wesołego kozaka, Kungutowa. W chwilach wolnych jeździłem razem z nim na polowanie, które w żyznej dolinie Suczańskiej było wspaniałe.

Gdy inżynierowie, kierujący pracami w kopalniach, dowiedzieli się, że moim towarzyszem na polowaniach jest Kungutow, roześmieli się i wykrzyknęli:

— Kungutow? Pijany tygrys! To dobry myśliwy i każdy zakątek tutejszej tajgi zna na wylot.

Wtedy wychodziłem już, więc nie miałem czasu zapytać o przyczynę dziwnego przydomku „Pijany tygrys”.

Razem z Kungutowem odbyłem kilka wypraw na bażanty, a później na dziki, tę plagę pól kukurydzowych. Na miedzach w polach pszenicznych i bobowych, wśród zarośli *galanau*, czyli prosa chińskiego, pomiędzy krzakami bobów *soya*, na brzegach strumyków, zarośniętych wikliną i wysoką trawą, wszędzie spotykałem całe stada bażantów. Mój pies myśliwski, bardzo rasowy „setter-gordon” już przed obiadem był zwykle tak znużony i zdenerwowany podniecającym polowaniem, że po obiedzie leżał i nie chciał się ruszać, jęcząc i liżąc swe łapy pocięte przez ostrą trawę. Lecz gdy się podniósł i, kulejąc, wyszedł za mną, już w pierwszych krzakach zapomniał o swych cierpieniach, budził w nim bowiem zapach myśliwski mocny zapach bażantów, który jego czujny nos wietrzył z daleka.

Zdarzało się tak, że pies stawał przed zwietrzonym ptakiem w nieruchomej przepięknej pozie, wprawiającej w zachwyt myśliwego, a tu nagle i z prawej i z lewej strony z łopotem skrzydeł i z przeraźliwym krzykiem podrywały się inne bażanty. Zdumiony wyżeł kładł się prawie na ziemi i, bojąc się odwrócić łeb, tylko mrużył rozumne oczy i marszczył czoło, zawzięcie wciągając drgającymi chrapami przepojone zapachem ptaków powietrze. Nieraz w pełnym biegu, zataczając pierwsze koło wywiadowcze, pies nagle zamierał na miejscu w niezwykłej pozycji i stał, czekając, aż się zbliżę. Gdy zaś podchodziłem, odwracał powoli łeb, głośno, nerwowo węsząc, i od czasu do czasu nieruchomiał na jedno

⁵⁸Patrz moją pracę, wydaną przez Rosyjski Komitet Geologiczny w Piotrogradzie w 1909 r. pt. *Węgle Dalekiego Wschodu*. [przypis autorski]

okamgnienie. Oznaczało to, że mój Gordon rachuje ptaki, które zaczęły się gdzieś w pobliżu w krzakach bobu lub w gęstych zaroślach nader gęstego piołunu. W takich razach zadawałem klęskę niewinnym bażantom, zabijając dubletem dwie sztuki ze swego Sauera. Później, polując na Syberii, oceniłem w wysokim stopniu zalety 5-nabojowego Winchestera, kaliber 12 dla śrutu. Posiadając tę broń dalekonośną, wybijałem z podrywającego się stada po trzy sztuki od razu. Ten Winchester jest niezastąpiony na wiosennych i jesiennych przelotach gęsi i kaczek. Przyjmuje duże naboje, niesie ładunek daleko i jest strzelbą dość lekką, mocną i nie obawia się surowych warunków sportu myśliwskiego.

To się stosuje do polowania w lecie i w jesieni, w zimie zaś, przy ostrych mrozach i śniegach, mój Winchester model 1895 czasami mnie zawodził, ponieważ mechanizm przesuwały nabój deformował się nieco przy niskiej temperaturze. Pamiętam, że nieraz przez niego musiałem darować życie zajęcom, lisom i sarnom. Sądzę jednak, że amerykańscy sportowcy z północy i z Kanady dali firmie wskazówki co do wymienionych wad tej broni, i że nowe modele braków tych już nie posiadają. Niestety, nie mam, a nawet nie widziałem strzelb tego typu nowej fabrykacji.

Jednakże sportowcom, którym los się uśmiechnie, rzucając ich w takie lasy, jakie zwiedzałem na Ussuri, Suczanie i Bikinie, śmiało polecam Winchester kaliber 12, dla nabojów śrutowych. Tylko myśliwy zrozumie, jaką przyjemność sprawia posiadanie strzelby mocnej a dalekonośnej.

Na polach i w zaroślach Suczanu i Tudagou bażanty pewno do piątego pokolenia mnie pamiętały. Karmiłem nimi w ciągu dwóch tygodni ze dwadzieścia rodzin, a tak mi zbrzydło to białe, smaczne mięso, że później w ogóle na Dalekim Wschodzie prawie go nie jadłem, chyba w formie ulubionej we Władywostoku zupy z bażanta... na szampanie.

Jednostajne i łatwe strzelanie do bażantów sprzykrzyło mi się szybko, i zapragnąłem silniejszych wrażeń myśliwskich. Takich dostarczało polowanie na dziki (*sus scrofa*). Na Suczanie nie jest ono wcale bezpieczne, gdyż zwykle odbywa się wśród bardzo gęstych krzaków dębowych i wysokiej trawy, dochodzącej do ramion dorosłego mężczyzny. W tych zaroślach dziki objadają się żołądziami, spadającymi z dębów i z buków, spędzając tam całe dni, nocami zaś wychodzą na pola i plądrują je najokropniej.

Kozak Kungutow zawiózł mnie do miejscowości Aksiejewka, gdzie w lesie były dziki. Zabrałem z sobą swój karabin Henela, z lunetą na lufie, i zaopatrzyłem się w kule „dum-dum”.

Kungutow opowiadał mi o przygodach myśliwych, polujących na dziki, przygodach niezupełnie miłych, jak na przykład rozprucie brzucha przez ranionego odyńca, lub zdarcie kłębem grubej warstwy skóry i mięśni na łyce niefortunnego strzelca i coś jeszcze w tym rodzaju.

Przerwałem potok jego martyrologicznych opowieści pytaniem:

— Powiedzcie mi lepiej, dlaczego was nazywają „pijanym tygrysem”?

Uśmiechnął się, lekceważąco kiwając głową.

— Gadanie ludzkie! — zaśmiał się. — Nie warto opowiadać!

— Opowiedzcie! — prosiłem.

— E — rzekł głosem niezadowolonym. — Zdarzył się raz taki wypadek, a ludziska zaraz przyczepią jakiś przydomek. Było to, panie, tak... Przyjechał do kopalni suczańskich gubernator z Władywostoku. Od nas do stacji kolei jechał końmi, a ja byłem wyznaczony do eskortowania go konno. Gdy przybyliśmy na stację, generał na pożegnanie dał mi w nagrodę złotą dziesięciorublówkę. Rozumiecie, panie, że każdy porządny i zdrowy człowiek w takim wypadku musi trochę pohulać. Pohulałem też trochę na stacji kolejowej w bufecie, a rano już siedziałem na koniu i jechałem do domu ścieżką obok plantu kolejowego. W głowie miałem taki łomot, huk i dzwonienie, że ciągle myślałem o toczącej się gdzieś bitwie z udziałem artylerii. Strasznie byłem wtedy pijany, strasznie! Jadę i kiwam się na siodle. Naraz koń się czegoś przeląkł, rzucił się w krzaki, a ja spadłem z siodła i, poczuwszy wysoką i miękką trawę, zasnąłem, jak kamień. Było to już dawno po zachodzie słońca, i zmrok zapadał na dobre. Gdy się obudziłem, słońce wschodziło. Podniosłem głowę — — boli, cięży, jakby kto do niej ołowiu napakował.. Chciałem zasnąć — nie mogłem! Podniosłem się na kolana i rozglądałem się, żeby zrozumieć, gdzie jestem. Nagle włosy powstały mi na głowie...

— Na nasypie kolejowym stał tygrys i, wywijając ogonem, patrzył na mnie. Nie można było zwlekać! Zdjąłem karabin, zawieszony przez ramię, wymierzyłem i, strzelivszy, schowałem się za krzaki.

— Po chwili wyjrzałem. Na plancie stał tygrys i patrzył w moją stronę. Byłem przekonany, że chybiłem, co po pijanemu łatwo się mogło przytrafić, więc znowu dałem ognia i znowu się schowałem. Mierzyłem dobrze, ale obawiałem się, że wódka zamgliła mi oczy. Więc po paru dopiero minutach podniosłem się, ale natychmiast przykucnąłem w krzakach, gdyż tygrys wciąż stał na nasypie i spoglądał gdzieś w dół. Jeszcze raz strzeliłem i znowu się schowałem. Leżałem w krzakach może z godzinę, życząc sobie, żeby już lepiej ten tygrys odszedł, bo i tak żadnej mu szkody nie uczynią moje pijane oczy i jeszcze bardziej pijane ręce. Niech już sobie idzie, bo gotów jeszcze mnie pożreć!

— Po długim leżeniu wyjrzałem. Na plancie nie było nikogo! Przeczekałem jeszcze kilka minut, a później z karabinem w ręku wylałem z krzaków i zacząłem się zbliżać do plantu; widzę, zwalone jeden na drugiego leżą, panie, trzy tygrysy! Wszystkie zabiłem po pijanemu, a była to samica i dwóch samców! Za to mnie przezywają, panie, „pijanym tygrysem”. Sprzedałem skóry za 600 rubli we Władywostoku, a gubernator, dowiedziawszy się o mojej przygodzie, przysłał nową nagrodę — 25 rubli! I znowu, panie, hulałem i byłem pijany, ale już bez tygrysów! Za to sam zostałem tygrysem, a nawet „pijanym”! Głupie gadanie, babskie baśnie! Zawsze jakieś drwiny i dowcipy!..

Wreszcie „pijany tygrys” przywiózł mnie na miejsce polowania.

Była to mała wioska z pięciu — sześciu chat, należących do bogatych chłopów, którzy razem trzymali około stu robotników chińskich dla uprawy roli. Mieli dużo pszenicy, ale jej nie wywozili do miasta, tylko nielegalnie przerabiali na „siwuchę”⁵⁹, którą sprzedawali chłopom okolicznym. Swoje „fabryki” gorzelnicze, nader pierwotnie urządzone, mieli ukryte w gęstym lesie, gdzie nietrudno o opał, a jeszcze łatwiej ukryć się przed bacznością rewizorów i dozorców akcyzy, która miała monopol spirytusowy w swym ręku, czerpiąc w ten sposób z nałogu ludności niemal połowę budżetu państwa, i śledziła konkurentów prywatnych, jakimi byli też i mieszkańcy małej wioski w obwodzie Suczańskim. Ci pozostawali w wielkiej i zażyłej przyjaźni z moim „pijanym tygrysem”. Widocznie był on dobrym i dawnym klientem. Przyjęto nas gościnnie, a objawem tej gościnności była wielka obfitość wódki, pitej o każdej porze dnia i nocy i przy każdej sposobności, częstokroć zupełnie niestosownej, jak na przykład z powodu wzmożenia się upału.

W okolicach tej pijackiej wsi polowaliśmy z Kungutowem, a każdy zabity lub nawet tylko postrzelony dzik stawał się powodem do coraz to nowych uczt, których zapalonym amatorem był stary kozak.

Jak już wspominałem, polowanie odbywało się zawsze w gęstych krzakach i w wysokiej trawie... Szliśmy z Kungutowem zwykle o jakie 50–60 kroków jeden od drugiego przez gąszcz, wypatrując zdobyczy. W lecie dzik wydziela bardzo ostrą woń potu, która uprzedza o bliskości zwierza. Często się tak zdarzało, że nagle zapach ten uderzał w nos i prawie jednocześnie z gniewnym chrząkaniem zrywał się z krzaków odyniec i, łamiąc gałęzie i tratując trawę, umykał. Nieraz nie udawało się go nawet zobaczyć i tylko poruszające się gałęzie i badyle wskazywały kierunek jego biegu. Najczęściej jednak dzik wymykał się z gęstwiny, niepoprzedzany zalatującym od niego „zapachem”, trzeba więc było mieć się zawsze na baczności, gdyż stare odyńce często pędziły na spotkanie ludzi.

Tak było właśnie przy pierwszym zapoznaniu się moim z dzikiem ussuryjskim. Przeszliśmy gładką polaną błotnistą z wypaloną trawą i weszliśmy do zarośli. Nie uszedłem nawet i stu kroków, gdy poczułem przykrą woń odyńca, i w tej samej chwili zwierz runął na mnie, jak kamień toczący się z góry. Wyrwał on z korzeniami spory krzak dębowy i uderzył lewym kłem w gruby pień brzozy, za który zdołałem się schronić. Odlupał kawał pnia i przebiegł obok mnie, jak huragan ze wściekłym chrząkaniem. Popędził na polaną, lecz tam, na miejscu otwartym dogoniła go moja kula „dum-dum”. Ugodziła go ona w kość pacierzową i, ześlizgnąwszy się, trafiła go za uchem. Padł, jak rażony piorunem, a gdyśmy go później podnieśli, przekonałem się o skuteczności działania „dum-dum”. Czaszka dzika była strzaskana i przypominała worek, napełniony drzazgami kości, móżgiem i krwią.

⁵⁹siwucha — nieoczyszczona wódka. [przypis autorski]

Podciągnęliśmy dzika na gałąź drzewa, przywiązawszy, aby go nie rozszarpały dzikie zwierzęta, i ruszyliśmy dalej. Po powrocie posłaliśmy chłopów po naszą zdobycz. Chodziliśmy po gąszczach do zachodu słońca, przez ten czas zabiłem jeszcze jednego dzika, a Kungutow trzy. Na tym polowaniu miałem możliwość ocenić doświadczenie myśliwskie kozaka. Strzelał z przerażającą szybkością i nadzwyczaj celnie. Wystarczyło, aby dzik wystawił choć część swego ciała z zarośli, by mu mignął gdzieś pomiędzy dwoma krzakami: „pijany tygrys” już posyłał mu kulę, która nigdy nie chybiała! Zabił trzy dziki, a ślady krwi wskazywały, że strzelając, zranił jeszcze pięć odyńców. Jednego z postrzelonych przejeżdżający chlapi znaleźli nazajutrz tuż przy drodze. Inne, które stały się ofiarami celnych strzałów Kungutowa, były niezawodnie schwytane i pożarte przez tygrysy, które często grasują w tych okolicach, zwabione żerującymi tu dzikami i sarnami.

W trakcie jednego z takich polowań natrafiliśmy na samotną fanzę, stojącą w głębokim jarze, wśród gęstych zarośli leśnych. Znaleźliśmy tam starego Chińczyka, który nas przyjął gościnnie, lecz ciągle się kręcił koło niewielkiej skrzyni, stojącej w kącie. Piliśmy u niego herbatę, rozmawialiśmy z nim długo, a gdy już zbieraliśmy się pożegnać go, zmieszany gospodarz zwrócił się do nas z taką przemową:

— Przejeżdżał tu na jesieni Chińczyk. Nie znałem go. Zatrzymał się w mojej fanzie, zanocował, a później zachorował. Mieszkał u mnie długo, a gdy odjeżdżał, zamiast pieniędzy, których nie miał, ofiarował mi jakąś deskę z miedzi i powiedział, że to lepsze od pieniędzy, ponieważ deska ta była niegdyś zerwana z grobowca wielkiego wodza i cudotwórcy. Może ją zobaczycie?

Oczywiście, zgodziłem się. Chińczyk otworzył skrzynię i wyjął z niej czerwoną chustkę, rozwinął ją i podał mi metalową tablicę, 25 centymetrów długości, a 16 szerokości. Była ona pokryta nieznanymi mi znakami, związanymi z sobą jak robota szydełkowa; w głębi wyróżnionych znaków znajdowała się czarna emalia.

Z jednej strony tablica miała resztki pętli, z czego wywnioskowałem, że była to połowa małych drzwiczek od jakiejś szafki lub szkatuły; z prawego boku tablicy był odrąbany jakimś ostrym narzędziem niewielki kawałek z częścią znaków. Ten kawałek Chińczyk natychmiast mi podał.

— Zapłaćcie mi 25 rubli, to oddam wam tę tablicę — zaproponował nieśmiało, uśmiechając się Chińczyk.

Kupiłem ów dziwny przedmiot. Później we Władywostoku obejrzał go pewien bogaty kupiec chiński i oznajmił, że są to zwykle mosiężne tablice, które umieszcza się na trumnach Mongołów — Ordosów wraz z zakłębieniem na nich wryciem. Spytał, ile kosztowała, a dowiedziawszy się ceny, wypłacił mi ją zaraz. Zostawiłem sobie tylko mały kawałek, który długo przechowywałem. Będąc już w Piotrogradzie, zrobiłem z niego brelok do zegarka, a kiedyś, spotkawszy w pewnym towarzystwie znanego orientalistę, akademika Radloffa, pokazałem mu ten mosiężny kawałek z cudacznymi znakami i opowiedziałem o jego pochodzeniu. Bardzo się nim zainteresował, wziął go ode mnie i po paru dniach zatelefonował mi, że jest to staro-mongolski napis, który brzmi tak:

„Wielkiemu wojownikowi, który...”

Dalszy tekst pozostał na reszcie tablicy, odprzedanej przeze mnie Chińczykowi.

Radloff twierdził, że tablica z pewnością jest złota. Jubiler zaś, do którego odniosłem swój brelok, zbadał metal i orzekł, że jest to mieszanina złota i platyny.

Dowiedziałem się więc, niestety za późno, że Chińczyk zabrał mi przynajmniej dwa funty złota i platyny, historię zaś pozbawił bardzo cennego dla badaczy materiału naukowego.

Wtedy nie przywiązywałem zbyt wielkiej wagi do tego czynu chytrego a niesumiennego syna Państwa Nieba. Ale obecnie, gdy los i dzieje naszej epoki rzucały mną od Kwen-Lunia do Sajanów i od Dżungarii do Oceanu Spokojnego, gdzie działał ów „wielki wojownik”, o którym zaczęła coś opowiadać pozostająca w mym posiadaniu mała złoto-platynowa tabliczka na dewizce od zegarka, nie mogę odżalować swej lekkomyślności.

W wyobraźni mej powstają teraz świetne obrazy dalekiej przeszłości, gdy nad Azją rozpościerał swą potężną władzę potomkowie Temudżyna-Dżengiza, pastucha z Kerulenu, który potrafił stworzyć olbrzymie państwo i granice jego rozszerzyć aż po Wołgę.

O którym z potomków Wielkiego Mongoła mówiła złoto-platynowa tablica? Może ręka świętokradzka chińskiego chunchuza, czy kupca-wyzyskiwacza zerwała ją z grobow-

ca świętego Kubłaja⁶⁰, lub ze smutnego kopca Gundżura-Chana z Erdeni-Dzu, co to Laszkę miał za żonę, albo też ze stosu kamiennego nad mogiłą Tamerlana Chromego, a może ze świątyni arabskiej ostatniego z wielkich Dżengizydów — wspaniałego sultana Babera⁶¹?

Lecz na te pytania już nie zabrzmi nigdy odpowiedź przeszłości, gdyż tablicę nieznanego wojownika Chińczycy dawno już przerobili na pewno na pierścienie i kolczyki dla swoich *si-fa*, — kobiet o tajemniczych oczach i ustach, znających tylko skargi niewypowiedziane lub słowa groźnej i mrocznej miłości.

ROZDZIAŁ XIV. LUDZIE ŻELAZNEJ WOLI

Na linii kolei, łączącej Władywostok z Nikolskiem Ussuryjskim, leży stacja i osada Razdolnoje. Podczas kolonizacji tego kraju była to jedna z największych wsi, która wkrótce się wzbogaciła, gdyż przez nią przechodziły drogi, czyli ścieżki, prowadzące z południa od granicy koreańskiej i mandżurskiej, z zachodu od jeziora Hanki, a z północy, z tajgi na Ussuri, Daubiche, Ulache i Bikinie położonej. Myśliwi, agenci różnych firm, Chińczycy, Koreańczycy, włóczęgowie i wszyscy, których karmiła i wzbogacała knieja, przechodzili, dążąc do Władywostoku, przez Razdolnoje, i tu były zastawione na nich sieci. Różni spekulanci za towary lub za tanie a często fałszywe pieniądze skupowali złoto, rogi jelenie, korzenie cudowne, futra i grzyby dębowe; przedsiębiorcy różnego gatunku, jak właściciele restauracji, zajazdów, domów gry, palarni opium, rabusie, bandyci, różne typy występne, które tylko nocami zjawiały się na ulicach Władywostoku, czyhali na tych wychodźców z lasów i chciwymi oczami wpatrywali się w toboły skórzane, worki lniane lub koszyki z sitowia i wikliny, zawierające skarby kniei. Bogactwa te różnymi drogami, drogami oszustwa lub krwawego mordy, dostawały się do rąk mieszkańców osady i już stamtąd przez drugie ręce wędrowały na główny rynek do Władywostoku. Z takiej przeszłości wyrosła zamożność i rozwój osady. Były tam już porządne domy murowane, kościoły, jakie-takie życie społeczne i towarzyskie, niektóre urzędy państwowe, szkoły, koszary świętego pułku dragońskiego, którym dowodził znany sportsmen — kawalerzysta, były oficer gwardii i przyjaciel cesarza Mikołaja II, pułkownik Wołkow. Pułkownik w klubie myśliwskim zapoznał mnie z dwiema najbarwniejszymi może osobistościami na całym Dalekim Wschodzie.

Byli to bracia Chudziakowowie, prości chłopcy rosyjscy, przybyli tu na własną rękę wtedy, kiedy dopiero zaczynała się prawdziwa kolonizacja na Ussuri. Pochodzili oni z Urału północnego, byli zaś ludźmi zahartowanymi w warunkach surowego klimatu, myśliwymi, którzy pomiędzy Jekaterynburgiem a ujściem rzeki Kary, wpadającej do Oceanu Lodowatego, znali wszystkie lasy, góry i pustynię tundry tego północnego trzęsawiska. Przybywszy na Ussuri, zaczęli od tego, że odbyli dwuletnią włóczęgę po kraju, przewędrowawszy go od rzeki Chubtu na granicy Korei aż do brzegów morza Ochockiego; zapuszczali się na zachód do jeziora Hanka i rzeki Sungaczy, a na wschodzie często wylaniali się z lasów na wybrzeżu Oceanu Spokojnego.

Z tej wyprawy powrócili z zupełnie określonym poglądem na wartość kraju i na jego bogactwa, nadto zdobyli rzecz bardzo cenną, mianowicie znajomość języków chińskiego i koreańskiego, mowy Goldów, Oroczonów i Tunguzów, ponieważ przez dwa lata obcowali z tubylcami; charakterystyczna zaś dla Rosjan zdolność do przyswajania sobie obcych języków i umiejętność posługiwania się niewielką ilością słów dopomagała im do nawiązania zażyłych stosunków z przybyszami i tubylcami.

Kiedy poznałem Chudziakowów, byli oni już zamożnymi kupcami i osadnikami. Słuchając jednak ich opowiadań, później zaś z ust dawnych mieszkańców kraju, pp. Potoroczynowa i Waldena, poznawszy całą epopeję ich życia na brzegach Oceanu Spokojnego, zacząłem marzyć o napisaniu opowieści o tych ludziach żelaznej woli. Lecz inteligencja rosyjska, natenczas będąca w upadku, o słabej woli życiowej, nie przejęłaby się była z pewnością zdarzeniami z życia tych osadników, lubowała się ona bowiem wyłącznie

⁶⁰*Kubłaj-Chan* (1215–1294) — wnuk Czyngis-Chana, pierwszy cesarz Chin z dynastii Yuan. [przypis edytorski]

⁶¹*Baber*, właśc. *Zahir ad-Din Mubammad Babur* (1483–1530) — założyciel Państwa Wielkiego Mongoła. [przypis edytorski]

w chorobliwych przejawach i przeżyciach psychicznych epoki dekadentyzmu. Dlatego jestem bardzo rad, że obecnie mogę opowiedzieć choć pobieżnie o życiu i czynach Chudziaków Polakom i Amerykanom, dla których wytrwałość, pomysłowość i energia są podstawą potęgi i szczęścia narodu i państwa.

Przez długi czas bracia Chudziakowowie trudnili się polowaniem, zabijając wiewiórki, sobole, kuny, tchórze i gronostaje i handlując skórkami z agentami cudzoziemskimi. Jednocześnie prowadzili handel z mieszkańcami tajgi, zamieniając proch, ołów, strzelby, tytoń i herbatę na futra.

W ten sposób nadzwyczaj szybko się wzbogacili, lecz nie wzbudzili względem siebie nienawiści tubylców, gdyż wcale ich nie wyzyskiwali i nie handlowali spirytusem, ową trucizną, prowadzącą do niechybnej śmierci. Przez ten czas, kiedy bracia wiedli życie wyłącznie myśliwskie, wypadki polowania na „białe łabędzie” stały się rzadsze, gdyż Koreańcy, idący z wielką zdobyczą, płacili Chudziakom grubo za przeprowadzenie ich do granicy. Ci wytrawni myśliwi uralscy umieli omijać zasadzki kozackie na ścieżkach leśnych, a w razie spotkania z bandytami celność strzałów i odwaga Chudziaków były bardzo skuteczną ochroną dla ich biało ubranych, bezbronych klientów.

Imię Chudziaków było znane w całej Korei i w północnych Chinach i tę okoliczność umieli wyzyskać ci sprytni ludzie, w ręce których dostawały się najprzedniejsze okazy dżen-szengu, rogów jelenich i złota, zdobyte przez ludzi żółtych w kniei ussuryjskiej.

Zrozumiawszy dokładnie znaczenie handlu drogocennym korzeniem dżen-szengu, bracia polecieli mieszkańcom lasów wykopywać całe rośliny tego rodzaju i założyli pierwszą plantację dżen-szengu w jakiejś górskiej szczelinie Sichota-Alina. Plantacja ta istniała do 1917 r. i dała właścicielom wielkie zyski.

Chudziakowowie dostarczali włóczęgom pieniędzy, narzędzi i produktów spożywczych w celu rozpoczęcia poszukiwań złota, nigdy zaś nie stracili na tym, bo owi ludzie, nie wiadomo skąd przybyli, ścigani najczęściej przez policję, nigdy nie zawiedli i oddawali zapomogę, czym mogli: złotem, futrami, lub wprost spłacali dług własną pracą.

Głównym terenem działalności braci Chudziaków była miejscowość⁶² pomiędzy osadą, Razdolnoje a rzeką Suczan, gdzie grasowały tygrysy i barsy, i gdzie z tego powodu osadnicy nie mogli hodować bydła. Chudziakowowie w ciągu jednego lata wytropili i zabili szesnaście tygrysów i pięć barsów, zupełnie oczyściwszy od nich tę miejscowość; doskonale przy tym zarobili na skórkach we Władywostoku, a od Chińczyków w lasach wzięli sporo pieniędzy za serca i wątroby „dużej kotki”, te bowiem organa są używane przez czarowników chińskich i koreańskich jako talizmany przeciwko napadom drapieżników i śmiertelnym chorobom.

Takie powodzenie nie było jednak łatwe do osiągnięcia, i każdy z braci myśliwych co najmniej dwukrotnie był w pazurach tygrysa, a straszne ślady łap drapieżników nosili oni obaj na piersiach i nogach. Nie odstraszało ich jednak niebezpieczne spotkanie ze straszliwym zwierzem, i pośród myśliwych-przemysłowców i sportowców słynęli jako pogromcy tygrysów.

Starszy Chudziakow raz mi opowiadał:

— Jak już pan słyszał, zabiłem około stu tygrysów i wiele się widziało i przeżyło na tych polowaniach. Zrobiliśmy z bratem jedno spostrzeżenie: tygrys ścigany szybko się orientuje i zaczyna czynić wywiad, jakby badając, kto go goni. Jeżeli za nim idzie przygodny myśliwy, niewprawny, nie taki zawodowiec, jak ja lub mój brat, tygrys najczęściej go ominie i ukryje się w krzakach lub pomiędzy kamieniami. Inaczej postępuje z tym, który ma już na sumieniu krew drapieżnego zwierza! Tygrys, zwęszywszy takiego, od razu zaczyna na niego polować, usiłując podejść go i niespodzianie napaść w miejscu, gdzie myśliwy nie ma dostatecznie szerokiej przestrzeni do mierzenia i strzału, a więc gdzieś w gąszczu krzaków, pośród drzew, albo też w jakiejś szczelinie górskiej, zarośniętej trawą.

W naszej praktyce myśliwskiej, po zabiciu trzeciego tygrysa, następnych ani razu nie zabijaliśmy strzałami wprost przed siebie, lecz zawsze obróciwszy się całym ciałem w tył, gdyż tygrys już zawsze atakował od tyłu. Trzeba było raptem się odwrócić i strzelać wtedy, gdy zwierz już był w skoku lub w biegu, albo też, przypadłszy do ziemi, przygotowywał się do napaści. Taki strzał nagły i w pozycji niewygodnej jest zawsze niepewny i ryzy-

⁶²miejscowość — tu: miejsce. [przypis edytorski]

kowny. Jeżeli kula nie od razu zatrzyma napastnika, katastrofa jest prawie nieunikniona. Zwierz niezawodnie się rzuci, a wtedy cała nadzieja w nożu albo siekierze. Próbowaliśmy takiej broni i wiemy, jak podobne spotkanie z tygrysem jest niebezpieczne. Zrobiliśmy też jeszcze inne spostrzeżenie. Jeżeli tygrys jest głodny i wychodzi na poszukiwanie łupu, napada na człowieka niezbyt chętnie, chyba że głód doprowadzi go do ostateczności. Ale i wtedy na białego napada rzadko, daleko zaś częściej na żółtego: Chińczyka lub Koreańczyka. Jeżeli para tygrysów, samiec i samica, są na polowaniu, to spotkawszy białego, żółtego i psa, idących razem, napadną naprzód na psa, później na żółtego i na ostatku dopiero rozpoczynają atak na białego człowieka.

— Tygrysy nie lubią mięsa europejskiego — dodał ze śmiechem Chudziakow. — Widocznie nie jest ono smaczne, bo przesiąknięte alkoholem. Bywały wypadki, że, zraniwszy śmiertelnie i obezwładniwszy Rosjanina, tygrys pozostawiał go własnemu losowi, ale go nie zjadał, tymczasem Chińczyka ogryzie tak, jak my załatwiamy się z kurczęciem.

To opowiadanie Chudziakowa w kilka miesięcy później znalazło potwierdzenie w wypadku, który się zdarzył na linii kolejowej, łączącej Charbin z Władywostokiem w lasach północnej Mandżurii niedaleko od stacji Udzimi.

Budowałem tam wówczas wielką fabrykę węgla drzewnego dla potrzeb warsztatów artylerii i kolei podczas wojny z Japonią.

Miałem dla obrony od chunchuzów kilku żołnierzy, z których jeden był zapalonym myśliwym i dostarczał nam stale mięsa dzików, saren i jeleni. Pewnego razu wyszedł on bardzo wczesnie do lasu i nie powrócił. Dopiero nazajutrz to zauważono i wysłano ludzi na poszukiwania. Znalaziono go nareszcie w krzakach już martwego; miał zupełnie poszarpaną czaszkę i mózg pokaleczony pazurami, wszystkie zaś stawy powykręcane przez tygrysa, który widocznie igrał z nim tak samo, jak kot igra ze schwytaną myszą.

Myśliwi opowiadali mi z tego powodu, że tygrys, porwawszy człowieka, naprzód obezwładnia go w ten sposób, że zapuszcza mu w stawy swe straszliwe pazury, przerywa wszystkie ścięgna, a kości wykręca. Gdy człowiek leży już bezbronny i nieruchomy, tygrys druzgocze mu czaszkę i pozostawia na długie męczarnie konania, aż wreszcie powraca, aby go zjeść.

We Władywostoku opowiadano mi o początku istotnej zamożności Chudziakowów. W kilka lat po pobycie swoim na Ussuri, Chudziakowowie spędzili cały rok na brzegach zatoki Imperatora, znajdującej się niedaleko od ujścia rzeki Amur w Przesmyku Tatarskim. Tam prowadzili oni handel z Goldami, koczującymi plemionami myśliwskimi, a jednocześnie forsownie budowali dwie duże łodzie żaglowe do dalszych podróży morskich. Pierwotnie mieli zamiar opłynąć północny brzeg Sachalinu i dotrzeć do zatoki Nyj; w pobliżu tej zatoki leżała miejscowość Nutowo, obfitująca w naftę, jak opowiadali Chudziakowom myśliwi-tubylcy⁶³.

Kiedy jednak, zabrawszy z sobą kilku śmialków, bracia wypłynęli na morze, zerwała się szalona burza, która poniosła ich łodzie na północ. Wylądowali dopiero na morzu Ochockim, na brzegach nieznaney wyspy, która okazała się południową wyspą grupy Szantarskiej. Tu odważni marynarze ujrzeli całe stada fok i wielorybów. Natychmiast zorganizowali polowanie na te zwierzęta morskie i doszli w tym do wielkiej wprawy, bardzo przeszkadzając japońskim kłusownikom, tępiącym foki bez miłosierdzia a wbrew wszelkim prawom. Chudziakowowie ze swymi ludźmi mieli nieraz bardzo poważne utarczki ze szkodnikami cudzoziemskimi i niejedna kula ugrzęzła w ciele tych odważnych i przedsiębiorczych pionierów.

Prawie przez dwa lata bracia prowadzili tu swe operacje, nawiązali stosunki z tubylcami, hodowcami reniferów i myśliwymi, zebrali znaczną ilość skór, tłuszczu wielorybiego, kłów morsów, futer kupionych od tubylców, i dowiedziawszy się, że w Pietropawłowsku i w Markowie na Kamczatce można sprzedać te towary, ruszyli na północ, gdzie też znaleźli doskonały rynek zbytu.

Chudziakow opowiadał mi, że już powzięli byli zamiar osiedlenia się na Kamczatce, żeby oddać się przemysłowi myśliwskiemu na wyspach Szuntarskich i na morzu Ochockim, gdy naraz usłyszeli o istnieniu w pobliżu północno-wschodniego brzegu Kamczatki,

⁶³W 20 lat później niemiecki inżynier Kleje z polecenia Ostasiatische Lloyd znalazł tam naftę i założył towarzystwo akcyjne. [przypis autorski]

na morzu Beringa, wysp Komandorskich, gdzie, jak ich poinformowano, mają siedzibę foki z gatunku najmniejszych, zwanych po angielsku *Seal*, dostarczające bardzo drogich futer, wysoko cenionych na rynkach Anglii i Ameryki.

— Postanowiliśmy dotrzeć na naszych żaglowcach do wysp Komandorskich i zapolować na foki, których ilość, podług opowiadań Kamczadałów⁶⁴ i kupców-przemysłowców, była wprost nie do opisania. Uprzedzono nas jednak, że w pobliżu tych wysp stale kręca się niewielkie żaglowce japońskie, a nawet kanadyjskie, które starają się odnaleźć miejsce pobytu fok. Przygotowaliśmy się więc do tej wyprawy należycie. Mieliśmy nawet na jednym żaglowcu małą armatkę, kupioną w Markowie.

— Płynęliśmy dość szczęśliwie, ale gdyśmy się już zbliżali do celu wyprawy, dogonił nas rosyjski statek wojenny, dążący do wysp Komandorskich, na które napadli piraci japońscy i założyli tam swą osadę.

— Obecność statku wojennego była dla nas zupełnie niepożądana, więc postanowiliśmy przeczekać na morzu, aż się on oddali. Dziesięć dni spędziliśmy na falach, co prawda z pomyślnym dla nas skutkiem, gdyż, spotkawszy duże stado wielorybów, urządziliśmy za nim pościg. Zabiliśmy dwa potwory morskie i, przyholowawszy je do skalistych raf w pobliżu wysp, zdjęliśmy tłuszcz i fiszbin⁶⁵ i wkrótce, po skończeniu tej roboty, spostrzegliśmy na horyzoncie znikający dym, pozostawiony przez statek, który dążył na południe.

— Płynąc w pobliżu brzegów, dotarliśmy wreszcie do południowej zatoki wyspy Beringa. Lecz tam nic nie znaleźliśmy, oprócz całych stad śledzi, które właśnie weszły były do zatoki. Zrobiliśmy tedy zapasy śledzi i popłynęli dalej, trzymając się brzegu. Wreszcie na niskim brzegu pewnej małej zatoki zobaczyliśmy obraz, którego nigdy nie zapomnę! Nie było tam ani piędzi ziemi wolnej. Tysiące ciemnobrunatnych ciał fok wylegiwało się na słońcu. Jedne spały, leżąc nieruchomo, jak nabite, podłużne worki, inne znowu igrały z sobą, ciężko, niezgrabnie skacząc i przewalając się naprzód całym ciałem. Na wysokim piaszczystym wzgórzu umieściły się stare foki, leżące kołem. Gdy zarzuciwszy kotwicę, w lekkich czólnach zbliżyliśmy się do brzegu, kilka leżących oddzielnie fok odwróciło w naszą stronę głowy, po chwili zaś zaczęły niezgrabnie posuwać się w stronę stada.

— Wychodząc na brzeg, uzbroiliśmy się w ciężkie kije i wiosła i wpadliśmy na stado. Zaczęła się najokropniejsza rzeź bezbronnych istot. Rycząc przeciągle i żałośnie, padały foki jedna po drugiej pod naszymi ciosami. Z rzadka tylko stare samce, podnosząc się na płetwach, szczyrzyły kły i urywanym, gniewnym szczekaniem usiłowały nas nastraszyć. To było jedyną oznaką protestu owych bezbronnych, spokojnych stworzeń. Zatłukliśmy około sto sztuk, wybijając największe okazy. W tym celu, wszedłszy na wzgórze, gdzie były stare foki, wybiliśmy je co do nogi. Lecz popełniliśmy wielki błąd, ominęliśmy bowiem w ten sposób stado, które pozostało pomiędzy nami a morzem. Ponieważ już zrozumieliśmy swą pomyłkę strategiczną: całe stado, liczące niemniej niż 1500 fok rzuciło się w morze i znikło w jego falach.

— Później już objaśniono nas, że prawdziwi myśliwi zaganiają foki na środek wyspy i wybijają codziennie pewną ich ilość. Reszta zaś nie może dotrzeć do morza i ostatecznie ginie, również z rąk myśliwych. Foki, któreśmy wykryli, były szczęśliwsze, gdyż, straciwszy ze sto swych towarzyszek, zdołały uciec do morza i już na łód nie powróciły, chociaż oczekiwaliśmy ich przez kilka dni, pracując ciężko nad obdzieraniem ze skór obfitego łupu.

— Ruszywszy dalej, wykryliśmy jeszcze jeden punkt na brzegu południowej wyspy grupy Komandorskiej, gdzie zdobyliśmy 85 skór fokowych i wówczas machnęliśmy się wprost na południe, mijając Pietropawłowski i płynąc w stronę Sachalinu, skąd, po krótkim popasie w porcie Due, popłynęliśmy do Władywostoku. Tu zarobiliśmy dobrze — o, bardzo dobrze! Opląciły się nam trudy i ryzykowanie życia. Następnego roku odbyliśmy jeszcze pomyślniejszą dla nas podróż na wyspę Beringa. Sprzedaliśmy całą zdobycz Niemcom, którzy, konkurując z Amerykanami, płacili nam olbrzymie ceny.

⁶⁴Kamczadał — mieszkaniec Kamczatki. [przypis edytorski]

⁶⁵fiszbin — płyta rogowa w jamie gębowej wieloryba, służąca do filtrowania wody morskiej, w celu odzyskania z niej pożywienia w postaci planktonu. [przypis edytorski]

— Lecz, niestety! — zakończył swoje opowiadanie Chudziakow. — Była to już ostatnia nasza podróż na morze Beringa. W rok później rząd posłał tam urzędników i oddział zbrojny dla ochrony fok od cudzoziemców i Rosjan. Od tej chwili można było działać tylko jako kłusownicy, my zaś z bratem tego nie pochwalamy...

— Cóż zrobiliście ze swymi żaglowcami? — pytałem, zaciekawiony szczegółami tej morskiej przygody odważnych żeglarzy.

— Długo jeszcze nam służyły — odpowiedział. — Urządziliśmy się tak, że jeden z nas prowadził interesy w kraju; organizował oddziały myśliwych na sobole, niedźwiedzie, tygrysy, kuny, wiewiórki, łosie, jelenie, skupował dżen-szeng, złoto i jelenie rogi wiosenne, czyli *panty*, wyrąbywał las i przygotowywał nowe place dla kultury pszenicy, bobu i prosa, budował tłocznie dla produkowania oleju z bobu-soya, wznosił nowe domy lub wykonywał dostawy drzewa dla kolei, albo też odkrywał i sprzedawał nowe tereny z pokładami węgla, złota i rudy; drugi z nas płynął na morze Ochockie, gdzie koło wysp Szantarskich polował na wieloryby, wydobywał z nich tłuszcz i fiszbin, łapał łosie i śledzie i sprzedawał ten drogi i poszukiwany towar we Władywostoku lub nawet w Szanghaju, dokąd udawaliśmy się na naszych żaglowcach kilkakrotnie, i skąd przywziliśmy znowu herbatę chińską, *czesuczę*⁶⁶ i angielskie materiały wełniane. Pewnego lata mój brat młodszy dopłynął znowu do morza Beringa i tam, na brzegu zatoki Anadyr, wykrył znaczną ilość wyrzucanych przez morze bursztynów i ambry. Przywiózł z tej dalekiej zatoki duże bursztyny, których odłamki ważyły nieraz po kilka funtów. A były one barwy złocisto-żółtej, i Chińczycy płacili za nie najwyższe ceny, gdyż w Chinach bursztynu używają nie tylko do wyrobu ozdób kobiecych, ale także na amulety, zapewniające długie i szczęśliwe życie.

Ambra jest to produkt wydzielany przez wieloryby, który, pewien czas pozostając w wodzie morskiej, nabiera silnego i przyjemnego zapachu. Ambra rozpuszcza się w olejkach roślinnych i w spirytusie, co spowodowało, że jej używają do fabrykacji perfum w Chinach, gdzie płacą za nią cenę równej wagi złota.

Chudziakow pokazał mi przepiękne zbiory różnych osobliwości Dalekiego Wschodu. Było to całe muzeum, w którym bracia nagromadzili najdziwniejszych form korzenie dżen-szengu (*Pentifolia panacea genseng*) wiosenne rogi jelenie, piżmo, skóry niedźwiedzi, tygrysów i barsów, kły morsów, kości wielorybów, fiszbin, ambre, bursztyn, piasek złoty, drogie kamienie, rudy różnego gatunku, skórki ptaków ussuryjskich, przedmioty kultu religijnego Goldów, Oroczonów, Ajnosów⁶⁷, Kamczadałów, Koreańczyków i Chińczyków.

W parę lat później dowiedziałem się, że Chudziakowowie ofiarowali swe cenne i rzadkie zbiory do Muzeów Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego we Władywostoku i Chabarowsku.

Bracia Chudziakowowie, ich życie, ich poglądy społeczne i polityczne, cechy ich charakteru wzbudziły we mnie głęboką sympatię, i myślałem zawsze, że ci ludzie o żelaznej woli powinni być wzorem dla młodzieży, kształcącej swego ducha w obecnych czasach osłabienia moralności i siły woli, depresji nerwowej i wstrząśnień politycznych i społecznych.

ROZDZIAŁ XV. POŁUDNIE W WALCE Z PÓŁNOCĄ

Jak już pisałem, kolej ussuryjska łączy Władywostok ze stolicą całego kraju Amurskiego, z miastem Chabarowskiem. Na połowie drogi leży stacja Szmakowka, przy której stoi dość znaczny klasztor prawosławny, *Szmakowskaja obitel*. Około stu mnichów prowadziło tu rozległe gospodarstwo rolne, hodowlę bydła rasowego (rasa chołmogorska) i koni, gospodarkę mleczną, robiło doskonałe sery, trudniło się połowem ryb, wiodąc żywot surowy, pracowity i bogobojny.

Po przejściu burzy bolszewickiej z tego klasztoru prawie nic nie pozostało, oprócz budynków. Mnichów wycięto albo wypędzono. Tułają się gdzieś po niezmiernym a wzburzonym morzu rosyjskim, bez dachu nad głową, ścigani przez władze, nastrojone antyreligijnie, pozbawieni jakichkolwiek praw. Bydło wyrżnięto dla czerwonej armii i dla par-

⁶⁶*czesuczca* — tkanina chińska z surowego jedwabiu. [przypis autorski]

⁶⁷*Ajnosi* — pierwotni tubylcy wysp Kurylskich, Sachalinu i Hokkaido. [przypis autorski]

tyzantów, konie zabrano do wojska, dobytek klasztorny, święte obrazy i sprzęty kościelne zrabowano. Pustkami i ruiną świeci obecnie klasztor Szmakowski.

Zwiedziłem go swego czasu podczas swej podróży po Kraju Ussuryjskim. Pociągało mnie tam nie tyle zainteresowanie się gospodarką mnichów, ile doskonale źródło lecznicze, słynące na cały kraj, a położone w obrębie ziem klasztornych. Jest to woda sodowa, alkaliczna, naturalnie gazowana, typu Giesshübler, Kreznach lub kaukaskich Essentiułów.

Dziesiątki rodzin, przyjeżdżających tam w lecie na kurację, znajdowały przytułek w klasztorze, pomoc lekarską i uzdrowienie.

Główną cechą tego źródła była wysoka radioaktywność jego wody, trwałość pochłoniętej przez nią emanacji. Wobec tego działanie owego źródła na chorych było bardzo szybkie i skuteczne.

Opowiadano mi, że w okolicach klasztoru są i inne źródła mineralne, więc Towarzystwo Geograficzne poleciło mi tę kwestię zbadać, a wodę z tych źródeł poddać ścisłej analizie chemicznej.

Spełniając to polecenie, bardzo starannie zwiedzałem obwód klasztorny, lecz oprócz jednego małego źródła z wodą zawierającą dość znaczne ilości kwasu węglowego a wypływającego z pod skał dolomitowych, nic nie znalazłem. Natomiast widziałem dużo ciekawych rzeczy, charakteryzujących życie na tych kresach.

O jakieś 50 kilometrów na wschód od klasztoru spotkałem w lesie na brzegu małej rzeczki górskiej „koczowisko nieboszczyków”.

Na polanie i na brzegu stało mniej więcej 20 jurt, czyli wigwamów, zbudowanych z cienkich brzożowych i pokrytych korą brzożową drągów. Ze spiczastych wierzchołków jurt nie wznosiły się, jak zwykle, smugi dymu z palących się wewnątrz ognisk. Przy jednym z namiotów siedział skulony człowiek. Zgrają czarnych, kosmatych psów ze spiczastymi uszami i z wilczymi ogonami wałęsała się pomiędzy jurtami, groźnie warcząc i staczając z sobą walki o coś, czego nie mogliśmy z dala dojrzeć.

— To niezawodnie koczowisko Oroczonów! — objaśnił mnie mój przewodnik-mnich. — Przybywają tu oni wczesną jesienią na zimowe polowanie na sobole. Lud to jest spokojny, pracowity i dobry! Pojedźmy do ich jurt, bo pana powinno to zająć.

Zbliżyliśmy się. Psy z ujadaniem i wyciem złowrogim rozpierzchły się po krzakach.

— Hej, przyjacielu! — krzyknął mnich. — Przyjmujecie gości?

Siedzący przy jurcie tubylec nie odezwał się. Podjechaliśmy wprost do niego i — wydaliliśmy okrzyk przerażenia. Oparty plecami o ścianę namiotu, ubrany w bluzę, spodnie, buty i czapkę z jeleniej skóry siedział człowiek martwy. Z twarzy, ogryzionej już przez psy, widać było kości policzkowe, a pozostałe mięso zwisało czarnymi strzępami. Dłonie były odgryzione.

W milczeniu, przejęci zgrozą spojrzeliśmy na siebie i, nie naradzając się, zesłiśmy z koni i zaczęliśmy zaglądać do wszystkich jurt. Wszędzie były trupy, tylko trupy! Mężczyźni, kobiety i dzieci. W jednej jurcie zgrają psów zaczęła się rzucać na wszystkie strony, starając się uciec, aż wreszcie znalazły jakiś otwór pod ścianą i przez niego wydostały się nazewnątrz. W jurcie nikogo nie było. Czegóż tu szukały czarne, ponure psy? Wkrótce zrozumieliśmy, co je tu przyciągało. Obok dawno zgasłego ognia, przyczepiona do pułapu, wisiała na rzemieniu kołyska. Zajrzeliśmy. Leżało tam dziecko. Martwe oczy były wpatrzone w otwór jurty, jak gdyby przed śmiercią zwróciły się ku niebu, wołając o pomoc i zmiłowanie.

— Co spowodowało śmierć tych ludzi? — pytałem mnicha.

Lecz on zdjął czapkę i zaczął się modlić cicho. Po długiej chwili, spuszcżając głowę na piersi, z westchnieniem rzekł:

— To nasza rosyjska zbrodnia, panie!

Nie rozumiałem, więc jął mi tłumaczyć.

— Niech pan spojrzy dokoła! Wszędzie butelki, blaszanki, beczułki. Były one napełnione wódką. Ona zabiła to koczowisko. Kupcy rosyjscy nie uważają tubylców za ludzi. Ich można bezkarnie rabować, oszukiwać, nawet zabijać, a cóż dopiero spajać alkoholem! Jest to zwykły sposób handlu Rosjan z koczownikami! Naprzód spoją wszystkich, później za grosze skupią wszystkie najdroższe futra, a zapłacą za nie wódką... Oroczeni

od dawna stali się pijakami i za kieliszek wódki duszę własną sprzedadzą diabłom! Z tego korzystają Rosjanie. Tak było i z tym rodem oroczońskim! Pewno gdzieś na Amurze sprzedali swą zdobycz i pijani jeszcze w zimie przybyli tutaj. Tu podczas jakiegoś swego święta się popili, a mrozy i wichry dokończyły dzieła. Ogniska zgasły, i zgasło życie. Tylko psy pozostały i zabrały się do roboty. Widział pan kości ludzkie, które leżały w trawie? To przecież resztki tych odważnych, dzielnych myśliwych i rybaków. Wielka zbrodnia, panie, dzieje się w imię złota i bogactwa! Diabeł rzucił w mrowisko ludzkie tą zarazę, a dla jej rozszerzenia dał ludziom truciznę — spirytus! Ten osłabia sumienie, wołę i siły, on też prowadzi do zagłady!

Mnich rękę do góry uniósł i groził komuś, co zatrzał sumienie ludzkie i życie oddał na pastwę zbrodni i nałogu.

Taka występna działalność kupców rosyjskich pośród syberyjskich koczowników mongolskich doprowadziła do zupełnego wygaśnięcia licznych niedawno plemion. Dzieje się to na Kamczatce, na rzece Anadyr, na półwyspie Czukockim, pośród Jakutów, Ostiaków i Ajnosów na Sachalinie.

Urzednicy rosyjscy, lekarze i myśliwi, którzy z rzadka zagląдают do tych odludnych krajów, zawsze spotykają koczowiska wymarłych rodów tubylczych, przyczyną zaś katastrofy zawsze jest wódka, którą płacą eksploatatorzy rosyjscy za futra.

Różne epidemie, szczególnie zaś ospa, dziesiątkują pijacką ludność północno-wschodniej części Azji rosyjskiej, a nikt, oprócz kuglarzy — szamanów, nie walczy z zarazą. Lecz ta walka nie jest skuteczna, gdyż szamani nie walczą z zarazkami choroby, lecz z wymyślonym przez siebie duchem, którego usiłują odpędzić i nastraszyć huczeniem bębnow, gwizdem piszczałek i histerycznymi krzykami pijackimi.

Z bardzo ciężkim uczuciem, pełni ponurych myśli opuściliśmy koczowisko nieboszczyków; w pobliżu, przedzierając się przez wysoką gęstą trawę, znaleźliśmy kilka bażantów, które leżały już prawie zupełnie zgnile. Gdym obejrzał ptaki, zobaczyłem, że miały na szyi zaciśnięte pętle z włosia końskiego.

Jest to zwykły sposób łapania bażantów, cietrzewi i kuropatw. Tubylcy związują gęstą trawę w ten sposób, żeby tworzyła jakby szereg małych, niskich bramek, w których zastawiają stryczki z włosia końskiego. Bażanty i inne ptaki, żerujące w trawie, przedzierają się przez nią, trafiają do pętli i w ten barbarzyński sposób giną dziesiątkami i setkami.

W okolicy klasztoru w Szmakowie, gdzie na obszarach, należących do mnichów, mają siedzibę liczne stada bażantów, kilkakrotnie widziałem takie pułapki na ptaki. Pewnego razu znalazłem w stryczku olbrzymiego węża, który przeciął sobie gardło końskim włosiem, przywiązany do dość mocnego krzaka, zerwał stryczek, lecz zdechł, odczołgawszy się zaledwie o jakieś 10 kroków. Wąż był długi na półtora metra, miał na jasno-brunatnym ciele czarne pręgi i plamy i należał do rodzaju *boa-constrictor*. Te pytony, chociaż rzadko, lecz trafiają się w Kraju Ussuryjskim, napadają zaś nie tylko na ptaki, lecz na sarny, a nawet na młode dziki. Podczas zwiedzania błotnistej doliny rzeki Sujfun, jadąc w nocy wozem drogą stepową, przejechaliśmy węża boa, który spał po dobrym i sutym obiedzie. Koła wozu przecięły go zupełnie, a w żołądku węża znaleźliśmy pięć zajęcy, jakiegoś ptaka i szczura.

Opowiadano mi też, że boa w niektórych miejscowościach w pobliżu kolei szerzą zniszczenie pomiędzy drobiem, dusząc kury, kaczki i gęsi.

Muzeum Towarzystwa dla badań kraju Amurskiego posiadało przed najściem bolszewickim kilka okazów boa ussuryjskiego.

Ten typ zoologiczny najwymowniej dowodzi, że Kraj Ussuryjski jest areną walki południa z północą; na tej arenie spotykają się w jednej kniei: mieszkaniec śnieżnych obszarów, soból, z grozą dżungli podzwrotnikowych — wężem boa.

Sama zaś natura, żeby utworzyć dla boa warunki lepiej mu znane i zrozumiałe, rzuciła do tajgi ussuryjskiej palmę, *Dimorphantus palmoideus*, która rośnie spokojnie obok tubylca podbiegunowej strefy, cedru, oplecionego dzikim winem, przez które przedziera się „kuzyn” tygrysa bengalskiego — tygrys amurski.

Wszystko to razem wzięte zniewala podróżnika do przypuszczenia, że natura w chwili tworzenia się flory i fauny kraju wszystko poplątała, zapomniała o swych zasadach i upodobaniach, czy też chciała spleść figla. Niektóre figle tego rodzaju nie są wcale dla człowieka przyjemne.

Natura

Opowiem o jednym z nich. Gdy osadnicy ussuryjscy zaczęli siał pszenicę gatunków południowo-rosyjskich, po paru latach zaczęła się rodzić pszenica, z której mąka była trująca. Wieśniacy nazywali to „chlebem pijanym”, gdyż objawy zatrucia przypominały działanie alkoholu. Badania, przeprowadzone w tym kierunku, dowiodły, że w pszenicy rozwija się specjalny grzybek z rodziny *Mixomycetes*, powodujący w krochmalu ziarna procesy fermentacyjne, które rozwijają się najenergiczniej podczas fermentacji ciasta z zarażonej mąki. W takim chlebie tworzą się tak zwane „wyższe alkohole”, jak amyłowy, glikolowy, gliceryna oraz aceton.

Obecnie pszenica ussuryjska już przemogła tę chorobę i coraz rzadziej „chleb pijany” bywa plagą mieszkańców kraju.

ROZDZIAŁ XVI. RAJ MYŚLIWSKI

Jeżeli jednak podróżnik zechce zobaczyć w Kraju Ussuryjskim dziwne pomieszanie północy z południem, miejsce, gdzie się spotkały Ocean Lodowaty z Egiptem i Indjami, Syberia z Japonią, koniecznie powinien zwiedzić jezioro Hanka, leżące na pograniczu Kraju Ussuryjskiego i Mandżurii.

Jeżeli jest on nie tylko badaczem, lecz i sportowcem-myśliwym, będzie miał podwójną rozkosz, gdyż samo jezioro, wypływająca z niego rzeka Sungacza i otaczające je na 100 kilometrów w różne strony błota i trzęsawiska, zarośnięte szuwarami, sitowiem i trzcina, są prawdziwym rajem myśliwskim.

Byłem na tem jeziorze na wiosnę i w zimie, a zawsze wynosiłem stamtąd jednakowe wrażenie.

Po raz pierwszy zwiedziłem jezioro Hankę na wiosnę. Była to wiosna wczesna i na potokach oraz na małych jeziorach, otaczających Hankę, trzymał się jeszcze lód. Prawda, że już zszedł i był cały podziurawiony przez promienie słońca, lecz jeszcze dość trwały, aby utrzymać człowieka, a nawet wóz parokonnny.

Znalazłem się tam wraz z grupą myśliwych, którzy wybrali się na polowanie na przelotne ptactwo wodne.

Od jednej ze stacji kolei ussuryjskiej ruszyliśmy wynajętym wozem w stronę północnego brzegu Hanki. Na olbrzymiej przestrzeni około 70 kilometrów od jeziora zaczynały się błota, zarośnięte różnymi roślinami wodnymi. Sieć małych rzeczek i strumyków, płynących z jeziora, przerzynała tę równinę, na której leżały mniejsze i większe jeziora, ukryte za wysoką ścianą trzciny. Gdyśmy wyruszyli o świcie, był niewielki mróz, ale koło południa słońce tak przygrzało, że koła naszego wozu prawie całkiem grzęzły w miękkiej glebie błotnistej, konie zaś z trudem wyciągały nogi z trzęsawiska. Jechaliśmy bardzo wolno i wreszcie nasz stangret, kozak, oświadczył, że konie nie dojdą na miejsce. Naradziwszy się, postanowiliśmy pozostać tam, dokąd dobrnęliśmy, gdyż dookoła było dość dużo jezior i kryjówek, odpowiednich na zasadzki.

Już w drodze nie mogliśmy się powstrzymać od okrzyków zdumienia na widok niezliczonych, olbrzymich stad gęsi, łabędzi i kaczek, lecących przez dolinę Hanki; opadały one na jeziora i w zarośla trzciny lub podrywały się i dążyły dalej za wiosną, posuwającą się coraz dalej na północ.

Zatrzymaliśmy się w pobliżu dość dużego jeziora, które niepodobna było dojrzeć spoza gęstego sitowia i trzciny, a na brzegach którego pozostał niewywieziony przez zimę stóg siana. Kazaliśmy tu odprząć konie i założyć obóz. Były to przygotowania nader proste. Wbito dwie pary drewnianych widełek w ziemię, położono na nie drąg żelazny, na którym miał wisieć kocioł do gotowania zupy i kaszy, a także imbryk na herbatę. Z siana, wziętego ze stogu, przygotowaliśmy miękkie posłanie do siedzenia i na nocleg, złożyliśmy w pobliżu pudła i wory z prowiantami, przyrządami i zapasami myśliwskimi, i na tym skończyliśmy urządzenie obozu.

Nie czekając na herbatę, przyrządzaną przez naszego kozaka, wziąłem strzelbę, gwizdaliśmy na psa i poszedłem ku jezioru. Mój setter-gordon od razu podniósł łeb, stulił uszy, nerwowo wyciągnął ogon i zaczął bardzo ostrożnie skradać się ku kępie trzciny. Jeszcze nic nie widziałem, ale słyszałem, jak pluskają i odzywają się na wodzie kaczki; z ich głosów odróżniałem nawet poszczególne gatunki. Czasami dochodziło mnie basowe trąbienie gęsi albo przeciągły jęk łabędzia północnego. Pod obłokami ciągnęło ptactwo, stado po

stadzie, napelniając powietrze przeróżnymi głosami i coraz to częściej, szybując nad jeziorami i szerokimi spiralami, opadało na ich powierzchnię.

Pies nagle zatrzymał się przy małym krzaczku i znieruchomiał, jak posąg ze spiżu, bardzo malowniczo wygiąwszy swe muskularne, zgrabne ciało.

Zdziwiłem się, gdyż krzak wyrastał z ziemi, gdzie nie było ani śladu wody. Mogłem oczekiwać jedynie bekasa albo dubelta.

Kazałem psu ruszyć dalej. Zaledwie się posunął, coś czarnego mignęło mi zza krzaka i znikło w wysokiej trawie. Nie był to ptak, więc gubiłem się w domysłach, jakie zwierzę mogło przebywać na tym trzęsawisku. Skierowałem psa w stronę, w którą ono podążyło. Przeszedłem z pięćdziesiąt kroków, gdy pies znowu się zatrzymał. Ledwie zdążyłem zrobić parę kroków, kiedy z trawy wyskoczył zając o bardzo ciemnej barwie. Wystrześliłem w chwili, gdy dobiegł on do zarośli wikliny. Padł. Gdym go podnosił i oglądał, zastanowiły mnie drobne rozmiary przednich i tylnych nóg, głowa większa niż u zająca i prawie zupełnie czarne futerko gryzonia. Był to czarny zając, odkryty na rzece Sungaczy, wypływającej z Hanki, przez znakomitego podróżnika azjatyckiego, Przewalskiego⁶⁸.

Lecz Przewalski nazwał go zającem, ja zaś przypuszczałem, że był to dziki królik.

W kilkanaście lat później, mianowicie podczas podróży przez Urianchaj i Mongolię, opisaną w mej książce pt. *Przez kraj ludzi, zwierząt i bogów*, przekonałem się, że moja hipoteza miała rację bytu, gdyż w okolicach jeziora Kosogoł, w modrzewiowych lasach, w pobliżu osady Khathyl widziałem kilkakrotnie dzikie króliki o bardzo ciemnym futrze brunatnym, a rozmiarami przypominające rasę belgijską tych zwierzątek. W kotlinie Hanki te gryzonie są rzadkie, gdyż widocznie czystej rasy już nie pozostało, króliki bowiem skrzyżowały się ze zwykłymi zającami, pośród których często zdarza się spotykać okazy o bardzo ciemnych skórkach i o wyglądzie zewnętrznym nieco odmiennym od zająca północnego.

Spotkanie się z zającem było przypadkiem i tylko czarne futerko usprawiedliwiało mój strzał, po którym z pobliskiego jeziora zerwały się chmury wodnego ptactwa. Z przeraźliwym kwakaniem pierzchły stada kaczek i spadały w dalszych trzcinach; trąbiąc trwożnie, pionowo wzbijały się w górę dzikie gęsi; przecinały powietrze, miotając się w różne strony ze skrzekiem bekasy i kuliki różnych gatunków; ostrożne łabędzie, czaple i czujne żurawie, szybko wymachując skrzydłami, leciały tuż nad morzem sitowia, i znikaly za wysokimi pagórkami na zachodzie.

Sądziłem, że już się wszystko skończyło, że spłoszyłem całą ptasią rzeszę i zepsułem sobie i swym kolegom polowanie tego dnia. Ale nie zdążyłem jeszcze dobrze uwiązać do pasa swego łupu, gdy mój pies, odbiegłszy jakieś sto kroków, nagle zatrzymał się przy małej kałuży, rozciągnął się na ziemi w wyprężonej pozie i zamarł w namiętnym oczekiwaniu. Zacząłem podchodzić i, zbliżywszy się do psa na wystrzał, krzyknąłem:

— Weź!

Pies podniósł się i skoczył naprzód kałuży, głośno łopocąc skrzydłami, zerwały się trzy duże ciemno-szare kaczki, przeraźliwie kwacząc. Padły dwa strzały i dwie trafione kaczki już biegały w trawie, usiłując ukryć się przed seterem. Lecz ten je odnalazł i jedną po drugiej przyniósł mi żywe. Wkrótce znalazły się w mej siatce myśliwskiej. Po tej próbie powróciłem do obozu i przeprosiłem kolegów, że nastraszyłem zwierzyne. Zaczęli się śmiać, jeden z nich zaś powiedział:

— Mój panie, chociażby pan strzelał co chwila, i tak dla nas dużo jeszcze pozostanie! Teraz jest dzień, ale po zachodzie słońca dopiero pan zobaczy, co tu się będzie działo! Ile pan wziął z sobą nabojów?

— Pięćset — odrzekłem, wstydzając się co prawda swej chciwości.

— Co?! — zawołali myśliwi. — Na trzy dni pięćset nabojów? Każdy z nas ma ze sobą po dwa tysiące i oprócz tego zapas prochu, śrutu i gilz.

Byłem zdumiony tymi słowami, lecz w duchu pochwaliłem siebie za przezorność, gdyż wsadziłem do swej walizki sto sztuk stalowych gilz, dwie blaszanki prochu i pięćofuntowy worek śrutu Nr. 3, dobrego na kaczki i nawet na gęsi przy strzale z niewielkiej odległości.

Z wielką niecierpliwością oczekiwałem wieczoru. Nawet jeść nie mogłem. Przejrzałem swoje pasy z ładunkami, których było 64, wziąłem jeszcze ze dwadzieścia i rozłożyłem

⁶⁸Przewalski, *Nikołaj* (1839–1888) — rosyjski wojskowy, geograf i podróżnik. [przypis edytorski]

je po kieszeniach swej futrzanej kurty myśliwskiej, która widziała już tyle znakomitych polowań w lasach, górach, na jeziorach i morzach Rosji Europejskiej i Azji; wyczyściłem strzelbę, wysmarowałem olejem rycynowym swe długie, aż do pasa prawie, buty myśliwskie; przywiązałem psa do kołka wbitego w ziemię, gdyż wieczorem przy przelocie ptaków nie był potrzebny, mógł zaś tylko mi przeszkadzać i, siedząc w miękkim sianie, spoglądałem zazdrośnie na lecące w różnych kierunkach kaczki, gęsi i łabędzie. Ciągle się obawiałem, że całe ptactwo przeciągnie do wieczora nad błotami Hanki, a dla nas pozostaną tylko małe ptaszki, których gromady latały w trzcinach, śpiewały, klóciły się, a nawet biły.

Wreszcie doczekałem się upragnionej chwili: siedziałem już w swej zasadzce, tuż nad brzegiem jeziora, zaczajony za trzcinami. Słońce powolnie, jak gdyby drwiąc z mej niecierpliwości, opadało na zachód, zakreślając na niebie olbrzymi łuk. Spłynęły na ziemię pierwsze fale mroku, jeszcze przejrzystego, przepojonego światłem, a w gąszczu trzcin i sitowia zarysowały się szafirowe i fioletowe cienie, w których szukały nocnego schronienia drobne ptaszki, świergocąc sennymi już głosami. Na zachodzie zaczęły płonąć roztopionym złotem i szkarłatem drogocennym małe obłoczki, nieruchomo wiszące na seledynowym niebie. Jakiś cień, jakby krepa przezroczysta, przykrył wierzchołki suchych trzcin i brunatne, aksamitne ich kity, wszystkie kontury i kształty, przyćmił złote tafle jezior i różowe wstęgi potoków. Tajemnicza cisza napływała zewsząd, i, zdawało się, wszystkie dźwięki, odgłosy i gwary przytłoczyła do zasłuchanej, brunatnej, zeschłej trawy. Dawno już umilkli weseli mieszkańcy trzcin i szuwarów — ptaszki śpiewające, które, wygwizdawszy ostatnią modlitwę dziękczynną, czy pożegnanie gasnącemu słońcu, usnęły; ucichł rechot gdzieś budzących się żab; zataił się wietrzyk, kołyszący suche badyle i trawy, zwarzone zimowymi mrozami; nie pluskały się kaczki na jeziorze, i tylko od czasu do czasu przerywało ciszę ostre cykanie nietoperzy, bez szmeru tnących powietrze.

Słońce wyglądało zza horyzontu promienną koroną swych ognistych włosów, lecz samo już utonęło gdzieś na zachodzie za fioletowo-szafirowym grzbietem leśnego Sichote-Alina.

Na niebie jeszcze się paliły smugi zielonych, złotych i szkarłatnych blasków, płonęły, jakby krwią nabrzmiałe i w ogniu roztopione, wędrowne obłoczki lotne, ale na ziemi, w szuwarach nad wodą już mrok się gnieździł, a z niego podnosić się zaczynały mgliste opary i pelzły, ścieląc się po nieruchomych sennych wierzchołkach wybujałego sitowia i giętkich wiklin, powykęcanych, jak sploty bijących się węzów.

Cisza stała się jeszcze głębsza i potężniejsza.

Raziło nawet brzęczenie komarów i szmer pełzającego po łądydze trzciny żuka-rogacza.

Znikły ostatnie gońce zachodzącego słońca, i cisza wszechwładnie objęła ziemię.

Nagle z oddali dopłynęła na falach ciszy i padającego zmroku krótka basowa a donośna zwrotka. Znowu cisza, a potem nowa zwrotka już bliżej, głośniejsza i jakieś odgłosy, szmer i echa ruchu.

Niewysoko nad trzęsawiskiem, wyciągnąwszy się w trójkąt, jak ostrze strzały, leciał klucz gęsi. Wprawne oko naliczyło trzydzieści dwa ptaki. Lecący na przedzie dowódca z rzadka spokojnie a donośnie „trąbił” basowym o trzech tonach głosem, jakby uspokajając lub namawiając do czegoś.

Zagrzmiał pierwszy strzał. Padł jak piorun i zmącił, stargał, zakotłował ciszę. Zaszumiały zgorzone szuwały, na błotach i jeziorach trwożnie krzyknęły i zerwały się hałaśliwie kaczki, gwizdnęły gdzieś blisko mknące w prerażeniu kuliki, zajęczała krzykliwie szara mewa jeziorna, a z góry, beładnie bijąc o powietrze jednym skrzydłem, szybko spadała duża, dzika gęś. Klucz, ponuro pokrzykując, pionowo wzbijał się wyżej, prostując swój szyk i, wyciągając się w ruchomy, falujący sznur, jak lecąca pajęczyna jesienna, jął z szybkością oddalać się od zdradzieckiego jeziora. Polowanie się rozpoczęło...

Grzmiały strzały ze wszystkich zasadzek, widziałem lub słyszałem padające ptaki. Trzy razy musiałem powracać po świeże naboje ze swej kryjówki do obozu.

Tego wieczoru na przelocie dałem około dwustu strzałów. Bywały chwile, że lufy mego Winchestera i zapasowej strzelby tak się rozgrzewały, że nie mogłem ich ręką dotknąć.

Na przelotach wieczornych w tym złudnym zmroku, w którym tonie przestrzeń i wszystkie wymiary, strzela się na różne odległości, nie licząc się z pewnością strzału.

Gdy już ściemniało zupełnie, puściliśmy psy na poszukiwanie zabitych lub postrzelonych ptaków, których sami nie mogliśmy znaleźć lub wydostać. Jak już pisałem, strzelałem tego wieczoru bardzo dużo, mój zaś łup wynosił kilkadziesiąt sztuk ptaków, a w tym 64 kaczkę, pośród których było 26 różnych gatunków. Resztę upolowanej zwierzyny stanowiły gęsi i północne łabędzie (*Cygnus musicus*); między nimi wpadł mi pod strzał flamingo indyjski, który zabłąkał się z pewnością w kluczu zwykłych żurawi.

Podczas tego polowania, gdzie prawie zawsze wypadało strzelać na duże odległości, ocenilem należycie pięcionabojowy Winchester automatyczny do śrutu za jego dalekość, sprawność mechanizmu, i, co najważniejsze, za wytrzymałość na silne ładunki. Niektóre strzały z tej broni były wprost zdumiewające.

Inni myśliwi dostarczyli do obozowiska naszego całe kupy pozabijanych ptaków. Kozak tymczasem wykopał dół, wyłożył go sianem, kawałkami lodu i śniegiem i urządziwszy w ten sposób rodzaj chłodni, powkładał nasze łupy i pokrył wszystko grubą warstwą siana i suchego sitowia. Po kolacji, urozmaiconej ożywionymi, często homerycznie kłamliwymi opowiadaniem o przebiegu polowania, umieściliśmy się na miękkich posłaniach. Długo nie mogłem zasnąć. W uszach dźwięczały mi i huczały strzały, słyszałem trąbienie gęsi i krzyki kaczek, drgałem na odgłos spadających do wody ptaków. Były to echa przeżytych wrażeń tego wieczoru, lecz gdym się obudził w nocy, na jawie, długo słuchałem gwaru nocnego.

Po ciemnej otchłani nieba przesuwają się, z rzadka pokrzykując, klucze gęsi i kaczek; jękliwie nawoływały się łabędzie metalicznym głosem; gdzieś zupełnie blisko wrzasnęła czapla, przestraszona palącym się ogniskiem; kwakały i pogwizdywały kaczki i kuliki, ze świstem przecinając powietrze. Życie wrzało przez całą noc, gdyż ptaki przelotne śpiesznie doganiały szybko posuwającą się na północ wiosnę, aby gdzieś w tundrze Azji, w moczarach wybrzeża Oceanu Lodowatego, lub na wyspach położonych w deltach wielkich rzek syberyjskich, gdzie nic nie zagraża życiu młodego pokolenia, założyć swe tajemnicze gniazda, zazdrośnie przed okiem ludzkim ukrywane. Biedne ptaki! Nie myślały, że w jesieni tą samą drogą będą musiały lecieć ich dzieci, i że tu, w szuwarach na Hance, będą czatowali na nich myśliwi. A ileż takich miejsc zdradzieckich spotkać mogły te wolne ptaki, zanim z brzegów Oceanu Północnego doleciałyby do błot i jezior, ukrytych w dżunglach Indii!

Drugie polowanie urządziliśmy sobie przed świtem i przy pierwszym brzasku wschodzącego słońca. Było ono już trudniejsze. Ptactwo stało się ostrożniejsze i ostrym wzrokiem wyszukiwało nas w zasadzkach pomiędzy trzciniami. Jednakże i wtedy zdobycz była bardzo obfita. Zastrzeliłem kilkanaście kaczek, a między nimi bardzo rzadki okaz południowo-chińskiej, spotykanej też i w Japonii, kaczki-mandarynki, z wystającymi nad skrzydłami dwoma białymi jak żagle, szerokimi piórkami. Podobno kaczka ta wije sobie gniazdo nie w trawie, lecz na drzewach. W jaki sposób zabłąkała się aż tu, tak daleko na północy? Była to z pewnością cała tragedia. Odlączywszy się od swego stada, przyłączyła się do północnych towarzyszek i z nimi razem przyleciała na Hankę, gdzie dosięgnął ją strzał myśliwego. Zabiłem trzy czerwone kazurki (*Casaea rutila*), które w Mongolii nazywają „ptakami-lamami” z powodu czerwonego opierzenia, przypominającego kolorem płaszcze lamów-kapłanów.

Gdy słońce weszło na dobre, ptactwo zaczęło omijać nasze zasadzki. I wówczas podziwiałem ostrość wzroku, spostrzegawczość i ostrożność ptaków, które z wielkiej odległości umiały zawsze dostrzec niebezpieczeństwo: albo wzbijały się one na niedosiężną dla strzału wysokość, albo, zmieniając kierunek lotu, pozostawały poza strzałem.

Musieliśmy zaprzestać polowania i zebraliśmy się przy ognisku, gdzie już oczekiwali na nas gorąca herbata i upieczone na rożnie kaczki i gęsi, co bardzo umiejętnie i szybko czynił nasz usłużny kozak.

ROZDZIAŁ XVII. NA TRZĘSAWISKU

Po rannym śniadaniu moi towarzysze znowu się pokładli spać, ja zaś, zabrawszy psa, zanurzyłem się w morze sitowia i szerniałej zeszłorocznej trawy. Co chwila wrywały się bekasy i kuliki. Lecz nie strzelałem do nich, gdyż w nabojach miałem gruby śrut, a zresztą już wiedziałem, że muszę oszczędzać swe zapasy myśliwskie. Na bekasy polowałem kil-

kakrotnie w innym miejscu, a mianowicie na błotach pod samym Charbinem, tam gdzie obecnie wznoszą się gmachy warsztatów kolejowych. Trzeba nadmienić, że mandżurski i ussuryjski bekas należy do tak zwanej daurskiej odmiany tego rodzaju kulików (*Gollinago*); jest on większy od swego krewniaka europejskiego i lot ma od niego różny: robi w powietrzu zygzak krótszy i mniej zawiły.

Z trudnością przedzierałem się przez gęste zarośla suchych trzcin, wśród których leżało jeszcze dużo śniegu. Od razu pojąłem, że pod względem łupu nie będę miał bardzo dobrego polowania, gdyż trawa i trzciny z głośnym trzaskiem łamały się pod mną i płoszyły zwierzynek, lecz szedłem, gdyż chciałem trochę zbadać tę błotnistą kotlinę, o której z takim zapalem pisali podróżnicy: Przewalski, Busse i Maak, a zarazem obserwować życie ptaków wodnych na zupełnej swobodzie, co tak namiętnie lubiłem od lat dzieciennych. Matka bowiem moja, kiedy byłem zupełnie małym chłopcem, na przechadzkach w lesie lub w polu przyzwyczała mnie do tego i rozbudziła we mnie gorącą, wprost żywiołową miłość do natury, szczególnie nietkniętej ręką człowieka i nieupiększonej przez niego, na przykład... kominem fabrycznym.

Ta miłość moja do natury dziewiczej, do życia zwierząt i ptaków, prawdopodobnie jest powodem mej namiętności myśliwskiej, ponieważ budzi się we mnie w takich chwilach pierwotny człowiek-myśliwy, walczący swym sprytem, celnością oka i siłą o pokarm, o byt. Pamiętam doskonale i matka moja o tym mi opowiadała, że nigdy nie rzucałem kamieniami w psy lub koty, nie robiłem krzywdy kurom, kaczkom domowym, gołębiom i wróblom, lecz gdy po raz pierwszy zobaczyłem zająca, goniłem go co tchu i rzucałem kamieniami, chcąc go ugodzić. Miałem zaś wtedy pięć lat. Po tym zdarzeniu uprosiłem, by mi kupiono pistolet dziecięcy, strzelający papierowymi pistonami, i wychodziłem sam na polowanie. Doskonale podchodziłem dzikie kaczki i cietrzewie i straszyłem je ze swego pistoletu, mierząc bardzo starannie. Dziwiłem się tylko, że nigdy nic nie zabiłem. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że dla upolowania zwierzyny nie wystarcza narobić hałasu z pistoletu.

Pamiętam też jeden objaw swojej miłości do natury dzikiej i dziewiczej. Będąc już studentem uniwersytetu, brałem udział w wycieczce na Kaukaz. Ktoś z ludzi miejscowych wskazał mi górę, na szczycie której podobno nikt nie był. To mnie zainteresowało, i postanowiłem dotrzeć do wierzchołka tej góry, gdzie noga ludzka jeszcze nie postawiła. Przez cały dzień wspinałem się, kalecząc sobie ręce i nogi, aż dotarłem nareszcie do szczytu.

Byłem szczęśliwy i dumny, że jestem tam pierwszy może od czasu, gdy owa góra powstała na powierzchni ziemi, i że tylko orły były moimi współzawodnikami. Góry, lasy, rzeki, morze i miasta były tam, na dole, a ja — tu wysoko, pod obłokami.

Oglądałem się radośnie i nagle drgnąłem. Na ciemno-szarej skale przeczytałem napis, uczyniony kredą: „Tu był clown A. Durow”⁶⁹. Pod skalą leżały pudełka od sardynek, szczątki butelki i połamane pudełko od zapalek.

Poczułem obrazę, zniewagę i zapłakałem.

Ten właśnie żywiołowy pociąg do natury, który pomógł mi przebyć w tak ciężkich warunkach w 1920–21 roku Azję Centralną, gdym walczył o byt w samotności, ukrywając się pod korzeniami drzewa w tajdze jenijskiej, gdym w bagnach Urianchaju walczył z bolszewikami, przechodził o głodzie i chłodzie Tannu-Olu i Gobi, ten pociąg pognął mnie na trzęsawiska Hanki.

Zaczajony na brzegu małego jeziora, spędziłem długie chwile, przytulając do siebie psa, aby nie spłoszył stadka kaczek, które opadły na wodę. Śledziłem ich ruchy żywe, gdy się goniły, dawały nurka, łapiąc ryby, biły się o zdobycz, pływały, przelatowały z miejsca na miejsce, przeraźliwie, jak gdyby wymyślając, krzyczały pokrzywdzone i, filuternie przechylając na bok główki, przyglądały się krążącym pod obłokami dużym czarnym orłom o białych ogonach.

W innym miejscu widziałem stado żurawi, które urządziły sobie „dancing”. Kilka żurawi utworzyło koło, a wewnątrz koła jeden z nich, wyrzucając w zabawny sposób nogami, kiwając w różne strony głową i wymachując skrzydłami, tańczył, od czasu do czasu wydając dźwięki muzyczne, co prawda dość chryple i skrzypiące, lecz mimo to miłe

Polowanie

Taniec

⁶⁹Durow — Znany w Rosji clown cyrkowy. [przypis autorski]

dla towarzyszków, którzy zaczęli trzepotać skrzydłami i niecierpliwie przebierać nogami. Gdy tancerz zakończył swój fox-trot, na jego miejsce wyszedł inny i wykonał coś w rodzaju one-stepa, ku wielkiej uciesze całego żurawiego zgromadzenia, oraz mego psa, który zaczął głośno się śmiać, czyli szczekać, czym spłoszył tancerzy.

Przechodząc od jeziora do jeziora, zastrzeliłem kilka kaczek, które, nie zauważywszy mnie za trzcinami, nieostrożnie wylatywały wprost na mnie. Wreszcie zabrnąłem w takie zarośla wikliny i trzcin, że z trudnością posuwałem się naprzód, tym bardziej, że śnieg tam już zupełnie stopniał i nogi grzęzły prawie do kolan w rozmięklej ziemi, pachnącej gnijącymi roślinami.

Szedłem ostrożnie, uważnie rozsuwając przed sobą badyle i gałęzie, gdyż wiedziałem, że powinno tu gdzieś być ukryte jezioro, spostrzegłem bowiem kilka stad kaczek, które opadły w te zarośla, a o paręset kroków przede mną z przeraźliwymi krzykami unosiły się małe mewy rzeczne.

Pies szedł za mną, depcząc mi po piętach, gdyż nie chciał kaleczyć sobie nosa o ostre badyle i trawy.

Wtem zarośla nagie się urwały, i zobaczyłem przed sobą dość szeroki brzeg, a dalej duże jezioro. Nie mogłem oczu oderwać od tego obrazu! Brzeg był usiany ptactwem, a powierzchnia wody czarna od stad gęsi i kaczek.

Na brzegu, o jakieś sześćdziesiąt kroków ode mnie, przechadzało się stadko żurawi chińskich (*Grus montignesia*), wśród których wyróżniały się dwa żurawie japońskie (*Grus leucochen*). To egzotyczne towarzystwo żyło w najlepszej zgodzie z pospolitymi żurawiami europejskimi, może z tymi samymi, których mój pies spłoszył z dancingu.

Szare czaple stały trochę dalej, po kolana w wodzie i, nastroszone, opuściły głowy, przyglądając się wodzie, czy może swym moknącym nogom. Ogromnie w tej chwili przypominały stare kobiety w kąpieli morskiej.

Gwar, krzyki, plusk, świst napelniały powietrze. Gały ten ptasi tłum hałasował, jak mógł i jak umiał. Widocznie coś tu sobie wzajemnie opowiadano, kłócono się, prowadzono spory polityczne, wymyślano, plotkowano, mruczano pod nosem docinki, dowiecipkowano, rubasnie się śmiano.

Szczególnie moknące w wodzie czaple, niechętnie przypatrując się publiczności, czyniły jakieś bardzo zjadliwe uwagi pod czymś adresem, gdyż cała rzesza potem zaczynała na różne tony straszliwie hałasować.

Byłem pewny, że czaple krytykowały kokieterię srebrzystych łabędzi, które się na środku jeziora kąpały, fryzowały czarnymi dziobami śnieżyste pióra i robiły sobie „manicure”.

Dumne ptaki trzymały się z dala od innych i z pogardą przyglądały się tłumowi, co wzbudzało widocznie jego zazdrość i nienawiść; czaple zaś, korzystając z ogólnego wzburzenia i niechęci, agitowały przeciw pięknym ptakom w sposób nieznaczny a skuteczny.

Lecz nagle wszystko umilkło na chwilę, a później z przeraźliwymi krzykami zaczęło się zrywać i lecieć w różne strony w szalonym popłochu.

Wtedy zobaczyłem chyżego sokoła-sapsana, który wysunął się niepostrzeżenie zza krzaków, w mgnieniu oka wbił się wysoko nad jeziorem i, jak kamień, spadł na stado kaczek, spokojnie żerujących przy kępie trzcin. Błyskawicznie porwał jedną z nich i uniósł nad wodę, lecąc w stronę pagórków, ciągnących się ku północy.

Napad drapieżnika pobudził me instynkty krwiożercze. Dałem z Winchestera trzy strzały, jeden po drugim, mierząc do żurawi. Dwa padły, ciężko uderzając piersiami o piasek nadbrzeżny. Zdobyłem obydwa okazy egzotyczne: chińskiego i japońskiego żurawia.

Po chwili na brzegu i na powierzchni jeziora nie było żadnych śladów życia, tylko mój czarny wyżeł biegał, jak szalony, węsząc miejsca, które ptaki opuściły; to znowu, przystając, ze zdziwieniem się oglądał, jakby pytał, dlaczego tak długo namyślałem się ze strzelaniem.

Nie chciałem mu tego tłumaczyć, gdyż nie zrozumiałby z pewnością moich dowodzeń, śpieszyłem się więc ze zdjęciem skórek z upolowanych żurawi.

Gdy, opuściwszy wraz z mym czworonożnym pomocnikiem brzegi jeziora, znowu przedzieraliśmy się przez gąszcz, byłem świadkiem nadzwyczajnej sceny, pełnej dzikiego uroku.

Szybko sunąc na dół, z widocznym zamiarem ukrycia się w trzcinach, leciał jakiś duży ptak, którego wziąłem za czaplę. Za nim pędził orzeł, szeroko rozpostarłszy skrzydła i zniżając lot coraz bardziej, aż wreszcie gwałtownym rzutem spuścił się prawie do ziemi; wtedy, mknąc szybko, jął doganiać swą ofiarę, przez co zmusił ją znowu do wzbicia się wysoko w powietrze. Wówczas dwoma potężnymi rzutami spiralnymi orzeł wznosił się nad ptakiem z błyskawiczną szybkością i zawisł nad nim. Trwało to kilka sekund, potem orzeł raptownie zwinął skrzydła, zamieniając się w mały czarny kłębek, który, jak kamień, zaczął spadać na ukośnie lecącą czaplę. Spozrzęła ona ten manewr i od razu przygotowała się do obrony. Zarzuciwszy głowę na grzbiet, nastawiła na napastnika ostry dziób, zamierzając przesyć mu piersi, gdy wpadnie na nią z całym rozpędem.

Lecz orzeł dostrzegł to i zrozumiał plan czapli.

Z całym rozmachem uderzył ją w tylną część ciała, aż wywinęła koziołka w powietrzu, piersią do góry, orzeł zaś, który oczekiwał tej chwili, napadł znowu i wymierzył cios śmiertelny. Czapla zaczęła spadać na dół, słabo posługując się skrzydłami i ukośnie zniżając się do ziemi. Orzeł podążył za nią, aby ją dobić, gdy spadnie. Czapla zdołała jeszcze trochę opanować swój lot i upadła w sitowia, o jakie trzysta kroków ode mnie. Rzuciłem się wtedy ku niej przez gąszcz, robiąc straszliwy hałas. Spłoszony orzeł wzbil się wysoko i krążył nade mną. Lecz mój pies odnalazł ptaka. Nie była to czapla, lecz nader rzadko zalatujący tu ibis japoński.

Był to przepiękny okaz, większy od dużej czapli. Miał grzbiet i czub na głowie barwy niebieskiej, blade-różową pierś i szkarłatne skrzydła. Już nie oddychał, gdyż orzeł rozdarł mu gardło tam, gdzie się szyja łączyła z piersią. Dzięki orłowi zdobyłem dla muzeum wspaniały okaz ptaka rzadkiego gatunku.

Przeszedłszy parę kilometrów i upolowawszy kilka kaczek, postanowiłem już więcej nie strzelać, gdyż worek mój stał się zbyt ciężki, a miałem przed sobą spory szmat ciężkiej drogi do obozowiska. Idąc trzcinami, trafiłem na obszerną polanę, wypaloną przez pożar stepowy, który wzniesają chłopi okoliczni dla usuwania szkodliwych roślin i dla użyzniania gleby: po spalonych roślinach pozostaje popiół, obfitujący w potas. Na ziemi, czarnej od węgla, sterczały opalone kępy, a pomiędzy nimi leżały połyskujące na słońcu duże kawałki papieru. Wypadło mi przejść przez to miejsce wypalone, ale jakież było me zdziwienie i rozpacz mego wyżła, gdy papier, leżący pomiędzy kępami, zerwał się z hałasem, zamienił w bażanty i odleciał. Myśliwi opowiadali mi później, że bażanty często przylatują na spalone torfowiska, na których całymi godzinami leżą, rozłożywszy skrzydła jak najszerzej. Widocznie lecą się z jakiejś choroby, może od pasożytów, bardzo trapiących dzikie ptactwo.

To miejsce na trzęsawisku zgotowało mi jeszcze jedną niespodziankę, której długo nie mogłem odżałować. Przeszedłszy spalone torfowisko, zacząłem wchodzić na niewysokie wzgórze, pokryte kępami. Ziemia tam była zupełnie miękka, więc ślizgałem się i parę razy nawet upadłem.

Podnosząc się po upadku, nagle spostrzegłem lisa, który stał wśród kęp i bacznie mi się przyglądał. Gdy porwałem za strzelbę, zaczął uciekać, zwinnie lawirując między kępami. Strzeliłem. Wiedziałem, że śrut był zbyt cienki na tak mocnego zwierza, więc natychmiast posłałem mu drugi nabój. Lis upadł i zaczął się wić na miejscu. Wyżeł rzucił się do niego, lecz, dobiegłszy, najspokojniej w świecie pokiwał ogonem i powrócił do mnie. Tresowany dla polowania na ptaki nie rozumiał przyjemności strzelania do zwierząt, a tem bardziej do dalekiego krewniaka psiego!

Lis przestał się kręcić i wić między kępami, leżał nieruchomy z wyciągniętą na ziemi wspaniałą rudą kitą. Uspokojony zacząłem nabijać na nowo strzelbę, lecz wtedy lis skorzystał z chwili, porwał się na równe nogi i, przebiegłszy kilka kroków, skrył się w norze.

Kłąłem, jak umiałem, swego psa. Był zawstydzony, lecz nie mógł zrozumieć, o co mi chodziło.

Tymczasem zmierzch już zapadł. Nie było mowy o tym, abym przed rozpoczęciem polowania zdążył do obozu, postanowiłem tedy zapolować w pojedynkę i wyszukać dla siebie kryjówkę. Zamierzałem, gdy nastąpi noc, iść do obozu, kierując się płomieniem ogniska, które będzie z daleka widzialne, zdobyć zaś pozostawić na miejscu i posłać po nią nazajutrz kozaka.

Przede mną była równina dość duża, zarośnięta niewysoką trawą. Na końcu tej równiny przy ostatnich blaskach zachodzącego słońca połyskiwało jezioro i czerniały jakieś zarośla. Tam właśnie postanowiłem urządzić zasadzkę. Ruszyłem wprost w stronę jeziora, lecz nie uszedłem kilku kroków, gdy ziemia usunęła mi się spod nóg i wpadłem po pas w płynne, czarne, cuchnące błoto. Z trudem wygramoliwszy się na miejsce suchsze, spróbowałem przejść w innym kierunku. Ziemia była tam twardsza i, chociaż ugięła się pod stopami, jednak utrzymywała ciężar człowieka. Ostrożnie stąpając i badając każdą piędź ziemi, dobrnąłem wreszcie do jeziora. Przywiązałem mego „Wiernego” do krzaku, sam zaś ukryłem się w gąszczu tuż nad brzegiem. Przyszedłem na czas, gdyż słońce właśnie zniknęło na widnokręgu, i rozpoczął się przelot ptactwa.

Miliony ptaków wodnych i błotnych leciały w różnych kierunkach nad olbrzymią kotliną Hanki. Strzelałem dopóty, aż pozostał mi tylko jeden nabój. Ten musiałem zachować na wszelki wypadek. Zabrałem więc z pomocą psa swą zdobycz, składającą się przeważnie z gęsi, których klucze raz po raz opadały na jezioro tak blisko mej kryjówki, że jednym wystrzałem zabijałem niemniej niż trzy gęsi. Ułożywszy zabite ptaki w krzakach, przykryłem je zerwaną trawą i zacząłem oglądać miejscowość.

Zmrok zapadł na dobre. Na niebie pęły ciężkie, czarne chmury. Gwiazdy jak gdyby zgasły. Nie mogłem nic rozpoznać. Sądziłem, że wypadnie mi rozłożyć ognisko i zanoć bez herbaty, upiekłszy sobie jakiego ptaka na węglach i przekąsiwszy czekoladą, której tabliczkę miałem w swej torbie, gdy nagle w oddali buchnął duży ogień. Zrozumiałem, że to było nasze obozowisko i że moi towarzysze wrzucali do ognia siano, dając mi sygnały. Wkrótce zaczęły mnie dolatywać salwy. To był także sygnał. Siedząc w zasadzce, wypocząłem, więc, zarzuciwszy strzelbę na ramię, z lekką torbą i z wypróżnionymi pasami ładunkowymi ruszyłem w drogę. Należało przejść równinę z trzęsawiskiem, ukrytym pod trawą. Miejsca, przez które szedłem, nie mogłem odnaleźć i zmuszony byłem iść na przelaj.

Ogarnęło mnie przykre poczucie grożącego niebezpieczeństwa, gdy znowu zaczęła się ugiąć pode mną ziemia. Trwoga rosła. W ciemności nic nie widziałem przed sobą; stąpałem ostrożnie, wymacując stopą ziemię za każdym krokiem. Zdjąłem strzelbę, aby móc oprzeć się na niej w razie zapadnięcia się w trzęsawisko. Posuwałem się bardzo wolno. „Wierny” też najwyraźniej stracił na humorze i szedł obok mnie z podwiniętym ogonem.

Wkrótce ujrzałem przed sobą powierzchnię wody. Ziemia stała się miększa i parę razy zapadały mi w nią nogi do kolan. Zacząłem obchodzić tą kałużę, czy małe jeziorko, ale ziemia nie stawała się twardsza, gdyż nawet pies, jęknąwszy z przerażenia, zapadł się w błoto.

Coraz ostrożniej szedłem naprzód i naraz drgnąłem. Jakieś czarne, bezkształtne widma majaczyły na prawo ode mnie i poruszały się w różne strony. Wkrótce zorientowałem się, że są to rosnące na błocie krzaki, które poruszają się i kołyszą na uginającej się pode mną ziemi. Pod tą ziemią czaiła się otchłań, napelniona cuchnącą wodą i lepkiem błotem, z resztkami gnijących roślin, tworzących torfowisko.

Zdawałem sobie sprawy, że tylko traf szczęśliwy wyratuje mnie od niebezpiecznego wypadku, w razie gdyby cienka warstwa darniny, pokrywającej otchłań, nagle się przerwała pod moimi stopami. Co będę robił wtedy w tej ciemności? na kogo wołał? skąd spodziewał się pomocy?

Lecz wkrótce przypomniałem sobie zdanie jednego ze swych znajomych: „Po co przed śmiercią zamawiać nabożeństwo żałobne?” — podwoiłem więc tylko ostrożność, starałem się stąpać jak najlżej, nie wykonywać niepotrzebnych ruchów i dotrzeć jak najkrótszą drogą do skraju trzęsawiska, które było otoczone krzakami wikliny. Po pewnym czasie zauważyłem ciemną ścianę zarośli i, zapadłszy się jeszcze raz dość głęboko w błoto, wyszedłem wreszcie na twardy grunt.

Trochę wypocząwszy, potem długo jeszcze brnąłem do obozu, omijając jeziora, przechodząc przez strumyki, płacząc się pośród kęp, ukrytych w wysokiej trawie, i przedzierając się przez trzciny. Wreszcie znalazłem się wśród myśliwych, mocno zaniepokojonych moją nieobecnością.

Przebrałem się przy ognisku, wysuszyłem i, jedząc wyborną zupę, słuchałem nieskończonych opowiadań o różnych przygodach.

Niebawem zauważyłem, że jednego z myśliwych nie ma pośród nas. Był to Niemiec, buchalter kolei ussuryjskiej, niejaki Marcin Luter.

Okazało się, że poszedł na moje spotkanie, obawiając się, że, nie znając miejscowości, zbłądzi lub utone. Chociaż Luter nie powracał, nikt się o niego nie trwożył.

— Luter zna tu każdą kępę, każdą kałużę, ten nie zbłądzi! — mówili myśliwi.

Jak gdyby w odpowiedzi na te słowa, kędyś daleko buchnął do góry czerwony język płomienny i nagle, przypadłszy do ziemi, rozlał się w wąską strugę złocistą, która rozszerzała się coraz dalej. Od czasu do czasu z tej ruchomej, szybko posuwającej się strugi, wzbijały się wysoko fale ogniste, rzucając pod obłoki snopy czerwonych i złocistych iskier. Ogień posuwał się szybko, ogarniając coraz to większe obszary kotliny, pokrytej suchą trawą.

— To *pał*, pożar stepowy! — zawołał jeden z myśliwych. — Żeby tylko do nas nie dobiegł, bo musielibyśmy przenosić zawczasu obóz, a tu miejsce dla przelotu wyborne!

Za pół godziny pożar zaczął słabnąć, chociaż jeszcze dość długo w mroku świeciła się wążutka wstążka ognia. Lecz i ta wkrótce rozerwała się na drobne kawałki, po których pozostały punkciki świetlne, gasnące jeden po drugim bez śladu.

Jednocześnie usłyszeliśmy szelest trzciny i ciężkie stąpanie. Po chwili z ciemności wynurzyła się sucha, wysoka postać Lutra i jego starego, nadzwyczaj grubego psa, Osmana.

— Widzieliście pożar? — spytał go któryś z myśliwych. — Kto to puścił ogień?

— To ja! Suszyłem ogon memu Osmanowi, bo zziął straszliwie! — odparł spokojnie Luter, zapalając fajkę i siadając przy ognisku.

Wszyscy się długo dziwili dobrodusznemu Niemcowi, że wołał spalić całą Hankę i nas z nią razem, aby tylko Osman miał suchy ogon.

ROZDZIAŁ XVII. W OBLICZU ŚMIERCI

— Wiecie panowie! — zawołał o świcie Luter, gdyśmy już byli gotowi iść do naszych zasadzek. — Dość tego polowania! Nudne to, bo to tylko kaczki i gęsi, gęsi i kaczki! Wczoraj, gdy laziłem po błocie, szukając p. Ossendowskiego, zrobiłem ważne odkrycie. Rozpoczęła się emigracja sarn!

— Czyżby istotnie? — spytał stary inżynier, doświadczony myśliwy. — Zdawałoby się, że na to za wcześnie?

— Na własne oczy widziałem stado, które zanocowało w krzakach na zachodnim brzegu Starego Jeziora! — zapewnił Niemiec.

Naradziwszy się, ruszyliśmy w stronę jeziora.

Znowu zaczęliśmy się w zasadzkach i czekaliśmy.

Przed nami było morze szuwarów i wikliny.

Siedziałem przeszło godzinę, w ciągu której słyszałem tylko jeden strzał.

Wreszcie przyszła kolej i na mnie. Poruszyły się z wolna zarośla i para sarn spokojnie, nic nie podejrzewając, sunęła gąszczem, od niechcenia skubiąc świeże źdźbła i młode gałązki. Jedna z nich padła po dwóch moich strzałach.

Wkrótce kilka saren przeszło z lewej strony ode mnie, i te również pozostawiły ofiarę wśród trzciny.

W kotlinie Hanki, w tym morzu trawy i krzaków, spędzają zimę stada sarn, które schodzą ze stoków Sichota-Alina i z doliny rzeki Ussuri i żerują na zamarzniętych trzęsawiskach, gdzie łatwiej o pokarm. Na wiosnę, gdy błota stają się grząskie, sarny wracają do leśnych miejscowości⁷⁰ górskich, gdzie spędzają całe lato i jesień.

Właśnie na ten szlak koczujących sarn zaprowadził nas Marcin Luter i tu szerzyliśmy zniszczenie przez cały dzień. Widziałem w gąszczu przekradające się śladem sarn dziki, lecz nie strzelaliśmy do nich, gdyż mieliśmy ze sobą wyłącznie śrut.

W południe przerwaliśmy polowanie aż do zachodu słońca, gdyż sarny w dzień tkwią w niedostępnych zaroślach.

Po obiedzie, jak zwykle, bląkałem się po trzęsawisku, trzymając się z dala od kierunku, którym dążyły sarny, aby ich nie płoszyć wystrzałami.

Na jeziorze, spotkałem po drodze, ujrzałem duże stado gęsi, wśród których pływało kilka bładoróżowych pelikanów. Postanowiłem zabić chociażby jednego, aby dopełnić

⁷⁰miejscowość — tu: miejsce. [przypis edytorski]

bardzo różnorodną kolekcję wodnego ptactwa Hanki. Zacząłem przeto skradać się do stada, lecz stare gęsi mnie spostrzegły: stado zerwało się i odleciało na sąsiednie jezioro. Poszedłem w tamtą stronę, lecz wkrótce zagroziła mi drogę nieduża rzeczka, wartko płynąca do Hanki. Była jeszcze pokryta lodem, tylko pośrodku wyłobionym przez szybki prąd. Wszedłem na lód. Trzymał się doskonale. Lecz przeskoczyć otwartego prądu rzeczki nie mogłem, gdyż wyrwa była zbyt szeroka. Ujrawszy stojący opodal stóg siana, postanowiłem zużytkować go dla przeprawy. Przyniosłem olbrzymią wiązkę siana, gdy nagle spłoszone poprzednio przeze mnie stado znów się zerwało z głuchymi krzykami i leciało wprost na mnie.

Zaczaiłem się za sianem i kilka razy strzeliłem, mierząc w różowe ciała pelikanów. Jeden z ptaków, ugodzony w skrzydło, wpadł w trzciny, rosnące po drugiej stronie rzeczki. Byłem więc zmuszony przejść na przeciwległy brzeg. Zebrawszy swoje siano, rzuciłem je na wodę grubą warstwą i natychmiast, ledwie dotykając go nogami, dla których dość było najbliższego oparcia, przebiegłem na drugą stronę, Podniosłem pelikana i, dobiwszy go, powracałem ze swym łupem.

Zatrzymawszy się około „mostu” z siana, przerzuciłem na lód swą zdobycz w stronę pozostawionej na brzegu strzelby, sam zaś, rozpędziwszy się, spróbowałem poprzedniego sposobu przeprawy. Lecz siano, które zdążyło już namoknąć, natychmiast zatoneło.

Runąłem w wodę, pograżając się w niej z głową. Gdy, poruszając nogami i rękami, starałem się wypłynąć na powierzchnię, głowa moja uderzyła o lód, który mnie nie puszczał. Błysnęła mi ostra myśl, że jestem pod lodem i że nie mogę tracić ani chwili. I nagle przypomniałem sobie zupełnie wyraźnie, że wpadłem pod lód twarzą naprzód, a więc przestrzeń wolna od lodu jest poza mną. Odrzucając się od lodu rękami i walcząc z prądem, posuwałem się plecami naprzód, i po paru sekundach woda wyrzuciła mnie. Głowa moja była już na powietrzu. Obejrzałem się. „Wierny” stał na lodzie i, przechyliwszy łeb na bok, ze zdziwieniem mi się przyglądał. Z trudnością wydostałem się z głębokiej i wartkiej rzeczki na jej stromy, błotnisty brzeg i smutny, mokry i drżący skierowałem się do obozu. Tam przebrałem się i wysuszyłem, towarzysze zaś moi dali mi wódki z pieprzem, co doskonale rozgrzewa. Przed zachodem słońca siedziałem już w zasadzce na sarny w zaroślach przy Starym Jeziorze, przypominając sobie szczególnie niebezpiecznej przygody tego dnia.

Tego wieczora mi się nie powodziło. Widziałem kilka sarn, lecz szły daleko, i strzelanie do nich śrutem było bezcelowe. Gdy siedziałem, wyglądając zdobyczy, przez chwilę mi się zdawało, że wierzchołki trzciny przede mną ledwie dostrzegalnie się poruszyły. Zacząłem uważnie się wpatrywać i znów na krótką chwilę, na jedno mgnienie oka wydało mi się, że dwoje ognistych źrenic przenikliwie zatopiło się w moich oczach. Było to spojrzenie ciężkie, pełne ostrej nienawiści. Jakiś przykry chłód zakradł mi się do serca. Zacząłem znów szukać tych oczu, ale — na próżno.

— Przywidziało mi się! — pomyślałem, lecz w tej chwili Luter, stojący na prawo ode mnie, na cały głos wrzasnął:

— Tygrys! tygrys!...

Wyskoczyłem z kryjówki i zdołałem jeszcze zobaczyć długie, pręgowane ciało tygrysa, który olbrzymimi susami sadił zboczem pagórka, za którym rozpoczynało się trzęsawisko.

Wtedy zdałem sobie sprawę, że przed kilku minutami oczy moje spotkały się z jarzącymi oczami straszliwego drapieżnika. Widocznie namyślał się, czy napaść na mnie, czy też prześlizgnąć się niepostrzeżenie.

Wybrał na moje szczęście ostatnie, inaczej zginąłbym z pewnością.

Gdyśmy obejrzeliby miejsce, gdzie widziałem oczy tygrysa, doświadczony myśliwy, inżynier Gołwin, rzekł, pokazując wyciśnięte na błocie ślady łap drapieżnika, podobne do głębokiego talerza.

— Tygrys tu się przyczaił i przysiadł na wszystkich łapach, przycisnąwszy się do ziemi całym ciałem, bo był gotów do skoku... No no... uszedł pan niechybnej śmierci!

Mówiąc to, zdjął czapkę i pobożnie się przeżegnał.

A więc w ciągu dwudziestu czterech godzin byłem trzy razy w obliczu śmierci, która groziła mi najprzód utonięciem w trzęsawisku i pod lodem głębokiej i bystrej rzeczki, później zaś utonięciem — w żołądku tygrysa.

Los zbyt się starał tego dnia o dostarczenie mi silnych wrażeń na błotach jeziora Hanki.

ROZDZIAŁ XVIII. MĘKA JEST NIEODSTĘPNYM CIENIEM CZŁOWIEKA...

Gdy powróciliśmy z tej wyprawy myśliwskiej do Władywostoku, wygłosiłem w Towarzystwie Geograficznym szczegółowy referat o wszystkim, co widziałem na Hance i proponowałem, że po paru tygodniach, gdy już lato nastąpi, odbędę wraz z konserwatorem Muzeum, młodym entomologiem, nową podróż nad jezioro dla uzupełnienia zbiorów zoologicznych.

Z propozycją moją zgodzono się całkowicie, i w maju już byliśmy gotowi do podróży.

Nadeszły dni pogodne, gorące, pełne blasku słonecznego. Wszystkie drzewa i krzaki już się rozwinęły i kwitły. Na polanach leśnych wybijały lilie, peonie i dioskoreje (*dioscorea*). Szmaragdowe młode liście pokrywały jesiony, lipy, dąb korkowy, orzech grecki i graby. Kwitły jabłonie i czeremchy. Nocami w gąszczu leśnym migotały ogniki latające. Były to świecące owady, których część pełzała w gęstej, soczystej trawie, świecąc sobie, niby latarkami, w poszukiwaniu pożywienia. Śpiewały rozmarzone słowiki. Nad zalanymi słońcem kwiatami unosiły się olbrzymie, jak jaskółki, ciemno-granatowe „motyle Maska” (*Papilio Maackii*) i żółte, cętkowane „Apollo”... Wszędzie wrzało i kotłowało się od istot żyjących, cieszących się z lata, ze słońca, z gorących dni i ciepłych, pełnych tajemnicy nocy.

Na Hance wszystko się zmieniło. Zielone morze trzcin i krzaków zlewało się na widnokręgu z połyskującym zwierciadłem jeziora. Było ono podobne do wielkiego diamentu, oprawnego w zieloną emalię, upiększoną diamentami drobniejszych jezior. Na północy, wijąc się jak cienki wąż pośród porośniętych lasami brzegów, płynęła z Hanki rzeka Sungacza; tą rzeką brnęli w jesieni do ojczyzny Koreańczycy ze swymi skarbami, wydartymi kniei, a za nimi dążyli koczacy i wieśniacy rosyjscy w celu mordy i rabunku.

Nad zielonym morzem trzcin, sitowia i krzaków nie unosiły się już, jak wczesną wiosną, niezliczone stada gęsi, kaczek i łabędzi; nie miotały się w powietrzu zwinne bekasy, nie krzyczały przeciągle i cienko ptaki drapieżne, wyglądające zdobyczy.

Wszystko, co było tu przelotem, już odleciało na północ, a co miało pozostać na całe lato i jesień, pozostało i ukryło się w gąszczu zarośli i w labiryncie potoków, rzeczek i małych jezior.

O polowaniu nie mogło być mowy, gdyż ptactwo było już zajęte swymi gniazdami i oczekiwało przyszłego potomstwa.

Uprawialiśmy tedy z moim towarzyszem inny sport.

On błędził po zaroślach, łapiąc motyle, żuki i inne owady, ja zaś, uzbrojony w dobrą wędkę angielską i w niedużą sieć, dokonywałem napaści na wodnych mieszkańców jezior i rzeczek kotliny Hanki. Zdobycz moją stanowiły szczupaki, karpie, karasie, liny oraz szczególnie gatunek ryb, tzw. *kasatka*. Jest to nieduża, żółto-szara ryba, długości około 30 cm, z kształtu przypominająca rekina; posiada ona na grzbiecie i na dolnych płetwach ostre kolce. Te *kasatki* popsuly mi dużo krwi, gdyż, pływając stadami, rzucały się na moją przynętę, odstraszały inne ryby i wywoływały przez to me przekleństwa, gdyż do jedzenia i do zbiorów, jako bardzo pospolite w tym kraju, nie były zdatne.

Koczowałem dość długo w okolicach Starego Jeziora, o którym już wspominałem w poprzednim rozdziale. Zauważywszy wielką ilość ryb, pluskających się po zachodzie słońca, postanowiłem urządzić tam większy połów. Spuściłem w jezioro specjalną sieć, tak zwaną z tatarską na Syberii *morda*. Jest to worek z sieci, rozpięty na drewnianych obręczach z wąskim otworem do wnętrza. Nawet duża ryba przez ten otwór potrafi się wcisnąć do *mordy*, lecz wyjść nie może, ponieważ to wejście przedstawia okrągły i wąski koniec sieci, wsunięty jak lejek do wnętrza. Do sieci kładzie się kawał mięsa lub chleba, po czym sieć spuszcza się na dno, za pomocą uwiązanych kamieni i przymocowuje sznurami do wbitych w dno palów lub do drzew nadbrzeżnych.

Po wrzuceniu swej sieci do Starego Jeziora powróciłem do obozu, ale za godzinę postanowiłem sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Zacząłem wyciągać *mordę* i uczu-

łem, że szła bardzo ciężko. Z trudnością wywlokłem ją na brzeg i ujrzałem kilkadziesiąt ryb, które zdążyły już wcisnąć się do mojej sieci.

Były to dość duże łososie z gatunku *Keta*, karpie i, naturalnie, obrzydłe, natrętne *kasatki*.

Wrzuciwszy sieć z powrotem, zaniosłem do obozu obfitą zdobycz. Wieczorem, siedząc przy ognisku z entomologiem i walcząc zawzięcie z komarami, po herbacie zaproponowałem mu, abyśmy poszli obejrzeć sieć, w której niezawodnie musiała być nowa porcja ryb. Roznieciliśmy więc niewielkie ognisko, aby nam przyświecało z brzegu, a później podeszliśmy do sznura, do którego była uwiązana *morda*.

Jakież było me zdziwienie, gdy przy pału sznura nie znalazłem!

Hakiem uwiązanym do długiego drąga na próżno wymacywałem sieć. Nie wiedziałem, co mam myśleć i robić... Staliśmy, patrząc na siebie ze zdumieniem.

— Uważaj pan! — rzekł mój towarzysz. — Czy to nie jakiś zapomniany ichtiosaurus zaplątał się w pańskie sieci i porwał je z sobą?

— Chyba, że tak! — zgodziłem się.

Chodziliśmy brzegiem, szukając śladów sieci. Rozeszliśmy się wreszcie w różne strony, i wkrótce mój towarzysz zaczął na mnie wołać. Przybiegłem, on zaś wskazał mi w milczeniu kilka kęp, wystających z jeziora. Przy kępach woda się kotłowała, gdyż coś bardzo dużego się w niej miotало. Przy blasku księżyca na jedną chwilę wynurzyły się z wody obręcze sieci, lecz wnet znów się pograżyły, a woda z nową siłą zakipiała dokoła.

— Fakt, że to ichtiosaurus! — zaśmiał się mój towarzysz.

Ale ja już byłem wściekły i szybko zrzuciłem z siebie ubranie. Wziąwszy z sobą drąg z hakiem, wszedłem do wody. Trafiłem na miejsce niegłębokie i wkrótce byłem już przy kępach. Złapałem ręką za obręcz sieci, ale natychmiast coś z siłą wyszarpnęło mi ją z powrotem.

— Chodź pan tu! — zawołałem do entomologa. — To rzeczywiście ichtiosaurus i, jeżeli pan go złapie, to pozwolę panu wsadzić go na szpilkę i umieścić pod szkłem!

Konserwator nie dał się prosić i wkrótce był już przy mnie. Z trudnością odplątałem sieć, która się zaczepiła za kępy i trzciny i dowiekliśmy ją do brzegu. Tam znowu roznieciliśmy ognisko i wtedy rozpoczęliśmy polowanie. Wkrótce już wiadomo było, z kim mieliśmy do czynienia. Był to olbrzym — szczupak, długi prawie na dwa metry. Wpakował łeb do sieci, ale wyciągnąć go nie mógł, więc szamocąc się, zerwał *mordę* i aż tu ją zawłókł.

Entomolog z bardzo dużą wprawą rozpruł szczupakowi brzuch i pomógł mi wyciągnąć go na brzeg. Ważył nie mniej niż 120 funtów! W sieci znaleźliśmy kilka karpia i linów, i na tę właśnie żywą przynętę złapał się nieszczęśliwy szczupak, który pewno od dawna był postrachem i klęską dla mieszkańców Starego Jeziora.

Powróciliśmy do naszego obozowiska, obładowani zdobyczą, i zaczęliśmy przyrządzać sobie wieczerzę.

Po smacznej zupie z linów siedzieliśmy przy ognisku, dzieląc się wrażeniami ubiegłego dnia. Patrzyłem na kotlinę Hanki, doskonale widzialną z nieco wzniesionego miejsca, na którym rozbiliśmy swój obóz. Widziałem przed sobą ciemne morze trawy, trzciny i krzaków, a wśród nich, jak wielkie odłamki zwierciadła, duże i małe jeziora i wijące się wstęgi rzeczek i potoków, lśniących srebrem przy bladym świetle księżyca. Nagle w jednym miejscu, wśród zarośli, daleko od nas spostrzegłem mały ognik. Było rzeczą jasną, że nie jesteśmy samotni na trzęsawisku. Jacyś ludzie palili ognisko, siedząc przy nim, jak my przy swoim, gwarzyli, myśleli, cieszyli się lub tęsknili. Czasami można było zauważyć, że jakaś czarna sylwetka przesuwiała się na tle płonącego ogniska lub nawet całkiem je zasłaniała.

Jacyś ludzie czaili się w tych moczarach. Co tam robili? Nie byli to ani myśliwi, ani też rybacy, gdyż nie była to pora właściwa dla tego rodzaju zajęć. Zaciekawiał mnie dlaczego ten ogień tajemniczo i dyskretnie połyskujący w zaroślach.

Nazajutrz od rana, zapamiętawszy kierunek, ruszyłem na poszukiwania naszych sąsiadów, którzy przybyli tu pewno nie po to, aby wsadzać ryby do formaliny, lub wbijać motyle i żuki na szpilki.

Posuwałem się brzegiem niewielkiej lecz głębokiej rzeczulki, która, szumiąc i pluskając na zakrętach, biegła do Hanki.

Czasami samotny kaczor wypłynął z trzcin, lecz, zauważywszy mnie, w popłochu rzucał się z powrotem w gąszcz, gdzie jego małżonka siedziała z pewnością w gnieździe na jajach. Czarne kuliki o białych piersiach i ogonach, pogwizdując przeciągle, leciały przede mną wzdłuż brzegu, co chwila siadając na żwirze poto tylko, aby się natychmiast zerwać i odlecieć nieco dalej. Ryby pluskały w zacisznych zatokach i na mieliznach. Kwilił sęp, zawieszony pod srebrzystym, jak łabędź, obłokiem, wypatrując łupu w postaci żaby lub wyrzuconej na brzeg martwej ryby.

Nagle usłyszałem miarowy plusk wody i cichą pieśń rosyjską:

„Sam na świecie samotny,
I tylko niebo nade mną...”

Zatrzymałem się w trzcinach i czekałem.

Zza krętej pętli, utworzonej przez rzekę, dość szybko płynęła z wartkim prądem ma-lutka tratwa, sklecona z czterech belek, związanych przy końcach giętkimi prętami. Na przodzie leżał worek, widocznie z żywnością, dwie wędkę i kociołek. Pośrodku stał człowiek rosły, w ubraniu podartym, bez czapki i bez obuwia. Miał twarz opaloną na czarno przez słońce, bujną czuprynę i gęstą, czarną brodę. Długim drągiem, miarowo wyciągając go z grząskiego błota, odpychał się od dna i płynął, mrużąc smętną piosenkę. Zauważyłem, że miał siekiere, zatkniętą za zwykły sznur, który mu zastępował pas.

Gdy podpłynął do mojej kryjówki, wyszedłem na brzeg i zawołałem:

— Skąd i dokąd plyniecie?

Na dźwięk mego głosu nieznajomy drgnął i, zanim zdążyłem powtórzyć pytanie, olbrzymim susem skoczył z tratwy na przeciwległy brzeg i ukrył się w zaroślach, Drąg wpadł do wody i płynął tuż przy brzegu. Uchwyciłem go, zahaczyłem nim tratwę i przyciągnęłem ją do brzegu.

Zrozumiałem, że dla tego wędrowca każde spotkanie było przykre albo wprost niebezpieczne. Długo siedziałem przy tratwie i widziałem, jak trzciny poruszają się, wskazując kierunek ucieczki brodatego człowieka. Po pewnym czasie poczułem, że ktoś uważnie i uporczywie mi się przygląda. Wiedziałem, że tak będzie, ale długo nie mogłem znaleźć oczu, które mnie badały. Wreszcie zobaczyłem kudłatą głowę, wysuniętą z nadbrzeżnego sitowia, i twarz wystraszoną, pełną niespokojnego oczekiwania.

Roześmiałem się i rzekłem:

— Nie macie się czego obawiać! Jestem człowiekiem prywatnym i nic mnie nie obchodzi, przyjacielu!

Przyczajony człowiek długo milczał, przyglądając mi się coraz baczniej, wreszcie odezwał się głosem cichym, pełnym wątpliwości:

— Nie oszukacie?

— Skoro mi nie wierzycie — odparłem — rzuć wam drąg; zabierajcie swą tratwę i jazda dalej!

Rzuciłem mu drąg i odszedłem...

Powróciwszy do obozu, opowiedziałem entomologowi o swym spotkaniu z człowiekiem, który woli, aby przy nim nie było nikogo, z wyjątkiem — nieba nad głową, i o niepowodzeniu w nawiązaniu dyplomatycznych z nim stosunków.

— A! — rzekł. — Tu wszędzie po błotach i po lasach ukrywają się całe bandy przeróżnych ludzi, którzy są w bardzo złych stosunkach ze społeczeństwem, z policją i prawem.

Wkrótce towarzysz mój poszedł na swe skromne polowanie na żuki, ja zaś pozostałem w obozie i zacząłem malować akwarelę zdobytego olbrzymiego szczupaka. Kilkakrotnie słyszałem szelest w trzcinach i plusk wody, nawet wyraźnie odróżniłem głośny oddech człowieka. Uśmiechnąłem się, gdyż wiedziałem, co niebawem zajdzie. Człowiek, zapewne od dawna ścigany, długo skradając się, krążył około naszego obozowiska i badał nasze rzeczy, aby z nich wywnioskować, kim jesteśmy.

Lecz po zachodzie słońca wyszedł z gąszczy i stanął przede mną o jakie 50 kroków, zdradzając każdym ruchem gotowość ukrycia się i ucieczki przy pierwszych oznakach niebezpieczeństwa. Stał milczący, po zwierzęcemu bacznie we mnie wpatrzony.

— Dość tego! — powiedziałem. — Łazicie po tych szuwarach przez cały dzień, jeszcze gdzie utoniecie! Siądźcie lepiej i napijcie się herbaty z sucharami!

Wahał się jeszcze przez chwilę, a potem podszedł i usiadł po drugiej stronie ogniska. Prawą rękę trzymał za plecami.

— Nic wam tu nie grozi, przyjacielu! — rzekłem, uśmiechając się — więc zatknijcie siekierę za pas, bo się zmęczycie.

Uczynił to jak na komendę, i po chwili mruknął:

— Zawsze lepiej się przekonać co do sąsiadów...

— Zapewne! — zgodziłem się. — Nalewajcie herbatę i bierzcie cukier i suchary.

— Dziękuję! — rzekł już śmieiej i zaczął pić herbatę, przegryzając ją najmniejszym kawałkiem cukru, jaki znalazł w woreczku.

Nie pytałem go o nic, czekając, aż sam zacznie albo się wyklamywać, albo zwierzać.

Wypiwszy szklankę herbaty, zaczął od pierwszego, mówiąc, że przybył tu dla połowu ryb, które miał zamiar solić i odstawić na sprzedaż do pobliskiej wioski. Widziałem jednak, że na tratwie miał on tylko wędkę, nie było zaś tam wcale ani zapasu soli, ani tem bardziej sieci i naczyń do przechowywania ryb.

Oczywiście — kłamał, więc milczałem. Poskrobał się w głowę, pomyślał i raptem wypalił:

— Z więzienia chabarowskiego uciekłem. Raz złapali, a teraz się udało...

Była to już szczerą prawdą.

— Będziecie tu lato spędzali?

Podniósł na mnie bystre, piwne oczy i mruknął:

— Nie wiem... jak się posiedzi...

Milczałem, aby pytaniami nie budzić w nim nieufności.

— Ja tu niedaleko sobie szałas zbuduję — — oznajmił, a w jego głosie była i prośba i pytanie.

— Dobrze! — odpowiedziałem. — Będziemy sąsiadowali, a możecie nam dopomóc w łapaniu ryb i motyli.

— Dlaczego nie? — odparł żywo. — Karmić będziecie?

— Będziemy.

— No, to już zgoda! A teraz pójdą się urządzić. Dziękuję za poczęstunek!

Wstał i od razu, jak wąż, wślizgnął się do zarośli.

Więcej tego dnia się nie zjawił. Nie chciał być natrętnym, bo to dumne sztuki — ci włóczęgowie syberyjczy! A może oczekiwał rewizyty? Wieczorem, gdy o jakiś kilometr od nas zapłonęło ognisko sąsiada, poszedłem do niego. Podchodząc, widziałem, że, posłyszawszy kroki, szybko się nachylił i wziął do rąk siekierę... na wszelki wypadek.

Powitał mnie bardzo serdecznie, zaprosił do swego ogniska, przy którym gotowała się herbata w czarnym od dymu kociołku.

Z wielkim zaciekawieniem oglądałem obozowisko mego nowego znajomego, gdyż spostrzegłem tam wiele przedmiotów, niezauważonych przeze mnie na tratwie, jak na przykład karabin i żołnierski pas z nabojami.

— Gdzieżeście to ukrywali? — zapytałem, wskazując oczyma na broń.

Uśmiechnął się i odpowiedział:

— Takiej zabawki otwarcie nie można przewieźć! Gdym budował swą tratwę jeszcze w górach w lesie, wyłobiłem jedną belkę i w niej ukryłem strzelbę. Może wypadnie zimę spędzić w lasach; jak wtedy da sobie człowiek radę bez karabinu? Kto go nakarmi i obroni?

Księżyc płynął wysoko po niebie, mały, szybki i tak bardzo jasny, że przesuwające się przed nim obłoki nie mogły przyćmić jego blasku. Błotnista równina była zalana srebrem, i zdawało się, że zamarła w niemym zachwycie. Ukojone spały trzciny i krzaki. Cisza zaległa jeziora i potoki, ryby nie pluskały i żaden dźwięk nie mącił wielkiego milczenia natury. Z głębi duszy powstała niewypowiedziana tęsknota, a wspomnienia cisnęły się do głowy.

Nie wiem dlaczego tu, na trzęsawisku, na bezludziu, wobec tego nieznanego mi włóczęgi, wobec zbiega więziennego poczułem nieprzewartą chęć i potrzebę podzielenia się z nim swą cichą, lecz męczącą tęsknicą.

— Siedzę tu z wami wśród szuwarów — szepnąłem — i nic nie wiem, co się dzieje z kochaną kobietą... Rozumiecie?... Nic nie wiem! Jakże to straszne... bo przecież może ona chora, umierająca w ciężkiej potrzebie... może... wreszcie... na próżno myśl moja biegnie do tej, która w tej chwili mojej tęsknoty innemu oddała swoje serce...

Wyszeptalem te słowa, instynktownie bojąc się znieważyc moment wielkiej, świętej ciszy; szeptałem ledwie dosłyszalnie, raczej myślałem głośno i byłem pewien, że siedzący naprzeciw mnie włóczęga nie dosłyszmy mych wyznań cichych.

Lecz on od razu podniósł rozczochraną głowę i wparł we mnie szeroko rozwarte źrenice, w których paliły się krwawe odbłyśki ognia. Patrzył długo — i stała się rzecz dziwna i straszna! Nagle z oczu nieznanego wyjrzała rozpacz i głęboko utajona męka, a potem krwawe łzy poczęły ściekać mu po twarzy i znikać w gęstej brodzie. Pojąłem, że włóczęga płakał, że czerwone blaski odbijały się w jego łzach, które są zawsze kryształowo czyste i szczere, czy płyną z oczu świętego, czy zbrodniarza, bo „łza, to ofiara duszy, w męce przebywającej”, juk mówią na Wschodzie.

Płakał długo, aż łkanie zaczęło nim wstrząsać, i przez łzy jął wyrzucać słowo po słowie, zdanie po zdaniu urywanym, łamiącym się głosem.

— Prawdę powiedzieliście... prawdę!... Tak i ja, tak i ja myślałem w tej chwili... Bo to widzicie... jak to było... Kochałem kobietę i przez nią dostałem się do więzienia... Potem uciekłem dla niej... ale inny, który ją kochał, zdradził mnie... Złapali mnie kozacy... Znowu więzienie i tęsknota za nią... I znowu udekiem... alem jej już nie znalazł... wyjechała... Zdrajca, dowiedziawszy się, że jestem wolny, uciekł przede mną, i mówiono mi, że ukrył się tu gdzieś... na Hance... Przypląnąłem szukać go tu i rachunki zakończyć... A tęsknota żre serce i suszy duszę!... Prawdę mówicie... Może nie warto... bo tam może nie ma nawet cienia wspomnienia o mnie. — Ale to boli, boli...

Łkał głośno i drżał całym ciałem, ja zaś myślałem, że życie jest ogromnie kapryśne: to powlecze wszystko tajemnicą, to niespodziewanie odwróci najzazdrośniej ukrywaną kartę swej nigdy niezbadanej księgi.

Zrozumiałem, po co tu przybył ów włóczęga! Po zemstę za zdradę, za oderwanie go od umiłowanej kobiety... Wszystko było proste i jasne, jak księżyc na niebie, jak te łzy zbiega więziennego.

Odprowadził mnie do ogniska, a nazajutrz włóczył się ze mną po jeziorach, łapiąc ryby i wsadzając je do słoików z formaliną, lub uganiając się za motylami i pełzając po ziemi za żukami dla mego entomologa. Siedzieliśmy na trzęsawisku jeszcze pięć dni. Na trzeci dzień włóczęga nie stawiał się z rana. Przyszedł przed wieczorem, zziębnięty, z czupryną i brodą jeszcze bardziej potarganą, w ubraniu pokrytym grubą warstwą błota i roślin wodnych.

Patrzył wzrokiem ponurym, ale stanowczym.

— Dziś znalazłem go w sitowiu na „Gęsim Potoku” — mruknął. — Zaczaił się tam i nawet ognia nie palił. Ale dziś o świcie spostrzegłem człowieka, który wchodził na wysoki brzeg. To był on! Wnet przekradłem się jak wąż i wypatrzyłem dobrze wszystko. Ma rewolwer, karabin i siekiere... Jutro pójdę do niego...

Wypił z nami herbatę i poszedł.

Nazajutrz z rana, gdy przeglądaliśmy nasze zbiory, dobiegł nas pojedynczy strzał. Przebrzmiał urwanym hukiem i zamilkł wstydliwie... Włóczęga nie powracał.

Nazajutrz przyjechał po nas kozak, naładował na wóz rzeczy i ruszyliśmy w stronę stacji kolejowej.

Gdy, oczekując na pociąg, chodziliśmy po peronie, spostrzegliśmy grupkę ludzi, otaczających młodego człowieka o przystojnej, wesołej twarzy. Opowiadał on coś zasłuchanym kozakom i stróżowi kolejowemu. Podeszliśmy.

— Bałem go się, bo to katorżnik, więc pojechałem na Hanke... Siedzę w sitowiu, aż on raptem, jak tygrys, rzuca się do mnie z siekiere. Strzeliłem z rewolweru. Tylko plusnął mi do „Gęsiego Potoku” i popłynął po krzyż i mogiłę...

Przykre mi się wydało to opowiadanie. Odszedłem na bok i zwróciłem oczy na zachód, gdzie pozostały moczary i zarośla trzciny.

Wstał przede mną obraz ukojonego ciszą trzęsawiska, zobaczyłem ognisko i przy niem włóczęgę, płaczącego łzami krwawymi od blasku płomieni...

ROZDZIAŁ XIX. WIELKIE AKWARIUM

Wczesną jesienią wypadło mi po raz trzeci zwiedzić Hanke. Tym razem pojechałem już na samo jezioro, a mianowicie do wielkiego sioła Kamień-Rybołów, którego ludność

stanowili przesiedleni przed 30 laty chłopci z Ukrainy. Jest to duża i bogata osada, trudniąca się połowem ryb i gospodarstwem rolnym na urodzajnej glebie południowego brzegu jeziora.

Prowadziłem tam badania nad składem chemicznym gleby owych okolic, rząd rosyjski bowiem nosił się z zamiarem założenia tam nowych kolonii wychodźców z Rosji. Chodziło więc o to, aby ściśle określić charakter gleby i warunki klimatyczne, w celu przysłania nowych osadników z takich miejscowości Rosji europejskiej, gdzie te zasadnicze czynniki są podobne do czynników południowej części Kraju Ussuryjskiego.

Spędziłem w Kamieniu-Rybołowie około trzech tygodni i dobrze się zapoznałem z jeziorem, pływając z rybakami i objeżdżając je podczas wycieczek naukowych, jak również w wolnych chwilach podczas polowań.

Jezioro Hanka dzieli się na dwie części. Większa, należąca do Rosji, nosi nazwę „Wielkiej Hanki”, mniejsza, położona już w granicach Chin, na obszarach Mandżurii, nazywa się „Mała Hanka”. Właściwie są to dwa jeziora, przedzielone wąskim pasmem piaszczystej gleby. Badania geologiczne dowiodły, że ten podział Hanki na dwa jeziora odbył się niedawno, zapewne jakieś 80–100 lat temu. Przez ten naniesiony przez wiatry pas przechodzi granica rosyjsko-chińska.

„Wielka Hanka” jest to olbrzymie jezioro, mające około 4100 kwadratowych kilometrów powierzchni, lecz niegłębokie, gdyż rybacy twierdzą, że największa głębokość nie przewyższa 22 stóp. To jest powód, dlaczego podczas wiatru lub burzy na Hance powstają tak wielkie fale, że mały parowiec, kursujący między brzegiem północnym a Kamieniem-Rybołowem, nieraz bywa wyrzucany na brzeg.

Mimo to jezioro jest przepełnione rybami, pośród których trafia się sporo olbrzymów. Największa pośród ryb Hanki jest tak zwana *Kaluga*, z gatunku jesiotrów (*Acipenser orientalis*). Na wiosnę złapano tu kalugę, ważącą 2100 funtów i długą na 6 metrów. Nie widziałam tej ryby, ale w parę lat później, mieszkając w Charbinie, widziałem kalugę, złapaną przez rybaków chińskich w rzece Sungari. Był to potwór długości około 7½ metrów, a wagi — 3320 funtów!

Bardzo ciekawy jest sposób połowu tych grubych ryb.

Rybacy z Hanki znają drogi podwodne, którymi płyną w niegłębokim basenie jeziora największe ryby, i tam właśnie stawiają na nie pułapki. Są one nadzwyczaj proste i należy się tylko dziwić, w jaki sposób mogą oszukać ryby. Rybacy przegradzają najgłębsze miejsca w jeziorze grubą liną, która leży na dnie. Do liny są przywiązane krótkie na 2 stopy kawałki mocnego sznura z hakiem na końcu. Do tych sznurów przyczepia się albo próżne blaszanki, albo duże kawały kory dęba korkowego, które pozwalają hakom pływać w wodzie i bujać w niej swobodnie. Żadnej przynęty na haki się nie zasadza.

Ten dziwny na pierwszy rzut oka sposób połowu oparty jest na niezrozumiałym upodobaniu dużych ryb do „zabawiania się” przedmiotami, poruszającymi się w wodzie. Ryba zaczyna potrącać taki przedmiot, na przykład tonący kawał drzewa lub pogrążony w wodzie trup małego zwierzęcia, podrzuca go, ociera się o niego grzbietem i bokami, igra dokoła niego, chwytając paszczą i wlecze za sobą. Takie igraszki z ostrym hakiem, wiszącym na korku, są bardzo niebezpieczne, i ostatecznie ryba-kaluga, jesiotr zwyczajny, duża keta lub szczupak muszą się zahaczyć. Wtedy poczynają się z bólu miotać, trafiają na inne haki i wreszcie słabną zupełnie, stając się łupem rybaków. Często się zdarza, że olbrzymie ryby trafiają na haki, zaczepiwszy się bokiem lub ogonem.

Dlaczego jednak ryby uprawiają ten niebezpieczny foot-ball z zawieszonymi przez ludzi niebezpiecznymi hakami? A może to ryby, trafiające na haki, są nader tragicznymi typami samobójczymi? Prawda, że skromna ilość mózgu w głowach rybich wyłącza istnienie jakiegokolwiek manii, lecz, kto wie, czy mania jest dowodem rozwoju mózgowego, czy może odwrotnie?

W kilka dni po przyjeździe swym na Hankę, popłynąłem z rybakami na jezioro wyjmować *peremiot*, czyli linę z hakami. Płynęliśmy na dwóch czółnach, a rybacy zaczęli wyciągać linę z różnych końców i oglądać haki. Wkrótce z drugiego czółna zawołano, że złapała się gruba ryba. Po skończeniu kontroli naszego odcinka liny, z której zdjęliśmy dwie małe kalugi, po jakieś 40–60 funtów każda, i szczupaka, takiego, jakiego złapałem za pomocą *mordy* w „Starym jeziorze”, podpłynęliśmy do rybaków. Zdjęli już byli rybę z haka i, przeciągnąwszy jej przez skrzel sznur, uwiązali do tylnej części łodzi. Chciałem

koniecznie zobaczyć rybę, bo była to duża *kaługa*, ważąca około 500 funtów. Wziąłem za sznur i zacząłem podciągać rybę do łodzi. Była już zmordowana bólem i walką, więc nie stawiała oporu.

W głębinie widziałem długie, potworne jej ciało. Posunąwszy ją do łodzi, zacząłem podciągać do góry, aby lepiej obejrzeć. Gdy była nie dalej, niż na 2–3 stopy od powierzchni wody, zobaczyłem ogromną, spiczasto zakończoną głowę, szaro-żółtej barwy, silnie zamuloną. Zadziwiająco małe, krwawe oczki patrzyły na mnie ponuro i złośliwie.

Nagle stała się rzecz niespodziewana. Kaługa machnęła ogonem i rzuciła się w bok z tak straszliwą siłą, że nie zdążyłem wypuścić z rąk sznura, do którego była uwiązana, i runąłem do wody.

Naturalnie od razu wypłynąłem i po chwili już z powrotem siedziałem w czółnie, ociekając wodą i trochę zawstydzony. Rybacy dyskretnie się uśmiechali, lecz jeden z nich, młody, nie wytrzymał i parsknął głośnym śmiechem.

Wszyscy się rozśmieli i ja sam również śmiałem się serdecznie, później zaś powiedziałem:

— Dobrze, że wydobyliśmy linę, bo byłbym się zahaczył, a cóż wtedy zrobilibyście ze mną, chłopcy?

Jeden z rybaków pokiwał głową i odparł poważnie.

— Byłaby trudna sprawa, bo nie wiadomo, jak uwiązać taką kaługę; skrzeli nie ma, a za szyję nie wypada!...

Pływając po Hance, zwiedzałem zaciszne zatoki, zarośnięte trzcinami i sitowiem. Bliżej północnego brzegu, niedaleko od źródeł rzeki Sungacza, w podobnych zatokach spotkałem olbrzymie kolonie miejscowej *Victoria Regia*. Jest to tzw. *Nelumbia* (*Nelumbium speciosum*) — prześlizny okaz, nie ustępujący co do piękności swemu indyjskiemu prototypowi. Olbrzymie liście, podobne do tac, szersze niż pół metra, pływają na powierzchni wody, umocowane na długich łodygach, wznoszących się z dna. Niektóre okazy jeszcze kwitły; cudowne, różowe kwiaty miały w średnicy do 50 centymetrów. W zaroślach *nelumbii* roiło się od ryb, które pluskały się, wyskakiwały nad powierzchnię wody, uganiały się i polowały na różne ślimaki, hydry i robaki, żyjące na łodygach i liściach olbrzymiej i pięknej rośliny.

Znany przyrodnik Maak wyjaśnił tę nadzwyczajną obfitość ryb w jeziorze Hanka.

Jezioro jest bardzo obficie zaopatrzone w „plankton”, czyli w mikroskopijną florę i faunę, która stanowi najlepsze pożywienie dla ryb i innych żyjących istot, między innymi dla żółwi o ciemnozielonym zabarwieniu pancerza i o długich nogach. Są to żółwie z gatunku *Szyonix Maackii*, ważą zwykle 10–15 funtów, chociaż można spotkać i znacznie większe okazy.

Pewnego razu byłem świadkiem takiej sceny. Kozacy z Kamienia-Rybołowa pławili w jeziorze konie. Po skończeniu pławienia, gdy wyprowadzano konie na brzeg, jeden z nich rozpoczął jakieś dziwne harce. Stawał dęba, wierzgał, rzucał się i rżał. Z wielką trudnością udało się zmusić go do wyjścia na brzeg i wtedy spostrzeżono, że żółw uczepił mu się do ogona. Był to duży okaz, gdyż ważył około 40 funtów, a jego rogowe szczęki były tak potężne, iż dopiero po zabiciu go udało się uwolnić ogon koński.

Pewnego razu obserwowałem na jeziorze tragiczny wypadek z *baktanem*, czyli kormoranem. Jest to duża czarna kaczka o ostrym, zagiętym na końcu dziobie. Kormorany są znakomitymi rybakami-nurkami i Chińczycy tresują je w ten sposób, że ptaki, dawszy nurka i złapawszy rybę, powracają do właściciela i oddają mu swą zdobycz. Co prawda, nic innego im nie pozostaje, gdyż przebiegły Chińczyk nakłada kormoranom na szyję żelazne kółko, które nie pozwala im polykać ryby.

Otóż widziałem stadko kormoranów, zajętych połowem ryb. Ptaki co chwila znikwały pod wodą i wypływały ze zdobyczą w dziobie. Wtedy rozpoczynała się gonitwa i walka o łup.

Jeden z kormoranów dał nurka i wypłynął, rozpaczliwie wymachując skrzydłami i z rozdzawionym dziobem. Rzucał się jak opętany, zrywał do lotu i znowu ciężko opadał, aż wreszcie zanurzył się w wodzie i wypłynął już nieruchomy. Zdziwiony, kazałam wiosłować na miejsce wypadku, wydobyłem kormorana i obejrzałem go uważnie. Pokazało się, że ptak schwycił pod wodą *kasatkę*, która najeżyła swe kolce obronne i ugrzęzła w gardzieli niefortunnego rybaka. Ptak udusił się z braku powietrza.

Zawsze nienawidziłem natrętnych *kasatek*, które nieproszone gwałtem nadziewały się na haczyk mej wędkę, ale nigdy nie przypuszczałem, aby tupet tych nicponiów sięgał tak dalece, żeby włączyć do cudzego gardła.

Porównywając Hankę ze wszystkimi widzianymi w życiu jeziorami, mogę nadać jej tylko jedną nazwę, a mianowicie „Wielkie Aquarium”. gdzie się roi od różnych istot, poczynając od mikroskopijnych *diatomea*, kończąc zaś na potwornych *kalugach* i największych na świecie natrętach i intruzach, *kasatkach*.

W roku 1921, gdy przeszedłem Azję Środkową, los rzucił mnie znowu do Kraju Ussuryjskiego. Byłem niedaleko jeziora Hanki, którego zapomnieć nie może nigdy moje wdzięczne serce myśliwskie i rybackie; byłem w Razdolnoje, gdzie niegdyś poznałem odważnych konkwistadorów — Chudziakowów; byłem we Władywostoku, gdzie nieudolna kultura rosyjska spotkała się z najazdem najgorszych elementów Chin i Korei. Lecz przybyłem nie dla naukowych badań i podróży. Chciałem się przekonać, o ile poważną jest rzeczą ruch antybolszewicki, który się tam wtedy rozpoczął i czego się od niego można było spodziewać!

Znalazłem tam zwykłą u Rosjan walkę partyjną, intrygi, groźbę wojny domowej i, naturalnie, zbliżającą się klęskę, która przysła w rok później.

Ten piękny, bogaty, porywający Kraj Ussuryjski, pełen nieznanego uroku dziewczyczych lasów, ojczyzna wspaniałego tygrysa, czerwonego wilka i jenota, miejsce nawiedzane przez czarnego łabędzia australijskiego indyjskiego flamingo, japońskiego ibisa i żurawia chińskiego, ulega bezkarnemu i bezmyślnemu zniszczeniu i spustoszeniu przez zdziczałe bandy czerwonych partyzantów, pijanych od krwi i wódki.

Prawdziwa cywilizacja, mądra i humanitarna, powinna tam zawitać i uczynić z tych lasów, gór i jezior, z rzek i z morza, wielką kuźnię szczęścia społeczeństwa i ludzkości, aby nie przepadła darmo łaska Twórcy, który, podług podania, rzucił na ziemię ussuryjską pełną garścią wszystko, co posiadają inne kraje, narody, a nawet kontynenty.

CZEŚĆ TRZECIA. W OJCZYŹNIE ŻÓŁTEGO DIABŁA

ROZDZIAŁ I. NA DNIE WYSCHŁEGO MORZA

Człowiek nigdy nie wie, co go czeka.

Tak było i ze mną, gdy siedziałem w Petersburgu w swoim pokoju i czytałem list dobrego znajomego, który zapraszał mnie do siebie na wieś, aby tam spędzić lato. Czułem się zmęczony po ciężkiej zimie, ponieważ dużo i uporczywie pracowałem w laboratorium chemicznym, przedsięwzięwszy szereg nowych studiów. Już miałem napisać podziękowanie i wyrazić zgodę na zaproszenie, gdy nagle niecierpliwie odezwał się telefon.

— Hallo! — posłyszałem dobrze mi znany głos starego mego nauczyciela, profesora Stanisława Zaleskiego. — Liczę na pana, że pan jutro pojedzie ze mną na wycieczkę. Dobrze?

— Ale dokąd? — zapytałem.

— Na wielki Altaj, mój drogi! — odpowiedział spokojnie. — Zwiedzimy mało znane stopy kulundzińskie ze wspaniałymi jeziorami i góry Altajskie, piękniejsze od Alp.

— Ale...

Nie zwracając uwagi na moje „ale”, profesor ciągnął dalej.

— Dla pana, jako dla myśliwego i literata, jest to doskonała gratka!

— A co się tam strzela? — zapytałem.

— Niedźwiedzie, jelenie, cietrzewie, a nawet w górach są podobno jakieś „tury”, Są to olbrzymie byki górskie, coś w rodzaju żubrów czy bizonów! — odpowiedział.

— Jadę! — zawołałem w słuchawkę telefonu.

— Jutro o trzeciej po południu odchodzi ekspres syberyjski — zakończył rozmowę profesor. — Do widzenia!

Siadłem przy biurku i napisałem do swego znajomego, że przyjechać nie mogę, gdyż jadę na Syberię, na Altaj, o którym dawno marzyłem.

Nazajutrz wygodny ekspres syberyjski już wiozł mnie na wschód, w stronę gór Uralskich; poza mną pozostały dymiące kominy fabryk petersburskich i zgiełk wspaniałych i szerokich ulic stolicy Rosji.

Doprawdy człowiek nigdy nie wie, co go czeka!

Na szósty dzień podróży przyjechaliśmy do naukowego środowiska Syberii, do Tomsku, położonego nad rzeką Tom, dopływem rzeki Ob, która ma swe źródła w górach Altajskich, a ujście w oceanie Lodowatym.

Tu dostaliśmy od władz potrzebne dokumenty, a w bibliotece uniwersyteckiej zebrałiśmy materiały z literatury naukowej, dotyczące kraju, który mieliśmy zwiedzić. Bardzo cennych wskazówek co do Altaju udzielił nam rektor uniwersytetu, prof. dr. W. W. Sapożnikow.

Po paru dniach pobytu w Tomsku, na małym parowcu wyruszyliśmy w dalszą drogę. Z prądem Tomi dopłynęliśmy do Obi, i tu zaczęła się uciążliwa podróż pod prąd tej potężnej rzeki, walka z mieliznami piaszczystymi i z nagromadzonymi w wielu miejscach drzewami, wyrwanymi z nadbrzeżnych lasów przez powódzie wiosenne.

Płynęliśmy bardzo wolno, często zaczepialiśmy się o zatopione kłody, z łatwością osiadaliśmy na piaskach i z trudem z nich spływaliśmy. Majtek, stojący na dziobie statku, oo chwila wykrzykiwał, mierząc głębokość:

— Bacność! 3 stopy... dwie... jedna... Siedzimy!

Nudna to była podróż, gdyż i krajobrazy oczu nie cieszyły! Płynęliśmy pomiędzy niskimi wysepkami, porośniętymi wikliną, lub blisko brzegów jednostajnych, zarośniętych krzakami albo laskami brzoźowymi, mocno już wytrzebionymi. Jedyną naszą rozrywką było jedzenie. Boże wielki! Jakiż mieliśmy apetyt na tym statku, który, jak niezgrabny żółw, borykał się z prądem mętnej, żółtej Obi. Co prawda, jedzenie było niezwykle. Ry-

bacy nadbrzeżni dostarczali kucharzowi świeżych sterletów, *nelm*⁷¹ i *maksunów*⁷², a był to taki przysmak, że zapominaliśmy czasami o naszym żółtym statku.

Wreszcie dogramolił się on do Nowo-Mikołajewska, wtedy jeszcze osady, obecnie zaś stolicy sowieckiej Syberii, miasta położonego na prawym brzegu Obi, przy kolei, gdzie zbudowano olbrzymi most przez rzekę. Miasto, połączone rzeką z żyznymi, rolniczymi obszarami na południu, koleją zaś ze wszystkimi rynkami świata, rosło z dnia na dzień.

Zwiedziliśmy owo centrum handlu syberyjskiego, ten punkt eksportowy, skąd wywożono za granicę mąkę, zboże, masło, mięso, jaja i skóry i po całodziennym popasie ruszyliśmy dalej na południe, skazani znowu na wleczenie się bez końca, siadanie na mieliznach, stykanie się z płynącymi pod wodę drzewami i na objadanie się sterletami.

Parowiec miał nas dowieźć do Barnaulu, stolicy górniczego obwodu Ałtajskiego. Stamtąd końmi należało się dostać na stepy kulundzińskie.

Brzegi Obi do Barnaulu nie posiadają wybitnej malowniczości, jaką widziałem i podziwiałem na przepięknym i potężnym Jeniseju, tym wymarzonej raju dla pejzażysty. Z tego powodu nasza podróż stała się nad wyraz nudna i jednostajna.

W jednym tylko miejscu, o jakie 80 kilometrów na północ od Barnaulu, w pobliżu nieznanego wioski, której pierwsze domki już dostrzegaliśmy, byliśmy świadkami niezwyklej sceny. Na niewielkiej polanie tuż przy brzegu pasł się biały koń, uwiązany na długim sznurze do cienkiej brzozy. Nagle podniósł łeb i rzucił się w bok, usiłując zerwać sznur. Gdy mu się to nie udało, zaczął, rżąc trwożnie, biegać naokoło drzewa.

Myślałem na razie, że wystraszył go nasz boleśnie sapiący parowiec, lecz wnet zobaczyłem coś groźniejszego. Z lasu wynurzył się, kołyszając się z boku na bok, duży niedźwiedź brunatny i z niezwyklej szybkością rzucił się na konia, w okamgnieniu go dogonił, złapał jedną łapą za kark, a drugą usiłował się zaczepić za wystające pieńki zrąbanych drzew. Koń włożył go za sobą. Lecz niedźwiedziowi udało się dosięgnąć pazurami jednego z pni, i w tej samej chwili koń już leżał na ziemi, brunatny zaś drapieżnik potężnym uderzeniem łapy przełamał mu grzbiet.

Dalem kilka strzałów do niedźwiedzia, który porzucił swą ofiarę i ukrył się w lesie.

Nazajutrz z rana nasz statek ochryplym gwizdkiem oznajmił swe przybycie do Barnaulu.

Naprawdę załatwiliśmy wszystkie formalności w zarządzie górniczym i w biurze osobistych dóbr cesarskich, w granicach których mieliśmy dokonać części naszych badań, i nazajutrz już wyjeżdżaliśmy na zachód dwoma wozami, zaprzężonymi w trójkę dobrych koni stepowych.

Droga z początku biegła bardzo malowniczymi wzgórzami, stanowiącymi odnogi gór Ałtajskich. Prawie ciągle spotykaliśmy lasy brzozowe, pośród których rozrzucone były nieduże wsie rosyjskie.

Ponieważ wyprzedzał nas konno urzędnik policji z Barnaulu, więc wszędzie zastawaliśmy konie już przygotowane, że zaś drogi były wspaniałe, jechaliśmy bardzo szybko, robiąc po 20–22 kilometry na godzinę.

Dziwna to była podróż. Ze stada przyprowadzano silne, ale zupełnie nieujędzone konie, zaprzęgano je do naszych powozów, czyli *tarantasów*, przyczym chłopci mocno trzymali rwące się konie za uzdy. Stangret, którego tam nazywają *jamszczykiem*, siadał na kozioł, brał w ręce lejce rzemienne i długi bicz z surowej skóry spleciony, czyli po tatarsku *knut* i, smagnąwszy konie z całej siły, krzyczał:

— Puszczaj!

Chłopci trzymający konie odskakiwali na bok i powóz, jak wicher, mknął drogą do następnej wsi. Jeżeli w drodze słabszy koń zaczynał ustawać, stangret, nie zatrzymując zaprzęgu, schylał się i nożem przecinał postronki, zwalniając konia, który zostawał przy drodze i, wypocząwszy, dążył do swego stada.

Mknący przed nami policjant, chociaż dla nas wygodny, gdyż przez niego zawsze mieliśmy na czas konie, był też przyczyną kłopotów dla profesora.

Chłopci stale brali nas za jakichś najwyższych urzędników, że zaś wyższego od gubernatora wyobrazić sobie nie mogli, przeto uważali uczonego za gubernatora i zwracali

⁷¹*nelma* — ryba w rodzaju łososi. [przypis autorski]

⁷²*maksun* — ryba w rodzaju łososi. [przypis autorski]

się do niego z mnóstwem próśb, podań i innych interesów. W pewnej wsi młoda wieśniaczka oskarżyła swego męża, że ją zbił po pijanemu, w drugiej — małżeństwo prosiło o rozwód, w innej znowu jakiś chłop twierdził, że jego zmarły ojciec był otruty przez nieprawych spadkobierców...

Z tego już można wnioskować, że biedny profesor powinien być nie tylko chemikiem i geologiem, lecz jeszcze sędzią, prokuratorem i biskupem! Bardzo było trudno wytłumaczyć chłopom, kim właściwie jesteście i jakie są nasze zamiary i plany.

Wkrótce skończyły się lasy i zaczęły szczerze stopy, pokryte trawą. Stada owiec i bydła pasły się wszędzie na niezmiernym przestrzeni stepu kułundzińskiego. Przy stadach tkwili konni pastusi. Byli to Kirgizi-Teleuci, do których należały pastwiska stepowe.

Rząd jednak rzucił na te stopy fale emigrantów z Rosji europejskiej i osiedlił ich w kilku miejscach, odebrawszy część pastwisk prawym właścicielom — Kirgizom. To spowodowało spory i silną nienawiść pomiędzy tubylcami a przybyszami, oraz częste walki pomiędzy nimi. Kirgizi z bronią w ręku strzegli swych pastwisk i stad i, jak zawsze w Rosji z jej psychologią zaborczą, często łała się w stepach krew ludzka; następnie zaś zaczynały się dochodzenia i sądy, po czym więzienia i katorgi zaludniały się nowymi mieszkańcami; byli to skazani za obronę swoich praw Kirgizi.

Modląc się w więzieniach do swego proroka, na próżno starali się zrozumieć, za co ich wtrącono do więzienia i żyli wyłącznie nadzieją zemsty nad napastnikami, nad policją i sędziami.

Można sobie łatwo wyobrazić, jakie stosunki państwowe i społeczne panowały w tym kraju, tak niemoralnie przez rząd petersburski administrowanym. Kirgizi, z którymi, po odesłaniu do Barnaulu naszego policjanta, żyliśmy w dobrej komitywie, opowiadali nam o całym szeregu ciężkich przeżyć i przeżyć tego spokojnego, kulturalnego plemienia mongolskiego, a opowiadania tchnęły grozą, rozpaczą, a często gorącą nienawiścią.

Step Kułundziński pokryty jest siecią małych jezior, najczęściej słonych. Największe jest jezioro Kułundzińskie, oddzielone błotnistym pasem pół kilometra szerokości od położonego na południe jeziora Kuczuk. Są to baseny wody słonej, pierwszy długości 70 kilometrów, drugi 25. Na zachód od tej grupy ciągnie się długie pasmo słonych jezior, dochodzących do rzeki Irtysza; dalej na zachód od Irtysza znajduje się znaczna ilość jezior na ziemiach Wielkiej i Małej Hordy Kirgiskiej.

Na południe od jeziora stopy kułundzińskie przechodzą w stopy Bełjagag i kończą się dwoma olbrzymimi jeziorami, Zajsan i Bałchasz, czyli Ak-Dengiz.

Po dwóch dniach podróży dotarliśmy wreszcie do jeziora Kułunda i zatrzymaliśmy się w osadzie rosyjskiej, położonej na południowo-wschodnim brzegu. Przepędziliśmy tam tylko tyle czasu, ile było potrzeba na zakupienie jurty kirgiskiej, baranów i chleba, na wynajęcie wierzchowców i łodzi, aby móc zamieszkać w stepie, jeździć po nim i pracować na jeziorze.

W tej wsi pożegnaliśmy usłużnego policjanta, który zmuszał nas przez swą obecność do wysłuchiwanie spraw, zupełnie nie leżących w zakresie naszej kompetencji.

Dwa dni spędziliśmy bez tego przedstawiciela władzy najwyższej i najstraszniejszej dla chłopów i Kirgizów. Po odjeździe urzędnika życie, skrępowane jego obecnością, popłynęło trybem zwykłym. Najpierw rozpoczęło się pijaństwo, prawdopodobnie na intencję tego, że policjant, obawiając się nas, podczas swej bytności nikogo nie zaarrestował, nie zbił i nie wziął łapówki. Po pijaństwie nastąpiły między chłopami bójki uliczne. Tłukli się zawzięcie i wściekle, puszczając w ruch nie tylko tęgą pięść, ale drągi i kamienie. Tego samego wieczora, kiedy odjechał nasz obrońca-policjant, byliśmy zmuszeni sklejać kilka rozbitych łbów i przetrąconych szczęk.

Kilku młodszych, zupełnie pijanych chłopów uczyniło napad na stado kirgiskie, pasące się o 10 kilometrów od wsi. Pozabijali pastuchów i zabrali sporo owiec i baranów. Rozpoczęło się na nowo pijaństwo na cześć zwycięzców. Tej nocy wcale nie mogliśmy usnąć. Chłopi włóczyli się po całej wsi, krzyczeli i śpiewali głosami pijackimi, wygrywali na harmonijkach skoczne melodie, wymyślali sobie wzajemnie najohydniejszymi wyrazami, jakie zna tylko język rosyjski, bili się i tłukli szyby w oknach.

Wreszcie wszystko się uspokoiło. Pijani chłopcy rozpełzli się po swych chatkach; część ich leżała i chrapała wprost na ulicy lub w rowach przydrożnych. Mieliśmy jednak na-

dzieję, że uda nam się nareszcie trochę wypocząć i zasnąć. Niestety! Ta noc była pełna wypadków i trwogi.

Zaledwieśmy się położyli, gdy rozległ się na ulicy przeraźliwy krzyk.

— Gore! Gore!...

Wypadłszy z domu, zobaczyliśmy, że na dwóch krańcach wsi dwa domy stały w płomieniach i sąsiednie już się zajmowały. Zorganizowaliśmy ratunek, a nie było to łatwą rzeczą z na wpół przytomnymi chłopami.

— Do diabła! — mruzczał profesor, patrząc na zataczających się chłopów. — Taki osobnik, przesiąknięty alkoholem, przy ogniu sam się może zapalić, jak zepsuta lampka spirytusowa.

Dwie chaty się spaliły, reszta ocalała.

W spalonych chatach zginęły dwie rodziny. Gdy pożar się skończył, skierowaliśmy się ku swej kwaterze, aby wypocząć, lecz nagle rozległy się znowu hałasy i krzyki.

— Nowa awantura! — zawołał profesor Zaleski. — No, no, wesołe tu miejsce, nie zdudzimy się!

Zobaczyliśmy wkrótce tłum chłopów, prowadzących jakiegoś człowieka. Co chwila wznosiły się nad nim pięści i kije.

Pośpieszyliśmy z pomocą. Okazało się, że był to podpalacz. Cała sprawa miała miejscowy etnograficzny koloryt: chłopci napadli na stada Kirgizów, Kirgizi przez zemstę podpalili wieś.

Podpalacza, który się ukrył za wsią, w trawie, schwytano i teraz musiał on zginąć drogą samosądu.

Już niewiele mu się co prawda należało, gdyż tłum zbił go tak, że twarzy i głowy Kirgiza już nie można było rozróżnić: zamieniły się w rozdęty kawał skrwawionego mięsa. Podpalacz nadto miał złamaną rękę w walce z chłopami i ledwie powłóczył jedną nogą.

Ujęliśmy się za Kirgizem, oświadczywszy, że należy go osadzić w areszcie do czasu przybycia władz, które go przesłuchają i odstawią do sądu.

Starosta potakiwał nam, odpędził chłopów i osobiście zaprowadził przestępcę do swego biura, gdzie go zamknął.

Rano, gdyśmy czekali na konie, profesor zapytał starostę, czy zawiadomił władze o nocnym wypadku.

— Nie, panie! — odparł zmieszany chłop. — Już nie potrzeba! Bo to, widzi pan, nie wiem, jak się stało, ale ktoś wdarł się do aresztowanego, wywłókł go na ulicę i zarąbał siekierą...

Tak biegło życie w stepie kułundzińskim. Sieć słonych jezior i pokłady geologiczne wyraźnie świadczą, że niegdyś było tu olbrzymie środkowo-azjatyckie morze, potężne i spokojne, teraz zaś na jego dnie wrzało niezdrowe moralnie, pełne zbrodni, mordu i nienawiści życie ludzi, którzy przyszli z Zachodu po to tylko, aby jątrzyć i pobudzać do dzieła zemsty od dawna już zgasłe płomienie w duszach ludzi Wschodu.

Kulturalny i uczciwy uczony nie mógł się uspokoić. wygłosił całą mowę, w której oskarżał chłopów o demoralizowanie ludności, o zbrodnię, zagroził skargą przed gubernatorem, a nawet później przed władzami centralnymi, co też uczynił i za co miał sporo nieprzyjemności, gdyż wtrącił się... w nieswoje sprawy.

Jednak wiadomość o naszym stosunku do nocnego zdarzenia nieznaną drogą doszła do Kirgizów i od tej chwili mieliśmy zawsze ich na swe usługi. Gdyśmy przybyli na południowy brzeg jeziora Kałunda i powili jurte⁷³, zjawili się kilku konnych Kirgizów, którzy pomagali nam w pracy, pływali z nami po jeziorze, przypędzali do nas co najtłustsze barany, doglądali koni, byli naszymi przewodnikami.

Jeden z nich, młody, przystojny, o śmiałych oczach drapieżnego ptaka, Suliman Awdżarów, był towarzyszem mych wycieczek dokoła jeziora Kułunda i Kuczuk.

Razem z nim zbadalem głębokość bardzo płytkich jezior, chemiczny skład wody i grubiej warstwy błota na dnie; ustaliłem fakt, że Kułunda i Kuczuk rozdzieliły się niedawno, stanowiąc przedtem jeden basen.

Podczas zwiedzania jezior bardzo dużo polowałem. Nie było to polowanie zbyt pociągające, gdyż na zarośniętych sitowiem jeziorach znajdowałem wyłącznie kaczki i przeróżne

⁷³jurta — namiot z wołoków. [przypis autorski]

gatunki kuligów; było ich takie mnóstwo, że nigdy nie zdarzyło mi się, aby zabić jednym wystrzałem jednego ptaka. Celowało się do jednego, a zabijało się kilka. Spotykałem też na jeziorach stepu Kulundzińskiego pelikany i bąki (*Botavius stellaris*).

Wyjeżdżając w step, niedaleko od jezior zawsze widywałem ptaki drapieżne, a pośród nich olbrzymiego sępa *berkuta*, (*Gyps fulvus*). Jest to ptak o brunatnym opierzeniu, z gołą szyją i z kołnierzem o szarych, miękkich piórach.

Kilka razy strzelałem do berkutów, lecz bez powodzenia, gdyż są bardzo ostrożne i podejść je jest rzeczą niemożliwą, szczególnie na otwartym stepie.

Profesor poradził mi, abym położył na nie trutki. Wziąłem więc kilka zabitych kaczek i, zatruwszy je sublimatem i strychniną, rozrzuciłem w tych miejscowościach, gdzie widywałem berkuty. To poskutkowało, gdyż pierwszego zaraz dnia zdobyłem w ten sposób aż dwa okazy.

Jeden z nich miał od jednego końca skrzydeł do drugiego 2 metry 35 centymetrów, drugi był znacznie mniejszy. Ale rzecz dziwna: od tego czasu już żaden berkut, ani inny ptak drapieżny nie tknął zatrutych kaczek, chociaż dwa lisy i jeden tchórz spróbowały tego przysmaku i rozstały się z życiem.

Widząc mój zapał myśliwski, Suliman pewnej niedzieli, tajemniczo się uśmiechając, odjechał, obiecując mi wielką niespodziankę. Oczekiwałem jego powrotu z niecierpliwością. Wrócił wraz z pięciu innymi młodymi Kirgizami i z doskonałym wierzchowcem. Włożył na niego moje siodło i zaprosił mnie na przejażdżkę po stepie. Nie chciał nic więcej powiedzieć, lecz czułem, że będzie to coś nadzwyczajnego.

Przejechaliśmy już około 20 kilometrów, gdy zobaczyliśmy przed sobą dość obszerne błoto, zarośnięte krzakami.

Kirgizi zatrzymali konie, Suliman zaś zwrócił się do mnie z powagą:

— Wilki coraz częściej napadają na nasze stada i porywają owce i jagnięta. W tych krzakach są wilcze legowiska. Chcemy zapolować!...

— Zdrajco!... — zawołałem — Dlaczegoż nic mi o tym nie powiedziałeś? Wziąłbym był ze sobą strzelbę!

— To zbyt cenne! — odparł. — Zapolujemy po naszymu!...

Mówiąc to, podał mi ciężki nahaj o długiej rękojeści i krótkim rzemieniu, zakończonym dużą kulą ołowianą.

— Kirgizi wypędzą z krzaków wilki, które pomkną w step. Konie są dobre, dogonią, a my będziemy zabijali wilki nahajami, kunaku⁷⁴!

Trzech Kirgizów istotnie okrążyło błoto, my zaś we czterech wyciągnęliśmy się w jedną linię, oczekując zwierzka.

Z krzykiem i hałasem Kirgizi wpadli do krzaków, i po kilku minutach wilki zaczęły się z nich wymykać. Pędziły całym tchem, płaszcząc się po ziemi, z podwiniętymi ogonami i przytulonymi do głowy uszami.

— Ruszaj, kunaku! — krzyknął do mnie Suliman.

Wspiąłem konia. Tresowany do polowania tego rodzaju, pomknął jak strzała, i szybko zaczął doganiać dużego wilka, o jasnej, prawie białej skórze. Lecz zwierz rozumiał, co się dzieje i zaczął wykonywać po stepie zygzaki, usiłując zmylić konia. Podziwiałem wtedy spryt mego wierzchowca, który, nie czekając na pobudkę z mej strony, sam czynił potrzebne zwroty, zmieniał kierunek i pędził coraz szybciej, stale trzymając się lewej strony ściganego wilka, aby jeździec mógł go wygodniej dosięgnąć.

Wreszcie wilk zaczął się męczyć, a odległość pomiędzy mną a nim stawała się coraz mniejsza. Jeszcze kilka minut szalonego pędu, i wilk znalazł się tuż obok mnie z prawej strony.

Podniosłem się w strzemiączach i całym rozmachem ciąłem go nahajem. Jęknął, potknął się, lecz po chwili znów się odsadził ode mnie i mknął dalej.

Po chwili dogoniłem go i tym razem nie uderzyłem na oślep, lecz mierzyłem starannie w łeb. Po kilku nieudanych ciosach wilk wreszcie padł na przednie łapy, na chwilę się podniósł, zrobił skok naprzód, ale w tej chwili uderzyłem go ponownie z całej siły. Zwierz, głucho skowycząc, upadł i zaczął się wić na ziemi, krwawiąc silnie.

⁷⁴kunak — przyjaciel. [przypis autorski]

Gdy zataczałem koło na rumaku, rozhułkanym od biegu i od mych cięć, nadbiegł jeden z Kirgizów, zeskoczył z siodła i przeciął gardło drapieżnikowi.

— *Jakszi, ok jakszi dżigit bet at!*⁷⁵ — wołali Kirgizi, pędząc ku mnie i wlokąc za sobą na arkanach trzy upolowane wilki.

Po paru godzinach podjeżdżałem do naszej jurty, przed którą siedział profesor, zaniepokojony, jak mówił, moją nieobecnością.

Sądziłem wszakże, iż z wiernym i śmiałym Sulimanem nic mi grozić nie mogło. Profesor po prostu się znudził beze mnie, bo ten świetny uczonec był człowiekiem bardzo towarzyskim i lubił pogadać... Dał się jednak przeprosić, gdy mu pokazaliśmy cztery duże wilki.

Po tym nadzwyczajnym polowaniu nadeszły dni pracy wycieczkowej. Robiłem rekonanse naukowe na jeziorze i w stepach okolicznych, zbierając kolekcje i wykonywając połowe analizy wody ze spotykanych źródeł i studzien. Podczas jednej wycieczki zapuściliśmy się z Sulimanem daleko w stepy, gdyż powiedziano nam, że gdzieś tam jest jezioro saletrzane. Odnaleźliśmy je, okazało się ono jednak zwykłym słonym jeziorem z małą domieszką soli magnezjowych. Znajdowało się ono w pobliżu Irtysza. Podczas tej wyprawy jakaś wściekła tarantula ugryzła mego Kirgiza w wielki palec lewej ręki. Był to pierwszy i jedyny podobny wypadek, jaki się zdarzył podczas całej mej włóczęgi po stepach kirgiskich, tym kraju tarantul.

Suliman powiedział mi o ukąszeniu pająka dopiero po paru dniach, gdy palec spuchł mu przerażająco. Jodyna nie pomogła i wkrótce Kirgiz dostał gorączki i wił się z bólu. Opatrzyłem mu raz jeszcze palec i przyszedłem do przekonania, że zaczęła się gangrena i że operacja jest konieczna. Oznajmiłem o tym Sulimanowi, nie ukrywając przed nim, że, jeżeli moja diagnoza jest dobra, grozi mu wielkie niebezpieczeństwo. Do naszego obozu na Kulundzie było nie mniej niż 200 kilometrów, a upały panowały szalone.

— Odetnij mi ten palec! — prosił Kirgiz.

— Nie mam z sobą nic koniecznego dla takiej operacji — odparłem — tylko scyzoryk.

— Scyzorykiem można nawet byka zarżnąć! — zauważył Suliman głosem stanowczym. — Dłużej nie mogę znośić tego bólu, kunaku!

Zgodziłem się. Suliman sam wyostrzył scyzoryk na kamieniu, a później, gdy mu obmył chory palec spirytusem, położył dłoń na tym samym kamieniu i przez zaciśnięte zęby rzucił:

— Tnij!

Odciąłem palec przy drugim stawie, zrobiłem opatrunek i bandaż, podziwiając przy tym cierpliwość Kirgiza; ani drgnął, żadnym jękiem lub westchnieniem nawet nie zdradził swego cierpienia. Wstał, podziękował i najspokojniej w świecie poszedł chwycić i siodłać konie. Obawiałem się jednak, że może niepotrzebnie odciąłem mu palec, więc włożyłem odjętą część do flaszki ze spirytusem, aby ją pokazać prof. Zaleskiemu. Gdyśmy powrócili na Kulundę, profesor obejrzał palec i oświadczył, że, gdyby operacja nie została wykonana natychmiast, gangrena poszłaby była wyżej i trzeba by było odjąć całą rękę. Usłyszawszy to, Suliman podszedł do mnie, położył mi na piersi swą rękę, później sobie i uroczystym głosem rzekł:

— Ja — twój kunak, ty — mój kunak, dopóki dni moich na tej ziemi! Przysięgam na Proroka!

Suliman pod opieką profesora szybko przyszedł do zdrowia i już po paru dniach wraz ze mną pracował na odnodze jeziora Kuczuk. Nazywała się ona Solonowka. Był to rów 20 metrów długości, napełniony słoną wodą, która płynęła do jeziora. Solonowka przedstawiała ciekawe zjawisko geologiczne, gdyż w niej były z dna zimne źródła o temperaturze +5°C, z brzegów zaś jedno ciepłe +29°C, drugie gorące +41°C. W ten sposób w Solonowce jednocześnie istniały trzy warstwy wody o całkiem różnej temperaturze.

Gdyśmy zakończyli nasze badania w stepach kulundzińskich, pożegnaliśmy Kirgiza, z którym mieliśmy się jeszcze spotkać za parę tygodni w stepie, przez który wypadalo nam jechać wprost na północ do stacji kolei. Obecnie zaś pojechaliśmy do Barnaulu, skąd chcieliśmy udać się w góry.

⁷⁵*Jakszi, ok jakszi dżigit bet at!* — Dobrze, bardzo dobrze i jeździec, i koń! [przypis autorski]

ROZDZIAŁ II. WYPRAWA... NIEZUPEŁNIE NAUKOWA

W Barnaulu spędziliśmy kilka dni, podejmowani bardzo gościnnie przez miejscowych inżynierów górniczych i przez władze.

Barnaul — to przeszliczne miasteczko, tonące w gajach brzozowych, z murowanymi domami bogaczy, których tu było dość dużo, gdyż miasto jeszcze przed 20 laty służyło jako centrum bogatego okręgu złotonośnego. Na wszystkich dopływach Obi i Tomi wykryto złoża złota i srebra; wykopywano z tej ziemi duże kapitały, i życie biegło pełnym pędem. Barnaulskie panie nie tylko sprowadzały sobie stroje z zagranicy, lecz posyłały bieliznę do prania do Paryża. Później większą część placów złotodajnych zagarnął zarząd osobistych posiadłości carskich, gdzie zabroniono przemysłu górniczego, i cały Altaj od tej chwili zamarł. Miasto Barnaul, Bijsk i Kuźnieck znacznie podupadły, aż wreszcie w 1918 roku bolszewicy spalili Barnaul prawie do szczętu.

Pewnego wieczoru w domu jednego z inżynierów spotkałem miejscowego policmajstra, Bogaczewa, który opowiadał, że wykrył bandę podrabiaczy banknotów, znanych opryszków i bandytów, i że tej nocy wybiera się na ich ujęcie. Przewidywał potyczkę i widocznie cieszył się z tego, gdyż, będąc straszliwym siłaczem i człowiekiem nader odważnym, lubił tego rodzaju wyprawy.

Zauważywszy, że słucham go z zaciekawieniem, zaproponował mi, bym się przyłączył do wyprawy, obiecując, że nad ranem będziemy już z powrotem.

Spojrzałem pytająco na mego profesora, gdyż nie wiedziałem dokładnie, czy podobna wyprawa należy do zakresu badań chemiczno-geologicznych. Lecz Zaleski poklepał mnie po ramieniu i rzekł:

— Człowiek zawsze powinien pamiętać, aby brać od życia wszystko potrzebne dla siebie. Pan jest uczonym, lecz zarazem literatem. Chemia — tam w stepach, w mieście zaś — zbieranie tematów literackich. Jedź pan, bo to może być ciekawe, tylko zabierz z sobą mój rewolwer!

O, ten rewolwer profesora! Był to archeologiczny zabytek, buldog najstarszego systemu, zardzewiała aż do nieprzyzwoitości, a posiadający tylko dwa naboje. Ten rewolwer zawsze figurował w spisie przedmiotów zabieranych przez profesora na wyprawy, lecz pozostawał schowany w najgłębszym kącie największego kufra tak dobrze, że odnaleźć go było niepodobieństwem. Nie odszukałem go i tym razem, ale za to Bogaczew dał mi dobry rewolwer systemu Nagana i ślepą latarkę. Około 9-ej wieczorem już siedzieliśmy w dużym *tarantasie*, zaprzężonym w czwórkę doskonałych koni.

Naprzeciwko nas siedział olbrzymi, rudowłosy policjant o wesołej, śmiałej twarzy, nazwiskiem Sokołow.

— Ilu jest zbrodniarzy? — spytałem policmajstra.

— Pięciu! — odparł. Widząc zaś, że ze zdziwieniem patrzę na nieliczny skład naszego oddziału, roześmiał się i rzekł:

— Na nich dość jednego Sokołowa, bo to, panie, maszyna a nie człowiek! Tymczasem jest nas trzech, więc podzielimy się w ten sposób: Sokołow weźmie dwóch, ja — dwóch, a pan jednego. Zgoda?

Kiwnąłem głową i zapytałem.

— A jak mam go brać?

— Za co brać, chce pan zapytać? — zaśmiał się Bogaczew. — Za gardło, panie, tylko za gardło, bo inaczej się wymknie!

— Hm! — mruknąłem do siebie. — Co prawda, wolałbym patrzeć na walkę, a nie brać w niej zbyt czynnego udziału i łapać kogoś za gardło!

Policmajster i jego pomocnik tymczasem omawiali plan napadu na złoczyńców.

Jechaliśmy brzegiem rzeki, i po paru godzinach w oddali błysnęły ogniki. Była to duża wieś. Podjechaliśmy do pierwszej z brzegu chaty i Sokołow wywołał z niej gospodarza.

Tarantas wjechał na dziedziniec, woźnica-policjant dostał polecenie niewypuszczania z domu nikogo, gospodarzowi zaś rozkazano prowadzić nas do łodzi i zawieźć tam, gdzie mu wskażemy.

Wsiadliśmy do łodzi i ruszyliśmy z prądem rzeki. Płynęliśmy do północy, może nawet dłużej. Wreszcie spostrzegliśmy nagle światełko w oknie niewidzialnej w ciemnościach

Nauka, Sztuka

chaty. Sokołow zwrócił się do wiosłującego chłopą, schwycił go za gardło, związał ręce i zakneblował usta.

Biorąc potem za wiosło, mruknął:

— Teraz nie gwizdnie i nie uprzedzi zbrodniarzy, z którymi tu wszyscy są w zмовie!...

Wylądowaliśmy pod urwistym, wysokim brzegiem, ze zwisającymi nad wodą krzakami i przez las zaczęliśmy się skradać do chaty.

Zbrodniarze czuli się widocznie zupełnie bezpiecznie, gdyż warty nie było. Podsunęliśmy się pod okna i zajrzeliśmy do wnętrza izby.

Przy stole, oświetlonym dużą lampą naftową, siedziało dwóch mężczyzn, z których jeden oglądał banknoty i dawał drugiemu do układania w prawidłowe paczki. Trzeci innych pracowało, kręcąc małą drukarską maszynę i fabrykując pieniądze.

— Dopomagają ministrowi skarbu! — zasyczał Bogaczew, trącając mnie ramieniem...

— No, teraz czas na nas...

Pierwszy ruszył Sokołow, mając w ręku latarkę, za nim też z latarką stanął Bogaczew, ja szedłem na końcu. Sokołow nagłym ruchem otworzył drzwi i wpadł do izby. Jeden ze zbrodniarzy natychmiast zrzucił na podłogę lampę, która zgasła. W izbie zapanowała ciemność. Lecz w tejże chwili zagrział strzał rewolwerowy, dany przez złoczyńców, a po nim w ciemności zjawiła się oświetlona latarką jakaś twarz, na którą natychmiast spadła olbrzymia pięść.

Zaczęła się bójka niema i wściekła, gdyż moi towarzysze zapędzili mieszkańców chaty do jednego kąta i przyparli ich tak, że ci nie mogli użyć broni palnej. Co chwila słyszałem głuche razy, jęki, jakiś szczełk, czasem odgłos padającego ciała. Lecz napadnięci wyslizgnęli się z kąta, i zaczęła się gonitwa po całej izbie. Ktoś mnie potracił tak silnie, że upadłem, i czyjaś ciężka stopa uderzyła mnie w głowę. Podniosłem się, lecz w tej samej chwili otrzymałem straszliwe uderzenie w oko i drugie za uchem. Zatoczyłem się, jak pijany, lecz jednocześnie ogarnął mnie gniew. Poświeciłem sobie latarką i zobaczyłem jakąś zawziętą twarz. Machnąłem w nią pięścią, i twarz znikła od razu, jakby się pod ziemię zapadła.

— Dobrze! — usłyszałem głos Sokołowa. — Ten poleży parę minut.

Znowu spadła mi na szyję ciężka pięść. Odwróciłem się i znowu poświeciłem. Spostrzegłem grubą kark i zadałem cios z całą sumiennością. Kark drgnął, pochylił się, ale wnet na jego miejscu zjawiła się twarz... Bogaczewa.

— Swoich bić nie należy! — zaryczał, borykając się ze złoczyńcą, którego złapał za gardło.

Nie miałem czasu przeproszać, bo musiałem łapać „swego” przeciwnika, który schował się pod stół; pomyślałem jednak, że pierwszy cios, który obalił mnie jak uderzeniem piorunu, zadał mi też ktoś ze „swoich”, czy Bogaczew, czy Sokołow, bo tylko tacy mocarze mogli bić równie potężnie.

Po kilku minutach związani złoczyńcy, eskortowani przez nas, ze smutnie spuszczonymi głowami wlekli się w stronę łodzi. Sokołow niósł worek z banknotami i z maszyną drukarską, policmajster zaś, z rewolwerem w ręku, przyspieszał pochód. Ja byłem w ariergardzie, trzymając się za podbite oko i rozcierając sobie szyję, która bardzo mnie bolała. Byłem ciekaw widzieć to oblicze, które zjawi się w zwierciadle, gdy się do niego dorwę, ale przewidywałem, że będzie ono pożałowania godne. Lecz przewidywania moje były dalekie od rzeczywistości, która przeszła najbujniejszą fantazję.

Sokołow uwolnił wystraszonego chłopą i odkneblował mu usta, później kolejno związał jeńców, zamieniwszy ich w półgąski i poukładał na dnie łodzi. Odbiliśmy od brzegu i popłynęli ku wsi. Chłop wiosłował sumiennie, z przerażeniem spoglądając na atletyczną postać Sokołowa. Łódź szybko posuwała się naprzód.

Byliśmy na środku rzeki, gdy nagle jeden z jeńców jak wąż wyprężył się i podrzucił do góry. Uderzył sprężystym swym ciałem o krawędź łodzi, która omal nie przewróciła się, silnie zaczerpnąwszy wody. Zdążyłem tylko zauważyć, że wpadł z pluskiem do rzeki; prąd porwał, a ciemność pochłonęła śmiałego zbiega. Policjanci dali w jego stronę kilka strzałów. Gdy byliśmy już w pobliżu wsi, z daleka doleciał nas ponury, przeciągły krzyk. Czy był to triumfujący okrzyk zbrodniarza, który dopłynął do brzegu, czy ostatni odgłos walki życiowej, po którym wartka głęboka Ob poniosła martwe już ciało na północ, do Oceanu Lodowatego?

Bogaczew kazał dać wóz i zawołać trzech chłopów do eskortowania aresztowanych, po czym weszliśmy do domu wójta na herbatę. W izbie, oświetlonej małą lampką naftową, było dość mroczno, lecz spostrzegłszy lustro, wiszące na ścianie, podszedłem, żeby skontrolować stan swej twarzy.

Krzyknąłem z przerażenia! Prawe oko było zupełnie czarne od potężnego sińca i zapuchło tak bardzo, że pozostawała tylko mała szparka, przez którą wyzierała zrozpaczona źrenica. Na czole miałem dużą krwawą pręgę od uderzenia czyjegoś bata w chwili, gdy upadł. Szyja bolała mnie tak, że z trudnością mogłem nią poruszać.

— Urządzili mnie jednak? — zauważyłem, nadržając miną i śmiejąc się bardzo sucho.

— A tak! — zgodził się Bogaczew. — Mocno zeszepecony cyferblat! Ale to szybko przejdzie; mam na to doskonale okłady, zresztą, ponieważ panowie pojedziecie w góry, to i tak ujdzie.

Zimna krew policmajstra w stosunku do mego oblicza nie bardzo mi się podobała, lecz nie było rady. Przewiązałem sobie oko przepaską z chustki do nosa i zbolałą szyję obmyłem zimną wodą.

— Głupstwo! — śmiał się Bogaczew. — Pan przecież także bardzo przyzwoicie ugodził mnie w kark, lecz cóż robić? Wojna to wojna! Napijmy się lepiej herbaty...

Nad ranem byliśmy już w Barnaule, gdzie profesor bardzo starannie opatrzył moje rany i, skończywszy tę czynność, pokiwał głową ze smutkiem i mruknął:

— No, no! Upiękasz pana na tej wyprawie! Nie wiem, czy znalazł pan tam dla siebie tematy, ale co do sińców, tych przywiózł pan pod dostatkiem!

Byłem rozgorzcony i wściekły, więc te uwagi profesora uważałem za zbyteczne.

Przez parę tygodni miałem bardzo rozmarzone i smętne oko, oraz zbyt dostojnie obracającą się szyję — na pamiątkę niezwyklej wyprawy na nieproszonych pomocników ministra skarbu.

ROZDZIAŁ III. W OKOLICACH BARNAULU

W Barnaule Zaleski zapoznał mnie z doktorem Zassem, uczniem swoim z czasów, gdy profesor był rektorem uniwersytetu w Tomsku. Zass był to wysoki, chudy Niemiec, o niebieskich oczach krótkowidza i o zwichrzonej zawsze bezbarwnej czuprynie. Słyszał w obwodzie Altajskim jako doskonały lekarz, jakim był rzeczywiście.

Doktor Zass nie pił, nie palił, nie grał w karty, ale miał jedną namiętność, na którą się uskarżała jego żona: był zapalonym myśliwym, pierwszorzędnym strzelcem i doskonałym, szlachetnym sportowcem.

Nasza znajomość zaczęła się od tego, że Zass zaprowadził mnie do swego gabinetu i pokazał zbiory broni myśliwskiej. Były tam strzelby różnego rodzaju, do wszelkiego polowania i, zdaje się, wszystkich bardziej znanych majstrów, a więc czeskie Lebeda, belgijskie Lepage'a, angielskie Scott, Pardey, Lancaster, Holland and Holland, amerykańskie Winchester i Remington, niemieckie Sauera, szwedzkie i francuskie. Pokazawszy mi te skarby i spoglądając na mnie przez okulary, zawołał:

— Wie pan co? Pojedziemy na dropie. Małe już zaczęły latać, a stare samce już się zbierają do kupy!

Naturalnie, zgodziłem się, i za parę godzin mały wózek doktora, zaprzężony w tego karego konia, toczył się dobrą drogą pomiędzy brzołowymi gaikami. Za wózkiem biegł wyżeł. O jakie dwa kilometry od miasta, gdyśmy przejeżdżali przez dużą polanę z wysoką trawą, wyżeł wyciągnął szyję i ogon i zaczął się skradać w stronę krzaków. Zass natychmiast zatrzymał konie i porwał za dubeltówkę. Po chwili z krzaków wyleciało stado młodych cietrzewi. Zass dał dwa strzały i dwa ptaki upadły, lecz doktor zdążył założyć jeszcze jeden nabój i wytrącić ze stadka trzeciego, młodego koguta.

Celność i szybkość strzałów Zassa zadziwiła mnie kilkakrotnie. W swym życiu spotkałem raz tylko strzelca o takiej wprawie i biegłości; był to znany na Syberii właściciel kopalni złota i rekordowy strzelec na standach w Petersburgu i Monaco, K. J. Iwanicki.

Jadąc tak na miejsce głównego polowania, zastrzeliliśmy z Zassem 24 cietrzewie. Wreszcie gaiki brzołowe się skończyły i przed nami odsłoniła się północna część stepów Bajlagag.

Przebywszy niewysokie wzgórza, ujrzyliśmy równinę, na której pasło się stado dropi.

Przez lornetkę można było dobrze rozpoznać te duże szare ptaki na wysokich nogach i z bokobrodami około dziobów. Były bardzo podobne do indyczek, tylko większe i wyższe. Pomiędzy dorosłymi chodziły młode, wesołe, ciągle skacząc i bijąc się. Zdawało się, że, ujrawszy nas, bardzo powoli zaczęły się posuwać, lecz maszerowały takimi krokami, że szybko się oddalały.

Wyszedszy z wózka, wyprzęgliśmy konia, a wyżła uwiązaliśmy do osi.

Gdy koń był wyprzężony, Zass zostawił na nim tylko uzdę, wziął do ręki ramię od niej i kazał mi stanąć z boku tak, abyśmy byli obaj ukryci za tułowiem konia. Potem zaczęła się strategia prosta, ale długa. Doktor tak manewrował, żeby koń zataczał szerokie koło, i w ten sposób okrążał stado. Po pierwszym kole nastąpiło drugie, ale już mniejsze. I tak, zwężając koła coraz bardziej, dotarliśmy do dropiów na jakie 70 kroków. Ptaki zaczęły już zbyt niespokojnie kręcić głowami i przysiadać, przygotowując się do lotu.

— Niech pan strzela, ale dobrze, bo zdąży pan dać tylko dwa strzały! — szepnął do mnie Zass.

Wyskoczyliśmy zza konia i daliśmy ognia ze wszystkich luf naszych strzelb. Zass zabił dwa dropie, ja zraniłem jednego w skrzydło. Nabiegałem się za nim po stepie! Pędził, jak gdyby był strusiem. Długo nie dopuszczał mnie na odległość strzału, aż wreszcie, straciwszy sporo krwi, zmęczony biegiem i bólem, zaczął słabnąć.

Wtedy, znowu strzeliwszy, dobiłem go.

Był to stary samiec, ważący 28 funtów.

Dla takiej zdobyczy warto było przejechać 40 kilometrów i zakurzyć się okropnie. Powracaliśmy już po zachodzie słońca, ale inną, krótszą drogą, bo Zass śpieszył się do szpitala. Przejeżdżaliśmy przez dużą wieś. Gdy zobaczono doktora, zaczęto go prosić, aby wstąpił do jednego domu, gdzie się stało jakieś nieszczęście. Wszedszy, usłyszeliśmy jęki i zobaczyliśmy młodego chłopca w wieku lat 18, z rękami obwiązanymi pokrwawionymi i brudnymi szmatami. Opowiedziano nam, że przed paru dniami chłopiec ów, będąc na polowaniu, postawił nabitą strzelbę kolbą na ziemię i oparł się obiema rękami o lufę. Kurka widocznie przez roztargnienie nie spuścił, więc nastąpił strzał, a nabój śrutu przebił obydwie dłonie, odrywając palce i druzgocąc kości. Obejrawszy rannego, Zass smutnie pokiwał głową i kazał go natychmiast odstawić do swego szpitala.

— Żle z biedakiem — rzekł do mnie w drodze — bardzo źle! Konieczne jest odjęcie obydwóch dłoni, ale obawiam się, czy to już nie za późno!

Tegoż wieczoru Zass amputował ręce nieostrożnemu chłopcu, który nie umiał obchodzić się z bronią, lecz w kilka godzin potem pacjent umarł, gdyż gangrena poszła już dalej i posuwała się z wielką szybkością.

Mieszkając w Barnaule, wraz z kilku znajomymi, robiłem wycieczki za miasto. Podczas jednej z nich zobaczyliśmy smętną postać w zniszczonym ubraniu, przechadzającą się po brzegu Obi. Spostrzegłszy nas, nieznajomy podszedł i poprosił o papierosa, gdyż, jak mówił, nie palił już od trzech dni. Zaczęliśmy go rozpytywać o jego przejścia, i wtedy opowiedział nam historię pospolitą we wszystkich złotodajnych obwodach Syberii. Był on drobnym urzędnikiem poczty. Uciuławszy trochę grosza, postanowił szukać złota i „zrobić od razu miliony”. Ktoś usłużny wskazał mu za 10 rubli „pewne” pokłady „złotego piasku”, on zaś uwierzył, przepracował tam całą wiosnę i lato, „zakopał” swe oszczędności — i nic nie znalazł.

— Cóż będziecie robili teraz? — pytałem tego poszukiwacza złota.

— Wyglądam, czy nie płynie jaka tratwa po Obi. Wsiądę na nią i popłynę do Nowo-Mikołajewska, skąd przedostanę się do Tomsku, aby tam znowu zasiąść na poczcie i skrobać piórem.

— Odechciało się wam milionów! — wykrzyknął jeden z obecnych.

— O nie! — odparł niefortunny milioner, energicznie potrząsając głową. — Zbiorę pieniądze i znowu tu przyjadę, i jestem pewny, że wtedy znajdę złoto!

— Rzykujecie, nie mogąc uprzednio wykonać dobrych robót geologicznych — zauważyłem.

— Trudno! — odrzekł. — Ale ja już to mam we krwi. Zresztą piąty rok spotyka mnie podobny zawód, już się przyzwyczailem, lecz wierzę w swe szczęście!

Poczęstowaliśmy go przekąskami i mlekiem, które mieliśmy z sobą, on zaś opowiedział nam szereg wypadków ze swego awanturniczego życia.

— Pewnego razu — mówił — szukałem złota niedaleko od miasta Kuźniecka, na rzece Tomi. Straciłem wszystko i, mając w kieszeni tylko 50 kopiejek, czekałem na tratwy. Wreszcie ujrzałem małą tratwę z dziesięciu związanych drzew i człowieka, płynącego na niej z prądem. Na kamieniach, ułożonych na dziobie tratwy, płonął ogień, przy którym w kociołku gotowała się herbata. Człowiek sterował za pomocą grubo ociosanego wiosła. Począłem go wołać. Skierował tratwę do brzegu i zacząłem z nim targ. Płynął do Tomska, a za zabranie mnie chciał rubla. Dopiero wtedy, gdy, wyróciwszy wszystkie kieszenie, dowiodłem mu, że jestem posiadaczem tylko półrubla, zgodził się i za tą zapłatą zabrać mnie ze sobą. Popłynęliśmy! Lecz tratwa zbudowana ze świeżo ściętych drzew, przepłynąwszy kilka dni, zaczęła się pogrążyć. W pobliżu Tomska siedzieliśmy już w wodzie, która dochodziła nam pod pachy. Chłopi z nadbrzeżnych wsi drwiąco się nam przyglądali i pytali chytrymi głosami.

— Chłopcy! Na czym to płyniecie!

— Nietrudno było, stojąc na brzegu, wyśmiewać się z takich, jak my, żeglarzy; tymczasem każde bardziej wartkie miejsce lub gwałtowny zakręt rzeki groziły nam zgubą, gdyż z nadludzką siłą musieliśmy się trzymać tratwy, pogrążającej się coraz głębiej. Z nóg, z brzuchów i z rąk od ciągłego moknięcia w wodzie zeszła nam skóra, pewnego zaś razu zawitał do nas nowy pasażer. Był to trup topielca, który, płynąc pod wodą, zaczepił się o nas i odbył w ten sposób spory kawał drogi, ponieważ, zmuszeni trzymać się tratwy, nie mogliśmy odtrącić go od siebie.

Kapitan „tratwy”, spostrzegłszy kościoły Tomska, obejrzał się i rzekł głosem pełnym pogardy:

— Tanio wziąłem od ciebie za ten przejazd!

— Oczywiście, 50 kopiejek — to niedrogo za przepłynięcie 600 kilometrów, lecz, doprawdy, dwie trzecie tej drogi płynąłem, stale łamiąc sobie głowę nad pytaniem, dlaczego właściwie i na zasadzie jakich fizycznych praw nie toniemy i wtedy zrozumiałe były dla mnie pytania chłopów, stojących na lądzie. No, ale się dopłynęło, a to najważniejsze, gdyż po paru dniach już siedziałem na poczcie i przyjmowałem listy polecone, marząc o tych milionach, które mnie nie ominą. Wiem to i czuję, gdyż urodziłem się na milionera!

Mówiąc to, z fantazją puszczał dym z papierosa i z miną pewną siebie popijał mleko z naszej flaszki myśliwskiej.

Takie typy często się zdarza spotykać na rzekach syberyjskich na jesieni. Są to awanturnicy, głowy śmiałe, ryzykanci i marzyciele zarazem. Wielu z nich ginie w kniei syberyjskiej, w falach rzek lub wprost z głodu i z wycieńczenia. Lecz za nimi idą inni, których pociąga urok złota, tej potęgi naszego wieku, w imię której zużywa się tyle energii, pomysowości i zapału.

ROZDZIAŁ IV. PRZED OBLICZEM BOGA

Nareszcie wydostaliśmy się z Barnaułu, gdzie, korzystając z chemicznego laboratorium miejscowego zarządu górniczego, wykończyliśmy niektóre bardziej złożone analizy.

Przewieziono nas promem na prawy brzeg Obi, skąd ruszyliśmy na południo-wschód, do miasta Bijska.

W pobliżu tego miasta Ob się kończy, gdyż tu dwie rzeki, Katuń i Bija, płynące spod lodowców grzbietu altajskiego, łącząc się, tworzą Ob.

Bijsk, typowe syberyjskie miasteczko, posiada tylko 5000 mieszkańców i jest położone bardzo malowniczo na rzece Biji, która wartką, zimną, szmaragdową strugą mknie pomiędzy skalistymi brzegami, porośniętymi gęstym lasem. Spędziliśmy tu zaledwie kilka godzin i wyjechaliśmy do wielkiej wsi, Bielokuricha, odległej o 35 kilometrów od miasta. Tu znajduje się znane ze swych właściwości leczniczych źródło siarczane o temperaturze wody +57°C. Po zbadaniu tego źródła powróciliśmy do Bijska, skąd odbyłem wycieczki samodzielne do miasta Kuźniecka, położonego na Tomi. Wtedy było to straszne odludzie, obecnie zaś Kuźnieck jest ośrodkiem olbrzymiego obwodu przemysłowego, gdyż w obwodzie Kuźnieckim wykryto nieprzebrane pokłady metalurgicznego węgla kamiennego i doskonałej rudy żelaznej. Jeszcze przed rządami sowieckimi rozpoczęto tu wznosze-

nie ogromnych fabryk metalurgicznych i chemicznych, które z czasem niezawodnie będą stanowiły wielkie bogactwo Syberii.

Wtedy zaś zebrałem tylko niewielką liczbę okazów węgla i rudy i dostarczyłem to profesorowi Zaleskiemu do jego zbiorów. W okolicach Kuźniecka zwiedziłem parę kopalni złota, zresztą bardzo ubogich.

Po powrocie do Bijska nie zastałem profesora, który na kilka dni wyjechał do Barnauiu, wezwany telegraficznie w jakiejś sprawie. Skorzystałem z tego, aby nieco zwiedzić Altaj. Wynająłem sobie na kilka dni konia wierzchowego, obładowałem się zapasami myśliwskimi i pojechałem prawym brzegiem Katuni na południe. Droga biegła przez bardzo malownicze miejscowości, pośród lasów sosnowych i gór.

Zimne, wartkie, pełne piany potoki przecinały mi drogę. Lasy były cudowne. Wcale nie było w nich wysokiej trawy, złociste konary sosen dumnie pięły się w górę, gdzie szerokie, wspaniała korony tych drzew szumiały, opowiadając coś tajemniczym szeptem.

W pewnej małej wiosce zatrzymałem się na obiad. Nikogo z dorosłych nie było w domu, gdyż wszyscy wyszli na sianokos. Tylko dzieci i psy błąkały się po jednej ulicy. W jakimś domku znalazłem bardzo starą i głuchą kobietę, której wytłumaczyłem, że chcę jeść.

— Chleba i mleka nie mam, bo gospodarz zamknął spiżarnię — odparła — ale mogę usmażyć rybę.

— Doskonale! — zawołałem. — Smażcie rybę.

— Pietrze! — zawołała baba, wychylając się przez okno — Chodź no tu! Przyjechał gość, biegnij i nałap ryb!

— Co? — krzyknąłem z przerażeniem. — Dopiero teraz łapać? Umrę z głodu do tego czasu...

— Nie, panie, to od razu będzie! — odpowiedziała staruszka, zabierając się do czyszczenia patelni.

Chłopak, może 10-letni, wydobyl ze strychu szopy podłużny kosz, umocowany na krótkim drągu, i skierował się do bramy.

— Czekaaj-no! — zawołałem na niego — Pójdziemy razem.

Chłopak przyprowadził mnie do małego, lecz dość głębokiego potoku, gdzie odnalazł miejsce z urządzonym sztucznie wodospadem. Struga spadającej wody wyżłobiła w skalistej glebie dość głęboki dół. Gdy zanurzyliśmy w nim kosz tak, jak się zanurza łyżkę w misie, a później wyciągnęliśmy i wytrząsnęli, przekonałem się, że staruszka miała słuszość.

Złapaliśmy od razu pięć dość dużych *chajrusów*, czyli pstrągów azjatyckich. Po paru takich połowach mieliśmy w worku zapas doskonałych ryb, dostateczny nawet dla tak zgłodniałego, jak ja, podróżnika. W pół godziny potem już zajaadałem ten przysmak, zanosząc dziękczynne modły do Nieba za to, że w potokach altajskich na zawołanie głodnego podróżnika jest dostateczna ilość ryb, i do tego bardzo dobrych.

Jadąc brzegami rzeki Katuń, natrafiłem na małą wioskę, posiadającą nie więcej niż piętnaście domków. Byłem zmuszony zatrzymać się tam na nocleg. Podjechałem tedy do chaty, która wydała mi się czystsza od innych i poprosiłem o gościnność.

— Proszę! — odpowiedział gospodarz, poważny, sędziwy chłop. — Będzie pan miał towarzystwo, bo tu z Ongudaja przyjechała jakaś pani.

Poprowadził mego konia do stajni, ja zaś, zdjawszy swój skórzany worek, wszedłem do izby. Przy świetle lampy spostrzegłem młodą, ciemno ubraną kobietę o dużych, czarnych oczach i inteligentnej, smutnej twarzy. Gdy się ukloniłem, rzuciła na mnie niechętnie spojrzenie i ledwie kiwnęła mi głową.

Podczas wspólnej z gospodarzami wieszery rozmawiałem z nieznaną i dowiedziałem się, że była żoną inżyniera, z którym przyjechała do Ongudaja — stacji klimatycznej w górach Altajskich, chętnie uczęszczanej przez mieszkańców miast Zachodniej Syberii.

Zdziwiło mnie, że sama przybyła do tej wioski, oddalonej od głównej drogi, ale nie pytałem, bo, zresztą, co mnie to mogło obchodzić?

Pod koniec wieszery otworzyły się cicho drzwi, i wszedł wysoki, chudy człowiek o palających oczach i czarnych, już siwiejących na skroniach, długich włosach, spadających mu na ramiona. Ubrany był w habit mniszy, na piersiach miał srebrny krzyż, zwisający na łańcuchu.

Przeżegnał się i usiadł przy stole. Jakaś trwoga wyjrzała z pełnych uszanowania oczu chłopów, gdy spoglądali na nowego gościa. Ten zaś siedział wyprostowany, nieruchomy i milczący. Obserwowałem go bacznie i nagle spostrzegłem, że oczy mnicha spotkały się ze smutnymi, prawie tragicznymi oczami kobiety, która nagle splonęła rumieńcem, a potem straszliwie zbladła; z kurczowych ruchów cienkich palców mogłem sądzić o jej niepokoju wewnętrznym. Mnich siedział również ze splecionymi palcami, a ścisnął je coraz silniej, aż poczęły trzeszczeć w stawach.

Coś się działo w tej izbie i w tej odludnej wiosce. Lecz co?

Mój instynkt literacki zmusił mnie do pozostania w tej osadzie do chwili rozwiązania dziwnej tajemnicy.

Mnich wypił szklankę herbaty, podniósł się, pobłogosławił obecnych i głuchym, przenikliwym głosem powiedział:

— Jutro niedziela... Będę odprowadzał nabożeństwo...

Jeszcze raz spojrzął ostrym, przejmującym wzrokiem na kobietę, która siedziała z głową nisko spuszczoną, podniósł rękę do błogosławieństwa, szerokim ruchem przeżegnał wszystkich zebranych i wyszedł, szczelnie zamknąwszy drzwi za sobą.

W izbie zapanowało długie milczenie.

Uważnie przyglądałem się obecnym, a myśl pracowała, gubiąc się w domysłach.

— Straszny to mnich! — odezwał się gospodarz z ciężkim westchnieniem.

— Oj, tak! — zawtórowały mu dwie kobiety wiejskie — Straszny!...

— Świątobliwy człowiek! — gorącym, niespodziewanie silnym głosem wybuchła nieznajoma. — Wielką prawdę głosi ten mnich, a jeżeli jest ona straszna, to czyż nasze grzechy nie są stokroć straszniejsze? On, świątobliwy, jeszcze bardziej za nas cierpi!

Podczas tej gorącej mowy uwagę moją zwrócił jakiś cień, który zjawił się w oknie, tuż przy szybie, lecz natychmiast znikł w ciemności. Po chwili zjawił się znowu, a wtedy dojrzałem bladą twarz, nos i przejęte trwogą oczy.

— Pójdę spojrzeć na konia! — rzekłem, wychodząc.

Szybko wybiegiem z podwórka i z poza rogu domu wyjrzałem. Zobaczyłem porządnie ubranego mężczyznę, który, zapatrzony w okno, nie zwracał uwagi, co się wkoło niego dzieje.

Teraz już wiedziałem na pewno, że się dzieje coś bardzo poważnego na tym bezludziu.

Powróciłem do izby i udałem się na spoczynek. Długo słyszałem, jak w tej samej izbie, za przegrodką płakała i modliła się smętna kobieta o tragicznej twarzy; zasnąłem wśród szeptu jej gorących, namiętnych modłów do Boga, który zsyła ukojenie i chęć do życia.

Obudziwszy się rano, napiłem się mleka i, wzięwszy strzelbę, pod pozorem polowania wyszedłem z chaty. Ukryłem się za wsią, w krzakach, na stoku gór i śledziłem. Widziałem, jak gromadka chłopów i kobiet, pobożnie żegnając się, wyszła z domów i skierowała się boczną ścieżką do lasu. Wkrótce po nich wyszła nieznajoma i udała się tą samą drogą. Przeczekawszy, aż wszyscy przeszli, ruszyłem ich śladem. Miałem już za sobą około trzech kilometrów drogi, gdy nagle usłyszałem trzask w krzakach i odgłos kroków. Podniosłem strzelbę:

— Niech pan nie strzela! — rozległ się dźwięczny, inteligentny głos i z krzaków wyszedł człowiek, ten sam, który w nocy podpatrywał pod oknem. Poznałem go po ubraniu i małej bródce, dobrze utrzymanej.

Patrzyłem na niego pytająco. Zrozumiał i z rozpaczliwym ruchem ręki szepnął:

— Nie mogę nic mówić, nie mogę, nie śmiem... ale wiem, że stanie się wielkie nieszczęście!...

Wobec tej rozpaczy i trwogi nie czułem się uprawniony do rozpytywania; częstując go papierosem, spytałem obojętnie:

— Dokąd prowadzi tu ścieżka?

Podniósł na mnie strwożone oczy, lecz odpowiedział:

— Do małej sekciarskiej kaplicy „Skita”, gdzie się będzie odbywało nabożeństwo...

— Do widzenia! — rzekłem i wyszedłem na ścieżkę.

Las tymczasem zaczął głośnie rozmowę, głuchą i groźną. Wiatr kołysał i szarpał wierzchołki drzew. Po niebie sunęła z daleka ciemno-szara chmura, zwiastunka zbliżającej się burzy. Przed nią pędziły powichrzzone i poszarpane białe obłoki, co chwila zmieniając

swe kształty. Gdzieś w gąszczu kwilił krogulec i z krakaniem krążyło ponad lasem czarne stado wron.

Ścieżka, wijąc się pośród lasu, wyprowadziła mnie na obszerne błoto, zarośnięte krzakami i ostem.

Nogi grzęzły w rozmięklej ziemi, a stojące w pobliżu kępy za każdym moim krokiem drżały i kiwały się na wszystkie strony. Nie wątpiłem, że ścieżka przecinała trzęsawisko.

Szedłem jeszcze około godziny, wreszcie trafiłem na obszerną polanę, otoczoną gęstym lasem. Na przeciwległym jej krańcu stała mała kaplica, zbudowana z belek modrzewiowych, już szerniała ze starości, z pochyloną kopułą i z krzyżem na niej.

Kilku wieśniaków, przybywających tu z innej strony lasu, wchodziło właśnie do wnętrza kaplicy. Wszedłem razem z nimi. Mroczno tu było i ciasno, gdyż około pięćdziesięciu ludzi zgromadziło się w małej i niskiej izdebce. Wsunąłem się w najciemniejszy kąt i zacząłem się rozglądać. Przy jedynym malutkim okienku stał stół drewniany z prostych, heblowanych desek, a na nim krzyż mosiężny obok Biblii. W kącie na lewo wisiał zupełnie czarny od starości obraz Chrystusa, przed którym w wiszącym świeczniku jarąły się dwie cienkie woskowe świeceki ledwie dostrzegalnym płomykiem. Ogniste jęczyczki świec to siniały, przygasając, to rozpały się silniej w większe żółte płomyki. Cienie i błyski biegały po obrazie Zbawiciela świata, w wieńcu cierniowym, o groźnym i surowym wyrazie twarzy. Pod wpływem migających światła ożywiały się oczy Chrystusa, nabierały blasku, a usta zdawały układać się w uśmiech bolesny, pełen męki i trwogi.

Chłopi z przerażeniem patrzyli w żyjącą twarz Syna Bożego, coraz częściej padali na kolana i, czyniąc znaki krzyża, bili czołem o podłogę.

Za stołem stał w pozie nieruchomej, jakby z czarnego kamienia wykuty, błądy mnich o pałających oczach i z natężeniem wpatrywał się w okno, coś szepcąc cienkimi wargami. Niedaleko od stołu zauważyłem nieznaną. Klęczała z oczami wlepionymi w podłogę i widocznie się modliła.

Nagle mnich szybkim ruchem zwrócił się do zebranych, objął ich płomiennymi oczami i głosem, budzącym trwogę, rzekł:

— Oto wzrokiem duszy mej widzę zbliżającego się Boga, Twórcę świata i dusz naszych, Boga — czarę wszelkich błogości i dobra; Boga — sędziego za grzechy ludzkie! Módlcie się i proście go wołaniem duszy swojej, ogniem serc waszych, aby zstąpił pośród nas, w żywym ciełe ukazał się nam grzesznym i zezwolił, abyśmy byli przed Jego obliczem!

Powiedziawszy to, zgiął się prawie do ziemi, przybrał postać skuloną i błagalną, wyciągnął przed siebie ręce i wśród rozsypującego się przed nim tłumy skierował się ku wyjściu.

Pozostali zaczęli głośno szeptać modlitwy, padać na kolana, pochylać głowy ku ziemi i wdychać z trwogą i ze skruchą.

— Boże Miłosierny, Boże, Sędzio i Królu dobry! — rozległ się już spoza ścian kaplicy głos mnicha. — Wnijdź do świątyni swojej, gdzie stado Twoje wykona Twoją wolę, gdy wejdiesz do przybytku Twego.

Tłum z zapartym oddechem w piersiach zamarł w oczekiwaniu i strachu. Jakby w odpowiedzi na wołanie mnicha rozległ się głuchy i groźny pomruk lasu, rozkołysanego przez coraz to potężniejsze poddmuchy wichru. Dalekie odgłosy grzmotu dobiegły ciężkimi falami i rozbiły się o czarne ściany „Skita”.

— Tu są słudzy i niewolnicy Twoi — posłyszałem głos mnicha już znacznie bliżej. — Są przygotowani, aby krew swą przelać za grzechy świata dla zmycia śladów wielkich zbrodni!

Znowu dopłynęły i odbiły się od ścian pomruki burzy, dążącej na skrzydłach wiatru.

Po chwili zobaczyłem mnicha; czołgał się na kolanach, twarzą dotykając ziemi i ręką wyciągniętą jakby kogoś niewidzialnego prowadząc za sobą. Doczołgał się do progu świątyni, a nikt z modlących się nie śmiał spojrzeć ku drzwiom, wszystkich bowiem objął potężny, paraliżujący strach mistyczny. Patrzyłem na mnicha. Widziałem, że nikogo nie ma przed nim; pojąłem, że wicher, grzmot, burza i wstrząsany przez nią las odpowiadają na słowa chudego mnicha o płomiennych oczach; lecz jednocześnie czułem, że lęk zakrada mi się do serca, a mózg przestaje pracować logicznie i chłodno.

Spojrzałem na kobietę. Wciąż klęczała, lecz twarz podniosła ku obliczu Chrystusa, a w jej szeroko rozwartych oczach, pełnych łez, nadziei i męki oczekiwania, była taka

wiara, że zaczęło mi się zdawać, iż jestem w zaraniu chrześcijaństwa, w jakiejś ukrytej katakumbie Rzymu za czasów Nerona lub Kaliguli, pośród tych, których nazajutrz szarpać będą na arenie cyrku dzikie zwierzęta i dzicy a okrutni niewolnicy afrykańscy. Tok mych myśli przerwał nagle mnich. Zerwał się na równe nogi, wydał się jakimś olbrzymem; rozpaczliwie wymachiwał rękami, padał na ziemię i znów się zrywał, odbiegał i powracał. Wreszcie chrapliwym głosem jął wołać:

— Odchodzisz?... Na pastwę grzechu i zbrodni porzucasz stado Twoje? ...Nie odchódź! Wielki, Miłosierny! przyjmij ofiarę błagalną!...

Padł raz jeszcze na ziemię, podniósł się, krzyknął przeraźliwie i wbiegł do kaplicy, wołając głosem zdyszonym, stłumionym, lecz pełnym nakazu i woli:

— Ludzie boży, odchodzi od nas Twórca i Król! Znowu zbrodnie, grzechy i ohyda panować będą na ziemi!... Krwią swoją błagajcie Go o przyjście! Krwią!... Spieszcie się! — śpieszczcie!...

Głos mnicha przenikał do głębi duszy, wołał, zabijał wolę, rozkazywał, przeszedł wreszcie w syczący szept:

— Spieszcie się!... śpieszczcie!...

Jęki, łkania i ciężkie westchnienia napępiały niską, duszną izbę.

W Jednym kącie uczynił się ruch. Tłum, depcząc się nawzajem po nogach, szybko rozstępował się przed młodym, wysokim i barczystym chłopem, który, drżąc cały, szedł naprzód do ołtarza, powtarzając jedno tylko słowo:

— Ja!... ja!... ja!...

Raptem stało się coś niespodziewanego. Chłop błysnął szerokim nożem myśliwskim i padł z przerżniętym gardłem, charcząc i rżąc głośno. Krew szeroką strugą połała się na podłogę i wsiąkała w szczeliny.

Mnich stanął przy konającym i krzyknął wysokim, przeraźliwym głosem:

— Padajcie na twarz! Na twarz!... On kroczy, Wielki, Miłosierny Bóg, który krew przyjął za grzechy świata!

Wszyscy padli na ziemię, a w tejże chwili oślepił mnie błysk olśniewający; straszliwy huk i loskot wstrząsnął całą ziemią; zdawało się, podrzucił do góry *skit*; z pułapu posypała się ziemia i kurz, i z brzękiem żalonym rozprysła się w kawałki mała, mętna szyba...

Oczywiście, mnich umiejętnie korzystał z rozpętania żywiołów w celach swej mrocznej propagandy samobójstwa dla zbawienia reszty ludzkości z otchłani grzechu. Lecz tłum tego nie rozumiał i leżał na ziemi, drżąc na całym ciele, bojąc się ujrzeć oblicze Boga i jeszcze raz usłyszeć Jego groźny głos. Ludzie leżeli, wtuliwszy głowy w ramiona i zasłoniwszy twarz rękami, i nie słyszeli, że rżenie samobójcy już ucichło i że ciało jego już się nie miotło i nie drgało, sztywne i nieruchome...

Pierwsza ocknęła się z przerażenia nieznajoma. Z przestrachem patrząc na trupa i unosząc suknię nad kałużą krwi, zaczęła ostrożnie stąpać pośród leżących chłopów. Doszła do drzwi i nagle zaczęła biec, ściskając głowę bladymi dłońmi i od czasu do czasu wykrzykując jakieś niezrozumiałe słowa.

Mnich, spostrzegłszy ucieczkę kobiety, depcząc po głowach i plecach leżących, wypadł za nią i zaczął gonić.

Wyszedłem z kaplicy i widziałem, że ją dogonił; chwycił w objęcia i zaczął okrywać pocałunkami szyję, czoło, twarz, oczy i usta kobiety. Wydarła mu się z rozpaczliwym krzykiem, odtrąciła go i uciekła w stronę lasu. Mnich ją gonił.

Pobiegłem za nimi, aby ją bronić. Gdy już las mnie ogarnął, spostrzegłem, że ktoś przede mną pędzi krzakami, lecz nie mogłem ani razu dojrzeć biegnącego. Na zakręcie ścieżki dostrzegłem mnicha, który, chcąc kobiecie przeciąć drogę, pobiegł na przełaj przez zarośla i kępy trzęsawiska. Nagle rozległ się jego ponury głos, pełen zgrozy i strachu:

— O... o... o... Ratujcie!

Echo leśne długo nosiło od konaru do konaru, od skały do skały to pełne trwogi „O... o... o...”.

Dobiegłem do miejsca, skąd rozległ się krzyk mnicha, gdy nagle huknął strzał. Zapadając się głęboko w torfowisko, z trudnością przedzierałem się przez krzaki i — nagle skamieniałem z przerażenia.

Przedemną była mała polana, porośnięta jaskrawo-zielonym mchem.

Trzęsawisko wciągnęło już było człowieka do swej otchłani; na powierzchni pozostawała tylko blada twarz mnicha: szeroko rozwarte, błagające oczy i skrwawione czoło, strzaskane wystrzałem. Po chwili znikła ta twarz straszliwa, a na jej miejscu wystąpiła mała kałuża czarnej wody z pękającymi na niej pęcherzykami.

W krzakach stał człowiek, którego wczoraj widziałem pod oknem chaty, dziś zaś spotkałem w lesie. Trzymał w ręku dymiący karabin i wzrokiem pełnym nienawiści patrzył na czarną plamę wody na zielonym, zdradliwym kobiercu trzęsawiska.

Podniósł głowę, i oczy nasze się spotkały.

— Sąd był straszliwy i surowy, ale ręka ludzka musiała dosięgnąć zbrodniarza — szepnął nieznamy.

Długo staliśmy w milczeniu, przeżywając różne myśli i wrażenia. Pojmowałem, że ten pólobłąkany mnich, oszukaniec, założyciel ponurej sekty samobójców, kaznodzieja, żądający krwi pobożnych dla zmycia grzechów świata i prześladowający cichą, smutną kobietę, porwaną Jego mistyczną siłą i wymową, zasłużył na karę śmierci. Lecz miałem jeszcze wątpliwości...

Po długim milczeniu zapytałem.

— Dlaczego pan to uczynił?

— Jestem mężem tej kobiety. — odpowiedział z jękiem.

Las szumiał trwoźnie. Czuję w całej naturze niepokój, który, jak bojaźliwy, ostrożny zwierz czaił się w kniei, pośród kęp tej otchłani, ukrytej pod pokrowcem z zielonych mchów, wodnych roślin i gęstych krzaków. Jakiś mały ptaszek żałośnie piszczał, kruk krakał, skrzypiało złamane przez burzę drzewo, i nagle bagno odezwało się jakimś głosem okrutnego i dzikiego triumfu. Myśli mknęły przez mózg ze straszliwą szybkością; zrodziło się i utrzymało jeszcze niesformułowane postanowienie.

Wreszcie spojrzałem w twarz bladego człowieka o nienawistnych oczach i rzekłem:

— Byłem na polowaniu przez cały dzień. Nic i nikogo nie spotkałem...

Odwrociłem się i poszedłem przez krzaki ku ścieżce...

— Dziękuję!... — dobiegł mnie gorący, przenikliwy szep.

Upadły pierwsze krople deszczu. Szybko szedłem leśną ścieżką, zdążając do domu. Tego samego dnia wyjechałem z wioski, którą obrał był sobie za siedzibę krwawy sekciarz, Stefan Koleśnikow, mnich, zbiegły z jakiegoś klasztoru.

Poza mną pozostała smutna twarz, tragiczne oczy kobiety i drżący z nienawiści surowy sędzia.

Gdy wyjechał za ostatnie zagrody wiejskie, z lasu, od trzęsawisk wiatr przyniósł mi jakieś głosy, wołanie, czy jęk — „o... o!”

Lecz było to echo wspomnień i przeżyć dnia minionego.

ROZDZIAŁ V. PRZED WIECZNYMI LODOWCAMI

Po tych zdarzeniach w małej wiosce, jechałem dalej brzegiem Katuni w silnej rozterce duchowej.

Nic mnie nie cieszyło, chociaż pogoda była prześliczna, natura bogata, a widoki cudowne. Przez cały dzień nic nie jadłem i tego dnia dojechałem do Ongudaju.

Jest to duża wieś, malowniczo położona na prawym brzegu wartkiej Katuni, do której z szumem wpadają pełne piany i wirów duże potoki, skacząc przez zwały kamieni i biegnąc z pod wiecznych śniegów głównego grzbietu wielkiego Ałtaju. Przyjechałem już po zachodzie słońca. Przede mną w południowej stronie wznosił się pod obłoki szczyt Bielucha, pokryty śniegiem i zaróżowiony ostatnimi promieniami słońca.

W Ongudaju było tłumnie i gwarno, gdyż wszyscy letnicy wylegli na ulicę i w ten cichy, ciepły wieczór podziwiali cudowny zachód słońca i piękną Bieluchę, tę królową malowniczego Ałtaju, w różową przystrojoną szatę.

Spotkałem tu znajomych z Barnaulu i u nich zanocewałem. Nazajutrz przybył z żoną inżynier, którego dom stał obok.

Tegoż dnia zapoznałem się z nimi. Byli to ci sami ludzie, którzy brali udział w ponurej tragedii leśnej, na wijącej się po trzęsawisku ścieżce, gdzie ich mękę i walkę widział tylko Bóg, Najwyższy Sędzia, Natura — i ja!

Przebyłem w Ongudaju trzy dni, które spędziłem na polowaniu w towarzystwie inżyniera Wolskiego i pewnego miejscowego Tatar.

Za Ongudajem góry zaczynają szybko wznosić się na znaczną wysokość i zmieniają się w prześliczne łąki alpejskie, gdzie nietrudno spotkać jeleni i ich wrogów — niedźwiedzi. Wchodząc na jedną górę, natrafiliśmy na obszerną łąkę, porośniętą wysoką i soczystą trawą. Wolski uważnie badał miejscowość przez lornetkę polową i wkrótce ruchem ręki wezwał mnie do siebie. Gdy się zbliżył, dał mi lornetkę i kazał patrzeć w stronę gęstych zarośli rododendronów, którymi od południa była zakończona obszerna łąka. Badałem uważnie miejscowość i naraz omal nie wydałem okrzyku radości: w gęstej trawie stał, spokojnie żując trawę, wspaniały jeleni o rozłożystych rogach, drugi leżał na ziemi, a z krzaków — wystawały rogi trzeciego. Odległość pomiędzy nami i jeleniami wynosiła więcej niż 5000 kroków. Trzeba więc było się skradać.

Rozpoczęliśmy tę trudną część polowania. Należało wznieść się na wyżej położoną płaszczyznę, a tam, dopełzszy do krzaków, przeczołgać się pomiędzy nimi co najmniej 3000 kroków, aby już mieć szanse dokładnego celu i strzału. Czołgaliśmy się w gęstej trawie i twardych krzakach, drapiąc sobie niemilosiernie ręce i twarze. Lecz pełzliśmy widocznie dobrze, gdyż żaden z jeleni nawet głowy w naszą stronę nie zwrócił. Co prawda dopomógł nam wietrzyk, dmący od strony zwierząt. Ostatecznie podrapawszy sobie twarze, pokrwawieni i zmęczeni, zatrzymaliśmy się wreszcie o jakieś 1200 kroków od jeleni, będąc o 20–25 metrów wyżej od nich. Położywszy karabiny na gałęziach krzaków i jednocześnie wypaliwszy, wydaliśmy okrzyk triumfu: wszystkie trzy jelenie leżały bez ruchu śmiertelnie ugodzone.

Po chwili wszakże jeleni, leżący w krzakach, gwałtownie się poruszył i widzieliśmy, że krzaki poruszały się coraz dalej i dalej. Widocznie ten był raniony i, nie mogąc się podnieść, czołgał się przez zarośla.

Skacząc przez krzaki i kamienie, pędziliśmy ku zabitym jeleniom. Dwa leżały martwe, lecz trzeciego nigdzie nie było. Pomięta trawa i połamane krzaki wskazywały drogę, którą się czołgał; znaleźliśmy nawet na trawie kilka wyraźnych krwawych plam, lecz nagle wszelkie ślady znikły. Oglądaliśmy się ze zdumieniem.

— Co u licha? — mrucał Tatar. — Przecież jeleni nie zamienił się w parę?

Lecz rozglądając się na wszystkie strony, Wolski nagle krzyknął:

— Patrzcie! patrzcie tam, pod górą!

Zrozumieliśmy wszystko. Spadkiem niezbyt stromej góry biegł duży niedźwiedź, niosąc jelenia, zarzuconego na grzbiet. Widocznie czatował na nie, a po naszych strzałach porwał najbliższego i zaczął go wlec przez krzaki; wyszedłszy zaś na miejsce gładkie, zarzucił sobie zdobycz na grzbiet, zeskoczył z nią na dół i biegł w stronę lasu.

— Draniu jeden! — zawołał Tatar. — Skradłeś mi zdobycz — porachujemy się!...

Pędem zaczął biec śladem uciekającego rabusia, robiąc tak duże skoki z wielkiej wysokości, że co chwila obawialiśmy się o jego życie. Lecz tubylec, przyzwyczajony do gór, był silny, lekki i zwinny jak baran skalny, nie potknął się nawet ani razu, a odległość między nim a niedźwiedziem-bandytą, obarczonym ciężkim łupem, zmniejszała się szybko.

Wreszcie Tatar, nie dobiegłszy nawet na 2.000 kroków, zatrzymał się, szybko wymierzył do niedźwiedzia i strzelił. Niedźwiedź jednak biegł dalej, przyspieszwszy kroku. Tatar pomknął za nim. Drugi raz strzelił z odległości zapewne 1.000 kroków; wtedy niedźwiedź potknął się i wypuścił jelenia, rycząc i szarpiąc z wściekłością trawę i ziemię. Tatar szybko nadbiegał i już z bliska strzelił po raz trzeci i ostatni.

Trzy jelenie i niedźwiedź — oto były trofea myśliwskie tego dnia. Straciliśmy dużo czasu na chodzenie do pobliskiej wsi, aby wynająć wozy i przywieźć naszą zdobycz do Ongudaja, dokąd przybyliśmy dopiero wieczorem.

Tak świetne polowanie bardzo nam się podobało, więc nazajutrz wyruszyliśmy znowu. Przejeżdżając przez małą wioskę, zamieszkałą przez Kara-Tatarów, zatrzymaliśmy się dla zmiany koni.

W hacie, oprócz gospodarza, był mały, chudy Tatar o twarzy zeszpeconej przez ospę. Zająkliwym głosem prosił on, byśmy go za rubla wzięli z sobą, ponieważ zna miejsce, gdzie blakają się trzy niedźwiedzie, jeden z nich bardzo duży, stary i złośliwy.

Odpowiedzieliśmy, że jest za stary i za słaby na tak ciężkie polowanie, lecz on przeczył temu i na dowód, że będzie nam pożyteczny, oznajmił, iż nosem może zwęszyć niedźwiedzia, a gospodarz, wójt wsi, potwierdził to.

Odmówiliśmy jednak Tatarowi tej przyjemności i daliśmy mu na pociechę 20 kopiejek. Z pogardą odmówił przyjęcia datku i swym jęklwym głosem jął mruzczeć:

— Nie będzie powodzenia, nie będzie! Jestem szamanem i wiem, widzę to! Spotkacie niedźwiedzie, jednego, dwóch, trzech... tak trzech, a nie zabijecie żadnego... Stratę mieć będziecie... większą od rubla... większą od rubla!...

Wolski zawołał ze śmiechem:

— Słuchaj, stary! Jeżeli spotkam niedźwiedzia, nie bój się — nie chybię, chociażby w tobie siedziało pięciu szamanów i 25 *szejtanów*⁷⁶, bo strzelać umiem. Patrz!...

Mówiąc to, wychylił się przez okno i wycelował ze swego karabinu do siedzącego na drzewie gołębia. Rozległ się strzał, i gołąb, jak kamień, spadł na ziemię.

Lecz i szaman nie dał za wygraną. Wyjął z zanadru odłamek kamienia z jakimiś znakami i dotknął nim naszych karabinów.

— Źle będzie, źle będzie! — zamruczał i, gniewnie sapiąc, wyszedł z izby.

Tymczasem podano nam konie, i pojechaliśmy dalej, do ujścia potoku Szurmak, gdzie zaczynały się lasy niegęste, lecz pełne mchów i dzikich jagód — miejsce, ulubione przez niedźwiedzie, jak nas objaśnili jeszcze w Ongudaju starzy, wytrawni myśliwi.

Pozostawiwszy tam nasz wóz, ruszyliśmy do lasu. Zaszliśmy już bardzo daleko, gdy nagle zobaczyliśmy niedźwiedzia, który wspinał się po stoku do góry.

Pobiegliśmy tam, lecz drogę przegrodziło nam grząskie błoto, przez które nie mogliśmy w żaden sposób przebrnąć. Niedźwiedź zemknął. Po długiej włóczędze po lesie Wolski spotkał dwa niedźwiedzie i nawet na bliską odległość. Był pewny, że oba, jak mówił, „ma już w swej torbie myśliwskiej”. Wymierzył do jednego i strzelił, lecz kula utkwiała w lufie, gazy wyrwały zamek i skaleczyły myśliwego w ucho, sam on zaś od wstrząśnienia potknął się i upadł, łamiąc przy tym kolbę karabinu. Ja wcale nie spotkałem niedźwiedzia.

— Przeklęty szaman! Czemu nie daliśmy mu rubla!

Stawałem się najwyraźniej przesądnym. Zresztą wszyscy myśliwi pełni są przesądów i nie stanowią pod tym względem wyjątku. A kto nie jest przesądny, ten nie jest sportowcem-myśliwym, gdyż należy to do kategorii rozkoszy myśliwskich.

W tym wypadku przemawia już atawizm.

Myślistwo to cecha pierwotnego człowieka, a pierwotny człowiek, dziecień natury, nie może nie być przesądnym i zabobonnym.

Straciwszy dwa dni na to zakłęte przez Szamana polowanie, z uszkodzonym i połamanym karabinem powróciliśmy do Ongudaju, gdzie już czekał na mnie list od profesora Zaleskiego, wzywający mnie do Barnaulu.

ROZDZIAŁ VI. JAK UCIEKŁEM OD SWOJEJ... ŻONY

Zastałem profesora w bardzo złym humorze. Dostał on z Petersburga polecenie zwiedzenia jeziora Czany, położonego w pobliżu miasta Kainsk. Jezioro to miało być głównym wodozbiorem dla osad kolonistów, przysyłanych z Rosji Europejskiej, tymczasem rząd nie miał ścisłych wiadomości co do charakteru wody tego olbrzymiego basenu. Były jeszcze inne polecenia, które zmieniły plany profesora co do zwiedzenia jezior mineralnych, położonych w pobliżu Irtysza i na drugim brzegu tej rzeki, przecinającej stepy, należące do Wielkiej i Małej Hordy Kirgiskiej.

Trzeba było szukać różnych drobnych jeziorek, o których nie mieliśmy pojęcia, byliśmy tedy zmuszeni starać się o przewodnika. Lepszego jednak od naszego Sulimana nie mogliśmy znaleźć, więc postanowiliśmy wpaść na Kulundę i odnaleźć Kirgiza.

Odnaleźliśmy go bardzo prędko, gdyż koczował wtedy pomiędzy Barnaulem a Kulundą, we wschodniej części stepu. Ucieszył się bardzo na nasz widok i z radością przyjął naszą propozycję; zasmuciła go tylko wiadomość, że, dojechawszy do miasta Kainska, zamierzamy następnie powrócić do Petersburga. Poprosił nas o kilka godzin czasu na załatwienie własnych interesów i odjechał. Powrócił zaraz po zachodzie słońca i przyprowadził z sobą młodego wielbłąda, którego ofiarował mi bardzo ostentacyjnie, jako

⁷⁶*szejtan* — diabeł. [przypis autorski]

wiernemu „Kunakowi”. Z trudnością udało mi się przekonać go, że nie mogę jechać do stolicy z takim bydłem, i że w Petersburgu na ulicach wszystkie konie powścikałyby się, gdybym wyjechał na swoim wielbłądzie.

Zrozumiał i nie nalegał.

Nocowaliśmy we wsi Kulundzie, ale i w nocy zauważyłem, że Sulimana nie ma w izbie. Zapytałem gospodarza, gdzie jest. Odpowiedział, że Kirgiz odjechał na wielbłądzie. Rano jednak, gdyśmy się obudzili, Suliman zjawił się z raportem, że wóz jest już zaprzężony, nasze kufry i worki złożone i uwiązane, i że możemy jechać.

Po herbacie ruszyliśmy w drogę. Na przodzie, na dobrym bułanym źrebku jechał Suliman, obok zaś wozu, trzymając się stale mojej strony, harcował Kirgiz-podłotek o pięknej, śnieżnej twarzy i o rozmarzonych, szeroko otwartych oczach. Wkrótce stwierdziłem, że chłopiec, na zlecenie Sulimana, obsługiwał wyłącznie mnie. Z wielką starannością i tkliwością nalewał mi herbatę i nakładał jedzenie, pakował moje rzeczy, strzepywał kurz z ubrania i z butów i biegł po wodę do picia i mycia.

Wieczorem, gdy na popasie przygotowywał dla mnie pościel i koło poduszki położył pęk kwiatów polnych, spytałem zdumiony, czy to Suliman kazał mu służyć mi tak rozczulająco.

— Tak, panie! — odparł chłopiec dźwięcznym głosem. — Ale ja czynię to z radością, bo jestem teraz twoją *hanum* — pierwszą żoną.

Usłyszawszy to, drgnąłem: wyobraziłem sobie rozpacz mej matki na widok mojej „pierwszej żony” i drwiące miny kolegów. Położenie było bardzo głupie, czułem zaś, że wykręcić się od *hanum* przyjdzie mi z większym trudem, niż od wielbłąda.

Naradziwszy się z profesorem, który bardzo lekko potraktował tę moją nową przygodę, wezwałem Sulimana na rozmowę.

— Co znaczą słowa chłopca? — pytałem go głosem surowym.

— Jakiego chłopca? — odpowiedział pytaniem na pytanie, wzruszając ramionami. — To jest Bibi-Ajne, moja młodsza siostra. Kazałem jej być twoją *hanum*, Kunaku, bo daruję ci ją, jak darowałbym ci wielbłąda, konia lub psa. Bibi-Ajne odtąd jest twoją niewolnicą, rzeczą. Ma 13 lat i jest najpiękniejszą wśród naszych dziewczyn. Bierz ją i bądź szczęśliwy!

Długo i ostrożnie próbowałem uchylić się od tego podarunku, lecz Suliman na wzmiankę o odmowie chwytł za nóż.

— To byłaby zniewaga i hańba dla całego narodu, kunaku! — wołał, błyskając oczyma. — Tylko krwią moglibyśmy ją zmyć! Kunaku, nie czyn tego! Weź lepiej dziewczynę, zaprowadź nad jezioro i wrzuć do wody! Masz prawo, bo to twoja rzecz, ale nie odmawiaj! Nie odmawiaj, kunaku!

Suliman prosił, kłaniał się i składał ręce, jak do modlitwy, a „moja żona” tymczasem ubierała kwiatami uprzęż koni, które miały wieźć jej władcę i pana, czyli mnie!

Nie spałem przez całą noc, myśląc, co mam czynić z tym fantem i żałując, że nie ma w pobliżu głębokiego jeziora: wrzuciłbym do niego Sulimana, a dziewczynę wyprawiłbym do domu, dawszy jej, jako *katym*, czyli wiano, parę funtów karmelków ze sklepiku wiejskiego.

Ale co robić? Co robić?

Ta myśl prześladowała mnie przez cały czas badań na jeziorze Czany, gdzie wykryliśmy bardzo ciekawe zjawisko. Jezioro to ma wodę słoną, pozbawione jest ryb, i tylko północno-zachodnia jego zatoka posiada wodę słodką, obfitującą w wielką ilość karpia, linów, szczupaków i okoni.

Czany jest zarośnięte gęstymi trzcinami i otoczone błotami, gdzie gromadzą się dzikie kaczkami, a nawet gęsi, które się tu zatrzymują w czasie przelotu na północ. Bardzo często chodziłem na polowanie, a za każdym razem moja nieproszona *Hanum* zrywała się, aby mi towarzyszyć. Nie pozwalałem na to ku wielkiemu niezadowoleniu Sulimana i ku rozpacy Bibi-Ajne.

Wreszcie pewnego dnia przyłapała mnie, gdym powracał z polowania, obładowany kaczkami i zdejmując ze mnie worek z ptakami, swym śpiewnym głosem rzekła:

— Mój pan wciąż się gniewa na Bibi?

Poczułem, że zbliża się stanowcza rozprawa, i aż mi się zimno zrobiło!

— Ja się nie gniewam na ciebie, dziewczynko — odparłem, śmiechem pokrywając swe zmieszanie.

Żona

— Nie jestem dziewczynką, skoro ojciec i brat dali mnie tobie za *hanum*! — zawołała z gniewem.

— Nie jesteś mi przecież żoną! Moja wiara zabrania mi żenić się z mahometanką, Bibi.

— Jestem twoim psem i niewolnicą, chcę się modlić do twego Boga, jak ty się modlisz! — powiedziała, spuszczać swoje śliczne oczy.

Bibi-Ajne zdobyła mój pierwszy fort obronny. Z całej duszy wołałem na pomoc kogoś nieznanego. Lecz na stepie nie było nikogo, do obozu zaś naszego pozostawało nie mniej niż pięć kilometrów.

Tymczasem uroczą i wdzięczną Kirgiska szła obok mnie, a jej głośny oddech i rozdymające się nozdrza świadczyły o wzburzeniu i stanowczości.

— *Hanum* pyta cię, mój panie, czy ci się podoba? Czyż nie jestem piękna, zwinna i silna? Czy mój śpiew i moje tańce nie wzruszają twego serca, panie mój? Odpowiedz, bo nie wiem tego i płaczę po nocach. Patrz, już prawie wypłakałam sobie oczy! Szczególnie to lewe oko!... Patrz!

Podniosła się na palcach i spojrzała mi w twarz swymi „wypłakanymi oczyma”, szczególnie tym lewym okiem, które błyszczało jak kryształ i, naturalnie, wcale nie było wypłakane.

Spuściłem oczy i pogłaskałem dziewczynkę po włosach.

— Wszystko dobrze! Oczy twoje połyskują jak gwiazdy, mała Bibi! — rzekłem.

— A! — klasnęła w dłonie, rzuciwszy worek na ziemię. — To znaczy, że oczy moje podobają się memu panu?

— Bardzo! — wypaliłem nieostrożnie, przyzwyczajony mówić kobietom tylko rzeczy przyjemne, szczególnie, gdy się same tego dopraszają.

— Taka jestem szczęśliwa! — wołała Bibi, skacząc, jak koza. — Weźmiesz mnie ze sobą do dużego miasta? Będę twoją *hanum*?

Boże Wielki! Proroku Mahomecie! Znowu pytania!...

Milczałem, a *hanum*, już zupełnie uspokojona, jęła mi opowiadać:

— Wymówić się od dziewczyny, którą dają jako *hanum*, znaczy to samo, co skazać ją na śmierć, bo nikt jej więcej nie poślubi i będzie ona zmuszona zabić się, ratując się przed drwinami i pogardą. U Kirgizów tak się dzieje od pradziadów! Wtedy tylko hańba nie spada na głowę niedoszłej *hanum*, gdy mężczyzna odejdzie, a oczy porzuconej dziewczyny nie zobaczą go w chwili, gdy koń lub wóz ruszy. Wtedy dziewczyna rozplata warkocze, i chodzi tak przez trzy dni, a później wyrывa cztery włosy i rzuca je w tę stronę, w którą odjechał mężczyzna. Z włosami wraz znikną i wspomnienia o nim, i *hanum* staje się zwykłą dziewczyną i może być oddana innemu.

Już widać było dym naszego obozu. Przyspieszyłem kroku, aby uniknąć dalszej rozmowy, a szczególnie pytań.

— Odjechać tak, aby oczy Bibi mnie nie widziały w chwili odjazdu! Ta myśl mnie nie porzucała. Ale jak to uczynić? W stepie wszędzie dojrzą mnie bystre oczy Bibi-Ajne i Sulimana. A nie chciałem, by dziewczynę spotkało co złego z mej przyczyny, jeżeli jej nie przyjmę.

A więc uciekać, uciekać!

Myśl ta stała się moją manią. Zapewne marszałkowie Pershing⁷⁷ i Foch⁷⁸ nie myśleli o strategii więcej i uporczywiej przed walnymi bitwami z Niemcami, niż ja przed ucieczką od ślicznej jak wiosna, i śmiałej jak wiatr stepowy Bibi-Ajne, gwałtem mi narzuconej żony-*hanum*.

Wreszcie skończyliśmy nasze prace na Czanach i ruszyliśmy w stronę miasta Kainsk, które leży przy kolei Syberyjskiej.

Suliman i Bibi oka ze mnie nie spuszczały i nie odchodzili ode mnie ani na chwilę, widocznie obawiając się, że mogę zemknąć.

Przed czasem nie mogłem nic mówić profesorowi, gdyż był roztargniony i gadatliwy i mógł pokrzyżować wszystkie plany, które już dojrzewały w mej głowie.

⁷⁷Pershing, John (1860–1948) — amerykański dowódca wojskowy, uczestnik I wojny światowej. [przypis edytorski]

⁷⁸Foch, Ferdinand (1851–1929) — dowódca francuski okresu I wojny światowej. [przypis edytorski]

Przybyliśmy na stację kolejową na godzinę przed przyjściem pociągu. Odciągnąłem na stronę profesora pod jakimś usprawiedliwionym pozorem i poprosiłem go, aby ciągle dawał jakieś zlecenia Sulimanowi i dziewczynie.

Nadszedł pociąg. Na peronie rozpoczęła się bieganina, wrzawa i tłok, który zupełnie ogłuszył dzieci stepu — Kirgizów.

Na to ogromnie liczyłem.

Kręciłem się stale przy Sulimanie i przy jego siostrze, niczym nie zdradzając swych nikczemnych zamiarów. Byłem zewnętrznie zupełnie spokojny i zrezygowany. Kupiłem w sklepiku przy stacji srebrną bransoletkę z zielonymi uralskimi chryzolitami i podarowałem ją Bibi-Ajne, a jej bratu, memu kunakowi i... szwagrowi, takż pierścionek.

Oboje nie posiadali się z radości, wykrzykując z podziwu i zachwytu i pokazując sobie wzajemnie piękne upominki. Zdawało się, że na chwilę zapomnieli o „swoim mężu i szwagrze”. A ten zdrajca uważnie śledził za wskazówką zegara na peronie.

Do odejścia pociągu pozostawało pięć minut... trzy... dwie...

Pokazałem kirgiskiej parze błyski kamieni, jeżeli je trzymać wprost pod promieniami słońca.

Krzyknęli z zachwytu i zdumienia!

Ja tymczasem zmieszałem się z tłumem, obiegłem pociąg i stanąłem przy stopniach innego wagonu niż ten, w którym już najwygodniej w świecie rozlokował się profesor, ale nie od strony dworca, lecz od strony plantu.

Dzwonek, gwizdek — głębokie westchnienie lokomotywy, pierwsze drgnienie pociągu i turkot kół... Wskoczyłem do wagonu i zacząłem się tak, jak gdybym skradał się do jelenia. Lecz w tym wypadku ja byłem upatrzoną zdobyczą, a więc tym staranniej ukryłem się pomiędzy tobołami i tłumem podróżnych III klasy.

Mignęły mi ostatnie zwrotnice stacji, ostatnie latarnie, ostatnie zabudowania... Nie siadłem jednak od razu do wagonu, gdzie był profesor, gdyż obawiałem się śmiertelnie, że ujrzę obok niego słodko uśmiechniętą twarzyczkę mojej *hanum*. Wszedłem dopiero na następnej stacji. O szczęście! Hanum nie było! Moje chryzolity uratowały mnie. Suliman i Bibi pewno jeszcze przyglądali się błyskom i grze światła, gdy pociąg odszedł, i *hanum* nie widziała w chwili ruchu pociągu twarzy zdrajcy „męża”.

Miła, śliczna Bibi-Ajne! — myślałem tegoż wieczora. Teraz rozplatasz swe czarne warkoczki, sandałem i piżmem uperfumowane, i wrywasz z nich cztery włosy, aby je rzucić na wszystkie strony świata i zabić wspomnienie o mnie. Nie gniewaj się na mnie! Jesteś prześliczna, cudna, zwinna i wiotka, śpiewasz jak skowronek stepowy, tańczysz jak hurysa⁷⁹ raju, doskonale przyszywasz guziki i wspaniale robisz na węglach szaszłyki i azu⁸⁰, jak żadna inna kobieta! Ale nie mogłem wziąć cię za żonę, bo najpierw jesteś niepiśmienna i co byś robiła z uczonym i nudnym mółem papierowym, a po wtóre, co by powiedziała moja mama, taka wymagająca, dobrze wychowana i nie lubiąca, żeby z niej żartowano. *Good bye*, miła, mała Bibi-Ajne. Bądź szczęśliwa!

W parę dni później byłem już w Petersburgu, a moja matka, zobaczywszy mą szczer-
niałą, opaloną twarz i zgrubiałe ręce, roześmiała się i zauważyła głosem żartobliwym.

— Coś w tobie jest teraz tatarskiego!

— Aha! — zawołałem w duchu. — Co byś Ty, mamusiu, powiedziała, gdybym zawiał do Ciebie z piękną Bibi-Ajne, moją niedoszłą *hanum*?

A co by to było, co by uczyniła moja terazniejsza prawdziwa *hanum*, której podarowałem nie chryzolity, ale serce i duszę, i którą uważnie śledzę, aby nie wyrwała ze swych cudnych kasztanowatych włosów tych czterech czarownych i nie rzuciła ich na wszystkie strony świata?!

⁷⁹*hurysa* — w *Koranie*: piękna i wечно mloda dziewczica, nagroda dla wiernych w muzułmańskim raju; przen.: piękna kobieta. [przypis edytorski]

⁸⁰*szaszłyki i azu* — tubylcze potrawy z baraniny. [przypis autorski]

CZĘŚĆ CZWARTA. WYSPA PRZEKŁĘTA

ROZDZIAŁ I. NIEDOSTĘPNY BRZEG

Na oceanie Spokojnym leży duża wyspa, Sachalin, oddzielona od kontynentu Azji i od posiadłości rosyjskich Cieśniną Tatarską, szerokości 80–100 kilometrów.

Dwa lub trzy razy do roku płynęły do zachodnich brzegów Sachalinu okręty rosyjskie z Odesy. A dziwny bardzo wygląd miały te parowce. Na pokładzie nie można było ujrzeć podróżnych, gdzieś tylko tkwił żołnierz z bagnietem, a na maszcie powiewała ciemna chorągiew z jakimiś literami. Jeżeli przy spotkaniu takiego statku gdzieś około Kolombo czy Szanchaju widz mógł przedostać się na jego pokład, byłby niezawodnie uderzony ponurym brzękiem łańcuchów i niemilknącym ani w dzień, ani w nocy huczeniem w środku okrętu, który przypominał ul pszczelny.

Tylko owe „pszczoły” nie były wolnymi owadami, które mogą swobodnie przecinać powietrze w dowolnym kierunku, lecz byli to ludzie ze skutymi rękami i nogami, często po pięciu przykuci do jednego łańcucha, mieszkali zaś w klatkach żelaznych i byli strzeżeni przez ordynarnych, rozbawionych żołnierzy z karabinami w ręku.

Statki przewoziły z Odessy na Sachalin najcięższych przestępców kryminalnych: zabójców, bandytów, podpalaczy i recydywistów. W Odessie, południowym porcie Rosji, zbierano wszystkich osądzonych na wygnanie zbrodniarzy i wyprawiano na Sachalin, miejsce dożgonnego wygnania i „katorgi”, czyli przymusowych robót ciężkich. Przejazd statkiem tych ludzi, skutych w kajdany, zamkniętych w żelaznych klatkach mężczyzn i kobiet, był czymś, co przypominało najstraszniejsze sceny z piekła Dantejskiego. Burze na oceanach, skwar pod zwrotnikiem, zimno w północnej części Oceanu Spokojnego, przechodzące najbujniejszą wyobraźnię, brudy, znęcanie się nad tymi bezbronnymi, obywatelnymi ludźmi — wszystko to wytrącało z ich szeregów dziesiątki, a czasem setki ofiar. Dla rządu było to nawet okolicznością pożądaną, gdyż zmniejszało jego wydatki i pozbawiało kłopotu.

Wreszcie statek wpływał w cieśninę Tatarską i zatrzymywał się niedaleko od brzegu, około jednego z dwóch punktów administracyjnych; Due lub Aleksandrówka. Spuszczano łodzie i wylądowywano podróżnych, wymęczonych i chorych, oraz ich skromny dobytek.

Morze w cieśninie jest zawsze burzliwe, a fale rzucają czołnami; nieraz dwóch skutych razem aresztantów wpadało do wody, a nie bardzo się zwykle śpieszono z ich ratunkiem; węzłki i skrzynki z różnymi łachmanami, parą zapasowych butów, z tytoniem i zapalnikami były zawsze zmoczone, a czasem nawet porwane przez szalejące bałwany. Łodzie z trudnością dobijały do brzegu, przy którym szczególnie wściekały się fale, bijące w wysokie i strome skały.

Żadnego portu lub chociażby przystani dla statków i łodzi rząd rosyjski podczas władania Sachalinem wybudować nie potrafił.

Pasażerów wypychano kolbami na brzeg i otaczano zewsząd najeżonymi bagnietami. Na komendę ci ludzie, grzesznicy, lecz i męczennicy zarazem, wyruszali do głównego zarządu więziennego, jednej z dwóch osad rządowych, gdzie ich spisywano i wyznaczano do określonych więzień i na pewne roboty przymusowe, często przykuwając ich łańcuchem do taczki lub wozu.

Od tej chwili osadzie przybywał nowy mieszkaniec. Osady te były wszystkie jednego typu, gdyż składały się z zarządu karnego, cerkwi, koszar żołnierskich, z paru sklepików i kilku dużych więziennych budynków, ponurych i strasznych, gdyż pełnych troski, tęsknoty i męki tysięcy ludzi, wykreślonych ze społeczeństwa, faktycznie pozbawionych wszelkich praw człowieka i obywatela.

Poza tym cała wyspa była prawie niezaludniona. Mówię prawie — gdyż istniały tam jeszcze kopalnie doskonałego węgla metalurgicznego, dla którego zwiedziłem tę przekłętą wyspę, przy kopalniach zaś, gdzie pracowali wyłącznie zesłańcy, wzniesiono czasowe więzienia dla przymusowych robotników. Byli jeszcze nieliczni osadnicy, rozrzućeni po

całej wyspie, ale o nich będę mówił osobno. Kopalnie węgla, kierowane przez zarząd więzienny bardzo nieogłędnie i pod względem technicznym wadliwie, znajdowały się około Due, Onoru, Aleksandrowska, na rzekach Mgacz i Najasi. Teraz część tych wspaniałych pokładów węgla na mocy traktatu, zawartego w Portsmouth, przeszła na własność Japonii, która bardzo wiele sobie rokowała z bogactw Sachalinu, czyli po japońsku Karafuto, gdzie nawet zbudowała fort i kolej.

Od dawnych przymusowych mieszkańców Sachalinu słyszałem wiele opowiadań o strasznych wypadkach w szybach węglowych, gdzie od wybuchów, pożarów lub zawalenia się podziemnych galerii ginęły setki robotników w kajdanach, ludzi przykutych do taczek, wagoników i pomp. Całe tomy mrocznych, grozą przejmujących powieści można byłoby napisać o karygodnych przykładach nieogłędności administracyjnej i nieznamomości techniki górniczej, za którą życiem przypłaciły setki pozbawionych praw pracowników.

Okropne traktowanie i warunki pracy więźniów, niewymownie ciężki wpływ surowego klimatu, szal tęsknoty i brak nadziei nieraz zmuszały wygnańców do wybuchów protestu lub do ucieczki.

W obydwu tych wypadkach administracja posługiwała się żołnierzami specjalnego batalionu, do którego zsyłano najgorszych i najoporniejszych żołnierzy z całej Syberii, a nawet z Rosji europejskiej. Ten batalion karny był swego rodzaju katogą wojskową, gdyż istniejące w nim dyscyplina i nastrój były tak niewymownie ciężkie, że żołnierze odbierali sobie życie. Większość ich jednak usiłowała jak najprędzej wydostać się z przeklętej wyspy, czyniła przeto wszystko, aby sobie zaskarbić łaski oficerów i administracji więziennej. Najkrótszą drogą, prowadzącą do tego celu, była bezwzględna surowość i okrucieństwo, stosowane do więźniów. To okrucieństwo przekraczało granice pojęcia ludzkiego wtedy, gdy chodziło o ukaranie przyłapanych zbiegów lub o zduszenie buntu w więzieniach lub w szybach węglowych.

Wtedy krew się lała potokiem, a życia ludzkiego wcale nie ceniono, gdyż buntownicy byli poza prawem, żołnierze zaś administracji więziennej, jako skazani do batalionu karnego, niewiele więcej byli cenieni przez urzędników.

Winnych strajku lub buntu, a także uciekinierów karano zwiększeniem ilości pracy, cięższymi warunkami życia więziennego, ale przedtem zawsze musieli oni przejść przez chłostę. Często ta kara była już ostatnia w życiu wygnańca, i po jej wykonaniu wyrastał nowy kopiec na cmentarzu więziennym.

Skazanego oddawano w ręce kata.

Kaci sachalińscy stanowili odrębną kastę, nienawidzoną przez wszystkich. Byli to obrani przez administrację aresztanci, moralnie najbardziej upadli, których osadzano w specjalnych celach więziennych, gdyż w ogólnych groziła im natychmiastowa śmierć z rąk nienawidzącej ich ludności katogi.

Kaci wykonywali wyroki nad wszystkimi skazańcami, czy byli to aresztanci, czy też żołnierze z batalionu, czy nawet jakiś urzędnik, który okradł kasę rządową. Wypełniali swoje obowiązki z wielką starannością, gdyż otrzymywali za to nagrodę pieniężną i skrócenie terminu pobytu w więzieniu, po którym odzyskiwali względną wolność, a mianowicie prawo założenia własnej zagrody na wyspie i przejścia do stanu kolonisty-osadnika.

Co prawda, przez ostatnie 25 lat jeden tylko z katów skorzystał z tego prawa. Inni zaś pozostali w więzieniach, słusznie obawiając się zemsty aresztantów, którzy, chociażby sami nie byli w rękach kata, jednak musieli wykonać wyrok ogólnego tajnego sądu aresztanckiego.

Skazany aresztant sachaliński dostawał rozmaitą ilość razów, od 15 do 300. Bito prętami wiklinowymi, wygotowanymi przed egzekucją w wodzie morskiej; 15-te uderzenie zawsze przecinało skórę i z rany tryskała krew.

Jeżeli krwi nie było, urzędnik, śledzący za kaźnią, oskarżał kata o pobłażliwość i jego samego skazywał na chłostę. Z grzbietu i z nóg skazanego, wyciągniętego na ławce, pręty szmatami zrywały skórę i mięso. Zemdlonego odnoszono do szpitala, trochę podleczano rany, a później, jeżeli nie dostał był jeszcze wyznaczonej porcji razów, doprowadzano egzekucję do końca. Nieraz na zakrwawionej ławce pozostawał już sztywny trup.

Na Sachalinie żyli niedawno jeszcze legendarni kaci, którzy mogli za siódmym uderzeniem zabić swą ofiarę, przetrącając jej kręgosłup.

Okrucieństwo i znęcanie się nad więźniami przechodziły najbujniejszą i najbardziej chorobliwą wyobraźnię. Wszystko to odbywało się z dala od centralnych organów rządowych, do których dochodziły tylko głuche pogłoski, na nie jednak wcale uwagi nie zwracano.

Dopiero wtedy, gdy znany filantrop rosyjski, Niemiec dr. Haaze, zwiedził katorgę sachalińską w Onore, następnie zaś wygłosił o niej szereg odczytów publicznych i napisał artykuły w prasie codziennej i w miesięcznikach, poczyniono pewne zmiany, a mianowicie zastąpiono ciężkie, ważące powyżej 30 funtów kajdany „akatujskie” lekkimi, które nosiły nazwę „Haazowskich”.

Pręty zaś wiklinowe świsnęły nadal w powietrzu i rwały na strzępy żywe ciało wyzutych z praw ludzkich mieszkańców przeklętej wyspy. Dopiero gdy znany literat rosyjski W. M. Doroszewicz zwiedził katorgę na wyspie wygnania i wydał swą książkę pod tytułem *Sachalin*, wtedy zwrócono uwagę na życie i los smutnych mieszkańców wyspy i poczyniono nieznaczne zmiany w kierunku ograniczenia ilości razów, oraz pewnej gradacji karnej względem więźniów. Taki system trwał do 1905 r., do czasów wojny rosyjsko-japońskiej. Rząd rosyjski, słusznie obawiając się, że Japończycy, zajmą wyspę, potrafią zmobilizować katorżników i stworzyć z nich bardzo groźne oddziały mścicieli, rzuciwszy ich na wybrzeża rosyjskiego Pacyfiku, wywiózł wszystkich więźniów i osadził ich w więzieniach w Nikołajewsku na Amurze, w Chabarowsku, Błagowieszczeńsku i Władywostoku.

Mury i płoty tych „worków kamiennych” nie zdołały jednak utrzymać już w ciągu pierwszych miesięcy tych, którzy przeszli piekło Sachalinu. Wszyscy prawie zbiegli i, zorganizowawszy luźne bandy, zaczęli grasować w kopalniach złota na Lenie, Bodajbo, Zei, Kerbi i w całym Kraju Amurskim, pełnym puszczy dziewiczych, nieznanymi wąwozów górskich i zdradliwych trzęsawisk.

Wielu z tych bandytów zginęło od kul ścigających ich kozaków lub na szubienicy, lecz sporo pozostało do chwili, gdy rosyjskie rządy rewolucyjne lekkomyślnego ks. Lwowa i gadatliwego Kiereńskiego dały amnestię wszystkim osądzonym przez carat. Wtedy ci, z których więzienia carskie potrafiły zetrzeć wszelkie cechy ludzkości, zjawili się w miastach i na pewien czas się przyczaili, jak się czai dziki, łaknący krwi zwier w oczekiwaniu prędkiej zdobyczy. Czas ten nadszedł prędko i sposobność nadarzyła się znakomita! Władzę w Rosji zagarnął bolszewizm i on to powołał tych pół-ludzi, pół-zwierzęta do wykonania swych krwawych wyroków, on to postawił ich na czele rewolucyjnych trybunałów karnych, pełnomocnych komisji polityczno-śledczych, czyli „czeka”, i to właśnie ci, którym rwano na strzępy ciało słonymi prętami, zaczęli hojnie „wytaczać krew” z przedstawicieli carskiego rządu i społeczeństwa. Komunistyczny rząd sowiecki w Petersburgu i w Moskwie spokojnie powtórzył politykę rządu carskiego i patrzył przez palce na odbywające się okrucieństwa, tylko z tą różnicą, że krew lała się nie z paru tysięcy zbrodniarzy i niebezpiecznych społecznie degeneratów, lecz z 30 milionów inteligentów, a między nimi: z profesorów, organizatorów, pisarzy, artystów i bohaterów dwóch minionych wojen.

Ponieważ jednak wszyscy, którzy mogli i umieli krytykować antykulturalny system bolszewicki, byli szkodliwi i niebezpieczni dla nowych „komunistycznych carów” rosyjskich, przeto owi katorżnicy-oprawcy, dawne ofiary skrwawionych ław i prętów sachalińskich, w stokroć krwawszy sposób zastosowali do inteligencji system karny i poprawczy dobrze znanych sobie więzień w Due, Aleksandrowsku i Onorze. Stąd wydobyły się krwawe opary i najstraszliwsze w dziejach ludzkości opowieści, które się zrodziły w mrocznych lochach sowieckich sądów i „Czeka”.

Historia się powtarza. Zbrodnia zaś zawsze sama znajdzie dla siebie sąd i kaźń.

Tak się stało i tak się dzieje w Rosji sowieckiej.

ROZDZIAŁ II. W LASACH I W GÓRACH

Przybyłem na Sachalin dla badań geologiczno-chemicznych, w lecie na statku „Aleut”. Z wielką trudnością odstawiono mnie łodzią do brzegu przed osadą Due. Spotkali mnie tu miejscowi lekarze, którzy, jako bardziej inteligentni, dostali rozkaz telegraficzny od generał-gubernatora, aby się mną zaopiekować.

Zamieszkałem u jednego z nich. Podczas śniadania przyszedł żołnierz i wezwał doktora do biura. Mój gospodarz wrócił za pół godziny i, przepraszając mnie, zabrał się najspokojniej do jedzenia. Zapytany przez żonę, o co chodziło, nie zdradzając absolutnie żadnego wzruszenia, odpowiedział pomiędzy łykiem wódki a przekąską:

— Zasiekli prętami jakiegoś starego aresztanta, no i wezwali mnie, lecz mogłem tylko stwierdzić śmierć!

Zatrząsałem się z oburzenia, widząc człowieka inteligentnego w tak spokojny sposób mówiącego o zamordowaniu bezbronnego więźnia.

Wydało mi się to tak potworne, że straciłem chęć obcowania z podobnymi ludźmi. Chociaż na Morzu Japońskim i w Cieśninie Tatarskiej dość mnie nakołysało, bym mógł czuć przyjemność w spędzeniu paru dni na łądzie i w pewnym komforcie, jednakże postanowiłem jak najprędzej wyruszyć dalej.

Porobiłem wszelkie starania i nazajutrz już miałem do swego rozporządzenia dwa wozy, zaprzężone w dobre konie rządowe i trzech pomocników. Wszyscy trzej byli w niedalekiej przeszłości zabójcami, którzy popełnili nie byle jaką zbrodnię, lecz najcięższe przestępstwa, jakie znało rosyjskie prawo kryminalne.

Dwóch z tych ludzi było stangretami przy wozach, trzeci miał polecenie pilnować i ochraniać mnie i moje bagaże.

Ten trzeci był to mały, zwinny jak wąż Gruzin, o czarnych włosach i śniadej twarzy, na której jarzyły się duże piwne oczy, wcale nie mrugające i baczne jak u zwierząt. Był to niejaki Karandaszwili, słynny wódz bandytów, napadających na pocztę. Za bolszewików imię to rozbrzmiewało w różnych miejscowościach Rosji, należało zaś do odważnego i okrutnego wodza czerwonych partyzantów, których sowiecki rząd używał przeciwko armii admirała Kołczaka i generałów Bielowa i Griszina. Z pewnością nie wiem, lecz opis powierzchowności i sposobu bycia „czerwonego” Karandaszwili bardzo przypominał owego aresztanta z Sachalinu, który był moim obrońcą i „opiekunem” na wyspie wygnańców. Pozostawił mi on po sobie bardzo dobre wspomnienie, gdyż był to człowiek uczciwy, usłużny, grzeczny i nadzwyczajnie silny, a przy tym bardzo pożyteczny w warunkach podróży przez dziki Sachalin.

Moja droga biegła prawie środkiem wyspy. Mówię droga, gdyż rzeczywiście ona istniała. Władze, posługując się bezpłatną pracą więźniów, wycięły las z południa na północ pasmem szerokim na jakie pięć metrów, przez małe rzeczulki i potoki przerzuciły liczne mostki drewniane, na błotach w nizinach urządziły przejścia, wrzuciwszy w trzęsawisko stosy zrąbanych drzew i kamieni.

Komu ta droga była potrzebna?

Nikomu, oprócz urzędników, którzy posyłali nią żołnierzy w pogoń za zbiegami, dążącymi zwykle przez knieję ze strony zachodniej do pewnych punktów, skąd najłatwiej było dotrzeć przez cieśninę do kontynentu. Żołnierze, jadąc tą drogą, wyprzedzali zbiegów, urządzali zasadzki i chwyтали aresztantów, uciekających z wyspy, wlokąc ich potem z powrotem do więzienia i na ławę do rąk kata.

Punktem, do którego dążyli zbiegowie, była mała osada Pogibi, na zachodnim brzegu wyspy, zaledwie o 50 kilometrów oddalona od kontynentu.

Przedostawszy się przez Cieśninę Tatarską, zbieg mógł się ukryć w gęstej tajdze Kraju Amurskiego i powoli posuwać w stronę miasta Nikolajewska, którego przedmieścia były zaludnione przez różne elementy awanturnicze, chętnie ukrywające przybyszów o ciemnej i krwawej przeszłości i nawet się posiłkujące nimi w pewnych wypadkach. Sama osada Pogibi, czyli inaczej „miejsce zguby”, była zaludniona przez wychodźców z przedmieścia Nikolajewska, trudniących się rybołówstwem, kontrabandą oraz urządzaniem za grubą opłatą ucieczek dla wygnańców sachalińskich. Zbiegowie płacili zwykle w ten sposób, że zabijali lub ograbiali nieprzyjacieli i konkurentów swego zbawcy, szmuglowali dla niego towary z wyspy na kontynent lub odbywali niebezpieczne wyprawy w głąb Sachalinu lub na wyspę Fok, położoną w Zatoce Cierpliwości, gdzie tępiono foki i przewożono na łąd stały na sprzedaż.

Droga rządowa prowadziła właśnie do Pogibi, i nią to sunęły moje wozy pod dowództwem Karandaszwili.

Pomiędzy Due a Pogibi spotkałem w kilku miejscach, w łożyskach małych rzek, prace górnicze kolonistów. Poszukiwano tu i przemywano złotodajny piasek, nie bardzo

bogaty, lecz za to zalegający wielkie obszary. Nie sądzę, żeby tu można było prowadzić gospodarkę przemysłową, stosując wyłącznie siłę ludzką, lecz zastosowanie dróg i ekskawatorów dałoby niezawodnie doskonałe wyniki. Jednak koloniści zawzięcie pracowali i wydobywali pewne ilości złota, które byli obowiązani dostarczać wyłącznie zarządowi więziennemu, wypłacającemu im za nie połowę ceny ustalonej przez rząd.

Wspaniałe lasy pokrywały niewysokie góry, przecinające wyspę z północy na południe. Miejscami była tu zupełnie dziewicza knieja, która stawała się dzikszą bliżej wschodniego brzegu Sachalinu, zupełnie niezaludnionego. Nawet siedząc na wozie mogłem dostrzec różne zwierzęta dzikie, większe i mniejsze. Wiewiórki skakały pośród gałęzi rozłożystych cedrów i sosen. Parę razy kuny i lisy przebiegały mi drogę, nocami zaś dość często słyszałem głuche, nerwowe szczekanie wilków. Pewnego razu, przejeżdżając przez małą lecz wartką rzeczulkę, spostrzegłem w gęstych zaroślach rogi łosia. Nie poruszył się nawet, gdy zaczęliśmy krzyżeć i gwizdać. Zdziwiło mnie to bardzo i zapytałem mego stangreta, co by to mogło znaczyć?

— W lecie Sachalin nawiedza straszna plaga: gryzące bąki, muchy, meszki i komary — zaczął opowiadanie stangret. — Te owady omal że nie zjadają bydła, źrebiąt i cieląt; o ile nie są one owinięte w płachty lub w rogoże — giną wkrótce po urodzeniu. Dzikie zwierzęta również cierpią od tych owadów; muchy przegryzają im skórę i składają w rany swe zarodki, które, rozwijając się i zamieniając w robaki, wgryzają się w mięśnie, co sprawia szalony ból. Zwierzęta ukrywają się w gęstwinie, gdzie much i bąków jest mniej i bardzo niechętnie z niej wychodzą.

Tak mnie objaśnił mój stangret-zabójca, a mówił to z takim wyrazem twarzy, że łatwo można było sobie wyobrazić, jaką plagą są te owady. Zresztą, po zachodzie słońca na własnej skórze się o tym przekonałem. Lecz w chwili, gdy słuchałem tego opowiadania, instynkt myśliwski zmusił mnie do urządzenia łowów. Zszedłem z wozu i zacząłem się za stromym brzegiem rzeczulki, posławszy przedtem Karandaszwilego i jednego ze stangretów, by obeszlą łosia z dwóch stron i wypędzili go z gęstwiny ku rzeczulce. Siedziałem dość długo, wreszcie usłyszałem krzyki mych pomocników, w parę zaś minut potem trzask gałęzi i odgłosy kopyt na brzegu, zasypanym żwirem. Przygotowałem się do strzału i uniosłem głowę. O sto kroków przede mną stał łось, uważnie nadsluchując i ostrożnie strzygąc długimi uszami. Wysunąłem strzelbę i zacząłem mierzyć do wspaniałego zwierza. Zauważył mnie od razu. Przez mgnienie oka przyglądał mi się, po czym, pochyliwszy rogatą głowę, rzucił się do ataku. W połowie drogi mój strzał go zatrzymał i rzucił na kolana. Po chwili łось ciężko zwałił się na lewy bok i, zrobiwszy kilka bezskutecznych wysiłków, aby się podnieść, wyciągnął swe potężne długie nogi i pozostał nieruchomy.

W jednej chwili nadbiegli moi „zbóje” i, ściągnawszy z łosia skórę i rogi, odcięli doskonale szynki i comber.

— Dobra nasza! — wołał z uniesieniem łatwo zapalający się Gruzin. — Będziemy mieli doskonale i świeże jedzenie! A teraz niech pan spojrzy na skórę.

Mówiąc to, podniósł ją w górę i rozciągnął przede mną.

Zobaczyłem, iż cała była w dziurach, jak gdyby ktoś strzelał do łosia kulami wielkiego kalibru.

— To są dziury, które przewierciły poczwarki bąków i much — objaśnił mnie stangret.

Posuwając się ową drogą na północ, kilkakrotnie polowałem na ptactwo leśne: glusce, cietrzewie, jarząbki i białe kuropatwy. Te ptaki spotykałem wszędzie w wielkiej ilości, były zaś one zupełnie niepłochliwe. Na Sachalinie, koło Aleksandrowki, w jesieni widziałem zastosowanie znanego na Syberii sposobu polowania na cietrzewie z wypchanym ptakiem. Mój znajomy, inżynier Gorłow, kazał zrobić z czarnego sukna podobiznę ptaka, w ogon wstawił dwa zgięte kawały twardego papieru, na głowie umieścił dwa czerwone paski, naśladujące brwi samca.

Wypchanego cietrzewia umieszczono na długim drągu, który Gorłow kazał przywiązać do wierzchołka brzozy. Urządzono dla myśliwych mały szałas z gałęzi i dwóch żołnierzy konno zaczęło objeżdżać las z daleka, płosząc stada cietrzewi, siedzących z rana na drzewach.

Polowanie

Przestraszone ptaki zrywały się i leciały, ale spostrzegłszy spokojnie siedzącego na wierzchołku brzozy czarnego samca, nie poznawały się na oszustwie i obsiadały wszystkie sąsiednie drzewa, z krzykiem, zawzięcie spierając się i bijąc o miejsca. Gdy nareszcie wszystkie się usadowiły, Gorłow zaczął urządzać jatki. Zaczynając od tych, co siedziały na dolnych gałęziach, strzelał do jednego po drugim. Ciężko spadały w trawę, bijąc skrzydłami. Ptaki siedzące wyżej ze zdziwieniem spoglądały na dół, nie rozumiejąc przyjemności spadania na ziemię. Jednakże, gdy myśliwy zastrzelił ptaka siedzącego wyżej od innych, ostatni zerwał się z hałasem, a za nim odleciało całe stado. Jest to barbarzyńska, wstrętne dla sportowca forma polowania, gdyż w ten sposób na Syberii w zimie giną dziesiątki tysięcy cietrzewi.

Gdy jechałem z Karandaszwilim, do rzek sachalińskich wpływały już ostatnie partie ryb dla składania ikry. Jak mówili moi pomocnicy, ryb już było mało, lecz nie dla mnie, Europejczyka, widziałem bowiem nawet grzbiety ryb, płynących przeciw prądowi a wypychanych przez znajdujące się głębiej. Złapaliśmy kilka okazów, wyrzucając je na brzeg za pomocą krzywej gałęzi cedrowej. Parę razy strzelałem do ryb z dobrym skutkiem, gdyż po każdym strzale kilka ogłuszonych wypływało brzuchami do góry, Karandaszwili zaś przyciągał je do brzegu.

Jednak nie sami bawiliśmy się w rybaków.

Był jeszcze jeden rybak — olbrzymi niedźwiedź brunatny.

Siedział on na brzegu, przy samej wodzie, jak ciemny głaz, i od czasu do czasu z nurzając w rzece potworną łapę, wyrzucał na żwir większe ryby, Dziwny to był smakosz. Nie zjadał ryb, lecz odgryzał im tylko głowy, resztę pozostawiając ptakom drapieżnym, które czyhały na ukończenie obiadu władcy lasu.

Wszystkie ryby były prawie jednego gatunku, a mianowicie „keta”, czyli wschodnie łososie azjatyckie, ważące od 10–25 funtów; o tej porze roku już bardzo rzadko widywałem jesiotry, które składają ikrę wcześniej od łososi.

W środkowej części wyspy spotkałem pierwsze koczowisko pierwotnych tubylców Sachalinu i wysp japońskich, Ajnosów, tzw. Ajnosów brodatych.

Jest to plemię mongolskie, odznaczające się małym wzrostem, dziwnie cienkimi nogami i bogatym owłosieniem głowy, piersi i twarzy; niektóre rody posiadają już zagrody, trudnią się rolnictwem i hodowlą bydła.

Myśliwi Ajnosi używają wyłącznie pułapek i sidła na mniejsze zwierzęta, oraz dołów z zastrzonymi palami na grubsze.

Na północnych kresach wyspy, koło przylądka Elżbiety, Ajnosi trudnią się rybołówstwem morskim, na swoich dużych łodziach, z kory i skór fokowych zbudowanych, wypływając daleko na Morze Ochockie, które prawie nigdy nie zamarza.

Są oni doskonałymi i wprawnymi miotaczami harpunów, łapią z ich pomocą foki, morsy i nawet wieloryby.

Foka i mors, zabite na wodzie, gdy płyną, natychmiast toną i przepadają dla myśliwego. Z tego powodu Ajnosi przymocowują harpun do mocnych patyków powiązanych z sobą w jeden długi drąg i tworzących fantastycznie długą lancę, płynącą po wodzie z ostrzem harpuna, zwróconym naprzód. Ajnos płynie czółnem ku leżącym na lodowych polach fokom i morsom i wbija w nie ostrze. Zwierzę daje nurka i ciągnie za sobą drąg i sznur, do niego uwiązany. Po pewnym jednak czasie śmiertelnie zmęczone wypływa na powierzchnię, gdzie je dobijają, harpun zaś nie pozwala foce zatonać.

Nie można sobie wyobrazić rybaków lepszych od Ajnosów. Zdaje się, że ich tajemnicze czarne oczy przebijają głębię morską i widzą stada ryb, płynących w określonym kierunku. Pływałem z Ajnosami po Morzu Ochockim i podziwiałem ich rybackie zdolności. Znają oni morze jak własną kieszeń, i nic ich nie może omylić. Najdrobniejsze oznaki, jak kolor wody, zjawienie się pływających wodorostów, zwierzątek morskich, a nawet kształt fali przemawia do Ajnosa-rybaka jak księga otwarta.

Goniąc stada wielorybów, Ajnosi zapuszczają się daleko w morze i nieraz giną w czasie szalonych burz, jakie nawiedzają zawsze jednakowo ponure morze Ochockie. Nieraz na łodzi Ajnosów znalazł bezpieczne schronienie uciekający więzień sachaliński i razem z nimi, pracując jak robotnik, odbywał podróż aż na Wyspy Szantarskie, skąd różnymi a zawsze awanturniczymi sposobami przedzierał się na kontynent, aby wpaść do morza ludzkiego w miastach, jak wpada kropla deszczu do oceanu.

Ucieczka

Spokojni, gościnni i zawsze pogodni Ajnosi są jednak nader odważni i wytrzymali na wszelkie trudy i najcięższe przygody, jakich im nie szczędzi morze i surowa ich wyspa.

Chleba Ajnosi nie używają i zastępują go z wielkim powodzeniem suszoną rybą, czyli tzw. *jukolą*, którą się żywią wszyscy tubylcy północno-wschodniej Syberii. Jukołę robi się ze śledzi i z makreli, których olbrzymie stada wędrują dwa razy do roku przez morze Ochockie. Jukoła służy za pokarm dla ludzi i psów pociagowych, których pewną ilość Ajnosi trzymają dla komunikacji przez wyspę.

Ajnosi są poganami, szamanistami, a na piersiach ich czarowników i lekarzy-Szamanów widziałem te same znaki magiczne (mentramy), które później spotkałem w północnym Tybecie.

Gdy zwiedzałem koczowisko Ajnosów w okolicach przylądka Elżbiety na Morzu Ochockim, zdarzyło mi się obserwować bardzo interesujące zjawisko. Od południowego brzegu Kamczatki, wypływając z pomiędzy wysp Kurylskich, powolnie, jak kondukt pogrzebowy, sunęło szerokie na kilometr a długie na kilka kilometrów pasmo martwych ryb. Chmury przeróżnego ptactwa towarzyszyły temu konduktowi; stada fok, małych wielorybów płynęły za nim, żywiąc się trupami ryb. Gdy oglądałem te ryby, zauważyłem, że były one pokryte jakąś białą pleśnią, szczególnie obficie wypełniającą ich skrzela. Z ogólnego wyglądu ta pleśń bardzo przypominała plamy i siatki w gardle chorego na dyfteryt, i niezawodnie epidemia rozpoczynała się od skrzeli, które były przekrwione i całkowicie oblepione ohydną pleśnią.

Stary rybak opowiadał mi, że takie zjawiska znane są na morzach północnych, ale w owych czasach coraz częściej się powtarzały.

Opowiedział mi także, że w tym roku szamani złożyli ofiarę ludzką złemu duchowi, który zagnieździł się w wodorostach morza północnego w miejscu wskazanym przez szamanów. Ajnosi mieli wybrać pomiędzy sobą młodzieńca i dziewczynę, zabrać ich wraz z błagalnymi darami na wielkie łodzie i odstawić na otwarty ocean, skąd w małej łodzi żaglowej ofiary udadzą się na północ, na poszukiwanie miejsca, gdzie osiedlił się zły duch morza.

— Jeżeli go znajdą — mówił rybak — oddadzą mu dary, a on zaś ześle im lekki wiatr, który doniesie ich do wyspy ojczystej.

Tak mówił stary Ajnos, lecz nie wątpiłem, że zanim młoda para znajdzie ducha morza, fale północnego Pacyfiku pochłoną ją wraz z łodzią i z żaglem ze skór foczych.

Pomiędzy Ajnosami spotkałem sporo chrześcijan, wyznania prawosławnego, ale chrześcijaństwo w dziwaczny sposób było pomieszane z pogaństwem pierwotnych koczowników.

ROZDZIAŁ III. Z TYMI, KTÓRZY WYSZLI Z PIEKŁA

W północnej części Sachalinu spotkałem kilka osad aresztantów, wypuszczonych z więzienia, którzy dostali pozwolenie na założenie własnych siedzib.

Najbardziej na północ wysunięta była osada Łysakowa. Dobrze zbudowany dom z belek cedrowych, o dużych oknach i o wysokim płocie, broniącym dostępu do niego, miał trzy izby, kuchnię, szeroką sień; kilka zabudowań gospodarczych mieściło się obok.

Gospodarz, uwiązawszy zajadle szczekające i warczące psy, otworzył bramę, wpuścił nas, a później na nowo szczelnie ją zaryglował. Był to niewysoki, barczysty chłop, o długiej, starannie utrzymanej, już siwiejącej brodzie, krótko przystrzyżonych włosach i suchej, ascetycznej twarzy. Wcale nie patrzył mi w oczy, mówił miękkim, łagodnym głosem, tak dziwnie nie licującym z jego ponurym wyglądem; był bardzo grzeczny i gościnnie. W okamgnieniu zostałem umieszczony w jasnej, czystej izdebce, gdzie stało białe łóżko z heblowanych desek, takiż stół, kilka zydelków i szeroka ława, pokryta skórą niedźwiedzią.

Gospodarz przyprowadził do mnie i przedstawił mi swoją rodzinę. Żona osadnika, wysoka, chuda kobieta, miała gładko zaczesane włosy, z rozdziałem pośrodku głowy, duże, bezbarwne oczy, zimne i badawcze, i zadziwiająco świeże, czerwone usta, mocno zaciśnięte. Gdy się uśmiechała, błyskały duże, równe i białe zęby. Ta para miała synka, siedmioletniego Michałka, rudego jak płomień, ruchliwego chłopaka o wesołych i filuternych niebieskich oczach.

Spędziłem w domu tych ludzi kilka dni, gdyż objeżdżałem okolicę, poszukując na błotach i jeziorach śladów ropy, gdyż o niej otrzymałem informacje od władz w Due. Nadarzyła mi się więc sposobność bliżej się przyjrzeć życiu tej niezwyklej rodziny.

Przede wszystkim zauważyłem, że gospodarz, od chwili naszego przybycia do jego zagrody, nie rozstawał się z siekierą, którą stale nosił za pasem. Nie uszło też mojej uwagi, że Karandaszwili i dwaj stangreci spoglądali na Łysakowa nienawistnymi oczami i czasami zamieniali między sobą spojrzenia porozumiewawcze. Jadąc przez las ze swym Gruzinem, zacząłem rozmowę o Łysakowie. Długo dawał wymijające odpowiedzi, ale, widząc, że nie mam zamiaru dać za wygraną, zaczął z nachmurzonymi brwiami opowieść, niezwykle, jak na niego, ponurym głosem.

— Łysakow to dawny arestant, kilka razy uciekał z wyspy, dostał 300 prętów, i nawet naznaczono go rozpalonym żelazem. Ciężko mu było w katordze, długo się trzymał, aż wreszcie się poddał... Żle to, podle, nikczemnie!...

— Cóż takiego zrobił? — spytałem.

— Zgodził się być katem! — zawołał Gruzin, zaciskając pięści i zgrzytając zębami. — Arestanci wydali na niego wyrok śmierci. Uczyniono na niego napad i przełamano mu kilka żeber i rękę, ale wyrwał się, a wtedy władze osadziły go w więzieniu z innymi katami. Łysakow jednak był najlepszy z nich, bo nigdy nie starał się znęcać nad skazanymi i nieraz, bijąc słabych i starych, czynił to dość miłosiernie, za co sam parę razy obrywał chłostę od władz.

— W takim razie za co go nienawidzicie? — zapytałem znowu. — Przecież widziałem, jak patrzyliście na niego!

— Wyrok śmierci wisi nad Łysakowem. Prawda, że go nienawidzimy, bo być katem — wielka to hańba dla arestanta. Łysakow przez tchórzostwo był bardziej miłosierny. Ale to go nie ocali i musi on zginąć... wcześniej czy później!... Dlatego osiedlił się tu, na tym pustkowiu, gdyż tu arestanci nigdy nie bywają...

Spojrzałem badawczo w oczy Karandaszwilego, który natychmiast spuścił powieki. Był to ruch bardzo wymowny, więc postanowiłem bacznie pilnować swych „zbójów”.

W domu osadnika zastanowiła mnie jedna okoliczność, a mianowicie to, że Łysakow i jego żona, skazana na 10 lat na wygnanie za trucicielstwo, nigdy z sobą nie rozmawiali. Z rzadka tylko zamieniali kilka słów i znowu wpadali w zadumę i milczenie, on — nie podnosząc nigdy oczu, ona patrząc wciąż przed siebie szeroko rozwartymi źrenicami, przebijającymi, zdawało się, na wskroś człowieka, a pełnymi zwierzęcej czujności i trwogi.

Zbyt wiele rzeczy strasznych było w życiu tych dwojga ludzi, zbyt sroga i ciężka była ich męka przez szereg lat, aby mogli się odważyć otworzyć przed sobą wzajemnie dusze, pełne ponurych przeżyć i myśli. Żyli z dnia na dzień, omijając ciemną i smutną dziedzinę wspomnień i nie mając nadziei na przyszłość. Bo też nie mogło mieć żadnej przyszłości tych dwoje ludzi, z rozkazu władz złączonych więzami małżeńskimi i pozbawionych prawa porzucenia przeklętej wyspy.

Prawda, mieli oni syna, a więc mogli się spodziewać, że ten dozna lepszej doli? Lecz i na to nie mogli liczyć, gdyż dzieci z małżeństw arestanczkich niechętnie wypuszczano na kontynent, gdzie patrzono na nie jak na wyrzutków społeczeństwa, na pariasów, na osobników pochodzących z kasty okrytej wieczną hańbą.

Zresztą, rodzice wiedzieli również, że zrodzony na Sachalinie „wolny” obywatel będzie niezawodnie wciągnięty w burzliwe, moralnie niezdrowe życie przeklętej wyspy wygnania i męki i stanie się w ten lub inny sposób mieszkańcem więzienia.

Siedzieliśmy przy obiedzie, gdy nagle drzwi się otworzyły i wszedł jakiś człowiek, nie, widmo człowieka! Był w łachmanach, prawie zjedzony przez owady, cały w krostach i w ranach, z pokaleczonymi bosymi nogami, o twarzy szerniałej i zmizerowanej, z gorączkowo błyszczącymi oczami, dawno nie znającymi snu. Wszedł, i zatrzymawszy się przy progu, rzucił ochryplym głosem.

— *Saryń*⁸¹... Wody!...

Gospodarz i moi ludzie porwali się na równe nogi.

— Ścigają? — padło urwane pytanie.

— Porucznik Nosow! — szepnął zbieg. — Już blisko...

⁸¹*saryń* — więzienny wyraz żargonowy, używany jako hasło przez zbiegów z więzienia. [przypis autorski]

Zapanowało długie milczenie. Wreszcie Łysakow, jeszcze niżej spuściwszy głowę, podniósł się i zawołał:

— Idź za mną....

Wyszli. Po godzinie Łysakow powrócił; był cały uwalany w błocie, ubranie miał w kilku miejscach podarte, jak gdyby przedzierał się przez gęste, kłujące krzaki.

— Już? — spytał go Karandaszwili.

Skinął głowę w milczeniu i usiadł przy stole. Wkrótce zatętniły kopyta kilku koni i rozległo się silne łomotanie do drzwi. Drgnęliśmy wszyscy.

— Otwieraj, otwieraj! — rozległy się głosy żołnierzy.

Gospodarz skierował się ku drzwiom, lecz żona go zatrzymała za rękę i rzekła twardym głosem:

— Przebierz się i schowaj dobrze ubranie i buty! Sama otworzę.

Oboje wyszli z izby. Po chwili z łoskotem karabinów i ciężkich butów weszło kilku ludzi. Na czele ich był mały, rudy oficer, Nosow, o twarzy pokrytej piegami.

Zatrzymał się i uważnie się nam przyglądał, wreszcie, sepleniąc, zapytał:

— Gdzie są Łysakowie?

Moi ludzie milczeli, stojąc w pokornych i wylęknionych pozach.

— Wyszli, ale za chwilę będą z powrotem! — odpowiedziałem.

— Ty kto jesteś? — rzucił pytanie Nosow, obrzucając mnie spojrzeniem od stóp do głów.

— A ty kto? — zapytałem z kolei. — Masz szlify oficerskie, a gadasz jak cham... Pewno ukradłeś gdzieś te oznaki oficerskie, nakazujące grzeczność i lojalność?

Zmieształ się od razu, pochylił, w oczach mignął mu strach; podniósł dłoń do czapki i zaprezentował się.

— Porucznik Nosow, z załogi Pogibi.

Nastąpiła znajomość, którą potwierdziłem pokazaniem dokumentów z podpisem generał-gubernatora i innych wyższych urzędników kraju.

Nosow do reszty struchlał, lecz gdy napił się herbaty z arakiem, który miał z sobą, stał się znowu bezczelny i ordynarny. Nie nazywał aresztantów inaczej niż psami i kanałiami, jednego zaś z moich stangretów, który mu się nawinął pod rękę, raptem uderzył. Zdziwiłem się, że ten mały, chudy człowiek jednym uderzeniem zwałił na ziemię mego rosłego, tęgiego jak dąb, stangreta, z ucha którego popłynęła krew.

— Nałożyć wszystkim kajdany! — rozkazał Nosow.

Rozkaz wykonano w okamgnieniu, po czym wszyscy, oprócz mnie, stali już z łańcuchami na rękach. Miał je nawet mały Michałek, którego to widocznie bawiło, gdyż zawzięcie dzwonił kajdanami, potrząsając małymi piąstkami.

— Cicho ty, szczenię! — huknął na niego Nosow i kopnął go nogą.

Moi pomocnicy skulili się jeszcze bardziej, a rodzice ponuro spojrzeli w stronę rozbestwionego oficera.

— Zrewidować cały dom! — wrzasnął Nosow.

W kilka minut później jeden z żołnierzy przyniósł znalezione w stodole ubranie i buty Łysakowa ze świeżymi śladami błota.

— Czy był tu kto? — zapytał Nosow.

— Nie! — zabrzmiała odpowiedź.

Nosow uśmiechnął się złowrogo i podniósł oczy na mnie. Myślałem, że zacznie mnie indagować, lecz się zorientował, a może nie chciał w tak prosty sposób załatwić sprawy.

— Tyś widziała tu kogo? — zapytał gospodyni. — Ty? Ty? Ty?

Jedno po drugim padały pytania i brzmiała jednakowa odpowiedź:

— Nie!...

Żaden z aresztantów nie wydał zbiega, którego gdzieś ukrył Łysakow. Nawet mały Michałek energicznie potrząsnął głową i pisnął swoje: „Nie”.

— Doskonale! — zarechotał oficer — Wziąć tego małego szczeniaka i wsypać mu pięćdziesiąt nahajów!

Moje wstawiennictwo nie pomogło. Oficer pokazał mi książeczkę z przepisami dla załogi i z wyliczeniem praw i sposobów kary na więźniów.

Żołnierze porwali Michałka i wywlekli go na dziedziniec. Rodzice straszliwie zbledli i kurcz nerwowo przebiegli po ich twarzach. Gdy rozległ się rozpaczliwy krzyk dziecka, Łysakow podniósł mroczne oczy na oficera i szepnął:

— Nie bijcie, panie poruczniku, dziecka, wszystko powiem...

Temu szeptowi odpowiedziały łkania matki i niecierpliwy brzęk kajdan innych aresztantów.

— Hola tam! — wrzasnął oficer. — Przestać!

Żołnierze wprowadzili płaczącego i jęczącego Michałka.

Wyszedłem z izby, gdyż nie chciałem być widzem śledztwa, ani też figurować w roli świadka.

Gdy powróciłem do domu, znalazłem tam duże zmiany.

Łysakow leżał w łóżku, rzucał się w gorączce, krzyczał, jęczał i przeklinał. Dostał 150 uderzeń ciężkim nahajem, miał porwany cały grzbiet i stracił dużo krwi. Moi ludzie dostali po 50 batów i nie byli zdolni do dalszej podróży. Żonę Łysakowa oficer zabrał z sobą, jako naocznego świadka przybycia do ich osady zbiega Własienko, którego znaleziono ukrytego w kępach na błocie, o kilometr od osady.

Mały Michałek, śmiertelnie przestraszony, zanosił się od płaczu w ciemnym kącie izby, bojąc się zbliżyć do ojca, rzucającego się i wykrzykującego niezrozumiałe słowa.

Spędziłem tam jeszcze dwa dni, robiąc opatrunki pokaleczonemu gospodarzowi i moim ludziom. Wreszcie wyjechałem, ale już nie na północ, lecz na zachód do Pogibi, gdzie byłem zmuszony szukać dla siebie nowych pomocników i stangretów.

Gdy przybyłem do osady Pogibi, przyjął mnie kapitan, naczelnik załogi, któremu opowiedziałem o zajściu w osadzie i o ordynarności i okrucieństwie Nosowa.

Kapitan spochmurniał i oznajmił mi głosem stanowczym:

— Mamy tu dla siebie ściśle przepisy co do zachowania się względem aresztantów i nie możemy od nich odstępować! Zresztą nie zna pan tych ludzi: są to zwierzęta, o czym się pan wkrótce przekona.

Moja interwencja w sprawie Łysakowa miała jak najgorsze dla mnie skutki. Władze tak pokierowały sprawą, że w Pogibi wcale nie mogłem znaleźć ludzi do dalszej swej wyprawy. Musiałem posłać gońca do Due, do głównego zarządu więziennego, skąd przyszedł już wyraźny rozkaz na imię kapitana. Zeszło mi na tym około tygodnia, a w tym czasie zapoznałem się z typami mieszkańców tej najbardziej na północ wysuniętej osady na Sachalinie. Ludność składała się z dawnych aresztantów, którzy już odbyli terminy wygnania lub zostali ułaskawieni przez manifesty carskie, oraz z przeróżnych elementów, przybyłych z kontynentu. Byli to przeważnie awanturnicy, o przeszłości bardzo barwej a tajemniczej. Trudnią się oni po części rybołówstwem, dopływając małymi żaglowcami aż do wyspy Św. Jonasza na Morzu Ochockim, gdzie łapią ryby i polują na foki i wieloryby, po części zaś zajmują się kontrabandą, nielegalną fabrykacją spirytusu, handlem z tubylcami i przewożeniem zbiegów z Sachalinu na kontynent. Spotkałem tu: Rosjan, Ormian, Gruzynów, Tatarów, Greków i Turków. Ta banda międzynarodowa, jak narodził się ohydny lub pasożyt wstrętny, istniała na ciele nieszczęśliwych mieszkańców przeklętej wyspy mąk, łez i okrucieństwa.

Piątego dnia mego pobytu w Pogibi wpadła do mnie żona Łysakowa. Miała jeszcze szerzej i bardziej rozpaczliwie otwarte oczy, tragiczniej zaciśnięte usta i bladą jak kreta twarz. Usiadła i, zwyczajem aresztantów, długo milczała, układając w głowie zdania i porządkując myśli. Wreszcie się odezwała:

— Po złożeniu zeznań puszczono mnie do domu. Znajomy kupiec dał mi konia i wózek. Jadąc w połowie drogi pomiędzy Pogibi a osadą spotkałam pańskich ludzi. Jeden z nich uciekł do lasu, inni szli na moje spotkanie. Zapytałam o pana; powiedzieli mi, że pan już wyjechał. Ogarnęło mnie jakieś złe przeczucie. Popędziłam konia i późno wieczorem dojechałam do domu...

Jęknęła i kurczowo zacisnęła ręce.

— Nie znalazłam już naszej zagrody... Była do szczętu spalona. Zrozumiałam, że Karandaszwili dokonał wyroku nad byłym katem, którym był mój mąż. Grzebiąc w zgliszczach, znalazłam zwłoki męża. Przekonałam się, że miał przerżnięte gardło i zmiażdżoną głowę. Synka nigdzie nie znalazłam. Wtedy zaczęłam go szukać, w okolicy i ujrzałam

wreszcie w krzakach przy płocie. Leżał martwy z główką rozwaloną siekierą. Widocznie uciekł, a mściciele, obawiając się świadka, dogonili go i zamordowali. Cały nasz dobytek spalony, nawet psy nie zdążyły uciec... Co mam teraz zrobić?

— Zaskarżcie podejrzewane przez was osoby. Liczcie na mnie, powiem o swoich spostrzeżeniach co do tych ludzi. Wstawię się za wami do generał-gubernatora.

Kobieta, taka zrezygnowana i twarda w opowiadaniu swoich przeżyć i uczuć, długo siedziała w milczeniu.

Nie mogąc doczekać się odpowiedzi, spytałem:

— Więc kiedyż rozpoczniecie sprawę?

Podniosła głowę i ujrzałem jakąś nieznaną mi, szerniałą, zawziętą twarz. Po chwili ponurym głosem zaczęła mówić, co chwila urywając.

— Gubernator nie powróci mi syna... o, nie!... To już przepadło... Teraz nic mi z dostatku i z wolności... Za krew musi się pociąć krew... Nie wspominajcie mnie, panie, źle, gdy coś o mnie usłyszycie! Byłam spokojna... po więzieniu nikomu nic złego nie robiłam... wszystko, co było, minęło na zawsze... W cichości ducha, w pracy i w pokorze myślałam zakończyć swoje życie męczeńskie. Ale inaczej mi było sądzone... Inaczej!...

Nisko mi się ukloniła, z wdzięcznością przyjęła kilkanaście rubli, które jej dałem, i odeszła cicha i milcząca, pełna jakiejś strasznej tajemnicy.

Tego wieczoru w tajnym szynku otruto sublimatem jednego z moich byłych stangretów, nazajutrz zaś omal nie zginął Karandaszwili. Stało się to tak. Był on u znajomych, gdzie urządono „majdan”, czyli grę w karty. Hazard zaciągnął się do późnej nocy; nagle ktoś strzelił przez szybę do Karandaszwilego i zranił go niebezpiecznie. Przechodzący patrol zatrzymał dwie podejrzane, ukrywające się osoby. Jedną z nich była wdowa po zamordowanym Łysakowie, drugą — jakiś drobny przekupiec, Grek, który dostarczył mścicielce trucizny i broni dla dokonania zemsty.

Niezawodnie dalszy los nieszczęśliwej matki musiał być bardzo ciężki, i nie wiem, czy kiedykolwiek potem udało się jej wyjść poza mury kamiennego worka, wypełnionego męką i przekleństwem tysięcy ludzi, którzy różnymi drogami doszli do straszliwej zbrodni, czasem nie z własnej woli.

Nie wiem tego, ale wiem, że prawo rosyjskie, stosowane na Sachalinie, było przyczyną ponownych i czasami jeszcze cięższych zbrodni. Łysakowa była ofiarą skutków tego prawa, za które krwią własną, swym mieniem i ojczyzny przyplacili obecnie jego twórcy i wykonawcy.

ROZDZIAŁ IV. SACHALIŃSKA PENSYLVANIA

Po tragicznych wypadkach w Pogibi, zaopatrzwszy się w pomocników i w żywność, ruszyłem na wschód w stronę otwartego morza, gdyż w pobliżu tego właśnie brzegu były miejscowości z pokładami nafty.

Przeziąłem Sachalin od Pogibi na południo-wschód, przez kraj lesisty o kilku niewysokich grzbietach górskich. Zwiedziłem duże zatoki Morza Ochockiego, a mianowicie Nyjską i Nabilską, do których wpadają rzeki: Tim, Nutowo i Poata-Syn. W tych okolicach w miejscowościach błotnistych znalazłem kilka punktów, gdzie nafta, przesączywszy się przez warstwy geologiczne, utworzyła jeziorka, które z biegiem czasu pod wpływem działania atmosferycznego zmieniły się w baseny, napełnione czarną, lepką masą. Był to tak zwany *kir*, czyli nafta zgęszczona i utleniona. Na głębokości 150 stóp już trafiają się piaskowce ze śladami nafty. Ropa naftowa składem chemicznym i właściwościami chemicznymi zbliżona jest do typów nafty kaukaskiej i zawiera do 30% nafty. Pokłady zawierające ropę należą do miocenu⁸², a więc są rówieśnikami pokładów węglowych, wykrytych na tej wyspie.

Zaczynając od Zatoki Nyjskiej, większe lub mniejsze zbiorowiska podziemne ciągną się daleko na południe, a nawet Wyspa Fok w Zatoce Cierpliwości zdradza pewne ślady ropy naftowej na niższych horyzontach geologicznych.

Zwiedzając jedno jezioro z kirem, znaleźliśmy pięć szkieletów ludzkich, leżących pośród kęp na obszernym błocie, z którego wypływają potoki, wpadające do rzeki Poata-

⁸²*miocen* — epoka geologiczna trwająca od 23,03 mln do 5,333 mln lat temu, charakteryzująca się gwałtownym wypiętrzaniem łańcuchów górskich. [przypis edytorski]

-Syn. Rozglądając się dookoła, nie wykryliśmy żadnych śladów ubrania, które mogłyby świadczyć o tym, kim byli ci, co tu znaleźli śmierć. Po dość długich poszukiwaniach spostrzeżliśmy resztki trzewika, typowego aresztańskiego „kota”. Mogliśmy stąd wynioskować, że jakichś pięciu zbiegów, w celu zatarcia swych śladów, skierowało się nie ku zachodniemu brzegowi, lecz ku wschodniemu, niezaludnionemu. Tu zginęli w zimie, podczas surowych mrozów i wściekłych burz śnieżnych.

Z brzegu zachodniego ucieczka odbywa się w lecie i w jesieni na łodziach, w zimie zaś, gdy cieśnina Tatarska zamarza — po lodzie. Skazańcy uciekają w białych płaszczach, uszytych z perkalu, zarzuconych na ubranie. Tak udrapowani suną, jak widma leśne, a gdy spostrzegą pościg, kładą się na śniegu i zlewają się w jedną całość z jego białą powierzchnią, często myśląc w ten sposób pogoń. Tak brną uciekający więźniowie przez bryły połamanego lodu i przez głęboki śnieg, żywiąc się suszonymi rybami i... śniegiem.

Mają w tym wypadku do przebycia nie mniej niż 80 kilometrów o mrozie i przy szalejącej wichurze, czeka zaś ich nieokreślony, długi pobyt i ukrywanie się w tajdze ussuryjskiej czy amurskiej.

Wschodni brzeg „urzędowo” jest niezaludniony. Spotkałem tam drobne osady tubylcze Pilngi i Unnu, lecz, oprócz nich, widziałem kilka obozów Kanadyjczyków i Japończyków. Obawiając się, aby ich nie wykrył statek rządowy, który czasem przedsięwzięcie wyprawy dokoła wyspy, przybysze ci wyciągają na brzeg swe żaglowce i ukrywają je pod stosami siana; do masztów przywiązują gałęzie, nadając im wygląd drzew. Tak zamaskowany obóz często myli czujność załogi statku rządowego.

Cudzoziemcy prowadzą z koczującymi tubylcami handel zamienny futrami, złotem, fiszbinem, tłuszczem wielorybim i fokami, wymieniając to na spirytus, tytoń, karty, zapalki, igły, opium i materiały bawełniane, straszliwie szerząc pośród nich pijaństwo i gry hazardowe; cudzoziemcy również zajmują się połowem rzecznych pereł w rzekach Tim i Nutowo, krewet, chyba największych na świecie, sięgających 50 centymetrów długości, oraz potwornych wprost krabów. Te ostatnie suszy się na słońcu i przerabia potem na grubą mąkę. Z tej mąki na północy robią ciasto i pieką coś na kształt placków, bardzo pożywnych i wytrzymujących wszelkie warunki klimatyczne.

Oprócz miejscowych Ajnosów spotykałem tam Goldów, Oroczonów i Manegrów z Ussuri i Amuru, którzy w zimie przechodzą po lodzie cieśninę Tatarską, następnie całą wyspę z zachodu na wschód i koczują potem przy wschodnim jej brzegu. Oprócz tych mongolsko-tunguskich koczowników taką podróż z kontynentu odbywają również łosie, jelenie i tygrysy. Te dzikie zwierzęta, omijając brzeg zachodni, stosunkowo zaludniony, docierają do brzegu Morza Ochockiego i tam pasą się i grasują. Tygrysy są plagą dla Ajnosów, którym nie tylko porywają bydło i psy pociągowe, ale napadają na ludzi, nieraz niszczą całe koczowiska tubylców, uzbrojonych tylko w łuki i oszczepy. Ajnosi oddają Oroczonom i Goldom swoje ziemie do koczowania bezpłatnie, zobowiązując jednak odważnych myśliwych do tępienia tygrysów, owych straszliwych przybyszów z kontynentu.

Koczujący Oroczone i Goldowie, a także uciekinierzy z Due i Onoru, byli pierwszymi wywiadowcami, którzy przynieśli wieści o nafcie na północy Sachalinu.

ROZDZIAŁ V. MŚCICIEL

Na północ od Pogibi, dokąd przyjechałem po zwiedzeniu miejscowości naftowych, leży w Cieśninie Tatarskiej przylądek Maria, jeden z najbardziej północnych punktów wyspy.

Miałem wiadomości, że w okolicy tego przylądka jakiś myśliwy wykrył błoto z pożywnymi śladami nafty i kiru. Ponieważ do chwili przyścia statku po mnie miałem jeszcze dwa tygodnie do rozporządzenia, postanowiłem zwiedzić tę miejscowość⁸³.

Jechałem konno wraz z wynajętym przez siebie przewodnikiem. Zdziwiła mnie okoliczność, że władze wojskowe nie chciały wydelegować ze mną żołnierza, na wszystkie moje prośby i nalegania dając odpowiedzi wymijające. Zmuszony więc byłem szukać dla siebie prywatnego przewodnika w Pogibi. Był to jakiś rybak, pół-Mongoł, pół-Rosjanin, jakich dość wielu spotyka się na Syberii. Znał doskonale wyspę, nieraz pływał na północ aż do wyspy Św. Jonasza, trudniąc się połowem ryb i fok.

⁸³miejscowość — tu: miejsce. [przypis edytorski]

Gdy mu powiedziałem, że chcę zwiedzić okolice przylądku Marii i Elżbiety, ucieszył się, zażądał bardzo nieznacznej sumy, lecz wymówił sobie prawo zabrania dwóch koni jucznych.

Wyruszyliśmy następnego dnia o świcie. Droga szła lasem, przez który prowadziła wąska ścieżka, wydeptana przez konie. Była ona jednak bardzo zarośnięta trawą i krzakami, co świadczyło, iż rzadko jej używano.

Mój przewodnik, Gustow, był człowiekiem milczącym; jechał naprzód, prowadząc za sobą gęsiego powiązane juczne konie i wcale się na mnie nie oglądając. Ja zamykałem pochód. Często schodziłem z konia i polowałem, gdyż wszędzie spotykałem liczne stada białych kuropatw i cietrzewi. Spędziłem całą dobę na małym jeziorku, gdzie roiło się od wodnego ptactwa, wśród którego przeważały północne gatunki morskie, co się dawało wytłumaczyć bliskością morza i niezwykłą wprost obfitością ryb. Wyskakiwały one nad wodę, pływały na samej powierzchni jeziora i pluskały w nadbrzeżnym sitowiu. Tu po raz pierwszy w życiu widziałem emigrację ryb. O jakie trzysta kroków od jeziora leżało jeszcze mniejsze jezioro, prawie kałuża, niemal całe zarośnięte trawą i sitowiem. Gdy się zbliżyłem do niego, doznałem wrażenia, że jest to jakiś skład żywych ryb, basen sztucznie urządzone. Powierzchnia tego jeziora ani na chwilę nie pozostawała gładka; stałe kłęgi i fale marszczyły wodę, którą poruszały ryby, przepelniające jezioro po brzegi.

O świcie szedłem pomiędzy większym a mniejszym jeziorkiem, i dostrzegłem, że w wysokiej trawie coś się rusza. Krzyknąłem głośno, aby spłoszyć zwierza, czy ptaka, lecz — bez skutku. Zacząłem się tedy zbliżać uważnie rozglądając się w trawie. Długo nie mogłem nic dojrzeć, wreszcie zobaczyłem dużego szczupaka, który się czołgał w wysokiej, obficie zroszonej trawie, kierując się w stronę małego jeziora, dokąd widocznie pociągały go ryby. Tego samego dnia po zachodzie słońca widziałem innego szczupaka, który powracał do dużego jeziora, a był tak przerażająco najedzony, że ostatniej ryby nie mógł nawet przelknąć i ogon jej wystawał mu z paszczy.

Słyszałem o wędrówce ryb lądem, lecz na północnym Sachalinie osobiście przekonałem się o istnieniu tego zjawiska.

Wkrótce po opuszczeniu brzegów jeziora, w lesie, spotkałem jeźdźca. Był to człowiek w sile wieku o figurze prawie kwadratowej i ponurej twarzy, mocno zarośniętej jasną brodą. Podjechał do nas i zagroził nam ścieżkę, ustawivszy swego konia w poprzek. Widziałem, że jadący na przedzie przewodnik zamienił z nim kilka słów, wskazując oczami na mnie. Nieznajomy skreślił w krzaki i przepuścił moją małą karawanę. Gdy podjechałem do niego, zbliżył się do mnie, bardzo grzecznie mi się uklonił i zagał rozmowę:

— Pewnie nasza wyspa wydaje się panu dziwna?

Odpowiedziałem mu z całą szczerością, co myślę o wyspie i o jej ludności.

— O tak! — wykrzyknął nieznajomy. — w innych, nie w naszych, rosyjskich rękach, ta wyspa niezawodnie stałaby się najbogatszą kolonią. Wszystko tu jest: węgiel, nafta, żelazo, złoto, ryby, drogie futra, foki i wieloryby. To jakiś raj wymarzony! Tymczasem trzymają tu zbrodniarzy — więźniów, używając ich tylko do psucia naturalnych bogactw i zarażając oddechem i trupami tych potworów ziemię i powietrze Sachalinu!

— Jednakże nie bardzo przychylnie patrzycie na mieszkańców katorgi! — zawołałem ze zdziwieniem, gdyż byłem przekonany, że widzę przed sobą jednego z osadników, byłego więźnia.

— Trzeba ich tak znać, jak ja!... znać do głębi ich czarnych spodlonych dusz! — odparł, groźnie zaciskając pięści. — Rząd robi głupstwo, zostawiając życie tym ludziom-zwierzętom. Amerykanie są mądrzy, ci zapraszają takich panów na fotel elektryczny i dają im możliwość łatwego uwolnienia społeczeństwa od swej zaraźliwej i niebezpiecznej obecności.

— Czyż nie wierzycie w możliwość poprawy sachalińskich wygnańców? — spytałem.

— Nie! — odparł głosem twardym — Czyż mogą poprawić się ludzie, którzy, nim się tu dostali, przeszli kilkakrotnie więzienie, za każdym razem odsiadując karę, za coraz to cięższe występki i zbrodnie? Są to ludzie tylko z wyglądu zewnętrznego, lecz ludzie... bez duszy, bez iskry Bożej... Stwierdzałem to na dzieciach i wnukach tych bestii... Zrodzeni przez rodziców nie posiadających duszy, sami jej nie mieli, a nie mając jej, przy pierwszej sposobności zostawali zbrodniarzami, często gorszymi od swych rodziców.

Mówił z głębokim przekonaniem. Gubiłem się w domysłach, kto by to mógł być. Niezwykle spostrzegawczy i odcytany, człowiek ów niezawodnie bardzo dużo myślał nad znaczeniem Sachalinu i nad charakterami tych, którzy stanowili jego tragiczną ludność, co przeszła chłostę na skrwawionych ławach, nosiła hańbiące łańcuchy i znaki wypalone na ciele, i była na zawsze pozbawiona praw ludzkich, tając głęboko w mózgu i w sercu wspomnienia i echa najstraszliwszych i najohydniejszych zbrodni.

Nic jednak nie mogłem wykombinować, więc zapytałem wprost.

— Widzę, że pan tu jest niedawno! — roześmiał się nieznajomy. — W przeciwnym razie musiałby pan wiedzieć o mnie. Jestem Andrzej Bołotow.

Nazwiska tego nigdy nie słyszałem, więc zapytałem znowu, czy dawno przebywa na wyspie, skąd i po co tu przyjechał.

Odpowiedział, że mieszka już około siedmiu lat, przybył tu z guberni tomskiej; potem zamyślił się na chwilę i ciągnął dalej:

— Przyjechałem tu w sprawach religijnych, gdyż sądziłem, że ci ludzie potrzebują czymś uciszyć wyrzuty sumienia, zagłuszyć echa swojej winy. Sprzedawałem książki religijne, Biblię świętą, obrazki i krucyfiksy, a także zbierałem ofiary na budowę kościołów...

— Dobrze wam się powodziło? — zapytałem.

Umilkł, a twarz mu nagle spochmurniała.

— Bardzo dobrze! — zaśmiał się szyderczo. — Widzi pan siwiznę na moich włosach? To są skutki powodzenia mojej misji chrześcijańskiej.

— Nie rozumiem!...

— O tak! — wybuchnął. — Trudne to jest do zrozumienia, bardzo trudne...

Poczęstował mnie tytoniem do fajki i, podając mi zapalną, rzekł:

— Kawalek drogi mam do zrobienia w tym samym kierunku, co pan, więc może pan pozwoli, że razem z nim pojedę?

— Bardzo proszę — odparłem.

Bołotow jechał obok, pykając fajkę. Wypaliwszy ją do końca, wytrząsł o strzemień i schowawszy za cholewę, zaczął znowu opowiadać:

— Wielkie nieszczęście spotkało mnie na tej przeklętej ziemi! O, tak wielkie, że tego językiem ludzkim nie da się wypowiedzieć! Gdy to mówię, dusza moja płacze krwawymi łzami. Miałem w rodzinnych stronach, panie, kochaną żonę — umarła, pozostawiając dziesięcioletniego synka, bardzo mądre dziecko, ciche i dobre. Umierającej przysięgłem, że ochronię go od wszelkiej biedy i na człowieka wykieruję... Rozumiałem, że Bóg zesłał mi śmierć żony za karę, więc postanowiłem zmyć swe grzechy czynem pobożnym: zacząłem krzewić uczucia religijne, sprzedając na rzecz budowy kościołów książki i obrazki, zbierać ofiary pieniężne. Obchodziłem całą Syberię razem z synkiem, który po wsiach zapadłych i nieoświeconych tak ślicznie czytał Św. Biblię i mówił o Bogu — Twórcy i Zbawicielu Świata. Byłem przekonany, że zostanie on duchownym. Wreszcie postanowiłem zakończyć włóczęgę i osiąść tam, gdzie mój chłopak będzie się uczył. Swoją działalność, którą bardzo szanowali biskupi: Mikołaj, Sylwester i Makary, chciałem zakończyć odwiedzeniem wyspy Sachalinu, aby uczynić coś dla biednych więźniów, na zawsze pozbawionych wolności i praw ludzkich. Przybyliśmy tu, jak zawsze, razem z synkiem. Trochę pieniędzy uzbieraliśmy; spotkaliśmy ludzi, którzy zdawali się słuchać ze skupieniem ducha słów Pisma Świętego, które czytał im swoim dźwięcznym głosem mój chłopak, pełen natchnienia i gorliwości chrześcijańskiej. A ileż to dzieci aresztantów nauczył on czytać i pisać! Po pewnym czasie postanowiłem wszystkie zebrane pieniądze odesłać na Syberię do biskupa Makarego.

Byliśmy wtedy w Onorze. Lecz nagle zachorowałem i musiałem posłać syna z pieniędzmi na pocztę do Due. Wyjechał i więcej już nie powrócił. Szukałem go cały miesiąc i wreszcie znalazłem w lesie z głową roztrzaskaną siekierą. Był zupełnie obdarty, a wraz z ubraniem i obuwiem znikły pieniądze, z takim trudem zebrane przez nas na dom Boży. Długo poszukiwałem sprawców zbrodni... Odnalazłem ich. Byli to ci sami, którzy nieraz słuchali słów, czytanych przez mego zabitego syna! Byli to oni...

Zamilkł, ciężko oddychając. Raz nawet usłyszałem gwałtowny zgrzyt zębów Bołotowa.

— Teraz rozumiem, dlaczego tak źle myślicie o mieszkańcach wyspy — zauważyłem, ze współczuciem patrząc na nieszczęśliwego ojca. — Lecz dlaczego tu zostaliście?

— Czyż pan myśli, że ja mogę spokojnie żyć, nie dotrzymawszy słowa żonie, iż uchowam syna?

Powiedział to ze straszliwym, choć hamowanym wybuchem.

Milczałem. On zaś tym samym głosem zaczął szybko, gorączkowo mówić:

— Wykryłem morderców. Byli to Koszka, Sokół, Seliwanow, Dormidontow i Grenich. Gdy się dowiedzieli, że jestem na ich tropie, zbiegli z Onoru i podążyli w stronę Pogibi. Udała się za nimi pogoń, lecz na próżno. Wszystkich pochwyciłem sam, w pojedynkę, i zarąbałem siekierą. Wtedy szumowiny więzienne wydały na mnie wyrok śmierci i o tym mnie zawiadomiły. Odpowiedziałem im, że każdy, kogo zdybię — zginie! I, widać Bóg, spełniłem obietnicę! Wtedy więzienie onorskie zaczęło czyhać na mnie! Kilka razy byłem w ich ręku. Mam w plecach dwie rany od noża i złamane żebra, ale krzywdy swoje okupiłem sowicie ich śmiercią. Nie! Nikt z onorskiego więzienia mi się nie wymknie. Władze wiedzą, że innych więźniów nie ścigam, ale, gdy który ucieknie z Onoru, zawiadamiają mnie o tym i wtedy moja mściwa ręka dosięga ich. Żaden nie ucieknie, żaden!

Takim mścicielem był Andrzej Bołotow.

Opowiadał mi później w Due dowódca batalionu karnego, pułk. Żurawskij, że Bołotow mieszkał w różnych miejscach wyspy, blakając się wszędzie i żyjąc z polowania; ale dość było puścić w obieg pogłoskę, że uciekł aresztant z Onoru, a Bołotow zjawiał się natychmiast, wypytywał o zbiega, zbierał wszystkie potrzebne o nim informacje i znowu znikał bez śladu. Władze w takich wypadkach nawet pościgu za zbiegiem nie wysyłały, wiedząc, że „mściciel” wytropi go i zabije. Za każdą głowę Bołotow dostawał premium rządowe, które całkowicie ofiarowywał na budowę kościołów i na modły za duszę zabitego syna.

Gdy Bołotow skończył swe opowiadanie, długo nie mogłem się otrząsnąć z ciężkiego, przygniatającego wrażenia.

Pojmowałem, że zemsta jest złym doradcą, ale nie mogłem nie odczuć całej głębi rozpacz i nienawiści tego człowieka. Żegnając go, podałem mu rękę i powiedziałem.

— Niech Bóg ześle ukojenie waszemu sercu!

Bołotow przeżegnał się nabożnie, po czym szepnął:

— Ja też tylko o to Go proszę, ale zapewne, to już nigdy nie nastąpi, nigdy!

Dziwny traf zrządził, że po kilku latach jeszcze raz spotkałem „mściciela”. Było to w styczniu r. 1920, gdy z Tomśka przekradałem się do Krasnojarska, aby stamtąd rozpocząć ucieczkę od bolszewików za granicę, do Mongolii i Chin. Na mojej drodze leżało sioło Bogotol, około którego grasował jakiś okrutny partyzant, jednocześnie rabując i zabijając „burżujów” i sowieckich komisarzy, urzędników i żołnierzy. Wszyscy omijali tę miejscowość, jadąc nie wzdłuż linii kolejowej, lecz szosą północną. Ja zaś, nie mając żadnej potrzeby ukrywania się, gdyż byłem przekonany, że w ten lub inny sposób zginę, jechałem drogą prawie bezludną, mając po prawej stronie nasyp kolejowy, zastawiony nieprzerwanym łańcuchem pociągów, porzuconych przez armie i instytucje rządu adm. Kołczaka, a uprzątnięty przez bolszewików dopiero w trzy miesiące później.

Na jednej z małych stacji kolejowych przed Bogotolem zatrzymałem się, aby wypocząć i posilić się, gdyż byłem zziębnięty, zmęczony i głodny. Na stacji zastałem tylko jakiegoś podrzędnego urzędnika i paru robotników kolejowych. W kącie siedział jeszcze jakiś człowiek, który, gdy wszedłem, podniósł się raptownie, lecz wnet znowu usiadł, zasłoniwszy twarz dużym kołnierzem futrzanym.

Dostrzegłem tylko długą siwą brodę i także włosy, wysuwające się spod barankowej czapki-papachy.

Poprosiłem urzędnika i robotników, aby mi sprzedali coś do zjedzenia, lecz odmówili mi w bardzo ordynarnej formie, po czym nie chciano nawet ze mną rozmawiać. Jechałem lekkimi sankami, zaprzężonymi w dwa konie. Wszedłem ze stacji i zacząłem oglądać swe szkapy, czy mogłyby zrobić jeszcze jakieś 20 kilometrów do następnej stacji, gdzie, może, znalazłbym lepsze przyjęcie. Niestety, konie były zupełnie wyczerpane i stały z głowami smutnie opuszczonymi, drżąc całym ciałem.

Gdy skrzypnęły drzwi od dworca, obejrzałem się.

Niewysoki chłop, barczysty, zupełnie siwy, w barankowej czapce i w półkożuszku z dużym kołnierzem, stał na peronie i przyglądał mi się uważnie. Wreszcie potarł czoło dłonią i zwracając się ku mnie, zapytał:

— Cóż to? Nie macie nic do jedzenia?

— Nie mam — odparłem — i nie wiem, co mam zrobić, bo tymi końmi nie dojadę do następnej stacji. Może mi poradzicie, gdzie mógłbym nabyć chociaż chleba dla siebie, a dla koni owsa albo siana?

Zaśmiał się cicho i odpowiedział:

— Trudno będzie! Tu wszystko już zrabowali najpierw żołnierze Kołczaka, a potem bolszewicy. Ale skoro tak z wami źle, poczęstuję was.

Mówiąc to, klasnął w dłonie.

Z lasu, który tylko plantem⁸⁴ kolejowym był przedzielony od stacji, wynurzył się jeździec. Starzec coś mu szepnął, potem zaprosił mnie do wnętrza dworca. Usiedliśmy przy stole. Po chwili zjawił się jeździec i zsiadłszy z konia, wniósł worek, z którego wydobył butelkę wódki, szklankę, chleb, jaja i kawałek słoniny, i rozłożył to wszystko na stole.

— Jedzcie! — rzekł starzec, bacznie mnie się przypatrując. — A ty, chłopcze, wyprząż i nakarm konie tego podróznego, bo to mój znajomy. Słyszysz?

Nie dałem się prosić i jadłem tak, jak tylko może jeść głodny człowiek, który ma czyste sumienie, niczego się nie boi i niczego nie oczekuje.

— Że też nie boicie się przejeżdżać tędy? — podnosząc ramiona i uśmiechając się, rzekł starzec.

— Kogo i czego miałbym się bać? — odpowiedziałem. — Pieniądzy nie mam, krzywdy nikomu nie wyrządziłem. A jeżeli zginę, no, to i dobrze, bo już mi zbrzydło takie życie!... Pomyślcie sami! Przez całe życie pracowałem, jak wół, od nikogo nic w spadku nie dostałem, nikogo nie ograbiłem, wszystko zawdzięczam własnej głowie i rękóm: a panowie bolszewicy zapewniają mnie, że byłem wyzyskiwaczem ludu pracującego, burżujem i wampirem, który żłopał ich krew. Takie głupie położenie mi zbrzydło. Niechby już prędzej przyszedł jaki koniec!

Nieznajomy parsknął głośnym śmiechem i zawołał:

— Tak! Bolszewicy są idioci i dlatego powinni narobić głupstw, które ich zgubią. Ale co do was, to mogło wam grozić niebezpieczeństwo, gdyż tu w okolicach Bogotoła kręci się partyzant, Bołotow. Słyszeliście pewno, że wyciął on całe miasto Kuźnieck?

Istotnie, wieści o strasznej rzezi, uczynionej przez jakiegoś partyzanta w Kuźniecku, gdzie ścięte głowy inżynierów: Perwowa, Sadowa i innych, wbite na pał, wystawiono na placu; gdzie znęcano się w najohydniejszy sposób nad kobietami; gdzie w pień wyrżnięto całą inteligencję i spalono gmachy szkół, szpitali i kościołów, ponurym echem rozniosły się po całej Syberii, a imię Bołotowa grozą przejmowało serca mieszkańców.

— Słyszałem! — odpowiedziałem. — Lecz na to nic poradzić nie mogę. Jadę tą drogą i — basta! Czy dojadę — nie wiem, ale co mam sobie nad tym łamać głowę? Wkrótce się przecież dowiem.

Nieznajomy znów się roześmiał, gdyż widocznie ubawiła go moja lekkomyślność co do życia i śmierci, ale wkrótce spoważniał i zapytał, pochylając się ku mnie:

— Czy pan był kiedy na Sachalinie?

— Byłem i objeżdżałem całą wyspę... Ale to już było dawno!...

Starzec podniósł się i wyciągnął do mnie dłoń.

— Pamięta pan — Bołotowa — zawołał — Andrzeja Bołotowa, „Mściciela”, którego spotkaliście w drodze z Pogibi do Przylądka Marii?

Urwał, a po chwili dodał:

— Tego, który wam opowiadał o zabitym w Onorze synku... Pamiętacie?...

— Czyżbyście to wy byli? — zapytałem zdziwiony. — Bardzoście się zmienili!

— Dużo czasu i wody upłynęło od tego dnia! — rzeki w zamyśleniu. — Teraz wszystko się zmieniło i ja się zmieniłem. Byłem kwestarzem na kościoły, a teraz karabin wzięłem i krew ludzką leję, jak wodę!

— To wy jesteście tym Bołotowem, partyzantem... z Kuźniecka? — zadałem pytanie.

⁸⁴plant — wydzielony teren, na którym znajduje się tor kolejowy. [przypis edytorski]

— A ja! — zawołał, wesoło potrząsając siwą grzywą włosów. — Hulam teraz i wszędzie mi droga wolna!

— Jakże się to stało? — ze zdumieniem wypytywałem, zupełnie zapominając, jaką straszną „znakomitość” mam przed sobą. — Na Sachalinie ścigaliście aresztantów z Onoru, a teraz napadacie na urzędników rządu, który nie bardzo był dla tych aresztantów względny?

— To prosta rzecz! — odparł. — Po pierwszej rewolucji rząd udzielił amnestii „sachalińcom” i pierwsi zaczęli wyjeżdżać aresztanci z Onoru. Naturalnie zacząłem ich tępić wszędzie i przy każdej sposobności. Wtedy urzędnicy mnie aresztowali i skazali na pięć lat więzienia. Uciekłem, dotarłem do Kuźniecka, skąd pochodzę, zawołałem bandę złodziei i zacząłem ścigać urzędników rządu, który zmiłował się nad moimi wrogami. Dałem się im we znaki! Oho! A później bolszewicy pozabijali wszystkich tych urzędników. Myślałem, że przyszedł nareszcie do władzy ludzie uczciwi i sprawiedliwi, i poszedłem z nimi. Ale wkrótce przekonałem się, że ci, co byli aresztantami w Onorze, są teraz komisarzami; wtedy zacząłem się bić z bolszewikami. To — cała moja historia! Inaczej nie mogę, ponieważ dopóty, dopóki pozostanie przy życiu chociaż jeden z dawnych aresztantów więzienia w Onorze, nie zaznam spokoju. Nie zaznam!

Mówiąc to, z rozmachem uderzył pięścią w stół.

Dzięki Bołotowowi spokojnie przejechałem przez strefę jego wpływów i byłem z pewnością jedynym podróżnikiem, który bez żadnego szwanku przebył tę miejscowość.

Tak niespodziewanie przydało mi się spotkanie z Mścicielem” w tajdze sachalińskiej, na ścieżce pomiędzy Pogibi a brzegiem Morza Ochockiego.

Dziwne bywają spotkania na kuli ziemskiej i tajemnicze ich skutki.

ROZDZIAŁ VI. CZARNY MNICH

Po spotkaniu się z Bołotowem, owym tragicznym „Mścicielem” za krew syna, bez szczególnych przygód dotarłem do Przylądka Marii, położonego na Morzu Ochockim. Cała północna część wyspy była zupełnie niezaludniona, gdyż dwie drobne osady: Motnar i Pilwo, znajdujące się na zachodnim brzegu wyspy, leżały w bok od mojej stogi.

Wszędzie w lasach spotykałem niedźwiedzie, przeważnie nieduże, prawie zupełnie czarne, tzw. „mrówczaiki”, gdyż żywią się mrówkami i ich poczwarkami, które wygrzebują z mrowisk. Ten pokarm tak pobudzająco działa na niedźwiedzie, że nie podlegają one śpiączce zimowej i barłogów dla siebie nie urządzają. Niektórzy z myśliwych syberyjskich dowodzą, że „mrówczaiki” nie są specjalną odmianą niedźwiedzi, tylko okazami chorobliwymi psychicznie, które zatrzymują się w rozwoju i nabierają barwy ciemniejszej od zwyczajnego brunatnego niedźwiedzia, oraz większej złośliwości.

Myśliwi Oroczoni i Goldowie, wytrenowani w polowaniu na niedźwiedzie, uważają „mrówczaika” za złego ducha, którego trzeba czasem przebłagać i uczynić z niego potężnego sprzymierzeńca. Wobec tego tylko z konieczności strzelają do niego, gdy tymczasem na zwykłego niedźwiedzia chętnie polują, chodząc w pojedynkę. Nie widziałem polowania Oroczonów na władcę lasów północnych, lecz byłem świadkiem jakiejś ceremonii religijnej, gdy odbywa się śmiertelny pojedynek pomiędzy człowiekiem a niedźwiedziem.

Było to w pobliżu Nikolajewska na Amurze, w koczowisku Oroczonów. Na polanie, porośniętą trawą, przyciągnięto złapanego i oplątanego rzemieniami niedźwiedzia, który ważył około 300 funtów.

Umieszczono go pośrodku małego placu, ogrodzonego niewysokimi palami, z przeciągniętymi pomiędzy nimi mocnymi rzemieniami. Szaman zaczął ciągnąć losy dla obecnych, aby wskazać, kto powinien walczyć z niedźwiedziem.

Los padł na młodego chłopca, mającego nie więcej od lat szesnastu. Ucieszony, wziął on nóż, zatknął za pas, poprawił na sobie skórzaną bluzę i ruszył za ogrodzenie. Rozciąwszy więzy, krępujące zwierza, odbiegł na przeciwległy koniec placu, trzymając nóż w pogotowiu. Niedźwiedź małymi oczkami krwawymi rozglądał się; potem, podniósłszy się na tylne łapy, ruszył do ataku na chłopca. Ten schylony rzucił się na zwierza, w gnieniu oka wsunął mu pod pachę swoją głowę, mocno objął go lewą ręką, prawą zaś, uzbrojoną w nóż, uczynił szybki ruch z dołu do góry. Niedźwiedź ryknął przeraźliwie i padł natychmiast. Lunęła struga krwi i na trawę wypadły wnętrzności zwierza.

Walka

Myśliwy nie doznał najmniejszego obrażenia. W ten sposób tubylcy polują na niedźwiedzie w tajdze, tylko nikt z nich nie odważy się napaść tak na „mrówczaka”. Jeżeli ten znacznie zanadto grasować i czynić szkody, Oroczeni zabijają go z karabinu, serce zaś zjadają, czym się kończą wszystkie porachunki z „mrówczakiem”, który nie był dostatecznie gentlemanem względem ludzi.

Widziałem tam niewielkie stada zdziczałych reniferów, które w zimie przebrnęły przez lody cieśniny Tatarskiej i dostały się na wyspę; za nimi włościło się kilka wilków o skórze prawie białej.

Zastrzeliłem pewnego razu wygrzewającego się na słońcu białego lisa, ale, że to było jeszcze lato, więc futerko miał bardzo pożółkłe.

Wreszcie zobaczyliśmy morze i w oddali daleko wysunięty piaszczysty Przylądek Marii. Chmury ptactwa unosiły się nad brzegiem i napępiały powietrze przeróżnymi krzykami.

Gdy wyszliśmy z lasu na brzeg morski, ujrzałem wysoki krzyż z ociosanych belek brzoźowych z takim napisem, nieodpowiednim w stosunku do trwożnego nastroju tego kraju:

— Chwała na wysokości Bogu, a pokój ludziom na ziemi i na morzu życia!

Zadziwiła mnie obecność godła chrześcijańskiego na tym pustkowiu, więc spytałem przewodnika, kto ten krzyż postawił.

Z wielkim rozczuleniem w głosie odpowiedział:

— Czarny Mnich!

Wjeżdżaliśmy właśnie na dość wysoki pagórek piaszczysty. Konie z trudem wyciągały nogi z piasku; musieliśmy zsiąść i przekładać pakunki, aby ulżyć jucznym. Wszystko to przeszkodziło mi dopytać się o owego Czarnego Mnicha. Gdy przebrnęliśmy sypkie piaski, pofałdowane przez wichry w długie łańcuchy pagórków, ujrzałem stary dom piętrowy, zbudowany z czarnych belek modrzewiowych. Od strony północnej miał on coś na kształt wieżyczki, uwieńczonej krzyżem złotym.

— Tu mieszka „Czarny Mnich”! — zawołał przewodnik. — Nie wiem tylko, czy jest w domu, gdyż coraz częściej teraz przebywa na morzu.

Podjechaliśmy do domu. Nikt nie wyszedł na nasze spotkanie i dopiero gdy zaczęliśmy wołać, zjawili się kilku Ajnosów-tubylców. Łamaną mową objaśnili nas, że mnich jest na morzu, że sami oni przybyli do niego z daleka po radę i oczekują.

Spędziliśmy tam dwa dni. Nazajutrz o świcie obudziło nas szczekanie psów ajnoskich. Wyszędłem z domu, w którym rozlokowaliśmy się, gdyż przewodnik upewnił mnie, że gospodarz będzie z tego bardzo zadowolony. Zobaczyłem dużą łódź żaglową, która przybijała już do brzegu.

Na łodzi zwijano żagle i, gdy opadły, dostrzegłem na niej trzech ludzi. Umocowawszy linami łódź do pniów, skierowali się ku domowi. Podążyłem na ich spotkanie.

Na przedzie szedł wysoki mnich, siwy jak gołąb, a tak chudy, że zdawało się, iż pod grubą czarną sutanną mniszą tkwił tylko szkielet.

Ujrzawszy mnie, pogładził długą, siwą brodę i wąsy i szybkim ruchem zarzucił na głowę czarny kaptur od sutanny.

Na kapturze, nad czołem, zobaczyłem duży krzyż biały; drugi, czarny, wisiał mu na piersi na grubym łańcuchu żelaznym. Na nogach miał wysokie buty ze skóry foczej, okute żelazem na podszwach i obcasach. Przepasany był mocnym sznurem, na lewym ręku niósł różaniec z dużych paciorków kościanych.

Kaptur nasunął mu się prawie na same oczy, lecz dojrzałem ich niezwykle żywe i badawcze spojrzenie, krzaczaste siwe brwi, orli, cienki nos i usta, przeszlicznie wykrojone, zdradzające żelazną siłę woli.

Gdy się zbliżał, uderzył mnie dźwięk kajdan, tak dobrze znany z więzień syberyjskich.

— Czyżby ten był także aresztantem? — przemknęło mi przez mózg pytanie.

Lecz w tej chwili „Czarny Mnich” podniósł wychudzoną rękę i uczynił w moją stronę znak Krzyża Świętego, po chwili zad rozległ się jego starczy głos:

— Niech Przedwieczny Bóg błogosławi przybycie twoje, Synu, do naszego pustkowia!

Przedstawiłem mu się i razem dążyliśmy do domu. Przewodnik i Ajnosi spotkali mnicha przy progu domu, uklękli i pokłonili mu się do ziemi. Gdy, położywszy im ręce na głowy, pobłogosławił ich, podnieśli się, i z pokorą i miłością ucałowali ręce starca.

Mnich znikł potem na chwilę i powrócił już umyty, w lekkiej, czarnej sutannie z kapturem, który jednak był odrzucony na plecy. Miał zupełnie siwe, długie włosy, spadające mu na ramiona.

Z „Czarnym Mnichem” spędziłem cały dzień i całą noc. Rozpytywał mnie o życie polityczne w Rosji i zagranicą, o ruch umysłowy i religijny, o niektóre znane w Rosji osobistości ze sfer rządowych i naukowych. Wreszcie zupełnie niespodziewanie przemówił doskonałą francuszczyzną. Oświadczył, że wnet załatwi interesy z moim przewodnikiem, który mu przywiózł zapasy żywności, i z Ajnosami, przybyłymi po pomoc lekarską, po czym zostaniemy we dwóch i porozmawiamy obszerniej.

Udało nam się to jednak dopiero po kolacji, składającej się ze świeżych ryb, gdyż Mnich już od 50 lat nie używał mięsa.

Jadł bardzo mało i jakby od niechcenia, z konieczności. Wypił mały kubek herbaty bez cukru, odmówił krótką modlitwę dziękczynną i wygodniej usiadł na tapczanie, pokrytym skórą plamistej fokki.

Długi czas musiałem opowiadać mu o Petersburgu i o Moskwie; dowiedziawszy się, że byłem przez czas dłuższy w Paryżu, rozpytywał mnie o takich uczonych, jak Lichtenberger, Reclus, Roux, Boussinesque, Flammarion⁸⁵ i Poincaré⁸⁶; bardzo się interesował Leonem Tołstojem⁸⁷, Włodzimierzem Sołowjewem⁸⁸ i literatem Korolenko. Wszystkich ich kiedyś znał osobiście, gdyż dużo niegdyś podróżował po całej Europie.

Był doskonale odczytany w literaturze z różnych dziedzin, zdradzając głęboką wiedzę i krytycyzm; lecz z tego, co mówił, mogłem wywnioskować, że jego stosunek do życia współczesnego musiał się zakończyć co najmniej — przed 30 laty.

Jednak było w tym człowieku tyle powagi, rozumu i niezmaconego niczym spokoju, zrozumienia treści życia, taki majestat myśli i ruchów, że wprost nie śmiałem zadawać mu żadnych pytań, czekając, aż sam zacznie się wypowiadać, gdyż od dawna zauważyłem, że ludzie chętnie przede mną się wywnętrzają. Nadzieje moje i tym razem nie były ponne.

Zauważywszy, że parę razy ze zdziwieniem nasłuchiwałem, gdy przy najmniejszym ruchu mnicha rozlegał się dźwięk łańcuchów żelaznych, podniósł na mnie swe żywe oczy niebieskie i rzekł głosem cichym:

— Noszę na ciele *werigi*, czyli łańcuchy, przechodzące przez plecy i zakończone w pasie ciężką kłódką; poza tym noszę koszulę z włosia końskiego. Czynię to dla udrczenia ciała; przyjąłem na siebie tę lekką karę dobrowolnie, gdyż jestem wielkim zbrodniarzem...

Nie przeczyłem, patrząc mu wprost w oczy.

— Zbrodniarzem jestem, czy pan słyszy? — rzucił mi niecierpliwe pytanie.

— Słyszałem! — odparłem.

— No, i cóż pan powie na to?

W głosie starca wyczułem podrażnienie i ciekawość.

Wzruszyłem ramionami i odpowiedziałem, spokojnie patrząc w niebieskie oczy mnicha.

— Wszyscy bywamy czasem największymi zbrodniarzami i każdy z nas, jeżeli zechce, może stać się dla siebie spowiednikiem i najsurowszym zarazem sędzią, Ojcze!

Starzec przymknął oczy i po chwili milczenia znowu rzucił pytanie, a jego oczy wpały na siebie we mnie ciekawie.

— Cóż dalej?

— Dalej? Straszne rzeczy mogą się stać, jeżeli człowiek znajdzie w sobie moc, aby uprzytomnić ukryte zbrodnie swoje! Może nastąpić okres obłąkania, straszliwej pokuty lub odrodzenia.

⁸⁵ *Flammarion, Camille* (1842–1925) — francuski astronom i popularyzator astronomii. [przypis edytorski]

⁸⁶ *Poincaré, Henri* (1854–1912) — francuski matematyk, fizyk i astronom; zajmował się także filozofią nauki. [przypis edytorski]

⁸⁷ *Tołstoj, Lew* (1828–1910) — rosyjski prozaik, dramaturg, myśliciel, krytyk literacki, publicysta. Jego dzieła wywarły duży wpływ na literaturę światową i rozwój myśli moralnej na początku XX wieku. Jeden z najwybitniejszych realistów, łączył wnikliwą obserwację z własnymi poglądami na rzeczywistość. Dzieła: *Wojna i pokój*, *Anna Karenina*. [przypis edytorski]

⁸⁸ *Sołowjew, Władimir* (1853–1900) — poeta, myśliciel i mesjanista rosyjski. [przypis edytorski]

— Młody jesteś, synu, a mówisz, jakbyś znał życie! — szepnął mnich, uśmiechając się.

— Ojczy! — odpowiedziałem. — Życie twarde i chytre, czyhające na ludzi, od dawna otacza mnie ze wszystkich stron. Znam je dobrze i wiem, co jest warte. Wiem, że najcięższa pokusa krwi w niedoścignionym pragnieniu. Może ona uczynić z człowieka męczennika o jasnej lecz słabej duszy, pełnej łez, lub zbrodniarza o czarnej duszy, pełnej krwi i nienawiści. Tylko najsilniejsi potrafią wytrwać i życie ich, chociaż twarde i niewesołe, może być wzorem dla innych, ich praca zaś przynieść może plon obfity.

Mnich opuścił siwą głowę na piersi i zamyślił się głęboko... Milczenie trwało długo, a ja już wiedziałam, że usłyszę spowiedź duszy ludzkiej, pełnej troski i męki.

Starzec wstał, nalał mnie i sobie herbaty, potem usiadł i zaczął mówić, przerywając od czasu do czasu opowiadanie i wpadając chwilami w zadumę.

— To prawda, że tylko męka moralna może zgubić lub podnieść człowieka... Tak było i ze mną... Jaką zbrodnię popełniłem — to wszystko jedno! Czyż zmienia postać rzeczy morderstwo ciała czy duszy? Zbrodnia pozostaje zbrodnią. Zbrodnia rodzi mękę moralną, oddźwięk, wspomnienie, wstyd, zgryzotę. W moim życiu przeszedłem wszystkie etapy męki: miałem duszę czystą, miałem i czarną, nie miałem wreszcie żadnej, gdyż nie czułem ani tęsknoty, ani radości... Ostatecznie wszystko się przekształca w coś innego... w coś, co powołało mnie do życia dla innych. Szukałem drogi do takiego życia, lecz nie znajdowałem jej w miastach, w ośrodkach kulturalnych. Wysoka sfera, z której pochodzę, wytwarzała szereg przeszkód dla moich nowych upodobań... Wstąpiłem do klasztoru, najsurowszego w całej Rosji; szybko swoją gorliwością i pokorą doszedłem do wysokich godności, lecz zrozumiałem, że klasztor nie da mi ukojenia. Wtedy nałożyłem na siebie włosienicę i *werigi* i jeździłem z miejsca na miejsce, szukając pola dla swego popędu dosłużenia bliźnim. Zabrnąłem na Sachalin. Zobaczyłem tę otchłań męki niewysłowionej, to piekło, gdzie płoną ciała i dusze żywych ludzi; zrozumiałem, że łatwo na tym tle uczynić dowolny rysunek. Zacząłem pracować w tym kierunku, lecz poglądy władz uniemożliwiły moje zadanie. Porzuciłem więzienia i osady wygnańców i przenieśliem się tu, na północ, gdzie krzewiłem chrześcijaństwo wśród tubylców i gdzie walczyłem długo z przywożoną tu przez Rosjan i cudzoziemców zarazą pijaństwa, rozpusty i hazardu, lecząc ciała i dusze.

Westchnął głęboko i głosem cichym dodał:

— Mówię, jakbym się chwalił... Ale to nie jest przechwałka. Mówię, jak na spowiedzi, gdyż dochodzę już do kresu swego życia. Czuję to wyraźnie. Powiem więcej: myślę, że teraz powróciłem z ostatniej podróży na morzu, które tak dawno widzi mnie pośród swych fal.

Staralem się przeczyć, ale widząc, że to nie wywiera żadnego skutku, spytałem:

— Jakie podróże odbywacie, ojczy, po morzu?

Odpowiedział od razu głosem bardzo ożywionym, z czego wywnioskowałem, iż to go bardzo obchodzi.

— Siedząc tu, na samym brzegu, przy końcu Cieśniny Tatarskiej, często widziałem łodzie rybaków i zbiegów z Sachalinu, unoszone przez fale i wichry na otwarte morze, gdzie je niezawodnie czekała zguba.

Obowiązkiem chrześcijańskim jest ratowanie tonących, a nawet, jak mi opowiadano, sygnałem tonącego okrętu, wołającego o pomoc tajemniczym, niemyim głosem telegrafu bez drutu, są trzy litery S. O. S., co znaczy „*Save our souls*”⁸⁹. Więc zacząłem ratować te „dusze tonące”. Wybudowałem z pomocą dwóch swych starych przyjaciół, Ajnosów — chrześcijan, dobrą łódź i z nimi wypływam podczas każdej burzy na pomoc ginącym. Na tym piaszczystym przylądku, gdzie uwiązujemy naszą łódź, palę po nocach latarnię morską dla zbłąkanych.

Mówiąc to, z cicha się zaśmiał i wskazał mi przez okno wysoki maszt z wiszącą na nim latarnią.

— Palimy w lampie tran, a gdy szaleje burza, zapalamy wielkie ognisko, do którego wrzucamy kir, aby żaden wicher i ulewa nie mogły zagasić ognia. Moi Ajnosi są bardzo wprawni i śmiały żeglarzami, zaraz ich panu pokażę.

Klasnął w dłonie. Weszli starsi Ajnosi, przybrani w skórzane kurty, spodnie i w długie, uwiązane do pasa buty. Mieli twarze straszliwe, gdyż byli bez nosów, powiek i warg

⁸⁹*Save our souls* (ang.) — ratujcie nasze dusze. [przypis edytorski]

i szczyrzyli duże, żółte zęby kościotrupów! Nie wątpię co do rodzaju choroby, która w tak straszny sposób zespeciała te twarze spokojnych, wiernych Ajnosów.

— Trąd? — spytałem.

— Tak! — odpad mnich. — Ale bardzo powoli się rozwija, gdyż ci ludzie chorują nań przeszło trzydzieści lat. Jestem przekonany, że trąd jest zupełnie niezaraźliwy, gdyż obcuje z nimi tak dawno; obcuja też z nimi moi przyjaciele, którzy co roku zjeżdżają tu odwiedzić mnie, starego, a nikt z nas nigdy się nie zaraził, chociaż wcale nie unikamy obcowania z nimi!

— Pewno wielu ludzi zawdzięcza wam, Ojcze, ratunek? — pytałem.

— Przez czterdzieści lat nazbierało się tego dosyć, zwłaszcza dlatego, że nie tylko oczekujemy, aż kogoś fale tu przyniosą, lecz sami płyniemy na południe i krążymy w północnej części cieśniny, ratując ginących. Znają nas na tych wodach dobrze! Kiedyś był tu, panie, jakiś poeta, który opisał mnie pod nazwą „Latającego mnicha”. Ratuję zbiegów i władze mi w tym nie przeszkadzają...! Dlaczego — nie wiem!... Co do mnie, jestem przekonany, że taki zbieg wcześniej czy później zginie lub dostanie się znowu do więzienia; wiem, że dla niego byłoby lepiej utonąć, lecz myślę, że skoro buntuje się i ucieka, znaczy to, że nie przeszedł jeszcze całej męki, która dałaby mu rezygnację. Ratując go, chcę mu dać możliwość przejścia wszystkich tortur duchowych i wybawienia swej duszy z czarnego mroku, który ją opanował.

— Nie na radość i szczęście ratuję ginących zbiegów, lecz na nowe męki i tęsknotę!...

— Czy aresztant, zamierzając przebyć cieśninę, wie o waszym istnieniu?

— O tak! O tym głośno wszędzie w katordze; że zaś aresztanci są bardzo zabobonni i przesądni, więc, wybierając się na tę trudną wyprawę, robią z miękkiego chleba, zmieszanego z proszkiem węgla, figurki małych czarnych mnichów i noszą je, jak talizmany, aby w razie ciężkiej przygody na morzu spotkać moją łódź! — mówił starzec z cichym śmiechem.

Była późna noc i niebo już zbieleło przed świtem, gdyśmy skończyli pogadankę. „Czarny Mnich” z brzękiem swych łańcuchów podniósł się z tapczanu i pożegnał mnie krótkim błogosławieństwem. Wyszedł do sąsiedniej izby, która była jego celą i długo jeszcze słyszałem dzwonienie żelaza i głuche uderzenia kolan o podłogę, gdyż mnich gorliwie modlił się do świtu.

Dochodziła zaledwie godzina szósta, gdy wstałem i wyszedłem z domu. Mnich był już na nogach i rozmawiał z moim przewodnikiem, dając mu jakieś rady i wskazówki.

— Wcześniej wstaliście — zauważyłem — nie znacie spoczynku!

— Stare ciało nie potrzebuje długiego snu — odpowiedział wesoło. Tym bardziej, że wkrótce zasną na zawsze...

W parę godzin później pożegnałem „Czarnego Mnicha” przy krzyżu, do którego mnie odprowadził. Długo stał, jak wysoki posąg czarny, z ręką wzniesioną do błogosławieństwa. I znowu odczułem pogodny majestat tej tajemniczej duszy, która za popełnioną, jej tylko znaną zbrodnię, przeszła ogniste męki sumienia i wspomnień, stopiwszy się nareszcie z wieczystym pokojem w jedną wspaniałą całość, czystą jak kryształ, hartowaną jak stal, i wrażliwą jak powierzchnia bezbrzeżnego morza.

W Due czekał już na mnie „Aleut”. Kapitan okrętu oznajmił mi, że musi przepłynąć cieśninę Tatarską i dotrzeć do Przylądka Marii, ponieważ dostał rozkaz od jednego z wielkich książąt dostarczenia listów „Czarnemu Mnichowi”.

Zaproponował mi, bym oczekiwał powrotu „Aleuta” w Due, lecz ja wolałem odbyć podróż cieśniną.

Po dwóch dniach późną nocą rzucono kotwicę w piaszczyste dno o dwa kilometry od przylądka.

— Dziwna rzecz! — zauważył kapitan. — Dziś morze dość burzliwe i mnich zawsze w takich razach zapala swą latarnię. Nie widziałem jednak ognia. Może jest na morzu, ale przecież nie spotkaliśmy go w cieśninie?... Coby to mogło znaczyć?

Tej nocy nie mogliśmy spuścić łodzi i wylądować.

Nazajutrz bardzo wcześnie byliśmy już w siedzibie Mnicha.

Nikt nas nie spotkał. Weszliśmy do domu. Wszystko tu pozostawało po dawnemu.

Otworzyliśmy drzwi od celi starca i mimo woli umilkliśmy.

Przed wysokim pulpitem z Bibilią, pokrytym czarną aksamitną serwetą, z wyszytymi

Zabobony

Śmierć

na niej srebrnymi krzyżami, w pozie skulonej leżał stary mnich. Widocznie śmierć go zaskoczyła w chwili, gdy, modląc się, ukląkł i czołem dotykał ziemi. Miał kaptur nasunięty na twarz, a kościste, już skrzepłe, palce mocno trzymały paciorki różańca.

Rozgrzeliśmy się po pokoju. Nic nie było tknięte, żaden sprzęt nie był ruszony z miejsca. Tylko na małym stolyczku przy oknie leżała biała zapieczętowana koperta z napisem:

— Położyć do mogiły razem z moimi zwłokami...

Przez cienki papier koperty przeświecał portret kobiety w strojnej białej sukni ślubnej, z welonem na czarnych włosach. Na odwrotnej stronie portretu majaczyły ledwie dostrzegalne, już wypłowiałe, nieczytelne słowa jakiegoś napisu, uczynionego drobnym charakterem. Obok leżała ćwiartka żółtego papieru z takimi słowami:

— Już odchodzę, uspokojony i pogodzony. Niech będą zbawieni tonący w morzu życia, błogosławię ich w Imię Boże!

Pogrzebaliśmy Czarnego Mnicha u stóp krzyża, wzniesionego przezeń i odpłynęliśmy...

Porzucając na zawsze ten kraj męki i tęsknoty, tę przeklętą wyspę, nad którą płynęła hańbiąca melodia kajdan, we wspomnieniach swoich przechowałem widma trzech tak niepodobnych do siebie męczenników.

Widzę tragiczną twarz i nie mrugające, trwożnie baczne oczy żony i matki mścicielki, którą spotkałem po raz ostatni w ponurej Pogibi; przypominam pełne nienawiści słowa Andrzeja Bołotowa, co ścigał morderców swego syna i sędziwe, majestatycznie mądre oblicze pogodzonego z życiem, tajemniczego Czarnego Mnicha.

A nad nimi, jak najszczytniejsze hasło ludzkości, miotającej się w walce życia, prosty krzyż z Przylądka Marii i jeszcze prostszy napis:

„Chwała na wysokości Bogu, a pokój ludziom na ziemi i na morzu życia”...

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/ossendowski-w-ludzkiej-i-lesnej-kniei>

Tekst opracowany na podstawie: Ferdynand Ossendowski, *W ludzkiej i leśnej kniei*, Nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa 1923.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Justyna Lach, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5282-2

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).